

Na piwie u **Mentzena** | Kręta **Trzecia Droga** | Zarażeni **populizmem**
Piekło na **Helu** | Szkolna demolka | **Żulczyk** o mężczyznach | Jak okiełznać AI

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER
SPRZEDAŻY

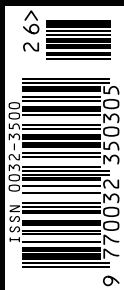
TYGODNIK, nr 26 (3419), 21.06–27.06.2023

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195



To nie jest kraj dla młodych kobiet

RAPORT s. 12



USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

ILUSTRACJA MARTA FREJ



Wypożyczalnia



Centrum testowe



Serwis



Diagnostyka silników Bosch



Serwis amortyzatorów



**SUPER
OFERTA**

Kup rower Cube
ODBIERZ 10%*
wartości roweru
w akcesoriach
i odzieży rowerowej



* Oferta promocyjna na zakup akcesoriów i odzieży rowerowej marki Cube i RFR obowiązuje do dnia 31.07.2023. Promocja nie obejmuje rowerów hybrydowych oraz rowerów z serii Nuroad. Regulamin promocji w kasach sklepów i na skiteam.pl

NASZE SKLEPY STACJONARNE SĄ OTWARTE 7 DNI W TYGODNIU

Poniedziałek - Sobota **10:00 - 21:00** | Wszystkie Niedziele **11:00 - 18:00** 

WARSZAWA: ul. KOR 36/38 | **WARSZAWA:** ul. Toruńska 107b | **POZNAŃ:** ul. Bułgarska 117a

WROCŁAW: CH Arkady Wrocławskie | **KATOWICE:** ul. Sportowa 20 (200m od CH Silesia)



16 Kręta Trzecia Droga



26 Szkolna demolka



59 Jak ograniczyć sztuczną inteligencję

Tematy tygodnia

- 12 Agata Szczębiak
Aleksandra Żelazińska
Strach ciężowy
- 16 Rafał Kalukin
Co zamierzają Hołownia i Kosiniak-Kamysz
- 19 Norbert Frątczak
Na piwie z Mentzenem



Polityka

- 22 ROZMOWA POLITYKI **Sławomir Sierakowski i Przemysław Sadura** o tym, jak nas zmieniło osiem lat rządów PiS i co z tym teraz zrobić

Społeczeństwo

- 26 Joanna Cieśla **Gorzko o edukacji**
- 29 Prof. **Waldemar Kuligowski**, antropolog kultury, o tym, że nie ma jednego wzorca małżeństwa, rodziny, domu
- 32 Ryszarda Socha **Piekło na Helu**
- 35 Zbigniew Borek **Ukraińskim uchodźcom znów grozi bezdomność**

Rynek

- 38 Adam Grzeszak **Coraz bardziej liczne auta elektryczne**
- 50 Cezary Kowanda **Kolejni konkurenci dla Allegro**

Świat

- 56 Piotr Podemski
WŁOCHY
Silvio Berlusconi – ojciec chrzestny współczesnej Italii
- 59 Łukasz Wójcik
Prawnicy i etycy mierzą się z wyzwaniem AI
- 62 Marek Świerczyński UKRAINA
Ciężka kontrofensywa



Nauka/projektpulsar.pl

- 64 Michał Różyczka
Tajemnice czarnych dziur
- 67 Patrycja Sasnal **Groźna geoinżynieria**
- 70 Czy istnieją małe reaktory jądrowe, które promuje polski rząd, opowiada dr inż. **Paweł Gajda**
- 72 Wiesław Władyka
Ekspertskie rekomendacje dla opozycji: jaka Polska po wyborach?

Esej

- 78 Adam Krzemiński **Stulatek Henry Kissinger o największych światowych przywódcach**

Historia

- 81 Tomasz Nałęcz **II RP: od demokracji do autorytaryzmu**
- 84 Przemysław Urbańczyk
Bolesław Chrobry – trzeci cesarz?

Kultura

- 90 Rozmowa z **Aleksandrą Wasilkowską**, laureatką Grand Prix Nagrody Architektonicznej POLITYKI za projekt bazaru w Błoniu
- 94 Jakub Demiańczuk
Nowa szczerza biografia Terry'ego Pratchetta
- 96 Jak dziś opowiadać o mężczyznach, mówi scenarzysta serialu „Warszawianka” **Jakub Żulczyk**
- 99 Mariusz Herma **Festiwalowe życie kobiet**
- 102 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**



Ludzie i style

- 108–113
- Jak rozpoznać ekstrawertyka
 - Modowe repliki
 - Kariera pewnej gęsi
 - O porabianiu
 - Zawodowa cicha rezygnacja
 - Turystyczne nietakty
 - Róż w kieliszku

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Przypisy
- 7 Ludzie i wydarzenia
- 86 Afisz
- 103 Lis
- 104 Sulej
- 105 Hartman
- 107 Do i od redakcji
- 114 Polityka i obyczaje



www.mleczko.pl

GALERIA ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Woda w mózgu

Premier Morawiecki poinformował, jak groźny jest nowy pakiet imigracyjny Komisji Europejskiej. Oczywiście groźny nie dla Polski – ta jako duży suwerenny kraj z potężną armią i Jarosławem Kaczyńskim na czele poradzi sobie – ale dla poszukujących lepszego życia imigrantów, którym Bruksela robi wodę z mózgu i przekonuje, że mogą je znaleźć w Polsce pod rządami PiS.

„Nie pozwolimy na to. Tu jest Polska” – ostrzegł Unię w Łochowie premier. Nie wiem, czy zmierzający do Europy uchodźcy wiedzą już o jego decyzji, ale sądzą, że jak się dowiedzą, to się ucieszą.

Pomysł, żeby tych biedaków kierować akurat do nas, każe postawić pytanie, czy członkowie KE w ogóle wiedzą, co robią? Co z ich empatią? Gdzie reprezentowane przez nich europejskie wartości? Czy zdają sobie sprawę, jaki los gotują wygłodzonym desperatom, którzy myśleli, że najgorsze, co ich może w życiu spotkać, to przeprawianie się łodziami przez Morze Śródziemne. Tymczasem Morze Śródziemne to niewiele w porównaniu z morderczą przeprawą, jaka czeka ich z państwem PiS i jego służbami pod kierownictwem ministra Kamińskiego.

Czy brukselscy urzędnicy naprawdę nie mają rozumu i pomimo lojalnych ostrzeżeń premiera Morawieckiego

chcą, żeby tymi pozbawionymi perspektyw, szukającymi szczęścia ludźmi zajęła się polska służba graniczna? Albo policja dowodzona przez kogoś takiego jak generał Szymczyk? Albo politycy pokroju Wąsika i Kamińskiego? Albo żeby ich sprawy dostały się w łapy rzeźników prawa, takich jak sędzia Schab, sędzia Radzik czy magister Przyłębska? Po licznych wyrokach TSUE na polskie państwo prawa i polski wymiar sprawiedliwości urzędnicy KE muszą wiedzieć, jakie będą skutki, i nie będą mogli się tłumaczyć, że wykonywali tylko rozkazy przewodniczącej von der Leyen.

Premier Morawiecki w humanitarnym geście zapowiedział, że przyjdzie tym nieszczęśnikom z pomocą i nie wpuści ich do Polski, a pakiet imigracyjny zablokuje. Nie mam wątpliwości, że pomimo wciskania Polsce 20 tys. euro za każdego przyjętego imigranta próby siłowego wpłynięcia przez KE na zmianę jego decyzji okażą się nieskuteczne. To nie jest kwota, za którą rząd PiS zrezygnuje ze swoich wartości; kasa to nie wszystko. KE musi zrozumieć, że zmuszanie takiej partii jak PiS do pomagania tym, którzy znajdują się w potrzebie, ale mają inny kolor skóry i nie są katolikami, jest zwyczajnie nieludzkie.



NOWOŚĆ

Rejs po rzece Douro – z Porto szlakiem winnic

Z Porto, miejsca narodzin wina porto, do objętego patronatem UNESCO regionu winiarskiego Doliny Douro z barokowymi miastami, winnicami i pięknymi krajobrazami.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Porto. Vila Nova de Gaia i zaokrętowanie na statku. Dz. 2 Porto - Caldas de Aregos. Możliwość zwiedzania Porto z degustacją wina porto. Dz. 3 Caldas de Aregos – Pinhão. Wizyta na malowniczej stacji kolejowej Pinhão i obiad w Quinta (winnica). Możliwość wycieczki do barokowego zamku Casa de Mateus. Dz. 4 Pinhão – Barca d'Alva. Dodatkowa wycieczka do Castelo Rodrigo. Dz. 5 Barca d'Alva – Pocinho. Dodatkowa wycieczka do Salamanki, miasta uniwersyteckiego wpisanego na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Dz. 6 Pocinho-Régua. Możliwość fakultatywnej wycieczki do barokowego miasteczka Lamego. Dz. 7 Régua-Porto. Możliwość dodatkowej wycieczki do Guimarães, zwiedzanie Porto z polskim pilotem. Dz. 8 Porto – Warszawa. Powrót do domu.

8 dni | Wylot z Warszawy 26/09 2024

10.998,-



Japonia - królestwo słońca

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. Dz. 2 Przylot do Tokio, Japonia. Świątynia shinto Meiji Jingu i Shibuya. Powitalna kolacja. Dz. 3 Tokio. Targ rybny Tsukiji, sushi, Ginza, Tokyo International Forum oraz pałac cesarski. Dz. 4 Tokio na własną rękę. Dz. 5 Pociągami Shinkansen do Kioto. Świątynia shinto Fushimi Inari-taisha, targ Nishiki i czarująca dzielnica gejsz Gion. Dz. 6 Kioto. Złoty Pawilon, zamek Nijo, ogród zen i przejażdżka rowerem po Arashiyamie. Dz. 7 Kioto. Całodniowa wycieczka do Hiroshimy i wyspy-świątyni Miya-jima ze sławną czerwoną bramą torii. Dz. 8 Kioto na własną rękę. Kolacja pożegnalna z wotowiną w menu. Dz. 9 Przejazd z Kioto na lotnisko w Tokio i wylot do Warszawy. Dz. 10 Przylot do Warszawy.

10 dni | Wylot z Warszawy 07/11 2023 | 13.998,-



Zimowa podróż pociągami przez Szwajcarię

Najpiękniejsze widoki w Szwajcarii podczas zimowego przejazdu przez Alpy pociągami Glacier Express i Bernina Express oraz pobyt w stylowym Montreux i Lugano.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot na trasie Warszawa – Zurich. Podróż pociągami do Montreux nad Jeziorem Genewskim. Dz. 2 Spacer po stylowym Montreux i czas wolny. Dz. 3 Montreux – Brig – Andermatt – Chur. Przejazd pociągami Glacier Express z Brig przez Andermatt do Chur. Dz. 4 Expressem Bernina z Chur do Tirano we Włoszech, autobusem Bernina Express przez jezioro Como i Lugano do Lugano. Dz. 5 Lugano. Spacer po mieście i czas wolny. Pożegnalna kolacja. Dz. 6 Przejazd pociągami Lugano – Zurich. Wylot powrotny do Warszawy.

6 dni | Wylot z Warszawy 17/02 2024 | 9.498,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: PL23

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Manewry czerwcowe



Mariusz Janicki

Chaos na Nowogrodzkiej, o którym pisaliśmy w poprzedniej POLITYCE, w kolejnym tygodniu potwierdził się w całej rozciągłości. Piarowcy PiS prawili sobie złośliwości, szef sztabu wyborczego PiS zrezygnował w kwaśnej atmosferze. Jest pomysł powrotu do rządu Jarosława Kaczyńskiego jako być może jedyne go wicepremiera (co oznacza instrumentalne wykorzystywanie jednej z najwyższych funkcji w państwie dla czysto wyborczych celów). Na koniec czerwca zaplanowano gigantyczną konwencję programową. Skoro Tusk zwołał największą demonstrację, Kaczyński zrobi największy partyjny zjazd – co kto lubi.

Wyjaśnijmy, że te ruchy nie są spowodowane spadkiem sondażowych notowań PiS, bo one są od tygodni stabilne. Panika bierze się stąd, że te notowania nie rosną – mimo 800 plus, stałej 14. emerytury, obietnicy bezpłatnych autostrad, zapowiedzi podwyżek, także pensji minimalnej, skrócenia wieku emerytalnego, tropienia „ruskich agentów” (teraz w wersji znowelizowanej, chociaż nadal niekonstytucyjnej), a wcześniej „obrony polskiego papieża”.

A jeszcze pojawił się znowu wątek relokacji uchodźców w ramach Unii, co dało partii Kaczyńskiego okazję do wyciągnięcia starej kolubryny z napisem „obcy kulturowo imigranci”. Lider PiS zapowiada referendum w tej sprawie (być może będzie uzupełnianie o inne wymyślone w sztabie PiS wątki), zapewne odbędzie się łącznie z wyborami, poprzedzone histeryczną antyuchodźczą kampanią. „Jeśli ma przynieść oczekiwane efekty, musi zostać mocno rozpędzone” – napisał Jacek Karnowski na swoim portalu. W politycznym interesie opozycji jest zgłoszenie tego tematu jak najszybciej i Donald Tusk podczas wiecu w Poznaniu rozpoczął rozbrajanie problemu. Widać jednak, jak szybko zaczęła działać maszyna w stylu: restart kampanii, *game changer* PiS, sprytny ruch Nowogrodzkiej, wielka kontrofensywa, sprawdzian dla opozycji itp., a w jej nakręcaniu bierze udział także niepisowska „bańka”.

Tak czy inaczej, już na tym etapie kampanii miało być 40 proc. dla partii władzy, plus kilka dodatkowych – do jesieni. Wykorzystano chwyt, które przez lata działały, a mimo to większość sejmowa się nie zbliża. Mówi się o tym, że PiS mógłby po wyborach rządzić z Konfederacją, ale dla Kaczyńskiego to i tak byłby koszmar. Prezes PiS pokazał wielokrotnie, że nie cofa się przed niczym, potrafi z czasem niszczyć całe partie lub wyłuskiwać ich członków. Jednak na konieczności dogadywania się z Mentzenem, Bosakiem, a może i Braunem, mocno ucierpiałaby jego legenda „emerytowanego zbawcy narodu”. Zatem pogłoski o tym, że „prezes się wściekł”, są bardzo prawdopodobne.

Pytanie o Konfederację zrobiło się w polskiej polityce centralne: czy wejdzie z PiS w koalicję albo poprze mniejszościowy rząd prawicy, jeśli dostanie taką propozycję? Jedni są co do tego absolutnie przekonani, inni uważają, że to wykluczone. Argumenty są różne: Konfederacja wykorzysta koniunkturę, jakoś politycznie spienięży swój sukces, wejdzie do koalicji, nie będzie ryzykować od razu przedterminowych wyborów, bo wiatry mogą być zmienne, a ludzie, których biorą na listy, też mają swoje ambicje i finansowe potrzeby. Ale też nie brak opinii, że Mentzen gra wyżej, nie będzie chciał się od razu „umoczyć”

w alians z PiS, nawet w formie jakichś „paktów stabilizacyjnych”, dlatego postawi na następną rundę i podniesie cenę (o „piwie z Mentzenem” s. 19).

Opozycja też ma swoje problemy, bo ogólna pula jej wyborców nie rośnie. Następują głównie przesunięcia wewnątrz demokratycznego obozu. Platforma po marszu 4 czerwca zyskała w sondażach ok. 4 pkt proc., ale Trzecia Droga niemal tyle samo straciła. W efekcie, w przeliczeniu na sejmowe mandaty, demokratyczna opozycja ma nawet nieco mniej niż przed marszem i na razie również nie ma widoków na samodzielne utworzenie sejmowej większości. Słychać narzekania, że ostra polityczna polaryzacja się jednak nie opłaca, że o to chodziło Kaczyńskiemu, który liczy, że ma więcej twardego elektoratu niż Tusk. Teraz okazuje się, że trzeba ratować koalicję Hołowni i Kosiniaka-Kamysz, aby nie spadli pod 8-procentowy próg. Nie bardzo zresztą wiadomo, jak to miałyby wyglądać, bo elektoratu przekazać się nie da.

Dezerwowanie entuzjazmu z 4 czerwca nie pomoże mniejszym partiom, może tylko demobilizować tę część wyborców opozycji, która znowu zaczęła wierzyć w sukces. Zresztą Trzecia Droga sama sobie nie pomaga, choćby organizując konsultacje na temat swojego edukacyjnego projektu z udziałem zastępcy ministra Czarnka. Stopień pogubienia w tej sprawie najlepiej oddają słowa posłanki PL 2050 Joanny Muchy (Wyborcza.pl): „Wolałabym, by konsultacje przebiegały w gronie partii opozycyjnych (...). Gdyby partie opozycyjne zachowały się w sposób normalny, czyli przyjęły zaproszenie, to PiS by nie przyszedł”. Naprawdę trudno zrozumieć tę osobliwą logikę, bo jeśli się nie chciało obecności PiS, po prostu nie należało zapraszać tej partii, a wtedy inne ugrupowania opozycyjne zachowałyby się „normalnie” i przyszły.

Politycy Polski 2050 i PSL mówią, że w ciągu najwyżej miesiąca notowania Trzeciej Drogi się odbudują. Ale jeśli się nie odrodzą, to prezes ludowców stanie przed realną groźbą zgaszenia światła w ponadstuletniej partii. Czy wtedy razem z Hołownią przeskoczy do Platformy, czy najpierw on, a potem – osamotniony – zrobi to lider Polski 2050? A może obaj zagrają w oddzielne 5 proc. Jeżeli wybory zostaną ogłoszone na 15 października, to termin na zgłaszanie do PKW komitetów wyborczych minie 48 dni wcześniej, czyli pod koniec sierpnia. Wtedy kłamka zapadnie, a rozpocznie się wyborcza ruletka. Spadnięcie Trzeciej Drogi pod próg oznaczałoby przegraną całej opozycji (o sytuacji w tej koalicji s. 16).

Sytuacja jest więc mocno niejasna, ale też nic nie jest jeszcze przesądzone, żaden krytyczny punkt *no return* nie został przekroczony. Trwa ustawianie wojsk. Platforma nie znajdzie już lepszej formuły niż radykalne starcie z obozem Kaczyńskiego na wszystkich frontach, zresztą Joachim Brudziński jako nowy szef kampanii PiS gwarantuje brutalną konfrontację. Inni muszą znaleźć własną agendę. Lewica ma szansę na zmobilizowanie kobiet, zwłaszcza po dramatycznym przypadku pani Doroty, jak wiele wskazuje, kolejnej ofiary zaostrzonego prawa aborcyjnego (więcej o tej sprawie i o protestach s. 12). A Trzecia Droga mogłaby się stać konkurencją dla Konfederacji, zwłaszcza na gruncie ekonomicznym, i trochę tego próbuje. Jeśli nie będzie jednej listy, konieczny jest podział ról we wspólnym spektaklu.

KOZA



© JAN KOZŁA

Lex Tusk: mydlenie oczu

Prezydencka nowelizacja lex Tusk wyrwała komisji ds. wpływów rosyjskich zęby – ogłosiła część publicystów. A słucha tego Komisja Europejska, która ogłosiła zamiar zaskarżenia lex Tusk do TSUE. Nowelizacja, w zamiarze władzy, ma temu zapobiec.

Czy coś zmienia? Owszem, znikło to, co najbardziej wybijano w komentarzach: odbieranie przez komisję prawa pełnienia funkcji publicznych i natychmiastowa wykonalność takiej decyzji, przy braku realnego prawa odwołania się do sądu. Do komisji nie będą mogli być powoływani posłowie, zniknie też termin ogłoszenia raportu: 17 września, czyli na miesiąc przed wyborami. Ale cel komisji: grillowanie polityków opozycji i podważenie zaufania do nich – co ma zmniejszyć ich szanse wyborcze – nadal może być realizowany. Członków komisji – dalej – wybierze większość rządząca. Nadal, jeśli politycy opozycji zbojkotują komisję, nie stawiając się na jej wezwania, mogą być zatrzymani i doprowadzeni siłą przez policję. Nadal komisja będzie miała dostęp do wszelkich, także tajnych, materiałów, które będzie mogła w odpowiedni sposób przedstawiać opinii publicznej. Nadal też może zlecać policji i służbom specjalnym działania operacyjne i inne śledcze, a zdobyte w ten sposób materiały, np. za pośrednictwem rządowych mediów, prezentować wyborcom.



Możliwe, że ten kanał przekazu już działa, bo podczas debaty w europarlamencie nad lex Tusk broniąca ustawy Beata Szydło ni z gruszki, ni z pietruszki, oświadczyła, że: „Polskiej opozycji proponuje reset”. A „Reset” to serial (patrz: niżej), który ma pokazywać, że rządy PO-PSL działały pod rosyjskim wpływem. Autorami „Resetu” są Michał Rachon – pracownik TVP, dobrze znany z antyopozycyjnej propagandy – oraz **Sławomir Cenckiewicz**, który „zasłynął” książką „Lech Wałęsa a SB”. Według posła PO Michała Szczerby, Cenckiewicz już pisze raport końcowy z działalności komisji, która nawet nie powstała, i dostaje różne, w tym tajne, dokumenty z rządowych instytucji.

Podczas wspomnianej debaty w PE komisarz ds. sprawiedliwości Didier Reynders podkreślał, że lex Tusk może być wykorzystywany, aby wpływać na wolność wyborów. O procedowanej wtedy jeszcze w Sejmie prezydenckiej noweli mówił z dystansem: „pewne działania” – wydaje się więc, że dostrzegł pozornie nowelizacji.

Inna sprawa, czy komisja – jeśli powstanie – będzie wyborczo skuteczna. Jej antydemokratyczny cel został obnażony, czym władza się skompromitowała. I ośmieszyła – przyznając, że powołane do wykrywania obcych wpływów służby specjalne pod jej rządami nie działają, skoro potrzebna jest komisja.

EWA SIEDLECKA

Reset: prawda czasu i prawda ekranu

Komisję do badania rosyjskich wpływów poprzedził serial „Reset” nadany przez TVP, która od razu na pasku podała tezę: „Polityka resetu Tuska z mordercą Putinem”. I po co jakiś raport, skoro wszystko jasne? Ówczesnemu resetowi stosunków z Rosją chce się nadać piętno błędu, jakiegoś spisku, nawet zdrady. Tymczasem nie tylko Polska, ale przede wszystkim USA (gdzie narodził się termin „reset”) i cały Zachód od lat próbowali ułożyć z Rosją lepsze relacje. Liczono, że Rosja – we własnym interesie – wybierze drogę modernizacji politycznej i ekonomicznej i stanie po stronie cywilizacji zachodniej.

Po 11 września 2001 r. Ameryka zagrożona w żalobie i modlitwie z wdzięcznością przyjęła ofertę pomocy ze strony Putina w walce z terroryzmem. Całe NATO postanowiło rozwinąć z Rosją mechanizmy współpracy. Putin był na szczycie NATO w 2008 r. w Bukareszcie, bo wspierał ówczesną koalicję antyterrorystyczną Zachodu. Nawiasem mówiąc, polski sprzęt wojskowy trafiał do Afganistanu przez Rosję. Sami Rosjanie deklarowali, że chcą się integrować z UE, negocjowali umowę o partnerstwie i współpracy. W Europie zwłaszcza Niemcy liczyli, że handel z Rosją i jej rozwój gospodarczy wymusi korzystne zmiany wewnętrzne, że Rosja bardziej potrzebuje modernizacji



niż militaryzacji (to było jedno z uzasadnień dla budowy gazociągu Nord Stream).

Polska była ostatnim krajem, który zaczął się do tej polityki dopasowywać, bo widziała, że jest traktowana na Zachodzie jako państwo podejrzliwe i rusofobiczne. Sojusz oficjalnie prowadził wobec Rosji politykę dwutorową: współpraca tam, gdzie można, powstrzymywanie przed ekspansją tam, gdzie trzeba. Polska Tuska w NATO kładła nacisk bardziej na ten drugi tor. Ale że mosty są potrzebne, nikt nie wątpił. Każdy kolejny prezydent USA próbował je na nowo przerzucić.

Zagarnięcie Krymu w 2014 r. zamroziło taką politykę, a już napaść na Ukrainę w 2022 r. zmieniła świat fundamentalnie. Putin wysadził wszelkie mosty w powietrze. Przygotowywał tę agresję przez ostatnie lata. Rosja nasilała w całej Europie

wojną informacyjną, rozsiewała fake newsy, ingerowała w procesy wyborcze, próbowała przekupstwa, finansowała ruchy polityczne wrogie UE. I ujawnianie tych rosyjskich wpływów jest jak najbardziej potrzebne. Przykład Francji: ostatnio DGSI (tajne służby) zrekrutowały setki nowych oficerów dla tropienia Rosjan, po inwazji rosyjskiej wydalono z Francji 41 dyplomatów, kontrwywiad zorganizował ponad tysiąc konferencji, by uwrażliwić środowiska polityczne i gospodarcze na rosyjskie wpływy. A w Polsce? Nic o tym nie słychać. Gdyby intencje PiS były propaństwowe, prokuratura oraz służby specjalne od razu zajęłyby się np. sprzedającą Lotosu czy sprawami wskazanymi w książkach Grzegorza Rzeczkowskiego i Tomasza Piątka. Aż roi się tam od nazwisk, afer i rosyjskich wpływów w środowisku PiS.

MAREK OSTROWSKI

Pesymiści, optymiści i paranoicy

Co cztery lata przed wyborami parlamentarnymi CBOS dokonuje „Psychologicznej charakterystyki elektoratów”. Niedawno rządowa pracownia badawcza opublikowała najnowszy raport na ten temat – opracowany już za kadencji dr hab. Ewy Marciniak, politolożki związanej z UW, która na początku marca zastąpiła na funkcji szefowej CBOS prof. Mirosławę Grabowską. Analiza ta przynosi sporo ciekawych danych, które w przededniu startu kampanii wyborczej partyjni stratedzy powinni wziąć pod uwagę.

Zasadniczą różnicą w porównaniu z badaniem z 2019 r. jest wyraźne pogorszenie się nastrojów. „W okresie poprzedzającym ostatnie wybory parlamentarne nastroje Polaków, zarówno postrzeganie sytuacji w kraju, jak i własnego położenia oraz samopoczucie, należały do najlepszych od początku przemian ustrojowych. (...) W ciągu kolejnych czterech lat istotnie wzrósł pesymizm w postrzeganiu sytuacji w kraju i własnej, nasiliło się poczucie braku sensu i dezorientacji co do obowiązujących reguł i wartości oraz wzrosła nieufność wobec polityki i poczucie braku wpływu na jej funkcjonowanie” – pisze autorka analizy Beata Roguska.

Na pół roku przed wyborami (badanie realizowano w kwietniu i w maju br.) **jedynie 17 proc.** badanych sytuację polityczną w Polsce określiło jako „dobrą” – to nawet niecały „żelazny elektorat” PiS (20 proc.). Z kolei **aż 49 proc.** Polaków ocenia, że sytuacja jest „zła” – i w tej kategorii to najwyższy wynik w historii badań (od 1996 r.). Co więcej, **także 17 proc.** uważa, że za rok im i ich rodzinom będzie się żyło „lepiej” – i podobnie: **49 proc.** badanych przewiduje, że będzie „tak samo, jak obecnie”. Najbardziej pesymistyczni są wyborcy KO i Lewicy; także poziom pesymizmu wyborców Trzeciej Drogi i Konfederacji jest „istotnie wyższy niż przeciętnie”. I tylko wśród wyborców PiS panuje optymizm. Zarazem to grupa najmniej skłonna do zaufania innym oraz do współpracy (na drugim biegunie są wyborcy Trzeciej Drogi) i wyróżniająca się największą podatnością na autorytaryzm. „Najmniej autorytarni”



są wyborcy KO oraz Lewicy. Z kolei „bardziej niż przeciętnie podatne na autorytarne hasła są osoby bierne politycznie, niezamierzające głosować”.

Ciekawie rzecz się ma w przypadku badania paranoi politycznej, czyli skłonności do myślenia spiskowego. W porównaniu do wyników z końca rządów PO-PSL (sierpień–wrzesień 2015 r.) spadł odsetek wierzących, że „to nie rząd nami rządzi; ci, co naprawdę nami sterują, nie są w ogóle znani” – z 51 proc. (był to najwyższy wynik w historii badania) do **38 proc.**, czyli do poziomu utrzymującego się w innych latach. Mogłoby to tłumaczyć gorliwie starania PiS, aby zdyskredytować Tuska i powiązać go z Rosją – skoro w 2015 r. tak wywindowany poziom paranoi działał na korzyść PiS. To zresztą umacnianie swojej bazy, bo paranoiczne myślenie jest najczęstsze wśród zwolenników Konfederacji i PiS. „Zdecydowanie najmniej podatni na myślenie o polityce w kategoriach spisku zakulisowych sił są zdeklarowani wyborcy KO” – podkreślono w raporcie (w przypadku zwolenników Lewicy i Trzeciej Drogi poziom nasilenia paranoi politycznej był „niższy niż przeciętnie”). Co ciekawe, wśród niezamierzających brać udziału w wyborach nasilenie paranoi jest „wyraźnie wyższe niż wśród ogółu”. (MLV)

Samorządy dłużnikami kierowców?

Gdańsk, Katowice, Kraków, Warszawa, Wrocław, Słupsk, Świdnica czy Lubin – to tylko niektóre z miast, w których w ostatnich latach bez podstawy prawnej pobierano opłaty za holowanie pojazdów. Mimo że uchwały ustanawiające opłaty zostały unieważnione przez sądy administracyjne, władze samorządowe nie spieszą się z oddawaniem nadpłaconych przez kierowców pieniędzy, bo... nie chcą i nie muszą.

Sprawą już w 2017 r. zajmowało się biuro ówczesnego rzecznika praw obywatelskich, a w kolejnych latach uchwały władz lokalnych zaskarżały miejscowe prokuratury na polecenie Prokuratury Krajowej. W całej Polsce w ten sposób zaskarżono aż kilkadziesiąt uchwał głównie za lata 2016–18. Zdaniem skarżących uchwały przewidywały maksymalne możliwe stawki za usuwanie pojazdów z ulic, podczas gdy realne koszty holowania w danej gminie były dużo niższe. Dla przykładu w stolicy na rok 2018 uchwała



Rady Warszawy ustalała opłatę za usunięcie pojazdu w wysokości aż 486 zł, a opłatę za pierwszą dobę przetrzymywania auta na parkingu – na 40 zł. Ile wynosiły realne koszty? Z oferty firmy, która wygrała przetarg, wynika, że odholowanie jednego pojazdu kosztowało wówczas tylko 110 zł oraz 34 zł za każdą dobę jego parkowania na parkingu strzeżonym. Różnicę widać gołym okiem stąd też Wojewódzki Sąd Administracyjny unieważnił tę i inne uchwały stołecznego samorządu, a Naczelny Sąd Administracyjny wyroki potwierdził. Identyczny los spotkał podobne uchwały w kilkudziesięciu największych i średnich miastach na terenie całego kraju. I choć w wielu przypadkach wyroki są już prawomocne, kierowcy dalej nie otrzymali swoich pieniędzy.

– W mojej ocenie zwrot należy się każdemu kierowcy, choćby samej nadpłaty powyżej realnych kosztów holowania. Problem w tym, że samorządy nie będą oddawać tych funduszy dobrowolnie – wyjaśnia prof. nauk prawnych Maciej Gutowski z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. – Stosując strategię skali, zwrócą pieniądze tylko tym, którzy skutecznie się o to upomną, licząc na to, że większość osób, która poniosła opłatę, nie dowie się o tym, że można ubiegać się o zwrot lub zrezygnuje z tego, by uniknąć formalności czy sprawy w sądzie – dodaje prawnik. Jego słowa potwierdza stanowisko samorządowców choćby ze wspomnianej stolicy, którzy twierdzą, że każdy przypadek rozpatrują indywidualnie, co oznacza, że kierowca sam musi dopominać się o swoje. Inne gminy temu wtórują, bo jak nietrudno się domyślić, gdy idzie o pieniądze, żaden samorząd nie chce się ich dobrowolnie pozbywać – szczególnie teraz, kiedy władza centralna ostabia samorządy, a pieniądze rozdaje wedle politycznego klucza. To wszystko sprawia, że mimo prawomocnych wyroków sądów administracyjnych obywatele dalej ponoszą finansowe konsekwencje błędów legislacyjnych radnych i urzędników. (ARKNAD)

Kogo wybierze Konfederacja?

Marek Migalski

Politolog, publicysta, prof. UŚ. Kiedyś polityk, a ostatnio wykładowca i pisarz.



Wiele wskazuje na to, że demokratycznej opozycji uda się po wyborach stworzyć większościowy rząd. Trwa dobra passa Donalda Tuska zapoczątkowana marszem 4 czerwca (i potwierdzona wiecem w Poznaniu sprzed kilku dni), Lewica może cieszyć się z frekwencji weekendowej Parady Równości, a Trzecia Droga, choć poobijana, dzielnie walczy o utrzymanie dwucyfrowego wyniku w sondażach. Po drugiej stronie mamy natomiast objawy desperacji (czyli pomysł referendum w sprawie umieszczenia w Polsce... 2 tys. imigrantów) oraz paniki (rezygnacja Tomasza Poręby z funkcji szefa sztabu PiS). Jedynie liderzy Konfederacji mogą się cieszyć, bo popularność ich formacji często przekracza w sondażach 10 proc.

Przyjęto się twierdzić, że właśnie to ugrupowanie rozstrzygnie o tym, kto po jesieni będzie rządzić w naszym kraju. Nie zgadzam się z tym, bo – jak napisałem – demokratyczna opozycja ma duże szanse na uzyskanie takiego poparcia, które zapewni jej stworzenie większościowego gabinetu. Ale założmy, że rację mają ci, którzy uważają, że ani Zjednoczona Prawica, ani demokratyczna opozycja nie będą miały wystarczającej liczby posłów, by sformować rząd cieszący się większością. Czy oczywiście jest, że Konfederacja poparłaby w tym układzie Kaczyńskiego i Ziobrę? Niekoniecznie.

Bardziej prawdopodobny wydaje się scenariusz parlamentarnego wspierania mniejszościowego gabinetu dzisiejszej opozycji. Po pierwsze dlatego, że wejście do rządu PiS (lub nawet tylko jego wspieranie w Sejmie) groziłoby Konfederacji podzieleniem losu Samoobrony i LPR, a liderom tej formacji – końcem takim, jaki spotkał Andrzeja Leppera. Przecież panowie Wąsik i Kamiński skierowaliby swoje

działania w pierwszej kolejności na „koalicjanta” i nie zaprzestaliby swoich prowokacji do momentu całkowitej marginalizacji Konfederacji oraz zakończenia karier Mentzena i Bosaka. Najlepiej w więzieniu. Ci ostatni muszą mieć świadomość tego, że sojusz z PiS jest jak przeprawa przez rzekę ze skorpionem na karku.

Drugi powód jest bardziej politologiczny – współpraca z Kaczyńskim zamazywałaby profil ideowy Konfederacji, powodowałaby zlewanie się obrazu obu partii w jedno, „upupiałaby” antysystemowców. Po kilku miesiącach współpracy liderzy tej partii byłiby nieodróżnialni od polityków PiS (o ile oczywiście przebywaliby jeszcze na wolności).

Wspieranie mniejszościowego rządu demokratycznej opozycji daje Konfederacji o wiele więcej profitów. Po pierwsze: gwarancje wolności i nieużycia aparatu państwowego do jej zniszczenia. Po drugie: dalszego budowania pozycji jako formacji antyestablishmentowej. Niewieście do rządu, przy jednoczesnym wymuszeniu na nim realizacji pewnych postulatów programowych, pozwalałoby Mentzenowi i Bosakowi zachować emploi antysystemowców, a równocześnie dawałoby narzędzia do recenzowania nowego gabinetu, a nawet odwoływania poszczególnych ministrów. Wreszcie – taki układ marginalizowałby PiS jako zbędny element politycznego „dziania się”, bowiem agenda polityczna zależałaby od napięcia między politykami KO/PL2050/Lewicy/PSL i Konfederacji, z Kaczyńskim jako niemy widzem tych rozgrywek. A w polityce, jak twierdzą od lat, gdzie dwóch się bije, tam trzeci traci.

Dlatego dzisiejsze twierdzenie, że jeśli PiS z Konfederacją będą miały większość w przyszłym Sejmie, to na pewno stworzą rząd, jest co najmniej dyskusyjne. Choć – co oczywiście – żeby mieć pewność, że taki gabinet nie powstanie, wyborcy antyPiSu powinni na tyle gremialnie zagłosować na swoich kandydatów, by powyższe rozważania nie miały sensu.

O Konfederacji i jej liderze Sławomirze Mentzenie czytaj też na s. 19.

Bastian czy Sebastian?

Na liście imion od kilku lat trwa społeczna rewolucja. Zaczęło się w marcu 2015 r., kiedy rząd poluzował ograniczenia w ich nadawaniu. W efekcie jedynym ograniczeniem jest dziś zasada, że imię nie może być dla dziecka obraźliwe – np. Antena. Ale Atena jest już dopuszczalna. Imię nadano już 90 dziewczynkom. W efekcie od kilku lat Polacy prześcigają się w oryginalności. Kulturową rewolucję łatwo można przeoczyć, śledząc czołówkę najpopularniejszych imion według danych z systemu PESEL.

I tak na szczycie rankingu najpopularniejszych imion żeńskich od lat królują: **Anna**, z rekordową liczbą 1 075 653 osób o tym imieniu. Anny całkowicie oderwały się od peletonu imion. Zostawiły daleko w tyle drugie w rankingu **Katarzyny**, których jest w systemie PESEL 605 826. W przypadku panów też pachnie tradycją. Na podium znaleźli się: **Jan** (645 988), **Piotr** (606 080) i **Stanisław** (57 826). Poza pudłem jeszcze **Andrzej** – 411 638.

Znacznie ciekawiej prezentuje się dół tabeli imion. W Polsce mamy już dwóch



Jowiszów, kolejnych dwóch **Oksjanów** i tyle samo chłopców o imieniu **Moda**. Nie brakuje również **Krzysztofów** i **Leonardów**, co do których można mieć podejrzenia, że mieli być **Krzysztofami** i **Leonardami**, ale nie wszystko się udało. I dziewczynkę jest bardziej oryginalnie. Tak oryginalnie, że w 2022 r. interweniować postanowiła Rada Języka Polskiego, która przez wiele lat stała na straży jakości polskich imion. Ale od ośmiu lat w zasadzie pozbawiona została tych prerogatyw. I teraz nie może już negatywnie opiniować imion;

może co najwyżej wydawać zalecenia. W zeszłym roku na liście 69 imion, których Rada sugeruje nie nadawać, znalazła się m.in.

Xymena (głównie ze względu na pisownię przez X), ale też **Poziomka** i **Pacyfik**. Z danych PESEL wynika, że autorytet Rady w tej kwestii nie zawsze działa. Samych Xymen jest już 120. Poziomek mniej, bo tylko 4.

Na liście imion jak w soczewce odbijają się popkulturowe fascynacje, bo chyba inaczej trudno interpretować popularność imienia **Kewin** (3231 osób) czy **Brajan** (673), których w Polsce wcześniej nie nadawano. Ale też zmiany społeczne. – *Rada ciągle dostaje bardzo dużo zapytań o różne formy imion. Wiele z nich związanych jest np. z kwestiami transpłciowości lub niebinarności osób, które szukają imion neutralnych płciowo, jak np. Alex czy Eden* – mówi Bartłomiej Chaciński, członek Rady Języka Polskiego i dziennikarz POLITYKI, lepiej znany jako Bartek Chaciński. – *Z danych wynika również, że imię Bartek wybiło się na niepodległość, co osobiście mnie cieszy, bo choć słownikowo traktowane jako zdrobnienie, jest to stare chłopskie imię* – dodaje Chaciński. W oficjalnych rejestrach jest już 143 **Bartków**.

(JULL)

Wszystkie winy Trumpa

Sotosy tajnych dokumentów zabrał Donald Trump z Białego Domu po zakończeniu urzędowania i przechowywał je w swej rezydencji Mar-a-Lago na Florydzie. Gdyby oddał je do Archiwów Narodowych, byłoby po kłopotcie, bo podobna beztroška zarząła się innym politykom, m.in. Hillary Clinton i Joe Bidenowi, ale oni współpracowali z organami ścigania. Trump odmówił zwrotu materiałów, twierdził, że je „odtajnił”, polecał swym prawnikom, żeby je ukryli albo zniszczyli. A niektóre dokumenty, w tym podobno plany ataku na Iran, pokazywał nawet swym gościom. W zeszłym tygodniu pozwoliło to specjalnemu prokuratorowi Jackowi Smithowi oskarżyć Trumpa o narażenie na szwank tajemnic państwowych i obstrukcję wymiaru sprawiedliwości. Były prokurator generalny William Barr powiedział, że „jeśli tylko połowa zarzutów przeciw Trumpowi się potwierdzi, jest ugotowany”.

Akcja prokuratora Smitha to pierwsze w historii USA oskarżenie byłego prezydenta o przestępstwo przez prokuraturę federalną (wcześniej kryminalne zarzuty postawił mu prokurator stanowy w Nowym Jorku). Smith, powołany też do badania prób blokowania przez Trumpa przekazania władzy nowej administracji Bidena po przegranych wyborach, podkreśla, że w Ameryce nikt nie stoi ponad prawem. Powaga zarzutów oznaczałaby, że grozi mu kara długoletniego więzienia. Czy rzeczywiście?

Trump jest nie tylko byłym prezydentem – ubiega się ponownie o Białą Dom i według sondaży bije na głowę innych kandydatów z Partii Republikańskiej. Bezpośrednio po akcie oskarżenia wzrosły datki na jego kampanię wyborczą. I choć 56 proc. Amerykanów uważa, że powinien wycofać się z wyścigu, większość polityków republikańskiego establishmentu i jego rywali do nominacji go potępia, to około połowa republikańskich wyborców uważa jednak, że nie zrobił nic złego – odsetek ten wzrósł o 10 pkt proc. w porównaniu z marcem – a jego fani na prawicy, w tym część członków Kongresu, zapowiadają, że będą go bronić jak niepodległości.

Jeżeli Trump stanie przed sądem, jego zwolennicy będą twierdzić, że ich klient jest ofiarą politycznej intrygi Demokratów, którzy używają Departamentu Sprawiedliwości jako broni przeciw opozycji. Nie wiadomo jednak, kiedy dojdzie w ogóle do procesu, nie mówiąc o wyroku. Adwokaci mogą przeciągać sprawę odwołaniami. A jeśli Trump zostanie kandydatem Republikanów i wygra wybory, jako prezydent będzie miał spokój na co najmniej cztery lata.



Demonstracja zwolenników Donalda Trumpa, Miami.



Kijów łączy Polaków i Niemców

Wojna w Ukrainie sprawiła, że Polacy i Niemcy coraz częściej mówią o Wschodzie jednym głosem – wynika z najnowszego badania „Barometr Polska-Niemcy”.

Był czas, że to w Ameryce Donalda Trumpa Niemcy widzieli większe zagrożenie dla pokoju niż w Rosji Władimira Putina. Ta słabość do Kremla przez lata budziła w Polsce irytację. Pełnoskalowa napaść Rosji na Ukrainę wiele zmieniła. Dziś nasi zachodni sąsiedzi patrzą na Moskwę i Kijów w sposób zbliżony do naszego. Taki wniosek przynosi najnowszy „Barometr Polska-Niemcy” – reprezentatywne badania ośrodka Kantar Public na zlecenie Instytutu Spraw Publicznych, Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich, Fundacji Konrada Adenauera i Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

Obawy, że wojna za Bugiem spowszednieje Zachodowi i z czasem zmalaże chęć pomocy Ukrainie, na razie okazują się przesadzone. Większość Niemców i jeszcze wyraźniejsza większość Polaków nadal popiera kroki podjęte przez ich rządy po 24 lutego ubiegłego roku: daleko idące sankcje gospodarcze wobec Kremla, dostawy sprzętu wojskowego dla Kijowa, przyjęcie ukraińskich uchodźców czy odcięcie od ropy i gazu z Rosji. – *Poparcie dla tych działań jest wprawdzie obecnie niższe niż w marcu zeszłego roku, ale wyższe niż przed inwazją* – komentuje dr Agnieszka Łada-Konefał, politolożka z Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich w Darmstadt, współautorka raportu.

Po obu stronach Odry kurs proukraiński łączy ludzi o różnych poglądach politycznych: od zwolenników PiS po socjaldemokratów i chadeków. Ewidencja przeciwny karaniu Rosji i wspieraniu Ukrainy jest tylko elektorat antysystemowej Alternatywy dla Niemiec (AfD). Wyborcy Konfederacji – najbardziej prorosyjskiej siły w polskim parlamencie – niechętnie patrzą na przyjmowanie ukraińskich uchodźców, ale na ogół są za dostawami broni dla Kijowa.

Zarówno Niemcy (60 proc.), jak i Polacy (74 proc.) widzą dziś w Rosji zagrożenie militarne, choć w nieco mniejszym stopniu niż jeszcze rok temu. – *Niższe poczucie zagrożenia może wynikać m.in. z porażek wojsk rosyjskich w Ukrainie* – sugeruje dr Jacek Kucharczyk, socjolog, dyrektor Instytutu Spraw Publicznych w Warszawie, drugi współautor raportu.

Na wojnę we wschodniej Europie władze w Warszawie i Berlinie reagują zbrojeniami. Rząd PiS postawił m.in. na wielkie zakupy sprzętu w Korei Południowej. Bundestag ustanowił wielomiliardowy fundusz specjalny na wzmocnienie armii. Co ciekawe, mimo doświadczeń drugiej wojny światowej i słów Jarosława Kaczyńskiego o IV Rzeszy modernizacja niemieckiego wojska nie budzi u nas obaw. Silniejsza Bundeswehra to także większe bezpieczeństwo Polski – uważa 59 proc. naszych rodaków. I Polacy, i Niemcy mają jednak wątpliwości, czy w Berlinie dokonuje się autentyczny, trwały przełom w polityce obronnej i zagranicznej.

Polacy na ogół (58 proc.) chcieliby, aby Niemcy udzielały Ukrainie większej pomocy. Gabinet Olafa Scholza nie czuje jednak w tej sprawie presji społecznej. Sami Niemcy uważają bowiem, że ich władze pomagają Kijowowi w dostatecznym (39 proc.) lub nawet zbyt dużym (30 proc.) stopniu. Nic dziwnego, że rząd w Berlinie woli wspierać Ukrainę metodą małych kroków – i tak najpewniej pozostanie.

FILIP GAŃCZAK

Czerwony Krzyż z deficytem

Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża (MKCK) ma poważne kłopoty finansowe. Ta szwajcarska instytucja pomaga ofiarom konfliktów zbrojnych, jest jedną z najbardziej zasłużonych organizacji humanitarnych na świecie, trzykrotnie uhonorowana ją pokojową Nagrodą Nobla. Właśnie obchodzi 160-lecie, ale rok jubileuszowy upływa pod znakiem bolesnych cięć. W kasie brakuje ponad 430 mln franków, tymczasem wydatki na 2023 r. zaplanowano na poziomie 2,84 mld. Zmusza to Komitet do zwolnienia co najmniej 1,8 tys. z 22,7 tys. pracowników oraz zamknięcia lub ograniczenia działalności dziesiątek z 350 przedstawicielstw terenowych. Komitet objaśnia, że odchudzenie kosztów pozwoli mu skupić się na niesieniu pomocy poszkodowanym w regionach ogarniętych wojną, a tych regularnie przybywa. Dekadę temu było 140 mln potrzebujących, teraz w wyniku konfliktów cierpi 200 mln więcej.

Czerwony Krzyż zmagają się z problemami, które dotyczą wszystkie instytucje pomocowe. Trudności, od pandemii po inflację, sprawiły, że deklarowane wpłaty są mniejsze, a koszty szybko rosną. Na dodatek wojna w Ukrainie przyciąga uwagę świata, ale równocześnie drenuje fundusze na działania w Afryce i Azji. Pewnym ratunkiem miałyby być doraźne wsparcie głównych darczyńców, w tym USA, Niemiec, Komisji Europejskiej i przede wszystkim Szwajcarii, której MKCK służy jako ważny instrument polityki zachowania neutralności.

Przy czym za kłopoty MKCK odpowiadać ma nie tylko zbieg najnowszych wydarzeń. Organizacja od lat jest krytykowana za styl funkcjonowania. 2,5 tys. pracowników, podpisanych pod listem otwartym do szefostwa Komitetu, napisało o rozczarowaniu poprzednim kierownictwem, jego przywództwem, gubieniem priorytetów, brakiem przewidywania i doprowadzeniem do „dryfu budżetowego”. Komitet miał paść ofiarą zarządzania w amerykańskim stylu, co objawiało się sięganiem po wysoko opłacanych doradców. Zarzuca mu się także ciągle rozszerzanie liczby zadań, niekoniecznie zbieżnych ze statutem i żądanie co roku coraz większych pieniędzy. Przekazywane kwoty długo rosły, ale mechanizm się zaciął.

Saudyjski golf

Federacja LIV do świata zawodowego golfa weszła razem z futryną. Zasilana przez niewyczerpane środki Saudyjskiego Funduszu Inwestycji Publicznych ledwie przed dwoma laty rzuciła wyzwanie federacji PGA, organizującej najbardziej prestiżowe turnieje golfowe. LIV kusiła uznane nazwiska wizją astronomicznych zarobków – rekordzista na liście płac, Amerykanin Dustin Johnson, za udział w 14 turniejach wycisnął 44 mln dol. Ale że nie wszyscy jednak dali się kupić, w świecie golfa zapanowała dwuwładza.

Reklamę LIV za oceanem robił Donald Trump, goszcząc saudyjskie imprezy na swoich polach golfowych – odbywały się one pod hasłem „Golf, ale głośniej”. Oglądalność turniejów była jednak słaba,

nie udało się przyciągnąć najlepszych zawodników. I nagle, w ubiegłym tygodniu, ogłoszono fuzję LIV i PGA – oficjalnie po to, by zakończyć podziały w golfowej rodzinie. Od tej pory saudyjski fundusz stał się największym inwestorem w zawodowy golf, co jest właściwie równoznaczne z rolą głównego decydenta.

Saudyjska ekspansja na zielone pola jest częścią strategii sportwashingu, czyli poprawy – dzięki gigantycznym inwestycjom w zawodowy sport – reputacji reżimu, zszarganej sponsorowaniem islamskiego terroryzmu, podsycaniem krwawej wojny w Jemenie, skrytobójstwami przeciwników politycznych, prześladowaniem mniejszości seksualnych. Jako sportowa pralnia Arabia Saudyjska staje się przystankiem gasnących futbolowych gwiazd (do Cristiano Ronaldo właśnie dołączył Karim Benzema), organizowane są tam wielkie gale bokserskie i grand prix Formuły 1. Kwestią czasu jest oficjalne zgłoszenie się przez Saudyjczyków do organizacji piłkarskiego mundialu w 2030 r.

Na siłę tamtejszych petrodolarów nie ma mocnych, ale golfowa fuzja wywołała za oceanem oburzenie. Przypomniano, że 15 z 19 zamachowców z 11 września było Saudyjczykami i istnieją dowody, że terrorystom pomagali pracownicy saudyjskiego rządu. Pojawiły się więc wezwania do bojkotu zawodów, co może być bolesne, bo trzy z czterech turniejów Wielkiego Szlema odbywają się w USA.



REKLAMA

WARSZAWSKI DOM AUKCYJNY
ZAPRASZA NA WYSTAWY

BEKSIŃSKI



KRAKÓW, ŚW TOMASZA 26

1 - 30 CZERWCA 2023

CZYNNE CODZIENNIE
11:00 - 18:00

WORKS
ON
PAPER



MARC CHAGALL

1 - 30 CZERWCA 2023

WTOREK - SOBOTA
GODZ. 11:00 - 18:00

WARSZAWA,
UL. WILCZA 69

Nogi do góry

AGATA SZCZERBIAK
ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

O

piątej nad ranem najwyraźniej nie chiano budzić konsultanta wojewódzkiego, podczas gdy Dorota Lalik w Podhalańskim Szpitalu Specjalistycznym im. Jana Pawła II traciła szansę na życie. Dwie dodatkowe godziny snu dla konsultanta, a u pacjentki stan krytyczny, potwierdzona przez anestezjologa ciężka kwasica metaboliczna, a mimo to zdecydowano się czekać. Kiedy przyszła decyzja, że można usunąć płód, ale już z zakażoną macicą, nie było kogo ratować.

– Ten telefon w mojej ocenie był absolutnie nieuzasadniony. Wykonano go, kiedy szanse na uratowanie życia pacjentki były prawdopodobnie minimalne, tu była potrzebna natychmiastowa operacja, do której przystąpiono dopiero po tej konsultacji – mówi Jolanta Budzowska, pełnomocniczka rodziny zmarłej w Nowym Targu. – Nie wiem, co się tam dokładnie wydarzyło, ale nie wyobrażam sobie, żebym miała zadzwonić do konsultanta wojewódzkiego, żeby wykonać aborcję – dodaje dr Gizela Jagielska, ginekolożka z Oleśnicy. Trafiają do niej kobiety z całego kraju, odsyłane ze szpitali takich jak ten w Nowym Targu, w którym nie wykonuje się aborcji. Poprzedniego dnia w gabinecie konsultowała 11 pacjentek, z czego pięć w sprawie zakończenia ciąży. Żadna z nich nie mieszka w województwie dolnośląskim.

Sytuacja sprzed trzech tygodni. Pacjentka w ciąży bliźniaczej, 19. tydzień. Wody odpłynęły, rosły parametry zapalne. Kobieta najpierw walczyła o utrzymanie ciąży, ale trzeciej doby, po otrzymaniu informacji, że rokowania są złe, zdecydowała się ją zakończyć.

Kolejna śmierć młodej kobiety w ciąży wywołała protesty, ale i efekt okołociążowej nerwicy. Polki i ich rodziny zaczynają się bać na zapas. Idą do szpitala z pełnomocnictwami dla prawników.

I tak się stało. Jeśli odejście wód płodowych jest spowodowane zakażeniem, uznaje się, że u połowy pacjentek dojdzie do poronienia w ciągu tygodnia. U reszty później. Tak wynika z badań i wiedzy medycznej. Tymczasem Dorocie z Nowego Targu przy bezwodziu dodatkowo kazano leżeć z nogami do góry. – To stara metoda stosowana w przypadku niewydolności szyjki macicy – tłumaczy prof. Marzena Dębska, położniczka i ginekolożka. – Już się tak nie robi, bo dowiedziono, że to nic nie daje. Kiedy odpływa płyn owodniowy – wręcz nie wolno. Płyn powinien jak najszybciej opuścić organizm matki, w przeciwnym razie w pochwie powstaje jeziorko z bakteriami. I wszystko to wpływa z powrotem do macicy.

Bezwodzie może też wystąpić w sytuacji, kiedy płód nie ma nerek. – Mieliliśmy taki poród cztery miesiące temu. Takie dzieci umierają w ciągu kilku pierwszych godzin – wyjaśnia Gizela Jagielska.

Polska życie miłująca

Kiedy formułowano zarzuty wobec szpitala i lekarzy z Nowego Targu, odnoszące się znowu, jak w przypadku Izabeli z Pszczyny, do postawy wyczekującej, narażającej na utratę życia i zdrowia, ignorowania rozwijającego się stanu zapalnego, odrzucenia możliwości indukcji poronienia, by zapobiec sepsie, w dwóch szpitalach w innej części kraju przeprowadzano właśnie interwencje. „Sądzę, że warto zanotować ten dzień, kiedy serwis informacyjny w ogólnopolskim radiu zaczyna podawać, ile tygodni temu kobiecie w Bydgoszczy odeszły wody płodowe. A wszystko dlatego, że my tu, w Polsce, miłujemy życie tak mocno jak Rosja pokój” – notowała na Facebooku pisarka Renata Lis, kiedy Roksa Kowalska, pacjentka bydgoskiego szpitala, zadzwoniła do TVN przerażona, bo nie chce być „drugą Dorotą”.

Kobieta, w 24. tygodniu ciąży, spędziła 21 dni na oddziale po odejściu wód płodowych. Badania wskazywały, że płód



jest nieodwracalnie uszkodzony genetycznie i ma nikłe szanse na przeżycie. Lekarze czekali, aż obumrze. „Boję się, że nasza historia też tak się zakończy. Bo jednak te myśli, no, samoistnie uciekają gdzieś w tę stronę. Zwłaszcza że w domu mam rocznego synka, do którego chcę wrócić”, mówiła w wywiadzie. Aborcję przeprowadzono nazajutrz w tym samym szpitalu. Pomogła Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny.

Federa tylko w maju przeprowadziła 45 interwencji w podobnych sytuacjach, gdy na szali było zdrowie i życie kobiet. I kilkaset konsultacji dotyczących komplikacji: ciąż z wadami, bezwodniem, złym traktowaniem na oddziale.

„W 2021 i 2022 r. załatwiłyśmy w szpitalach ok. 700 aborcji, a sprawozdanie z ustawy za ostatni rok stwierdza, że było ich 107. Są raportowane jako poronienia w toku, poronienia zatrzymane, krwotoki, jako sytuacje, które wymagają pilnej interwencji lekarskiej. Bo aborcja dla lekarzy jest powodem do wstydu” – mówiła w Sejmie podczas zebrania zespołu ds. praw reprodukcyjnych Antonina Lewandowska, działaczka fundacji.

Krystyna Kacpura: – *Miałyśmy niedawno sytuację, kiedy kobiecie odeszły wody, lekarze wypisali ją ze szpitala i kazali jej obserwować sytuację, siebie i płód. To się tak skończyło, że zadzwoniła do nas, odesłałyśmy ją z powrotem do szpitala. Wcześniej zadzwoniłyśmy do ginekologa, że kobieta ma olbrzymie bóle brzucha i jest w złym stanie psychicznym. W godzinę po tym, jak ją przyjęli, poroniła. Nie wiem, co by się działo, gdyby była sama z tym wszystkim.*

Paradoksalnie również Aborcyjny Dream Team, który powstał z myślą o ciążach niechcianych, dziś pilnuje przesłanki dopuszczającej aborcję w przypadku ciąż zagrożonych – zwykle chcianych. – *Problem został do nas niejako wyeksportowany* – komentuje Justyna Wydrzyńska z ADT (jedyna skazana za pomoc w aborcji). – *Ale mamy zasadę, że nikomu nie odmawiamy pomocy.*

Kobiety często teraz stają między młotem a kowadłem. Boją się podnieść alarm w szpitalu, nagłaśnić swoje sprawy, o cokolwiek choćby zapytać. – *To okropne, że pacjentki boją się, że personel medyczny je za to ukarze* – mówi Natalia Broniarczyk, która współtworzy ADT. – *Czasem nie trzeba nawet do nich jechać, wystarczy je wzmocnić, żeby odważyły się pytać, mówić, że są w kontakcie z aktywistkami, posłankami, prawniczkami. I wtedy nagle procedury miękną.*

W Łodzi Aborcyjny Dream Team pomógł niedawno Milenie – wody odeszły jej w 14. tygodniu ciąży, do szpitala trafiła w sobotę 3 czerwca. Poronienie było w toku, a lekarze podawali No-Spę i luteinę, środki, które je opóźniają. – *Wytłumaczyłyśmy Milenie, że jeśli chce je przyspieszyć, to dobrze by było, gdyby te leki odstawiła. Tak zrobiła. Ale w tajemnicy przed pielęgniarkami i lekarzami. Było akurat Boże Ciało, na oddziale pustki. Milena miała poczucie, że nie ma z kim porozmawiać i nikt się nią nie interesuje. – Nazajutrz powiedziała nam, że miała straszną noc, ataki duszności, nie mogła spać, zalewały ją fale gorąca i zimna na zmianę. Od pielęgniarki usłyszała: „Może się pani coś złego przyśniło”. Naszym zdaniem miała atak paniki* – opowiada Broniarczyk. – *Słyszałyśmy w jej głosie, że z każdym dniem jest coraz bardziej zdenerwowana, zasugerowałyśmy, żeby wyprosiła USG, bo zakładałyśmy, że płód już obumarł.*

Płód rzeczywiście obumarł. Milena dostała dwie tabletki Mizoprostolu, który wywołuje skurcze macicy i jest zwyczajowo podawany

w trakcie poronień. Potem kazano jej leżeć. – *Według wytycznych WHO dobrze jest podać cztery tabletki i się ruszać. To trochę jak przy porodzie: pozycja leżąca spowolnia cały proces. Mówiłyśmy Milenie: wstawaj, jeśli masz siłę, pochodź chociaż po sali. Znowu musiała wybierać, komu wierzyć* – mówi Broniarczyk. Dodatkowo dawki Mizoprostolu nie udało się wyprosić, skończyło się łyżeczkowaniem, po czym wzrósł poziom CRP. Milena obawiała się, że ma sepsę, ale Aborcyjny Dream Team uspokajał: to normalne po łyżeczkowaniu, w zasadzie już powinna wracać do domu, do sześciolatniego syna. Znów: lekarze stwierdzili, że skoro rośnie CRP, to ma zostać kolejne trzy dni w szpitalu. – *Miałyśmy poczucie, że toczymy walkę z personelem medycznym. Nawet nie o życie kobiety, ale o jej dobrostan* – mówi Broniarczyk.

Od czasu orzeczenia Trybunału Julii Przyłębskiej ADT pomógł 100 tys. osób.

Boją się na zaś

Dziś takie historie są nagłaśniane błyskawicznie i ma to dwojaka skutki. Polki przechodzą przyspieszony kurs „bycia świadomą pacjentką”, a z drugiej strony dzieje się coś, co można by nazwać nerwicą ciążową. Kobiety, ale nie tylko one, bo także ich rodziny, boją się na zapas. – *Codziennie odbieramy telefony od osób, które często nawet nie mają powodów do obaw, ale boją się na zaś* – mówi Natalia Broniarczyk. – *Pytają nas, jakie mają opcje, jeśli coś się zadzieje. Są w trzecim albo czwartym miesiącu ciąży i chcą wiedzieć, co robić.* Krystyna Kacpura: – *Najwięcej telefonów było po nagłośnieniu sprawy pani Doroty. Kobiety śledzą teraz uważnie, co się dzieje w szpitalach w zakresie ich praw i zwyczajnie z powodu ogromnego lęku o swoje zdrowie i życie. One szukają ratunku, nawet nie będąc w sytuacji zagrożenia.* Kacpurę najbardziej zdziwiły telefony od mężczyzn, którzy pytali, czy można do fundacji dzwonić w nocy, co robić, kiedy partnerka w szpitalu źle się poczuje, a lekarze każą jej czekać, czy można wystawić pełnomocnictwo dla adwokatkę, bo oni „nie wierzą, że lekarze powiedzą całą prawdę”.

Prawniczki Federy wystawiły takie pełnomocnictwa – w krytycznej sytuacji prawniczka ma prawo rozmawiać z lekarzami, mieć wgląd do dokumentacji medycznej i reprezentować pacjentkę przed personelem – w co najmniej kilkunastu przypadkach to one uratowały zdrowie i życie kobiety. Szpitale stają na baczność na sam widok takich dokumentów. Dwie godziny później już woła się pacjentkę na salę.

Owa „nerwica” czasem w ogóle do ciąży zniechęca. Były takie transparenty na protestach: „Zajdę w ciążę w październiku”, po wyborach. – *Od dłuższego czasu obserwuję, że kobiety boją się zachodzić w ciążę, zmieniają swoje plany reprodukcyjne, odkładają macierzyństwo na później. Widać to po spadku liczby porodów* – dodaje prof. Marzena Dębska. – *Pacjentki coraz częściej pytają, czy mogą jeszcze poczekać z zajściem w ciążę. Wczoraj była u mnie Ukrainka z mężem, chcą mieć dziecko, ale po wojnie – i to jest zrozumiałe. Polki chcą czekać na okres „po obowiązywaniu ustawy”. Demografka prof. Irena Kotowska przewiduje, że pogarszająca się atmosfera z pewnością wpłynie na wybory młodych Polek: – Wyraźnie spadł w porównaniu z badaniami z 2017 r. odsetek kobiet w wieku 25–29 lat planujących potomstwo. Obawiam się jednak, że także kobiety w kolejnych grupach wiekowych istotnych dla prokreacji mogą się wycofać ze swych planów.* ▶

► „Nie zabijajcie nas!” – krzyczano do lekarzy w czasie protestów zorganizowanych w ok. 70 miastach po śmierci Doroty. – *Chciałam iść na demonstrację, ale dotarło do mnie, że ludzie skandują hasła przeciwko lekarzom. Jestem tym zdruzgotana, bo uważam, że my tak samo jesteśmy ofiarami obowiązującego prawa* – mówi otwarcie prof. Dębska. Środowisko lekarskie nie pomogło sobie, wydając naprędce oświadczenia. Polskie Towarzystwo Ginekologów i Położników w opublikowanym stanowisku skupia się głównie na „nagonce medialnej” i nawet wśród medyków wywołuje konfuzję, uznawane za aroganckie i asekuranckie. – *Ja tu nie odnajduję mojego stanowiska. Nie chciałabym się od niego całkowicie odcinać, ale w tym momencie to nie reprezentuje tego, co chciałabym powiedzieć. W tym stanowisku jest tylko „my”: „my lekarze”, „my nie możemy”, „my to, my tamto”. Tu nie ma miejsca na kobietę, pacjentkę* – mówi dr Gizela Jagielska. – *Widzę tu łęk przed utratą pozycji zawodowej lekarza ginekologa* – komentuje Krystyna Kacpura. Prof. Dębska: – *Zabrakło empatii.*

Długo milczała Naczelną Izba Lekarska, a zareagowała po słowach posłanki Katarzyny Kotuli („Prześcianić nas zabijać”) z żądaniem „zaprzestania szkalowania dobrego imienia lekarzy”. Konsultant krajowy ds. położnictwa i ginekologii prof. Krzysztof Czajkowski na posiedzeniu komisji ds. reprodukcyjnych, m.in. z udziałem aktywistek Aborcyjnego Dream Teamu, powiedział, że „omawianie konkretnych przypadków nie jest twórcze”. I on się do nich nie będzie odnosił. – *Ja się z tym nie zgadzam* – mówi mec. Jolanta Budzowska, specjalistka od błędów medycznych. – *Tzw. jednostkowa sprawa to konkretna kobieta, konkretna rodzina, konkretna tragedia. Jeśli nie będziemy wyciągać wniosków z takich konkretów, to możemy stracić z pola widzenia to, co najważniejsze, czyli człowieka.*

#MeToo

Na od lat napiętej linii ginekologdy–kobiety tak źle jeszcze nie było. Władza PiS zacierą pewnie ręce, bo przy kolejnych tragediach i na demonstracjach mniej się już mówi o szkodliwym prawie usankcjonowanym przez Trybunał Przyłębskiej, a więcej o zaniechaniach lekarzy. Ustawa jest jednak grzechem pierworodnym, a medycy nie umieją się w tej rzeczywistości odnaleźć. – *To prawda, że gniew kobiet zaczął zwracać się w kierunku lekarzy, bardziej uchwytnych niż politycy partii rządzącej, którzy uchwalili drażniące prawo i nic sobie nie robią z tego, co się dzieje* – mówi prof. Dębska.

Medycy w swojej masie obawiają się rzecz jasna prokuratury. Dlatego jeszcze jednym pokłosiem ustawy antyaborcyjnej jest malejące zainteresowanie specjalizacją ginekologiczno-położniczą. Ma opinię trudnej, stresującej, politycznej, obciążonej ryzykiem. – *Coraz mniej lekarzy chce wybierać specjalizację ginekologiczną, a ci, którzy już ją mają, nie chcą dyżurować* – mówi prof. Dębska. Bo może się zdarzyć, że trzeba będzie zdecydować o przerwaniu ciąży. Lekarze boją się być lekarzami. Nie wiedzą, czym się kierować, bo wciąż wychodzą jakieś opinie, dziwne zalecenia różnych konsultantów. Potem ich potem szukają: gdzie zostały opublikowane? Czy wciąż obowiązują? Dochodzi do tego, że wszyscy są ze sobą skłócen. Lekarze tracą zaufanie do pacjentek, pacjentki do lekarzy.

Tylko że ten strach przed sądem zbliża nas niebezpiecznie do zakazu aborcji, jak mówiła w trakcie środowych protestów Marta Lempart. „Na naszych oczach rozpada się narracja o ginekologach położnikach, którzy chcieliby ratować kobiety w ciąży potrzebujące aborcji, ale nie mogą”. Bo nadinterpretują i tak restrykcyjne prawo. Stosują klauzulę sumienia w przypadku zagrożenia zdrowia. Wybierają sobie papieża Polaka na patrona. Jak słyszymy, szpital w Nowym Targu (im. Jana Pawła II) jest rządzony

twardą ręką. Nie on jeden, polski system ochrony zdrowia jest silnie zhierarchizowany, podporządkowany dyrektorom i ordynatorom. – *To nie jest oczywiście wyłącznie wina lekarzy* – mówi Justyna Wydrzyńska. – *Mieszkam w małym mieście, a sama czasem zapominam, jak tu wybrano dyrektora szpitala – człowiek nie zna się na zarządzaniu, ale jest kolegą starosty. Starosta jest z PiS, więc nie można się ludzić, że w powiatowym szpitalu będą przeprowadzane aborcje, zakładane wkładki domaciczne na NFZ i wykonywane inne świadczenia tzw. reprodukcyjne. Będzie za to za wszelką cenę podtrzymywana ciąża. Chcemy czy nie, aborcja stała się tematem politycznym.*

Jan Paweł II patronuje tymczasem kilkudziesięciu placówkom, oddziałom, sanatoriom, centrom krwiodawstwa i rehabilitacji, przychodniom i szpitalom w Polsce, krakowski nawet osobiście odwiedził i poświęcił w latach 90. Czy dla pacjenta ma to jakieś znaczenie? Nie powinno mieć.

„Gazeta Wyborcza”, powołując się na dane NFZ, ujawniła, że w nowotarskim szpitalu przez ostatnie sześć lat nie przeprowadzono żadnej aborcji. W kuluarach mówi się, że zasadniczo od 2005 r. – bo odtąd rządzi szpitalem dyrektorzy z politycznego klucza. Od wyroku TK dane oficjalne i pochodzące od organizacji pozarządowych rozchodzą się jeszcze bardziej. Gizela Jagielska mówi otwarcie: – *To jest prawo, zgodnie z którym legalnie możemy przerwać ciążę. To jest prawo, które nie zabrania nam przerywania ciąży w momencie zagrożenia zdrowia czy życia kobiety, i które nie wymaga od nas udowodnienia, że to zagrożenie jest bezpośrednie.* I dodaje: – *W obecnej sytuacji nadal możemy dużo kobietom zaoferować, i to jest kwestia interpretacji. Przerywając ciążę, nie czuję, że robię coś poza prawem albo je naginam. Nie miałam nigdy prawnych kłopotów po przerwaniu ciąży. Jedyne „kłopoty”, które mnie dotyczą, to że jesteśmy na celowniku organizacji prolife.*

Minister Niedzielski właśnie powołał zespół złożony z 13 ekspertów, który ma uściślić wytyczne w sprawie terminacji ciąży (sami profesorowie i ludzie powiązani z resortem). W sieci skwitowano dosadnie i stanowczo: „Mamy już dość waszego pierdololo”.

Z osobna i „za zamkniętymi drzwiami” Polskie Towarzystwo Ginekologiczne tworzy instrukcje dotyczące postępowania w sytuacji odpływania wód owodniowych. Tylko że rekomendacje, jak postępować w przypadku bezwodzicia, już raz wydano – po śmierci Izabeli z Pszczyny. – *Wygląda to wszystko źle, ale uspokaja mnie to, co dało się zaobserwować w latach 60., 70., a nawet 80. w Wielkiej Brytanii, we Francji, Włoszech* – mówi Natalia Broniarczyk. – *Początki zawsze wyglądały tak, jakby nic z tych protestów miało nie być. Koniec końców udało się wypracować lepszy standard i rosła pozycja negocjacyjna kobiet. Nie możemy teraz odpuścić, za dużo nas umarło, a nie musiało.*

Kto rozniecił pożar

Z protestów po śmierci Doroty Lalik zostanie z nami wiele zdjęć, w tym kilka przejmujących, na których nastolatki w krótkich spodenkach, oblane sztuczną krwią, stoją z hasłami „Mamo, boję się zająć w ciążę”. Ale ile kobiet musiałyby wyjść na ulice, by jakaś realna zmiana w szpitalnych procedurach rzeczywiście nastąpiła? Na razie wyszło najwyraźniej za mało, skoro dzień po protestach i na cztery miesiące przed wyborami Jarosław Kaczyński uznał, że „sprawy Doroty z Nowego Targu nie ma, ona jest wymyślona przez propagandę, to jest część tej urojonej rzeczywistości”.

Jednocześnie obranie sobie lekarzy za wrogów – choć stało się to z konkretnych i rozumiałych powodów – też władzy służy. To takie wygodne: wznieść pożar, a potem usiąść w fotelu i patrzeć, jak Polska płonie. By na końcu stwierdzić, że to urojenia.

AGATA SZCZERBIAK, ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Cała rozmowa z mec. Jolantą Budzowską o błędach medycznych ginekologów na Polityka.pl.

TUTAJ PRZETRWAJĄ TYLKO NAJLEPSI

EPIX™ PRO
EKRAŃ AMOLED



FĒNIX® 7 PRO
ŁADOWANIE SOLARNE

NIEZAWODNE I WYDAJNE SMARTWATCHE DLA AKTYWNYCH
TERAZ DOSTĘPNE W TRZECH ROZMIARACH

GARMIN.

Kręta trzecia droga

W czasie, kiedy partia Donalda Tuska zyskuje poparcie, Trzecia Droga je traci, przez co bilans całej opozycji wciąż nie jest korzystny. Co więc zamierzają Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz?

RAFAŁ KALUKIN

Po zakończeniu plenerowej konferencji prasowej nieopodal targowiska w Żyrardowie Szymon Hołownia podszedł przywitać się z grupką ciekawskich. Kobieta z torbą na zakupy nie okazała się jednak życzliwa. – Dopiero za PiS ludziom zaczęło się lepiej żyć, a wy znów wszystko nam pozabieracie, jeszcze wyprzedacie Ruskim i Niemcom. Szef Polski 2050 cierpliwie starał się tłumaczyć, że niczego nie zamierza odbierać, ale od razu widać było, że starsza pani wie swoje i nie przyszła tutaj po to, żeby się do czegoś przekonywać. – A poza tym jesteście za młodzi – zadała decydujący sztych. – Ależ proszę pani, ja mam 47 lat! – odparł polityk.

Stojący obok pan w sile wieku z rowerem najwyraźniej też poruszał się po głównych szlakach i nie w głowie mu były trzecie. – Ale was Tusk upokorzył, kiedy nie dał przemówić na marszu – oznajmił z nieukrywaną nutą satysfakcji. Na co Hołownia natychmiast odparował, że jego szczęście nie zależy od Tuska. Kolejne pytanie: – A dlaczego nie chcecie iść w jednym bloku? Odpowiedź: – Bo to przepis na lawinowy wzrost Konfederacji. Mężczyzna nie wydawał się jednak przekonany i do końca zachowywał sceptycyzm.

Ale – jak widać – trudno każdemu dogodzić. A jeszcze trudniej przekonać do produktu innowacyjnego i wyrastającego poza znane wcześniej schematy. Do tego stopnia, że już w samym ruchu Hołowni pojawiają się oznaki dezorientacji.

Między Tuskiem a Kaczyńskim

Zaimprovizowany wypad do Żyrardowa z czwartku miał przede wszystkim pokazywać wrażliwość Trzeciej Drogi na los drobnych przedsiębiorców, kupców i rolników. Konfederacja w wystąpieniach Hołowni pojawiała się zresztą nieprzypadkowo, skoro to właśnie ona



ILUSTRACJA AGATA ROJEK

najsukuteczniej się teraz komunikuje z grupami pracujących na własny rachunek. Zachęciło to teraz Hołownię i Kosiniaka-Kamysza do skierowania się na podobne wody, chociaż z dużo bardziej umiarkowanym przekazem, pozbawionym korwinistycznej przesady. Spacerując po miejskim targowisku, ucinali sobie pogawędkę ze sprzedawcami, a następnie zreferowali ich przebieg przed kamerami, krytykując rządzących za wszechobecną drożyznę, wysokie daniny i biurokratyczne bariery dla przedsiębiorczości. Pomarańczowo-zieloni obiecują po wyborach cofnąć skutki podwyżki składki zdrowotnej z Polskiego Ładu oraz ściągać VAT tylko od zapłaconej już faktury.

Nie jest to z ich strony nagły zwrot przez rufę, szczególnie ludowcom takie tematy od zawsze są bliskie. Bardziej chodzi o dostrojenie potencjometrów, zwrócenie na siebie uwagi w nowym kontekście. Bo też czas najwyższy, żeby podduszone polaryzacją ugrupowanie znalazło sobie wreszcie alternatywny dopływ tlenu. Z głównej areny jest od jakiegoś czasu sukcesywnie wypychane przez Platformę Donalda Tuska, któremu coraz sprawniej udaje się sprowadzać nadchodzące wybory do poziomu rewolwerowego pojedynku z Jarosławem Kaczyńskim. Tylko że złota epoka westernów już dawno minęła – zdają się oponować Hołownia z Kosiniakiem – tymczasem nowa widowia, szczególnie jej młodsza część, domaga się czegoś zupełnie innego. I to przede wszystkim do niej adresowana będzie teraz oferta Trzeciej Drogi. Już w najbliższy weekend będzie o tym mowa na kongresie programowym w Grodzisku Mazowieckim.

Kalkulacja opiera się na przekonaniu, że popyt na jakąś trzecią drogę jest w polskiej polityce stałą zmienną. Choćby polaryzacja poprzez media dusiła wszystkich średniaków i małuchów, zawsze pozostanie sporo miejsca na odmienną emocję. Trzeba ją tylko wychwycić, trafnie opisać, wiarygodnie odpowiedzieć. Do niedawna najlepiej się to udawało właśnie Hołowni, który w roli politycznego świeżaka wytrwał bardzo długo jak na polską politykę, bo ponad dwa lata. Był jednak co najwyżej sprawnym narratorem, który z facebookowej trybuny tłumaczył swoim zwolennikom świat. Aż dopadła go prawdziwa polityka i kiedy przyszło mu wreszcie podejmować realne decyzje, mocno się pogubił. A życie nie znosi próżni i kiedy Hołownia borykał się z Tuskiem na wewnątrzopozycyjnym froncie, w ekspresowym tempie wyrabiała sobie papiery tego trzeciego niedoceniana

wcześniej Konfederacja. Podobnie zresztą jak sama Polska 2050 na wcześniejszym etapie wciąż jeszcze korzystająca z efektu oddalenia i bardziej komentująca politykę niż aktywnie w niej uczestnicząca. Ale to procentuje, gdyż wiele wskazuje, że Konfederacja ostatnio przejmuje przede wszystkim wyborców prodemokratycznej opozycji, szczególnie PO i Polski 2050.

Z tej perspektywy wolnorynkowy obrót koalicji PSL i Polski 2050 wydaje się uzasadniony. Chodzi przede wszystkim o odzyskanie świeżo utraconych wyborców, których zniechęciły zapasy z Tuskiem i kłótnia o wspólną listę. Otoczenie Hołowni ma nadzieję, że nie podjęli oni ostatecznych decyzji i na razie ciągle jeszcze „Konfę” testują. W dalszej fazie kampanii lider Polski 2050 ma z kolei zwrócić się do swoich wyborców z kampanii prezydenckiej, którzy później się rozczarowali projektem i rozpierchli. Według sztabowców to aż 1,5 mln potencjalnych głosów, w których odzyskaniu ma pomóc właśnie szykowana „strategia reklamacyjna”. Spora część pewnie już od dawna znajduje się poza zasięgiem, szczególnie wracający do PO wyborcy zorientowani najbardziej antypisowsko. Ale też w ogólnym bilansie najcenniejsze będzie poparcie grup obecnie zdemobilizowanych, bo tylko one realnie poszerzą wspólny zbiór opozycji.

Między antyPiSem i antyPO-PiSem

Konfederaci mogą ignorować główną oś konfliktu, atakując raz jedną stronę, raz drugą, a najlepiej obie naraz. Hołownia i PSL nigdy jednak nie mieli takiego komfortu, bo chociaż ich wyborcy najczęściej także są „antyduopolowi”, to mimo wszystko jednak trochę bardziej na antypisowską modłę niż antyplatformerską. A kiedy PiS pójdzie naprawdę po bandzie, to nawet bardziej niż trochę. Problem w tym, że tego rodzaju nastroje rzadko kiedy układają się we wspólny wzór, zresztą elektoraty Hołowni i PSL same w sobie są odmiennie, nawet jeśli łączy je sceptycyzm wobec Platformy Tuska. O ile jednak zwolennik Hołowni częściej pewnie przyjmuje perspektywę pokoleniową albo kieruje się względami estetycznymi, o tyle wyborca PSL bardziej kieruje się orientacją kulturową, może też interesem klasowym. Podobnie jest ze stosunkiem obu tych grup do PiS.

To nie ułatwia obu liderom politycznej nawigacji, gdyż nigdy nie wiedzą do końca, kiedy lepiej wtopić się w opozycyjny

szereg i podkręcić krytykę PiS, a kiedy podkreślać odrębność od głównego nurtu opozycji. Problem tym większy, że mają obok/naprzeciwko siebie dużo silniejszego i politycznie sprawniejszego Tuska, który bez pardonowo potrafi rozegrać każdy taki dylemat. Jak nie wspólną listą, to wielkim marszem 4 czerwca, ale zawsze z takim samym efektem. Szczególnie zaś na tym traci Hołownia, który – w odróżnieniu od partnera z zieloną koniczynką w klapie – ma skłonność do hazardowych rozgrywek i nie potrafi trzymać języka na wodzy.

Z perspektywy czasu trudno nie zauważyć, że wszystkie jego problemy zaczęły się od styczniowego głosowania nad ustawą o Sądzie Najwyższym, która miała odblokować pieniądze z KPO. Wyłała się wtedy z opozycyjnego frontu, zupełnie ignorując dominujące wtedy w opozycyjnych elektoratach oczekiwanie jedności i współpracy wszystkich demokratycznych sił. Znalazł się wtedy na silnym kursie kolizyjnym z Platformą i jej sympatykami. W efekcie Hołownia zaczął mocno tracić w sondażach, co w końcu skłoniło go do podjęcia współpracy z PSL. Wcześniej miesiącami zwlekał z tą decyzją, chociaż leżała od dawna na stole. I chyba przegapił optymalny moment, kiedy można było taki sojusz zaprezentować jako nową jakość wynikającą ze skrzyżowania dwóch niezależnych od siebie potencjałów. W fazie spadkowej to już bardziej przypominało zawarte pod sondażowym przymusem małżeństwo z rozsądku, z cieniutką warstwą kampanijnego kleju. Kiedy zresztą Hołownia i Kosiniak-Kamysz po raz pierwszy stanęli obok siebie na wspólnej scenie, nawet nie mieli spójnej opowieści o zaletach ich związku. Najczęściej jeden zagadywał drugiego albo wręcz wzajemnie sobie zaprzeczali.

A potem był marsz 4 czerwca i znów bardziej pogubił się Hołownia, który nie czekając na rozwój zdarzeń, bez sensu wypalił, żeby „odpuścić sobie ten marsz”. Gdyby nie podpis prezydenta Dudy pod lex Tusk, ciężko byłoby mu później zmienić decyzję, chociaż nieobecność w takim wydarzeniu kosztowałaby jego formację jeszcze więcej. Ostatecznie obaj z Kosiniakiem pomaszerali ulicami stolicy, chociaż połowicznie, bo bez przemawiania. Późniejsze ich tłumaczenia o utknięciu w tłumie być może nawet były prawdziwe, chociaż w ustach liderów politycznych zabrzmiały niepoważnie i nietrudno było Tusкови złośliwie je spostonować. ►

► Zresztą Tuskowi fani w mediach społecznościowych już od dawna nie oszczędzali Hołowni, insynuując mu nawet ciche układy z Kaczyńskim. Styk PO z Trzecią Drogą zrobił się istic wybuchowy, co przy gęstniejącej polaryzacji powinno raczej skłaniać pomarańczowo-zielonych do taktycznego przyzyczenia się i przeczekania niesprzyjającego nastroju. Przynajmniej do początku wakacji, co w polityce zazwyczaj oznacza pauzę i wygaszenie emocji. Tym bardziej że koronny argument Hołowni i Kosinia-ka, że bez dwucyfrowego wyniku Trzeciej Drogi nie ma szans na większość sejmową dla obecnej opozycji, pozostaje przecież aktualny. Ewentualne wtłoczenie Polski 2050 i PSL na wspólne listy grozi z kolei demobilizacją jakiejś części wyborców, a już zejście pod próg przy samodzielnym starcie to droga do katastrofy.

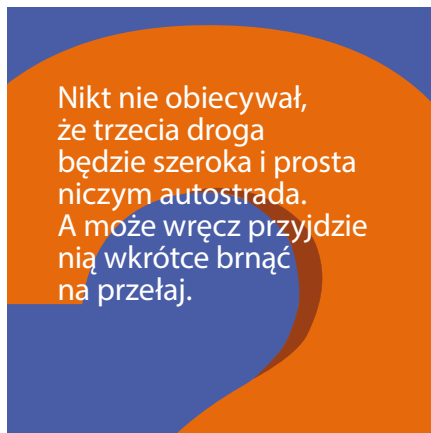
Ale Trzecia Droga nie zamierzała się przyzyczać. Zamiast tego ogłosiła konsultacje swojego projektu ustawy edukacyjnej, zapraszając wszystkie siły, nie wyłączając PiS i Konfederacji. Co w pierwszej chwili zakrawało wręcz na prowokację. Chociaż jeszcze parę miesięcy temu pewnie mało kogo by to oburzyło, zresztą to nie pierwsza tego rodzaju inicjatywa Hołowni. Problem w tym, że konsensualny charakter jego ruchu przestał być czytelny w oczach niejednego opozycyjnego wyborcy. W jakimś sensie stał się wręcz wywrotowy, zanadto ostentacyjny, trochę podejrany. Kolejny raz zawiódł więc „trzecioprożnych” słuch społeczny, nawet jeśli zasadniczo takie tematy jak edukacja warto byłoby wreszcie wydobyć spod logiki wojny politycznej. Tylko cóż z tego, skoro wojna właśnie się toczy, a nawet wchodzi w swoją najbardziej gorącą fazę i wokół śmigają kule? Kto się wystawi, ten pierwszy oberwie.

Między idealizmem a pragmatyzmem

Wciąż nieokrępe środowisko Hołowni pozostaje dosyć zagadkowym konglomeratem rozmaitych postaw. Od szlachetnej emocji obywatelskiej, która szuka spełnienia w realnej polityce, po wszechobecny w strukturach budowanego od podstaw ruchu oportunizm. Ludzie z otoczenia Hołowni co prawda zapewniają, że odrobili lekcję Palikota i Kukiza, ustanawiając skuteczne mechanizmy kontroli osób napływających do ruchu. Towarzyszą temu deklaracje, że na listach znajdą się wyłącznie sprawdzone osoby, których PiS w razie czego nie zdoła złamać ani przepukić.

Tyle że trudno o pewność, czy to aby nie jest robienie dobrej miny do złej gry albo wręcz zagłuszanie własnych obaw. O kadrach Hołowni skądinąd publicznie wiadomo zaskakująco niewiele, a jeśli się dobrze rozejrzeć, można tam znaleźć choćby byłego naczelnego wydawanej przez SKOK gazety. I to na stanowisku szefa koła w jednym z większych polskich miast.

Ale podobna sprzeczność odbija się w decyzjach samego Hołowni. Oczywiście już od dawna nie jest idealistą z czasów, kiedy wbił się na scenę i chyba szczerze uważał, że dobre intencje są wystarczającą przepustką do sprawowania władzy. W pogadankach dla fanów nieustannie zresztą lamentuje nad deprawacją swojej politycznej konkurencji oraz dziennikarzy, że interesują się jedynie gramami politycznymi, ignorując realne społeczne problemy, ową prawdziwą treść polityki. I pewnie ma wiele racji, być może zresztą jego oburzenie jest szczerze. Co nie zmienia faktu, że sam siedzi w tych grach po uszy i niekiedy nawet rozkoszował. Zarazem bywa w tej sztuce zaskakująco



czasem niezdarne, tak jakby nie umiał przewidywać najprostszych konsekwencji swoich decyzji bądź wypowiedzi. Jego wyborca byłby pewnie skołowany, gdyby sobie przypomniał antypisowski pryncypializm Hołowni z czasów głosowania ustawy o Sądzie Najwyższym, a zaraz potem posłuchał nieprzekonujących wyjaśnień o pożytkach omawiania z wysłannikiem ministra Czarnka projektu ustawy, która nie zostanie nawet poddana pod głosowanie.

Co w takim razie powiedzieć o konstrukcji Trzeciej Drogi? Ta krzyżówka od początku wydawała się karkołomna, chociaż obaj liderzy akurat wizerunkowo całkiem do siebie pasują. Ale pod

spodem już niekoniecznie; z jednej strony Polska 2050, czyli formacja młoda, pozabawiona zakorzenienia, ciągle jeszcze połączenie partii i ruchu społecznego, a z drugiej PSL, czyli *crème de la crème* sceny partyjnej, ugrupowanie najgłębiej osadzone w terenie, oparte w znacznej mierze na zasadzie pokoleniowej reprodukcji. U Hołowni ludzie nowi i szerzej nieznanani, u ludowców – wtopieni w swoje lokalne tkanki, sieci zależności, układy. Wzorów ideowych w ogóle nie warto próbować układać, nawet podział na politykę starą i nową – do niedawna lansowany przez lidera Polski 2050 – także już się pozycierał. Coraz częściej się zresztą mówi, że jeśli sondaże spadną poniżej koalicyjnego progu, zawsze będzie można obniżyć próg do normalnych 5 proc. poprzez wystawienie wspólnych list w formule komitetu partyjnego. I nie ulega wątpliwości, że byłyby to wówczas listy PSL, chociaż jeszcze rok temu to ludowcy zabiegali u Hołowni o wspólny start, podczas gdy ten wiecznie grymasił. Chociaż o komitecie partyjnym częściej mówią dziś ludowcy, w otoczeniu Hołowni to raczej temat tabu.

I trudno się dziwić, gdyż byłyby to niemalże polityczna kapitulacja. Przynajmniej z perspektywy założycielskich ambicji ruchu. Chociaż postępujący minimalizm mimo wszystko daje się zauważyć. Hołownia coraz rzadziej próbuje się legitymizować obietnicą wielkiej pokoleniowej zmiany, coraz częściej za to uzasadnia swoją rację bytu na scenie wyborczą pragmatyką. Czyli żeby utrzymać jak najwięcej wyborców w opozycyjnym zaspocie, powstrzymać Konfederację, nie dać się ordynacji D'Hondta. Zresztą w takim skróceniu perspektywy nie ma oczywiście niczego złego, pokiereszowanemu politykowi z niemałym ego szczypta pokory wręcz nie zaszkodzi.

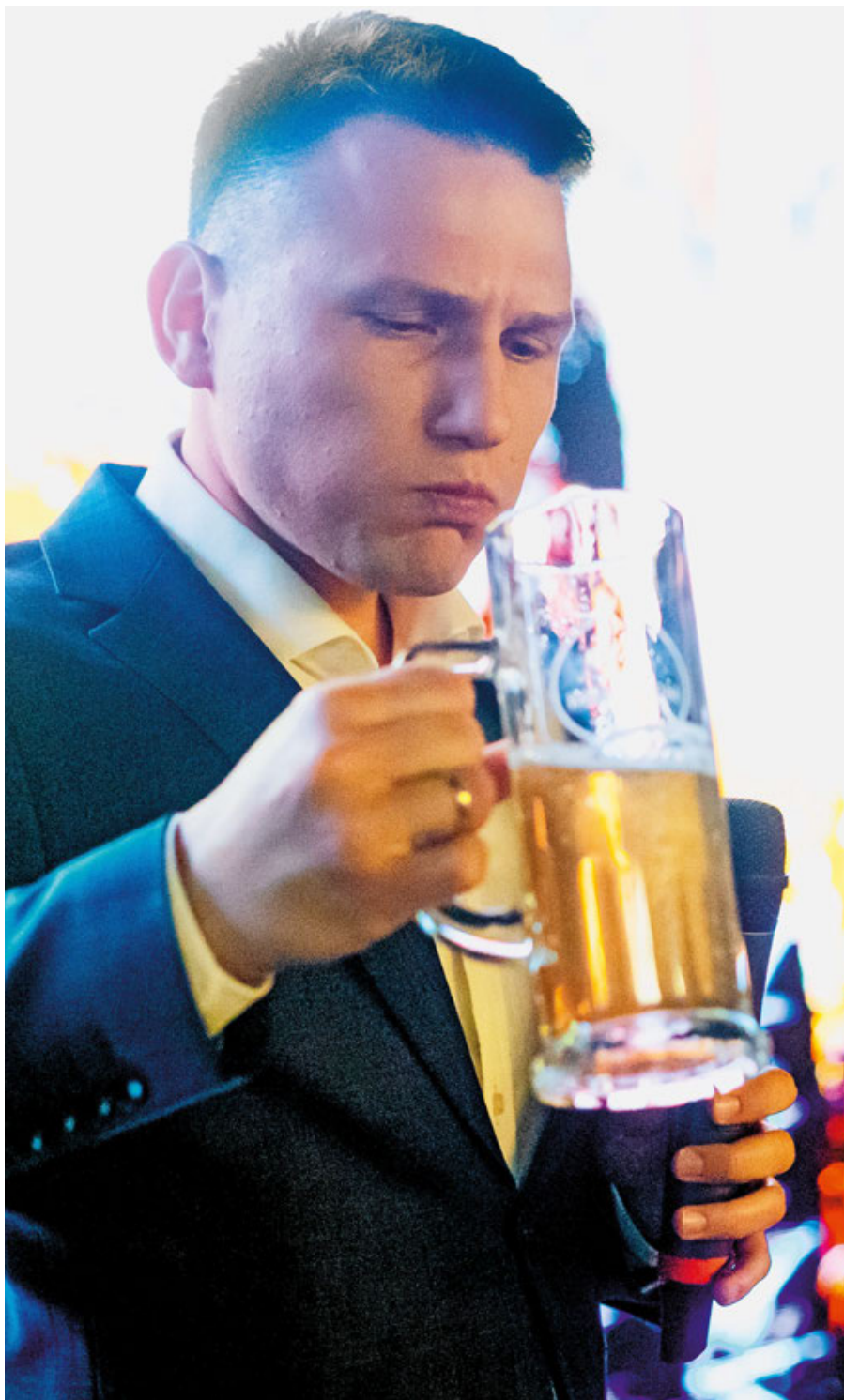
A przy tym do końca nie wiadomo, czy to tylko z jego strony wycofanie taktyczne, czy też Szymon Hołownia naprawdę zaczął już wygaszać swoje misjonarskie zapędy. I co o tym sądzą jego sympatycy, którym misyjność tej kreacji bynajmniej przecież nie przeszkadzała? Zarówno ci dawniejsi, o których znów chciałby zabiegać, jak i coraz bardziej topniejący zaspocie pozostających w szyku, których bez względu na wszystko trzeba dalej utrzymywać. Niełatwo będzie Trzeciej Drodze to wszystko poukładać, chociaż nikt przecież nie obiecywał, że trzecia droga będzie szeroka i prosta niczym autostrada. A może wręcz przyjdzie nią wkrótce brnąć na przełaj.

RAFAŁ KALUKIN

NORBERT FRĄCZAK

Bania u Mentzena

Sławomir Mentzen, główna twarz Konfederacji, uprawia politykę jak z memów. Wielu ludziom, głównie tym młodym, bardzo się to podoba.



Mentzenowi nie można odmówić jednego: jest najlepszym stand-uperem spośród polityków. Bo tym w istocie są jego spotkania z sympatykami, organizowane pod nazwą „Piwo z Mentzenem 2023” – wystąpieniami komicznymi na tematy polityczne. „Inflacja”, „Mowa nienawiści”, „Polska wolność”, „Ulga” – mogłyby być głównymi tematami tych wystąpień, ale to nazwy piwa z jego browaru, sprzedawane uczestnikom po 15 zł za butelkę. Lider Nowej Nadziei wołał skupić się na „oranii” lewactwa i dziennikarzy punktujących jego działania, zrównywaniu PiS z PO (pracowy symetryzm) i usprawiedliwianiu swoich wcześniejszych postulatów. Oraz liczeniu opróżnionych przez siebie kufli. Reporter POLITYKI wybrał się do Bielska-Białej w piątek 16 czerwca na „Piwo z Mentzenem”. Oto, co zobaczył.

Pan Sławek

Przedstawienie zaplanowano na godz. 18 w modnym klubie na pl. Adama Mickiewicza w centrum miasta. A dokładnie to przed klubem, bo w ubiegłym roku Mentzen także organizował tu spotkanie i w środku zabrakło miejsc. Wygląda to tak: wieszcz spoglądający z cokołu, rzeka Biała, kasztanowce i kilkanaście drewnianych ławek ustawionych przed lokalem w oczekiwaniu na pierwszych zainteresowanych.

Ci przybywają o godz. 16, dwie godziny przed rozpoczęciem. Niespełna godzinę później niemal wszystkie ławki były zajęte i trzeba było dostawiać rozkładane krzesła. Kolejni goście musieli się zadowolić miejscami stojącymi. Publika dość jednorodna: młodzi mężczyźni, większość ledwie pełnoletnia (niektórzy nie): krótkie spodnie, tiszerty, uśmiechnięte twarze. Trochę starszych – 30, rzadziej 40 plus. Ktoś w koszulce z koroną (logo partii KORWiN), ktoś inny w granatowym garniturze, na podobieństwo mówcy. Są też kobiety (mniej niż 10 proc.). – *PO miała już swoją chwilę, PiS też, czas na coś nowego. W Polsce potrzeba zmiany, a jedynym, który może ją zapewnić, jest pan Sławek* – uważa Marcin, student pierwszego roku informatyki. W Mentzenie imponuje ►

► mu, że jest przedsiębiorcą i umie argumentować. Do tego Marcin zgadza się z jego poglądami ekonomicznymi (niskie podatki, tanie państwo bez rozdawnictwa). Ze społecznymi już mniej, uważa je za „dość skrajne”, ale potrafi przymknąć na nie oko, bo przecież w rządzeniu chodzi głównie o gospodarkę. Ewka też uważa Mentzena za radykała, szczególnie w kwestii aborcji. Twierdzi, że jego poglądy są antykobiece. – *Ale jest młody i mówi tak, że go rozumiem. Reszta polityków to stare przyki, które dawno powinny iść na emeryturę, a pan Sławek jest wszędzie (w internecie), umie się pokazać, czuć, że mówi do nas i nas reprezentuje* – mówi 18-latką. I dodaje, że gdyby tylko Konfederacja odpuściła aborcję i „tę szajbę z Kościołem”, byłaby idealna. Jednak i tak mają jej głos.

Gracjan, lat 20, przyszedł przedsiębiorca: – *Nie chcę, żeby politycy rozdawali pieniądze, które kiedyś zarobię. Mentzen mówi, że obniży i uprości podatki, i ja mu wierzę. Gdyby wygrał Tusk, byłoby tak samo jak jest teraz, czyli dalsze rozdawnictwo, o lewicy nie chcę nawet wspominać, bo mam propolskie poglądy. Może nie aż tak prawicowe jak Mentzen, ale to akurat mało ważne, bo on idzie do polityki, żeby zrobić porządek w gospodarce.* Marta przyszła z chłopakiem Kamilem. Oboje przed trzydziestką, razem kibicują Mentzenowi. – *Widać, że zna się na gospodarce, w przeciwieństwie do innych polityków, z Morawieckim i Glapińskim na czele* – mówi kobieta i dodaje, że sprawy społeczne jej nie interesują. Wtedy włącza się Kamil: – *Kobieta powie, że ją bijesz, to przyjdzie ci do domu policjant i cię z niego wyrzuci, nawet jeżeli należy do ciebie. To jest w porządku?* – pyta retorycznie. Marta milczy.

Niemal wszyscy (już kilkaset osób) ustawiają się w kolejce po piwo. W środku są też krany, ale z szacunku do prelegenta wybierają butelkowe, opatrzone logo Mentzena. Niebawem godzina zero, więc bierze się na zapas – po trzy, cztery butelki, niektórzy niosą w kartonie. Między ławkami krąży jakaś lista obecności z miejscem na imię, nazwisko i numer telefonu. Ludzie nie wiedzą, o co chodzi, mało kto się wpisuje. Rozmowy dzielą się na przyjemne (o egzaminie na prawo jazdy, rekrutacji na studia) i poważne (o podatkach, Unii i zdrajcach). Scena wyścielana czerwonym materiałem stoi na wyciągnięciu ręki od pierwszego rzędu. Obok złota figura Mateusza Morawieckiego rzeczywistych rozmiarów. Premier trzyma w ręku miskę ryżu, u jego stóp rozrzucone są fałszywe banknoty. Ludziom to się podoba, robią sobie z nim zdjęcia.

Punktualnie o godz. 18 na scenie pojawiają się goście, którzy mają rozgrzać

publikę przed daniem głównym, czyli Mentzenem. Na pierwszy ogień idzie Bronisław Foltyn, jedynka Konfederacji w Bielsku-Białej. Jest 12 lat starszy od Mentzena, ale widać, że młodzi słuchają go z zainteresowaniem. Mówi, że nie może się zdecydować, czy opowiedzieć im o polityce czy biznesie, bo tu i tu ma doświadczenie. Stawia na biznes: narzeka na liczne kontrole skarbowe w jego firmach, a tych ma sporo, w tym lokal, przed którym siedzimy. Jest trochę o socjalizmie i Mieczysławie Wilczku, którego podziwia. Na tyle, że będzie się starał, żeby Bielsko-Biała uhonorowała jakoś „pierwszego kapitalistę”, może ulicą? Wyjaśnia się też, o co chodziło z tą listą obecności. Foltyn mówi, że jego partia będzie odzywać się

Mentzen próbuje się pokazać jako przeciwieństwo polityka, co jest typową zagrywką polityków starających się o poparcie „elektoratu protestu”.



do tych, którzy się wpisali – będą mogli zbierać podpisy dla Konfederacji i rozwieszać plakaty wyborcze. Na twarzach nie widać entuzjazmu.

Później na scenę wchodzi kobieta w eleganckim garniturze. Zaczyna pytaniem, czy zgromadzeni lubią jeść mięso. Rozlega się chóralne tak. Wtedy się przedstawia: Hanna Boczek, liderka Nowej Nadziei (to formacja Mentzena w ramach Konfederacji) w okręgu rybnickim. Przekonuje, że to nieprawda, że Konfederacja nie lubi kobiet i że jak wygra wybory, to będą bite i zamknięte w kuchni. Zwraca się do nich, tłumacząc, że jeżeli ich mężczyzna głosuje na Konfederację, to nie znaczy, że jest zamordystą, tylko człowiekiem, który chce odnieść życiowy sukces. Dostaje brawa.

Pan od żartów

Czas na Mentzena. Jego wejście zapowiadane jest niemal jak bokserska walka wieczoru. Na scenę wchodzi przy akompaniamencie „Paranoid” Black Sabbath, unosi kufel piwa do góry i bierze sążniste łyk, tak jak na zdjęciu za jego plecami (hasło: „Tak trzeba żyć”). Zaczyna od przedstawienia zasad. Zasada pierwsza to picie piwa. – Najlepiej dużo, w moim tempie – tłumaczy. Zasada druga: nie nagrywać wystąpienia. Jest to surowo zakazane, bo jak wycieknie do sieci, to może być „przypał na całą Polskę”. Skarzy się,

że w Białymstoku była taka „przygłupia” dziennikarka, której trzeba było kilka razy powtarzać, a i tak nie zrozumiała.

Już pierwsze zdania zapowiadają, z czym będziemy mieć do czynienia. To nie będzie poważny wykład polityka do potencjalnych wyborców, raczej stand-up na chwytliwe tematy społeczno-polityczne. Mentzen próbuje się pokazać jako przeciwieństwo polityka, co jest typową zagrywką polityków starających się o poparcie „elektoratu protestu”. – Politycy to najgorsi ludzie na świecie – wyklada zgromadzonym lider Nowej Nadziei – kradną, kłamają i poza tym nie robią nic. Mój poziom zaufania do nich mieści się między złodziejem a prostytutką. Sam już wolę mówić, że jestem tiktokerką, a nie politykiem – dodaje.

Przez ok. 40 minut będzie drwił z lewaków, podatków, mediów, zmian klimatu, Tuska, Kaczyńskiego, Zandberga, Morawieckiego, Unii Europejskiej, wyświetlając na ekranie za swoimi plecami różne memy i nagrania wyrwanych z kontekstu wypowiedzi oponentów politycznych. Puenty są częste, mocne i zjadliwe. Publiką należy do tych wdzięcznych: ludzie wybuchają śmiechem średnio co minutę, zagrzewają swojego bohatera do kolejnych żartów. Przez całe to przedstawienie Mentzen pije piwo i robi to dość ostentacyjnie, ogłaszając przerwę na wzięcie łyka, gromadząc obok siebie wypite kufle i powtarzając, ile to ich już jest (w sumie wypije pięć). Ludziom, którzy przychodzą na jego kabaret, to się podoba; picie piwa zbliża ich do siebie i do lidera, czyli Mentzena.

Później jest czas na pytania od publiczności, ludzie ustawiają się w kolejce przed sceną i zadają je przez mikrofon. Próbuja żartować, przechwalają się, ile piwa wypili, wygłaszają peany na cześć swojego bohatera. Czasem ktoś spróbuje poruszyć jakiś niewygodny temat, jak aborcja, ale Mentzen szybko to neutralizuje, obracając w absurd. Nie waha się szydzić z niektórych swoich sympatyków, ale im zdaje się to nie przeszkadzać. Tylko czasem ktoś odejdzie od mikrofonu jak niepyszny, ośmieszony przez swojego ulubieńca. Reszta publiczności ma tzw. bekę. A na koniec są zdjęcia z bohaterem wieczoru na tle ogromnego banknotu, zwanego przez Mentzena pierdyliardem, z niezliczoną liczbą zer i podobizną Mateusza Morawieckiego. Jest wielu chętnych, robienie zdjęć trwa w sumie z pół godziny.

Pan prezes

Poglądy Mentzena to zlepek radykalnej wolnorynkowości z katolickim tradycjonalizmem. Można powiedzieć: typowy korwinizm, i to prawda, ale bez odpalania

protokołu „1 proc.”. Korwiniści nazywali tak sytuację, w których ugrupowanie było na fali (czytaj: było nieznacznie nad program wyborczym), a wódz jedną wypowiedzią (typu, że nie ma dowodów, że Hitler wiedział o Holokauście) trwonił poparcie do minimum. Żeby ustrzec się przed kolejnym protokołem, któryś z działaczy musi ostatecznie „zdetronizować króla”, czyli odebrać mu partię w taki sposób, by nie założył kolejnej. Wielu próbowało, udało się to Mentzenowi. Ale o tym później.

Sławomir Mentzen urodził się w Toruniu w 1986 r. Ojciec, Mieczysław Mentzen, profesor matematyki na toruńskim UMK, już w latach 80. sympatyzował z poglądami Korwin-Mikkego. Mentzen junior za fascynował się nim w czasach licealnych. Długie włosy, kraciaste koszule i zamiłowanie do gier komputerowych czyniły z niego typowego „kuca”, czyli podatnego na wpływy „króla”. W 2007 r. rozklejał po rodzinnym Toruniu plakaty Ligi Prawicy Rzeczypospolitej – wyborczego sojuszu narodowców Romana Giertycha, ultrakonserwatystów Marka Jurka i wolnorynkowców Korwina. Później rozpoczął studia na informatyce (ostatecznie skończył prawo i obronił doktorat o długi publiczny), a jeszcze później miał krótki epizod w kampanii prezydenckiej Pawła Kukiza, żeby w końcu za sprawą Przemysława Wiplera zacząć w partii KORWiN.

Tam dał się poznać jako spec „od internetów”, osoba szczególnie pożądana w partii znajdującej się poza obiegiem tradycyjnych mediów. Już wtedy szkolił się w prostych przekazach – przed wyborami do parlamentu w 2019 r. zapowiedział, że jeśli nie dostarczy stu ustaw w kluczowych dla kraju sprawach, to publicznie zje własny but. Projekty dostarczył, ale można się spierać, czy były kluczowe dla Polski. Obok „uwolnienia” gry w pokera i wprowadzenia możliwości zawarcia „nierozdzielalnego małżeństwa” w „100 ustawach Mentzena” znalazły się pomysły legalizacji promowania ideologii totalitarnej, dawania dzieciom klapsów oraz skazywanie kobiet na 10 lat więzienia za aborcję.

Pytany niedawno o projekty sygnowane jego nazwiskiem, lider Nowej Nadziei wymawiał się, że wcale nie był autorem większości z nich, a tak w ogóle to od ich prezentacji minęły już cztery lata, więc sprawa nieaktualna. Podobnie tłumaczył się z tzw. piątki Konfederacji (zwanej też piątką Mentzena, bo to on ją zaprezentował), która brzmiała: „nie” dla Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i UE. Dziś Mentzen twierdzi, że to nie są jego poglądy, może prócz podatków, bo te jego zdaniem powinny być jak najniższe.

– *Mentzen zbiera profity za jednoznaczność przekazu, wyborcy bardzo to cenią* – tłumaczy prof. Ewa Marciniak, politolożka z UW, dyrektor Centrum Badania Opinii Społecznej (CBOS). – *Jeżeli chodzi o treść, mówi głosem Korwina sprzed lat, ale takiego młodszego, w lepiej skrojonym garniturze, z miłą twarzą i przede wszystkim używającego języka dostępnego dla wszystkich. Z wyborcami komunikuje się krótko i zrozumiale, dzięki czemu dokładnie wiedzą, o co mu chodzi. To go odróżnia od Hołowni, który także aspiruje do bycia „trzecią drogą”. Tyle że Hołownia jest wieloznaczny, zdradza wątpliwości, konfrontuje się z samym sobą, co może zrażać wielu potencjalnych wyborców oczekujących stanowczości.*

Według ostatnich sondaży Konfederacja ma ok. 12 proc. poparcia i jest na fali wznoszącej, co oznacza, że jesienią może być jeszcze więcej.



Mentzen wyczekał i dobrze wykorzystał okazję do przejęcia partii z rąk Korwina i zostania liderem Konfederacji. Nie zraził się w 2019 r., gdy nie wszedł do Sejmu. Zajmował się swoimi biznesami: w 2020 r. założył Browar Mentzen, rok później Kancelarię Mentzen, zajmującą się doradztwem podatkowym (zaczynał 12 lat temu od kantoru, potem był sklep z bronią myśliwską i biuro rachunkowe). W czasie pandemii objechał Polskę, pijąc piwo z sympatykami, co okazało się wizerunkowym strzałem w dziesiątkę. – *W międzyczasie ćwiczył się logopedycznie, czerpał wiedzę, jak prezentować się przed publicznością, podglądał wystąpienia stand-uperów na YouTube, których obsługiwał także w swojej kancelarii, publikował mikro-wykłady w sieci, w których kreślił wizję rzeczywistości typu „każdy może wziąć życie we własne ręce”. Wreszcie przebił się do przedsiębiorców i klasy średniej, osieroconych przez PO, która spróbowała się z PiS na postulaty socjalne* – mówi Marcin Kącki, reporter „Gazety Wyborczej”, który przez trzy lata infiltrował środowisko Konfederacji i napisał o tym książkę „Chłopcy. Idą po Polskę” (premiera 12 lipca).

Pan minister?

Kącki nazywa Konfederację niemożliwą koalicją. – *Połączenie libertarian od Korwina, nacjonalistów Winnickiego*

i katolickiego rycerza Brauna – opisuje reporter. I tłumaczy: – *Korwiniści gardzą nacjonalizmem i braunowym postrzeganiem polityki przez pryzmat Jezusa Chrystusa i Matki Boskiej; Braun i ludzie Winnickiego z kolei nie lubią libertarianizmu korwinistów, gardzą ich indywidualizmem spod znaku Ayn Rand, a korwinistom daleko do nacjonalistycznych marszów.*

Można powiedzieć, że różni ich niemal wszystko, ale spaja wspólna nienawiść do „lewactwa”. – *Gdyby socjalizm i lewactwo zabrać z afisza i wsadzić konfederatów do jednego autokaru, to żaden z nich nie dojechałby do celu żywy, bo sami by się pozabijali* – dodaje Kącki.

Zajrzyjmy głębiej, by przyjrzeć się sympatykom samego Mentzena. Ci przeważnie mają twarz młodego mężczyzny ze średniej wielkości miasta (19–100 tys. mieszkańców). W ostatnim badaniu zaufania do polityków przeprowadzonym przez CBOS ufność wobec Mentzena zadeklarowało aż 50 proc. mężczyzn poniżej 35. roku życia (nieufność tylko 19 proc.). Po przekroczeniu tego wieku ich zaufanie do lidera Nowej Nadziei spada do 13 proc. Co się zaś tyczy wykonywanego zawodu, największe zaufanie do Sławomira Mentzena mają pracownicy sektora usług, robotnicy (wykwalifikowani lub nie) oraz pracujący na własny rachunek (zapewne jednoosobowe działalności gospodarcze). Według ostatnich sondaży Konfederacja ma ok. 12 proc. poparcia i jest na fali wznoszącej, co oznacza, że jesienią może być jeszcze więcej. Mentzen może wprowadzić do Sejmu 40–50 posłów, będąc realną trzecią siłą, mającą wpływ na skład przyszłego rządu. Co z tym zrobi?

Kącki twierdzi, że podczas spotkania z Konfederatami poznał rozważane scenariusze. – *Pierwszy z nich to koalicja z PiS. Niby Mentzen krzyczy „PiS, PO jedno zło”, ale to może być tylko populistyczna zagrywka, obliczona na zgarnięcie elektoratu protestu. Nie wykluczam, że zgodzi się na sojusz w zamian za posadę ministra finansów i tytuł wicepremiera* – spekuluje dziennikarz.

Scenariusz na wypadek wyborczej porażki Kaczyńskiego z Tuskiem jest prosty: Konfederacja zostaje w opozycji. – *I będzie jej tam bardzo wygodnie* – mówi Kącki. – *To przeważnie młode chłopaki, które nigdy nie dotknęły prawdziwej polityki. Nie ma się co czarować: celem ich obecności w parlamencie nie będzie konstruktywne działanie – bo pomysły likwidacji podatków, przywrócenia kary śmierci czy dostępu do broni są nierealne – ale robienie show. Wtedy czeka nas polityka jak z memów.*

NORBERT FRĄTCZAK

Zarażeni populizmem

Rozmowa z Przemysławem Sadurą i Sławomirem Sierakowskim o tym, dlaczego w Polsce tak silna jest skrajna prawica, jak nas zmieniło osiem lat rządów PiS i co z tym teraz zrobić.



ILUSTRACJA MAX SKORWIDER

Max Skorwider

ŁUKASZ LIPIŃSKI: – Po co napisaliście tę książkę? To nie jest powtórka z waszych badań.

SŁAWOMIR SIERAKOWSKI: – Szukaliśmy odpowiedzi, dlaczego populizm się u nas tak rozsiadł, gdy w USA po czterech latach jednak przegrał. Dotychczasowe teorie tego nie wyjaśniały. Chcieliśmy też poznać Polaków po tych ośmiu latach z populizmem, nie tylko tych, którzy wybierają PiS. Zależy nam na tym, żebyśmy się zastanowili, jak z tego wyjść na trwałe, ponad cyklem wyborczym.

Napisaliśmy tę książkę od nowa, zrobiliśmy nowe badania, koncentrując się na teorii, ale też na konkretach i rozwiązaniach. Chcemy budzić świadomość, że nawet jak się dokona polityczna

zmiana i znowu nie zadamy o edukację obywatelską, kontekst kulturowy, to znowu przyjdą populiści albo inne zbiry i rozpieprzą nam państwo. Przez osiem lat cofnęliśmy się nie tylko na poziomie praworządności, ale kultury, języka, instytucji, powietrza społecznego, którym oddychamy. To powietrze jest dużo bardziej zanieczyszczone.

Waszym zdaniem staliśmy się społeczeństwem populistów?

SS: – Nawet nie jesteśmy świadomi, jak bardzo się zmieniliśmy. Nie chodzi tylko o wyborców PiS, ale też zmienili się wyborcy niegłosujący na PiS, bo populizm jest bardzo zaraźliwy: między politykami, politykami a wyborcami, wyborcami a wyborcami.

PRZEMYSŁAW SADURA: – Pokazujemy historii społeczeństwa, które przeszło pierwszą falę reform po 1989 r., do integracji europejskiej, kiedy polityka ludzi coraz mniej interesowała. Frekwencja wyborcza systematycznie spadała aż do 2005 r. Od tego czasu zaczyna się wspinaczka w górę, kiedy polityczny *mainstream* wymyślił polaryzację. Polacy dalej nie lubią polityki, brzydzą się, patrzą na nią jak na zapasy w błocie, ale coraz bardziej zaczynają się tym ekscytować, nagle pojawili się polityczni fanatycy.

Mówicie, że ludzie was nie polubią za tę książkę. Chodzi o to, że piszecie o stronie liberalnej „my też nienawidzimy”?

Choć zaczął PiS.

SS: – Tzw. fanatyczni wyborcy PiS już od dawna używali języka nienawiści i byli bardzo agresywni. Ale w tej chwili doszło do zwrotu i to po obu stronach: tamci wyborcy przeszli od mowy nienawiści do wzywania do przemocy, a po naszej stronie pojawiła się mowa nienawiści, agresja, język bardzo wykluczający. Co więcej, to jest skierowane do każdego, kto się nie chce podporządkować tej wojnie polaryzacyjnej, np. do Szymona Hołowni. Przez rozłam, którego dokonał na opozycji, stał się on przedmiotem takiej nienawiści, jaka niemal dotyczyła Jarosława Kaczyńskiego. I ten język, i praktyki mogą z nami zostać, nie tylko w polityce, ale też w relacjach między ludźmi.

PS: – Problemem po stronie elektoratu opozycji jest nie tyle nienawiść, ile skrajnie wyższościowa pogarda. To pułapka, bo ta pogarda, przechwycona przez pisowskie media i zaprezentowana pisowskiemu elektoratowi, nakręca polityczne zaangażowanie po tamtej stronie. I nie chodzi tylko o niefortunne wypowiedzi celebrytów o odbiorcach 500+, podczas badań tak mówili o wyborcach PiS zwykli wyborcy Platformy czy Lewicy.

Badani przez was wyborcy PiS mówili, że mniejszości seksualne czy uchodźców by wystrzelali...

Brzmi przerażająco.

SS: – Podczas wywiadów z socjologami ludzie nie pojawiają się anonimowo, to sytuacja podobna jak w sklepie czy u dalszej cioci na imieninach. Jeżeli w takim miejscu ludzie nawołują do fizycznej eliminacji przeciwników, to znaczy, że to nie jest jakaś fantazja, ale coś, co może się przełożyć na rzeczywistość. Nie wiadomo, czy stanie się to prędzej czy później albo nigdy, ale nawiązujemy do tych mordstw politycznych, które już miały miejsce, jak zabójstwo Pawła Adamowicza. Przecież możliwe są kolejne, nie tylko jednostkowe.

PS: – Populizm jest zaraźliwy i nie da się go ograniczyć wyłącznie do PiS, bo w te same karty gra też – mniej czy bardziej skutecznie – opozycja czy Konfederacja. Ale za tę książkę nas zniechęca także z tego powodu, że zajęliśmy się społeczeństwem. Bezpiecznie jest narzekać na klasę polityczną i na niewydolne polskie państwo. Jeśli jednak mamy trwałe kryzys państwa i klasy politycznej, to wskazuje, że coś grubo nie tak jest także ze społeczeństwem. Być może tam trzeba szukać źródeł problemu?

To skąd w naszym społeczeństwie populizm? Piszecie, że na wschodzie Europy warunki są zupełnie inne niż na Zachodzie.

SS: – Analitycy populizmu popełniali fundamentalny błąd, że skupiali się na liderach, a nie społeczeństwie, a poza tym wszystkich liderów, od Trumpra po Orbána, wsadzali do jednego worka. Pokazujemy, jak inną historię miały Europa Zachodnia i Wschodnia, i jak różne są konsekwencje populizmu. Na Wschodzie przede wszystkim jest kompletnie inny poziom zaufania ludzi między sobą i do państwa, co wyznacza zupełnie różne warunki do działania populistom. A druga rzecz to tradycja liberalna, która na Wschodzie, w tym w Polsce, jest bardzo słaba. Oczekiwania, że ludzie się wściekną na to, że im się rozwala sądy

czy media, są więc nierealistyczne. Trzeba coś z tym zrobić, a nie tylko wygrać z PiS.

PS: – Wielu teoretyków mówi „już niejednokrotnie w historii zdarzały się momenty populizmu, on dokonywał przetasowania, po czym wracaliśmy do demokracji liberalnej”. Ale to jest możliwe na Zachodzie, gdzie rządy prawa są dużo bardziej zalegitymizowane, instytucje są trwalsze, a system ma swoją historię. W krajach Europy Wschodniej instytucje są słabe, mają krótką historię, a już od kilku lat nie działają. I może się okazać, że tu już nie ma powrotu do *status quo ante*: niszczymy instytucje, doprowadzamy do erozji kultury politycznej i nawet jak odsuniemy populistów od władzy, to opozycja niekoniecznie od razu wszystko naprawi, tylko będzie funkcjonować w tych ruinach.

Czemu w naszym regionie ten brak zaufania tak długo się utrzymuje?

SS: – Od lat się o tym pisze, ale to zostało na poziomie akademickiej teorii. Nikt tak naprawdę nie potraktował braku zaufania jako grzechu pierworodnego polskiej polityki. A czego nie ugryźliśmy, to docieraliśmy do tej kwestii: dlaczego się reforma nie udało, dlaczego ludzie wybrali partię populistyczną, jaki rodzaj więzi mają z tą partią...

PS: – Historycznie oczywiście trzeba zacząć od pańszczyzny. Zaufanie może się pojawić w relacji osób równych, w relacjach pionowych nie trzeba zaufania, wystarczy przymus i przemoc. Robert Putnam porównywał Włochy północne i południowe, zastanawiając się, dlaczego Południe jest stolicą mafii, ludzie nie chodzą na wybory, urzędy nie działają i wszystko kuleje, a Północ jest stolicą mody i biznesu, państwo działa tam sprawnie, ludzie się zrzeszają, a frekwencja wyborcza jest wysoka. Cofnął się do średniowiecza, kiedy Południe było oparte na zależności patron-klient, a na Północy były demokracje, zasady ustalania rzeczy wspólnych.

To dotyczy Włoch. A Polska?

PS: – Byliśmy trochę takimi południowymi Włochami – linia Łaby oddzielała system oparty na pańszczyźnie, a więc de facto na niewolnictwie, od tego, w którym nawet chłop mógł być partnerem. A u nas to się kumuluje: pańszczyzna, potem zabory, czyli obce państwo, któremu się nie ufa, krótki okres międzywojenny. PRL uprawiał rabunkową eksploatację resztek tego uogólnionego zaufania – te obowiązkowe pochody 1-majowe, czyny społeczne. A potem mamy rewolucję III RP i wszystko, co wspólne, ze współdzielczością na czele, rozwalamy i zostaje indywidualizm „umiesz liczyć, licz na siebie”.

Konsekwencją tego braku zaufania jest słabość liberalizmu politycznego, czyli instytucji i rządów prawa. Po 1989 r. wydawało się, że wystarczy je zadekretować, ale gdy PiS je demontował, okazało się, że społeczeństwo za nimi mocno nie stoi.

SS: – Liberalizm jest właśnie odpowiedzią na kwestię zaufania, historycznie i teoretycznie. Zachód miał instytucje, które miały wzmacniać zaufanie i liberalną kulturę polityczną: szkoły, charytatywność czy społeczeństwo obywatelskie. W Polsce one miały podobne losy co państwo – jak państwo było wrogiem, to szkoła też. „Syzyfowe prace” Żeromskiego są o tym, jak z tą szkołą walczyć, a nie uczyć się w niej współpracy, rozwiązywania konfliktów, myślenia w kategoriach kompromisu i proporcji. Brakuje instytucji, które łagodziłyby skutki tych naszych wojen, represji, pańszczyzny.

Pisaliście wcześniej o cynikach w elektoracie PiS, okazuje się, że tacy transakcyjni wyborcy są też wśród wyborców innych partii. Skąd się wzięli?

SS: – Brak zaufania, liberalizmu politycznego i cynizm się ze sobą łączą. Jeśli nie ufamy sobie, to każdy myśli w kategoriach ▶

► „coś wziąć, szybko zabrać i uciekać”. I tak Polacy podchodzą do partii. Różne działania PiS – np. lex Tusk, rozwalanie Trybunału Konstytucyjnego czy lex TVN – zwykle popiera ok. 20 proc., a partia ma ciągle 35 proc. w sondażach. To kto, do diabła, głosuje na PiS? Niewidzialny płynny elektorat, który daje władzę, zawiera cyniczne sojusze wyborcze. Może nie popierać PiS, ale ufa tylko temu, kto da gotówkę, którą można wziąć i uważać za swoje. Zauważenie tego elektoratu rozwiązuje cały szereg paradoksów, np. stosunku Polaków do korupcji, który był krytyczny, a nagle jest akceptacyjny.

PS: – W najnowszym sondażu podzieliliśmy wyborców na ideowych, fanatycznych, którzy się identyfikują z partią; cynicznych, którzy głosują, bo im się to opłaca; i tych, którzy są sceptykami i głosują na daną partię, bo inne są jeszcze gorsze. PiS wygrywa na tym, że zbudował sobie stabilne poparcie mniej więcej po jednej trzeciej elektoratu w każdej z tych grup. Na opozycji nikt poza PO nie był w stanie zgromadzić wyborców ideowych, którzy za partią pójdą wszędzie. Wśród wyborców cynicznych, głosujących ze względu na własny interes, prawie nikt nie głosuje na partię demokratyczne. Tylko PSL i Konfederacja mają takich wyborców, zresztą Konfederacja to teraz taki mały PiS, jeśli chodzi o strukturę motywacji wyborców.

Dlaczego opozycja nie jest w stanie zaważać o takich wyborców?

SS: – Istnieje kulturowa różnica między elektoratem opozycji oraz skrajnej prawicy, czyli PiS i Konfederacji. I tu pojawia się paradoks, bo można odnieść wrażenie, że prawdziwe społeczeństwo obywatelskie wokół partii to zbudował PiS: z instytucjami, lojalnością mediów, ludzi do siebie nawzajem. Lecz kapitał społeczny można podzielić na dwa rodzaje: jeden bardziej nowoczesny, stanowiący lepsze otoczenie dla polityki, innowacji, postępu społecznego, to tzw. kapitał łączący. I jest prosta czy prymitywna forma tego kapitału, która polega na tym, że się zbieramy do kupy, bo po drugiej stronie jest wymaginowany lub rzeczywisty wróg – to tzw. kapitał spajający. I na tej formie kapitału bazuje PiS.

Stworzenie takiego kośca klientystycznego, szwadronów, jakie ma PiS w miasteczkach, byłoby dużo trudniejsze dla elektoratu liberalnego – bardziej indywidualistycznego, nowoczesnego, przyzwyczajonego do różnorodności. Stąd to irytujące wrażenie, że w PiS są poukładani, choć się wzajemnie nienawidzą, a u nas jest taka rozłaczność. A ponadto opozycyjni wyborcy jednak nie dali wystarczającego oparcia instytucjom liberalnym. Problem nie polega na tym, że nie mamy liberalizmu politycznego zapisanego w konstytucji, ale na tym, że nie mamy go zapisanego w głowach i nogach. Nie protestowaliśmy do skutku.

A jak to jest z Konfederacją?

PS: – Opozycja nie jest w stanie zaproponować formuły, która pozwoliłaby na wyjście z pułapki braku zaufania, a z drugiej strony nie umie grać na braku zaufania jak Konfederacja. PiS przyciągnął tych, którzy mówią: „Nie podoba nam się, że PiS chodzi na pasku Kościoła, ale zagłosujemy, bo jest to 500+, dodatkowe emerytury itd.”. A w wypadku Konfederacji wzrost poparcia to wynik niechęci do uchodźców, ale jest tam też grupa nowych wyborców, odległych

kulturowo, którzy np. popierają neutralność klimatyczną. Młode wyborczynie Konfederacji mówią: „Jesteśmy feministkami i nie podoba nam się to, co mówi jakiś Korwin. Ale nie mamy dzieci, więc 500+ do nas nie trafia, 13. i 14. emerytura też nie. Możemy liczyć tylko na obniżenie podatków, a tylko ta partia nam to daje”.

To jest cyniczne.

SS: – Jak jest partia, która może coś dać, np. przez obniżenie podatków zostawia ci pieniądze w kieszeni, to pojawia się zainteresowanie wyborców. Ale ono może być oparte na kompletnej sprzeczności z poglądami. Wszystkie rzeczy, których nie rozumiemy w polityce, zaczynają się w tej sprzeczności, że ludzie uważają jedno, a głosują inaczej.

Mówicie o tradycjonalizmie Polaków, ale piszecie też, że ten przełom modernizacyjny w polskim społeczeństwie już zaszedł. A populizm jest buntem radykalizującej się mniejszości.

PS: – Radykalizującej i mobilizującej się mniejszości. W ciągu ostatniego 30-lecia zmienił się stosunek do Kościoła, wizja roli kobiet w społeczeństwie, stosunek do osób LGBT. A w orientacjach politycznych zmieniło się niewiele – taki sam odsetek Polaków deklaruje poglądy lewicowe, prawicowe czy centrowe. Jedyne duże przesunięcie to radykalizacja wyborców prawicy. Starsze pokolenia w zderzeniu z liberalizacją odczuwają coraz większy niepokój, co je niesłychanie mobilizuje. To dlatego PiS był w stanie je wyciskać jak cytrynę. Oczywiście to nie jest scenariusz na długie trwanie, ale liczy się tu i teraz – najbliższe wybory, jeszcze może następne.

SS: – Tak było np. z reportażem TVN o Janie Pawle II i pedofilii w Kościele. PiS wsiadł na ten temat, choć generalnie mit papieża upada, bo reakcja na ten film mobilizuje nie taką dużą grupę społeczeństwa, ale mobilizuje i można to politycznie wykorzystać. Podobnie jak kwestię uchodźców – to dlatego PiS wymyśla nagle referendum w tej sprawie.

Polacy mają katastrofalny obraz państwa, który w pandemii się jeszcze pogorszył. Wciąż jesteśmy na etapie „bierz forsę i w nogi”. Czy jesteśmy gotowi na transformację w stronę państwa dobrobytu?

PS: – Fajnie byłoby powiedzieć coś optymistycznego, ale to nie jest ten moment. Polak nie ufa państwu i mu nie wierzy, nie ufa rządzącym i instytucjom. Działa w myśl zasady, że „jak rząd mówi, że czegoś nie robi, to nie robi, a jak mówi, że robi, to mówi”. Coraz bardziej doceniajmy jakość życia i widzimy, że nie da się jej osiągnąć bez jakości państwa, bez usług publicznych, jak ochrona zdrowia czy edukacja. Wyjazdy do Niemiec, Wielkiej Brytanii, Skandynawii pokazały Polakom, że można. Ale potem wraca się tutaj i się okazuje, że nie można. Wiedza o funkcjonowaniu państwa za granicą jest tu zupełnie nieprzydatna. Polacy, jak przekraczają granicę, to się przełączają w inny tryb.

To tak jak na drogach? W Czechach czy Austrii przestrzegamy przepisów, a w Polsce gaz do dechy i siedzenie na zderzaku?

PS: – Dokładnie. To bardzo widać w rozdwojeniu między brakiem zaufania a egalitaryzmem, etatyzmem i oczekiwaniem na państwo. W sondażach 90 proc. Polaków uważa, że zadaniem państwa jest zagwarantowanie dostępu do dobrze funkcjonującej



Prof. UW dr hab. **Przemysław Sadura** – szef Katedry Socjologii Polityki na Wydziale Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, kurator Instytutu Badawczego „Krytyki Politycznej”, autor m.in. książki „Państwo, szkoła, klasa”.



Sławomir Sierakowski – socjolog, założyciel i lider „Krytyki Politycznej”, pracownik naukowy Niemieckiej Rady Polityki Zagranicznej, publikuje m.in. w „New York Timesie”.



Od kilku lat prowadzą program badania postaw politycznych i kondycji polskiego społeczeństwa. Nakładem wydawnictwa „Krytyki Politycznej” właśnie ukazała się książka ich autorstwa „**Społeczeństwo populistów**”.

służby zdrowia, do szkolnictwa, wsparcie dla osób niepełnosprawnych i ich opiekunów. W pandemii dołączyło do tego zagwarantowanie dostępu do psychoterapii. A zarazem 90 proc. jest przyzwyczajone do tego, że służba zdrowia nie działa, a jak chcesz się wyleczyć, to bierzesz portfel i idziesz do prywatnej służby zdrowia albo szukasz znajomości. To samo ze szkołami, psychoterapią itd.

Chcemy, żeby było „pięknie, ale niedrogo”?

PS: – Nie akceptujemy wyższych podatków, bez których nie da się podnieść poziomu usług publicznych. A jeśli chcemy mieć wysoki poziom usług i niskie podatki, to czekamy na jakiegoś szarlatana, który obieca cuda na kiju, ale będzie robił dalej to samo. Byle się z nami podzielił na koniec. Związek między podatkami a jakością państwa widzą ludzie zamożni i dobrze wykształceni, ale oni nie mają interesu, żeby inwestować w państwo. Polacy chcieliby państwa dobrobytu, ale uważają, że podniesienie podatków jest takim ryzykiem, że prościej byłoby spakować się i pojechać do tej Norwegii. A to jest opcja w zanadru, szczególnie wśród tych młodszych pokoleń, klasy średniej, specjalistów. To też utrzymuje ten stan niemocy.

Polskie państwo jest też ślepe. Nie gromadzi danych, nie chce podejmować decyzji opartych na wiedzy. Kluczowe decyzje podejmuje starszy pan z Nowogrodzkiej z kilkoma kolegami.

SS: – Dziennikarze już pokazują, że PiS stosuje dwa rodzaje działań. Wychodzą te najprostsze, że trzeba przyjść do okienka i wziąć pieniądze albo poczekać, aż przyjdą na konto. A każde już troszkę bardziej skomplikowane zadanie, zbudowanie czegoś, to już kłapa. Do sterów dorwały się dzieci ze szkoły podstawowej i działają na chybił trafił. Ani nie są to ludzie predystynowani do tych stanowisk ze względu na wykształcenie czy doświadczenie, ani nie są to ludzie ostrożni. Efekt jest taki, że robimy nawet nie szkolne, ale przedszkolne błędy. Gromadzenie danych powinno być początkiem jakiegokolwiek działania, szczególnie w kryzysach takich jak pandemia. Nawet tego tu nie ma.

PS: – Gdybym miał czarodziejską różdżkę, to przywróciłbym program badawczy „Diagnozy społecznej”, która dostarczała regularnie danych o polskim społeczeństwie. Opowiadamy w książce o rzeczach, które powinny mówić powtarzalne badania: że np. zmienia się stosunek do uchodźców i to jest efekt braku

zaufania do państwa i obaw, że ktoś mi zabierze miejsce w kolejce do lekarza czy przedszkola dla dziecka.

Piszcze, że po ośmiu latach PiS Polacy zwątpili w sens działania społecznego i przyzwyczajają się do indywidualnych strategii przetrwania. Tak jak u Kisiela urządzamy się w d...? Jak ludzi uaktywnić?

SS: – Nie chcieliśmy stawiać tylko teoretycznych diagnoz. Na pytanie, co można zrobić, próbowaliśmy też odpowiedzieć na końcu książki.

A czy można wygrać wybory z populistami, nie będąc populistą?

PS: – Wątpię. Populiści tak bardzo zmieniają sposób uprawiania polityki, że żeby z nimi wygrać, trzeba założyć te bokserkie rękawice. Dlatego zresztą tak optowaliśmy za tym, żeby opozycja poszła do wyborów na jednej liście i wygrała polaryzację dla siebie. Chodziło o to, żeby uniknąć bratobójczych walk, nienawiści, która ostatecznie uderza w elektorat opozycji. Partie demokratyczne mają ograniczoną pulę osób, które mogą zmobilizować, bo nie sięgną do podspołeczeństwa pisowskiego.

Ale jednej listy już raczej nie będzie. To co można zrobić?

PS: – Żeby wygrać, nie da się ominąć licytacji na obietnice. Nie da się wygrać z populistami, nie będąc populistą, ale można wygrać te wybory, żeby nie pozostać populistą. Dopiero przy władzy można próbować wyprowadzić cały system z populizmu, niesłuchanie trudno to zrobić z poziomu opozycji. Przy władzy można przeprowadzić depolaryzację czy repolaryzację wedle innych biegunów. Ma się w ręku narzędzia, można przynajmniej próbować przywrócić zaufanie.

SS: – Populizmy są różne. Populizm w Polsce nie zaczął się z PiS ani z Samoobroną. Dotyczył nawet Donalda Tuska, który mówił o sobie, że jest odpowiedzialnym albo oświeconym populistą. Wiedział, że jak nie przyjmie roli miękkiego populisty, to zawsze straci tych kilka punktów w konfrontacji z PiS i wtedy wejdą naprawdę twardzi populiści. Dlatego te zagrywki, że jak PiS mówi „800+”, to Tusk mówi „też 800+ i to zaraz” to jest populizm, ale samoograniczający się i niezbędny – bo dający szansę wygrać z tymi naprawdę szkodliwymi populistami. Solidarność też była ruchem populistycznym, ale chodziło o zwycięstwo z większym zagrożeniem.

ROZMAWIAŁ ŁUKASZ LIPIŃSKI

REKLAMA

LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

Pobyty w terminach: 23.06 - 03.09.2023r.

tel. 54 416 70 00

www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrawiskowa „Pod Tęźniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek

Szkolna demolka

JOANNA CIEŚLA

Szkoła 1. Wiejska podstawówka na stu uczniów, północno-wschodnia Polska. W pomieszczeniu gospodarczym w przykurzonym foliowym worku leży nierozpakowana stacja lutownicza. Obok zamknięte pudło z drukarką 3D. – *W ramach ministerialnego programu Laboratoria Przyszłości dostaliśmy 35 tys. zł do wydania na sprzęt. Ale zamówienie niektórych rzeczy było wymagane, choć nie są nam potrzebne, bo np. dwie drukarki 3D mieliśmy już wcześniej* – opowiada dyrektor. Denerwuje się, że szkołę zaważyły urządzenia, a nie ma pieniędzy, żeby zapewnić dzieciakom psychologa. – *Od września 2022 r. powinien być obowiązkowo, jednak nikt nie odpowiada na ogłoszenie o pracy* – przyznaje dyrektor. Rok temu poradnia psychologiczno-pedagogiczna z powiatu raz w tygodniu przysyłała swego pracownika. – *Zwolnił się, otworzył prywatny gabinet* – kontynuuje dyrektor. – *Gdy uczniowie mają problemy, rozmawiamy z nimi, jak umiemy, po ludzku. Co mam zrobić? Przecież nie dam im lutowniczy na pociechę.*

Szkoła 2. Liceum ogólnokształcące w Małopolsce, 500 uczniów. – *Szkoła jest pod politycznym butem starostwa, koledzy na siebie donoszą, motywacja do pracy – zerowa* – opowiada nauczyciel polskiego. – *Stawiamy stopnie, realizujemy podstawę programową „od-do”. A po godzinach żyjemy drugim życiem. Polonista wraz z kilkorgiem nauczycieli założył stowarzyszenie edukacyjne, zdobywają granty, zatrudniają najlepszą kadre z okolicy za trzy razy tyle co w szkołach. Organizują kursy z polskiego, matematyki, języków, ale też warsztaty artystyczne, psychologiczne i leaderskie. Polonista mówi, że przyjemnie patrzeć, jak dzieciaki idą do przodu, nabierają wiary w siebie, rozwijają się społecznie. Na zajęcia w przyszłym roku już teraz zapisanych jest 60 osób, choć część kursów jest płatnych, po kilkadziesiąt złotych za spotkanie.* – *Nasze stawki i tak są przyjazne* – zauważa polonista. – *Koleżanka matematyczka na przyszły rok zaplanowała 180 zł za godzinę korepetycji. I od września ma pełny kalendarz.*

Szkoła 3. Zespół szkół technicznych na Śląsku, 400 uczniów. W pierwszej klasie szkoły branżowej 47 chłopaków uczy się w jednym oddziale. Samorząd nie stworzył dwóch klas, bo nie ma za co i nie ma kto ich uczyć. – *Na 50 osób w kadrze u nas dwie mają mniej niż 40 lat. Specjaliści od przedmiotów zawodowych wszyscy są po sześćdziesiątce* – opowiada nauczyciel historii. – *W kończącym się roku prawie każdy nauczyciel prowadził po 38–40 lekcji tygodniowo.* Uczniów jest za dużo przez kolejne fale kumulacji wywołanej likwidacją gimnazjów, wydłużeniem podstawówek i reformy wysyłającej do szkół sześciolatki, potem wyhamowanej. – *Nasza praca z takim tłumem nastolatków to jest przecież fikcja* – uważa nauczyciel historii. – *Jesteśmy za starzy i zbyt zmęczeni.*

Cytowani nauczyciele i dyrektor proszą, żeby nie ujawniać nazw ich szkół. Nie pozbierają się, jeśli tuż przed wyborami z kontrolą wpadnie do nich kuratorium. Poza tym marnotrawstwo, gra pozorów i prywatyzacja są przecież u nich na tym samym poziomie co niemal wszędzie po ośmiu latach rządów PiS w oświacie.

Podgrzanie niezależności

Zakończenie kolejnego roku działalności ministra edukacji i nauki Przemysława Czarneka oraz jego zaplecza politycznego jest niczym *déjà vu*. Znowu czekamy na rozstrzygnięcie następnego wielomilionowego konkursu na „inwestycje w oświacie”,

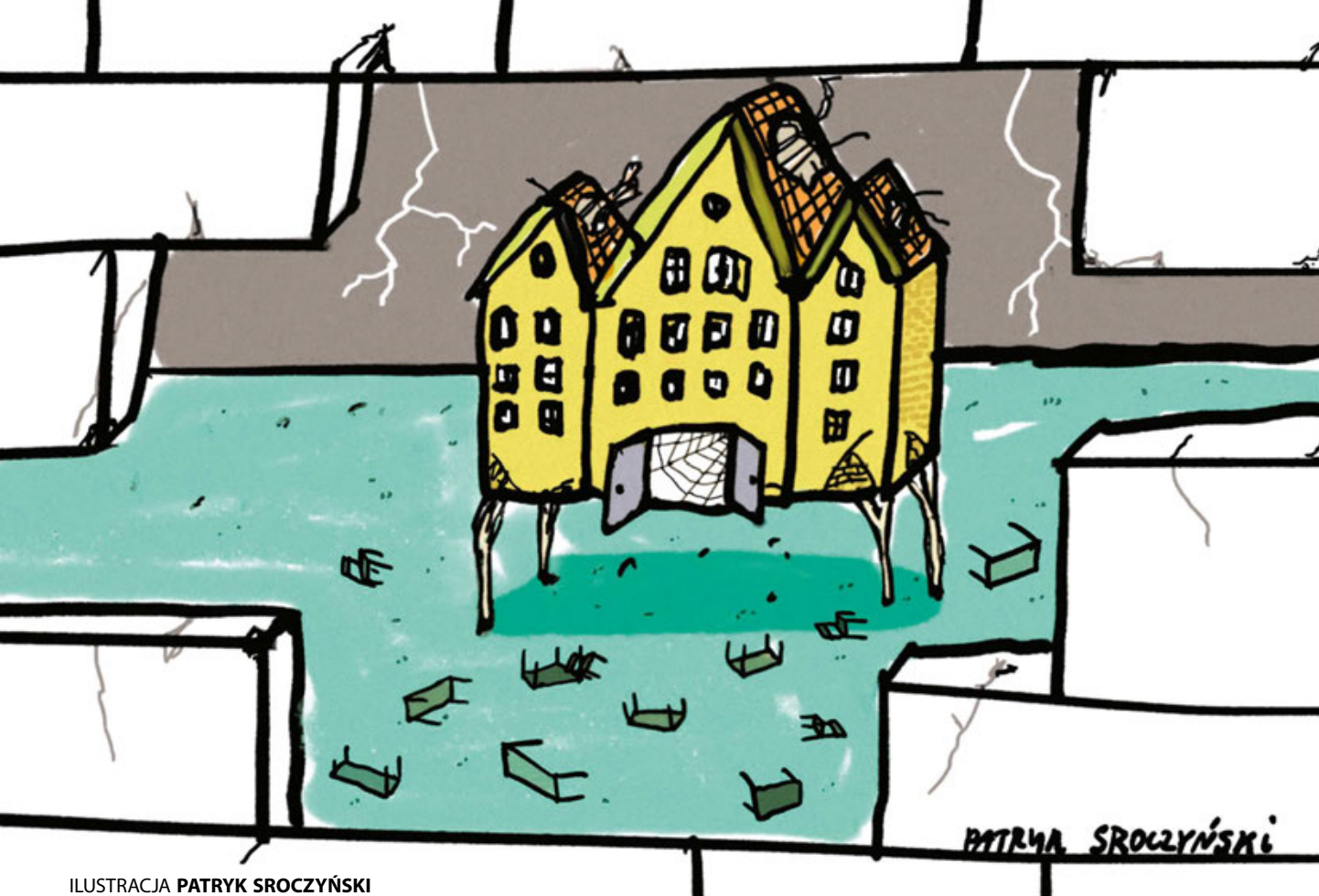
Po ośmiu latach rządów PiS mamy w polskich szkołach chaos, biedę, nepotyzm, ideologiczne naciski. Po wakacjach będzie tak samo, ale będą także wybory. Czy opozycja ma plan dla szkół?

wypatrujemy dalszych fal upolitycznienia i ideologizacji, przyglądając się postępującemu upokarzaniu nauczycieli i zniechęceniu dzieci.

W połowie czerwca minął czas na składanie wniosków o dofinansowanie do budowy lub remontów szkół i przedszkoli, prowadzonych przez samorządy lub przez inne podmioty. Dla placówek samorządowych do wzięcia jest 30 mln zł, a dla innych – 65 mln zł. Rozstrzygnięcia wcześniejszych edycji podobnych programów, na łączną kwotę 170 mln zł, każą przypuszczać, że w grupie „inne” znajdują się przede wszystkim szkoły i przedszkola katolickie, ewentualnie prowadzone przez działaczy prawicy i ich bliskich. Tak było w przypadku wielokrotnie opisywanych przez POLITYKĘ, TVN24 i inne media konkursów na dofinansowanie do nieruchomości, ale i zajęć pozalekcyjnych, wycieczek czy konferencji. Najnowsze rozdanie wyraźnie zostało pomyślane jako asekuracja na wypadek wyborczej porażki, bo pieniądze będzie można wydać do końca przyszłego roku.

Ponadto po dwóch nieudanych podejściach do uchwalenia tzw. lex Czarnek wraca próba zamknięcia organizacjom pozarządowym drzwi do szkół i przedszkoli, przesyciona tragikomicznymi już obsesjami prawicy związanymi z „seksualizacją dzieci”. Przy okazji promocji najnowszego projektu „Chrońmy dzieci. Wspierajmy rodziców” – formalnie obywatelskiego, faktycznie autorstwa działaczy PiS – tym razem marszałek Elżbieta Witek opowiadała dziennikarzom o telefonie matki, której „zapłakany syn” miał się żalić, że w przedszkolu kazano mu się malować i przebierać za dziewczynkę (wcześniej o podobnych pisemnych skargach opowiadała małopolska kurator Barbara Nowak).

Z uchwaleniem przepisów „antyseksualizacyjnych” Zjednoczona Prawica może się nie zmieścić w planowanym harmonogramie, który zakładał wejście nowego prawa w życie



ILUSTRACJA PATRYK SROCYŃSKI

od września. Ale w Sejmie, w zaciśnięciu posiedzenia komisji, zaczęły się już prace nad projektem zaostrzającym kontrolę kuratorów nad szkołami niepublicznymi i umożliwiającym – w dość ogólnie określonych okolicznościach – wykreślenie placówki z rejestru i odebranie jej uprawnień, co jest inną hybrydą pierwotnego lex Czarnek. PiS wyraźnie wciąż liczy, że jeśli nie z jednej, to z drugiej strony niezależność szkół jeszcze podgryźć się uda.

Nie do uniknięcia będzie też zderzenie z kontynuacją przedmiotu historia i teraźniejszość, wychuchanego dziecka Przemysław Czarńka, wprowadzonego do pierwszych klas szkół średnich w kończącym się roku. Od września w drugich klasach nastolatki mają się uczyć o wydarzeniach lat 1980–2015. Na opinie ministerialnych rzeczoznawców czeka jeszcze zarówno kontynuacja niesławnego (usianego błędami, manipulacjami i stwierdzeniami typu „zbożenia europejskie” czy „kultura murzyńska”) podręcznika Wojciecha Roszkowskiego, jak i alternatywna propozycja Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych. Już dziś wiadomo jednak, że o ile na opracowanie zagadnień z pierwszej części programu hit, obejmującej lata powojenne, większość nauczycieli znalazła pewien *modus operandi* („uczymy po prostu historii najnowszej”), o tyle teraz będzie trudniej. W apogeum kampanii wyborczej zacznie się przecież omawianie dekad politycznie najważniejszych z punktu widzenia dzisiejszych przywódców PiS.

Jako osłode dla tych perspektyw rząd, po uzgodnieniach z NSZZ Solidarność, obiecał nauczycielom wypłatę jednorazowej nagrody w wysokości 900 zł z okazji 250-lecia Komisji Edukacji Narodowej, która to rocznica wypada w październiku, tuż przed planowanym terminem wyborów. A kilka dni później potwierdził zapowiadaną wcześniej podwyżkę płacy minimalnej do 4,3 tys. zł brutto. Jak szybko wyliczyli związkowi działacze, oznacza to,

że wedle Karty Nauczyciela wynagrodzenia zasadnicze początkujących i mianowanych nauczycieli znów znajdą się pod progiem najniższej krajowej – i to sporo, bo wynoszą dziś odpowiednio 3,69 tys. zł i 3,89 tys. zł brutto.

Jednocześnie pod rządami ministra Czarńka żaden z dotychczasowych problemów ani nauczycieli, ani uczniów nie został rozwiązany. Choć już dwa lata temu szef MEiN zapowiadał odroczenie przeładowanej podstawy programowej, w marcu tego roku doprecyzował, że będzie to możliwe od września 2024 r. Choć jednym z najpoważniejszych wyzwań ostatnich lat stało się przyjmowanie do polskich szkół dzieci obcokrajowców i wiadomo, że tak już pozostanie, nie wymyślono regulacji, które długofalowo pozwoliłyby się z tym zmierzyć. Z przeprowadzonej wiosną analizy Centrum Edukacji Obywatelskiej wynika, że 56 proc. ukraińskich dzieci uchodźczych, które przebywają w naszym kraju, nie chodzi do polskich szkół. Spośród nastolatków między 15. a 18. rokiem życia poza systemem jest 78 proc. (!). Teoretycznie uczą się po ukraińsku online, czwarty rok. Ale nikt tego nawet nie sprawdza.

Blizny po cięciach

Mimo zmiany przepisów i wymogu zatrudniania w szkołach liczniejszych specjalistów, m.in. psychologów i pedagogów specjalnych, w tej sprawie też nie ma wyraźnej poprawy. Według ankiety ZNP przeprowadzonej kilka miesięcy temu 30 proc. szkół nie zatrudniło pedagoga specjalnego, psychologa lub logopedy, a 21 proc. – pedagoga. Tam, gdzie specjaliści pracują (tyle, ile trzeba według nowych regulacji), i tak okazuje się, że to za mało. – *Próby samobójcze mieliśmy w ostatnich miesiącach „tylko” dwie na 400 uczniów. Ale jak przyszła wiosna i dzieciaki zdjęły długie rękawy, to okazało się, że jedna trzecia, może połowa, ma na rękach blizny po cięciach. Pedagog jest ►*

► *u nas cztery dni w tygodniu, a psycholog przez cztery godziny. Czyli jednemu wypada jeden dzień, a drugiemu jedna godzina na stu uczniów tygodniowo. Jak oni się mają o tych nieszczęśliwków zatroszczyć?* – pyta retorycznie nauczyciel z zespołu szkół technicznych na Śląsku.

Wielotysięczne luki kadrowe w oświacie nikogo już nie dziwią. – *U nas brakuje anglistów, pedagogów specjalnych, nauczycieli wspomagających i nauczycieli przedszkola* – opowiada Olga, nauczycielka z zespołu szkolno-przedszkolnego w Małopolsce.

Alicja Pacewicz, współzałożycielka Fundacji „Szkoła z Klasą”, wieloletnia działaczka na rzecz nowoczesnej edukacji, dodaje, że prawdziwym wyzwaniem staje się namówienie kogokolwiek do podjęcia się roli wychowawcy: – *To ogromnie obciążająca praca nie tylko ze względu na uczniów, ale też ich rodziców – część nauczycieli stara się ograniczać do minimum kontakty z nimi. Zwłaszcza że trudno występować w roli przedstawicieli systemu zmuszającego uczniów do kucia ponad siły, które nie tylko nie rozwija, ale wręcz zabija ciekawość, niszczy myślenie krytyczne i kreatywność. Stresuje i dzieci, i rodziców.*

SOS dla szkoły

Ale nie tylko marnotrawstwo, nepotyzm, demolka zaufania i sprawdzonych procedur w oświacie przez mijające osiem lat przybrały niespotykaną w historii skalę. Przewrotnym skutkiem ubocznym obłędnych poczynań PiS okazał się wysiłek i namysł nad edukacją uruchomiony w reakcji na tę destrukcję. Zaczęło się od rodzicielskich ruchów sprzeciwu wobec tzw. reformy Anny Zalewskiej (likwidującej gimnazja), przez powstanie społeczności takich jak nauczycielski Protest z Wykrzyknikiem przy okazji strajku, a skończyło na zaangażowaniu w debaty o przyszłości szkół kręgów eksperckich, organizacji pozarządowych i instytucji przez lata działających na bardziej ogólnych polach. Ostatecznie 40 stowarzyszeń, fundacji i ruchów zrzeszyło się pod wspólnym szyldem SOS (Sieć Organizacji Społecznych) dla Edukacji. Współtworząc kampanię Wolna Szkoła, wraz ze związkami zawodowymi i przedstawicielami samorządów, Sieć przyczyniła się m.in. do prezydenckiego weta pierwszej wersji lex Czarnek, które miało przekazać kuratorom niemal totalną kontrolę nad szkołami i zakazywać wstępu do nich NGOsom. – *Edukacja bezpośrednio dotyczy 4,6 mln uczennic i uczniów, plus ich rodziców, dziadków oraz 700 tys. nauczycielek i nauczycieli oraz członków ich rodzin – w sumie niemal połowy społeczeństwa. Ludzie chyba w końcu zaczynają to rozumieć, jak ogromne znaczenie ma ona dla naszego życia. I chcą, by politycy też to zauważyli* – ocenia Alicja Pacewicz, jedna z założycielek i koordynatorek SOS dla Edukacji.

SOS od miesiąca prowadzi rozmowy z politykami opozycji i udało się ich przekonać do poparcia dla kierunku zmiany szkoły, wskazanego w przygotowanym już w 2020 r. Obywatelskim Pakcie dla Edukacji. – *Przedstawiamy w nim 10 najważniejszych rekomendacji, takich jak decentralizacja i usamodzielnienie szkół, zwiększenie nakładów na edukację i zasadniczy wzrost nauczycielskich płac, przejście od nauczania szczegółowej wiedzy do kształtowania umiejętności kluczowych w XXI w. – rozwiązywania problemów, krytycznego myślenia. Proponujemy też, by odejść od oceniania i rywalizacji w kierunku współpracy i obywatelskiego zaangażowania, także w społeczności lokalnej* – wymienia Alicja Pacewicz. Na zorganizowanym w styczniu Szczycie Edukacyjnym przedstawiciele czterech ugrupowań prodemokratycznych (KO, Lewica, Polska 2050 i PSL) podpisali się pod tymi punktami. Wspierają opracowane przez SOS dla Edukacji propozycje na „nowe otwarcie” bezpośrednio po wyborach. Pod koniec marca politycy tych samych partii zgodnie

poparli też projekt ZNP o 20-procentowej podwyżce dla nauczycieli od lipca. Marszałek Sejmu Elżbieta Witek, co szczególnie nie dziwi, nie znalazła w sejmowym grafiku miejsca dla zaproponowanej ustawy.

Magdalena Kaszulanis, rzeczniczka ZNP, potwierdza, że coś się zmieniło. – *Zazwyczaj przed wyborami to my przychodziliśmy do polityków z apelami o zainteresowanie sytuacją nauczycieli. Teraz oni przychodzą, upominając się o palmę pierwszeństwa i autorstwo różnych inicjatyw. Przyszają, że wyborcy zwracają uwagę na tematy związane z edukacją, widzą, że to istotny problem społeczny.* Anna Schmidt-Fic, Protest z Wykrzyknikiem: – *Edukacja to temat, który świetnie nadawałby się na spoiwo dla opozycji. Ale kluczowe jest, żeby to liderzy ugrupowań zaczęli mówić o znaczeniu szkół, ich pracowników i uczniów.*

Na razie zrobił to Szymon Hołownia, przedstawiając propozycje nazwane Przyszłość+ jako pierwszą inicjatywę powołanej wspólnie przez Polskę 2050 i PSL Trzeciej Drogi. I pewnie raczej nie wzbudziłby kontrowersji pomysł podwyższenia wydatków na oświatę (w projekcie ustawy mowa o wzroście do 6 proc. PKB wobec obecnych niecałych 5 proc.) ani mająca za tym isć skuteczniejsza nauka angielskiego czy obowiązkowy ciepły posiłek w trakcie zajęć. Liderzy Trzeciej Drogi zaprosili jednak do konsultacji swojego projektu – w mało przemyślany sposób – oprócz partnerów z opozycji polityków PiS. Jakby przegapili, że lata ich „dokonań” w edukacji dowodzą, iż działacze tej partii nie są zdatni nic wartościowego w konsultacje wnieść, a zaproszenie do rozmów tylko ich uwiarygodnia. A potem Trzecia Droga obraziła się, że inni przedstawiciele opozycji nie chcą w konsultacjach uczestniczyć.

Jednym głosem

Alicja Pacewicz przyznaje, że wciąż marzy jej się, aby politycy partii prodemokratycznych mówili, przynajmniej o edukacji, jednym głosem. – *Nie ma takiej gwarancji, bo choć w kluczowych sprawach się ze sobą zgadzają, trudno teraz o wspólny front. Ale mimo wszystko widzę szanse.* Pytane przez nas posłanki Koalicji Obywatelskiej i Lewicy Krystyna Szumilas i Agnieszka Dziemianowicz-Bąk zapewniają, że ich partie w pierwszym planowanym budżecie uwzględnią poparte już 20-procentowe podwyżki dla nauczycieli.

Po latach tresury w niemocy nadzieję na zmianę najtrudniej znaleźć w samych szkołach. – *Boję się, że jeśli opozycja wygra wybory, wiele się nie zmieni. Że będą korzystać z tego, co wypracowali ministrowie PiS, aby realizować tym razem swoje wizje* – przyznaje Miłosz Kozikowski, 19-letni działacz społeczny i młodzieżowy. – *Uczniowie i nauczyciele muszą odzyskać zaufanie do władz oświatowych. Tego nie będzie bez godnych zarobków, decentralizacji uprawnień szkół, uwzględnienia głosu dzieci i młodzieży w tworzeniu lokalnej polityki oświatowej. Ale żeby to osiągnąć, trzeba dialogu i spotkań ekspertów, nauczycieli i młodzieży, a w Polsce nie mamy takich tradycji.*

Olga, nauczycielka z małopolskiej wsi, w rozmowach z koleżankami też zastanawia się, czy w polskiej szkole cokolwiek może się zmienić. – *Polityków opozycji zapytałabym, dlaczego od pierwszej klasy fundujemy dzieciom wyścig szczurów i co zamierzają z tym zrobić? Zapytałabym, czy ktoś znacznie sprawdzić kompetencje nauczycieli, zanim ich zatrudni? Czy będzie wsparcie dla tych, którzy się wypalają? Czy będzie autentyczna, a nie fikcyjna pomoc psychologiczno-pedagogiczna dla uczniów?* Ołdziej, 30-latkę, dziś trudno uwierzyć, że tego wszystkiego uda się jej doczekać. A wciąż jeszcze realny jest i ten scenariusz, że PiS po raz kolejny wygra wybory.

JOANNA CIEŚLA



ILUSTRACJA IZA KUCHARSKA

Nie jesteśmy pępkiem świata

Rozmowa z prof. Waldemarem Kuligowskim, antropologiem kultury, o tym, że nie istnieje jedyny „naturalny” sposób wychowywania, jedyny „naturalny” typ małżeństwa, i o tym, dlaczego strach przed współczesnością prowadzi do społecznych katastrof.

MIROSLAW PĘCZAK: – Ostatnio, jedna po drugiej, ukazały się trzy twoje książki: „Trzecia płęć świata”, „Małżeństwa świata” i „Domy świata”. Każda z osobna dotyczy niby odrębnęj problematyki, a jednak stanowią całość. Jak byś określił jej główne przesłanie?

WALDEMAR KULIGOWSKI: – Myślę, że to przesłanie zawarte jest we wstępie do drugiej z nich, poświęconę małżeństwom świata. Piszę tam, że żadna z tych książek nie jest i nie może być wyczerpującym katalogiem całej dostępnej wiedzy na temat płci, małżeństw czy domów, w jakich się żyje. To są raczej wprowadzenia do tych niezwykle szerokię zagadnień. Po drugie, bardzo ważne dla mnie było to, żeby nie popadać w egzotyęzację, tzn. żeby nie przedstawiać opisywanych przeze mnie zjawisk i ludzi jako jarmarku dziwów. Wybrałem taką narrację, jaka towarzyszyłaby mi w opisie moich sąsiadów. Zależało mi też na tym, żeby opisywać

teraźniejsze stany kultury, a nie to, co się działo dawno, dawno temu. No i wreszcie – po trzecie – moim celem było mądre uwrażliwianie na inne sposoby życia, inne sposoby odczuwania świata, a to z tego powodu, że mamy deficyt tego rodzaju uwrażliwiania, zarówno w programach nauczania od szkoły podstawowej, poprzez media, jak i całą debatę publiczną. Skupiamy się na czym innym, na rzeczach doraźnych, biejących, w związku z czym potrzebujemy spojrzenia, które wyposaża w pewien dystans.

W naszym tzw. kręgu kulturowym ścierają się ze sobą dwie tendencje: do jednorodności i do różnorodności. Można w tym widzieć konflikt między hołubionym przez autokratów porządkiem a uwznioślaną przez demokratów wolnością. Jak to się ma do dzisiejszej sytuacji w Polsce?

Już Maks Weber zwrócił uwagę na to, że świat nowoczesny opiera się w dużej

mierze na systemie biurokratycznym i na racjonalności. Regulaminy, przepisy, procedury mają być kluczowe. Dla Webera kwintesencją efektywnie działającej biurokracji była niemiecka poczta. Rzeczywiście wtedy, pod koniec XIX w. i w początkach kolejnego stulecia, pocztę niemiecką podziwiano na całym świecie. Mark Twain, który przez jakiś czas mieszkał w Berlinie, nie mógł się nachwalić sprawności tej instytucji. Napisał zresztą na jej temat tekst, jeden z niewielu poważnych w swoim dorobku.

Przywołuję ten przykład nie bez powodu. Przyjrzyjmy się bowiem, jak poczta działa w systemie biurokratycznym państwa PiS. To, że została zawłaszczona przez tę partię, jest jasne, ale została też wmanewrowana w 2020 r. w tzw. wybory korespondencyjne, to już inna sprawa. Zmieniono w związku z tym prezesa i do dzisiaj poczta boryka się z wielkimi długami, które sięgają prawie 70 mln zł. Dalej: kiedy ►

► wchodzimy na pocztę, widać, jaki tam jest asortyment. Niektórzy żartują, że dziś wejście na pocztę to jak wejście do zakrystii – mamy tam książki sygnowane nazwiskami księży, ludzi zakonnych, jest oczywiście Jan Paweł II na kalendarzach, pocztówkach, magnesach. Instytucja, która miała być służącą obywatelom wyspą przyjaznej biurokracji, stała się na naszych oczach dalece zideologizowana, włączona w świat polityki.

A do tego dochodzi zamiłowanie do centralizacji i przekonanie, że społeczeństwo jest jednym organizmem, jednolitą całością pozbawioną miejsc będących poza kontrolą.

Właśnie, to jest przypadek specyficznego myślenia organicznego, odległego od często przywoływanej dziś przez badaczy wizji społeczeństwa jako archipelagu. Owszem, wyspy archipelagu są jakoś połączone – np. poprzez język czy świadomość wspólnej przeszłości – ale stanowią autonomiczne, odrębne całości.



W „Trzeciej płci świata” opisujesz sytuację osób niebinarnych, homoseksualnych, transgenderowych w różnych społecznościach i tradycjach. Te dobrze znane antropologom fakty osławiania publicznie są jak prowokacja adresowana do naszej władzy, która pozostaje nieprzejednanym wrogiem LGBT+ i z tego powodu posługuje się osobliwym terminem „ideologia gender”.

Żadna z tych książek, także ta o płci, nie była pisana z intencją robienia skandalu. Ale wiem, że była ona tak właśnie odbierana. Skandal jest gdzie indziej. Przymiślnie niesławne słowa Andrzeja Dudy, wypowiedziane przez niego podczas ostatniej kampanii prezydenckiej: „Próbuje się nam, proszę państwa, wmówić, że to ludzie, a to jest po prostu ideologia”. I dalej: „jeśli ktoś ma jakiegokolwiek wątpliwości, czy to jest ideologia czy nie, to niech sobie zajrzy w karty historii i zobaczy, jak wyglądało na świecie budowanie ruchu LGBT”.

No więc gdybyśmy zajrzeli w te karty historii, to natrafilibyśmy nieuchronnie na nazwisko Margaret Mead, klasyczki antropologii i badań nad płcią. Młoda, ambitna kobieta, która już na studiach umyśliła sobie, że wyjedzie na badania terenowe. Mimo że wszyscy jej to odradzali, postawiła na swoim. W 1925 r. wyjechała na Samoa, gdzie przyglądała się dorastaniu młodych kobiet, no i okazało się, że jest to tak inny typ myślenia o dorosłości, seksie, związkach, że napisana potem

przez nią książka, adekwatnie zatytułowana „Dojrzwianie na Samoa”, wywołała gorącą debatę w USA.

Potem w ciągu następnych 15 lat Mead podróżowała do kolejnych społeczności, głównie w Oceanii, i to, co obserwowała, stało się ważnym przyczynkiem do myślenia o człowieku w ogóle. Badaczka trafiła do społeczności, które przypominały te zachodnie – były patriarchalne i skupione na męskości – ale też i do takich, które były niemal modelowo egalitarne, gdzie wymienność ról, prac, zajęć między mężczyznami a kobietami była dość uniwersalna i zależna od tego, kto co robi lepiej. Badała wreszcie społeczeństwa matriarchalne, zarządzane przez kobiety, gdzie dobra dziedziczyło się po linii żeńskiej. To wszystko sprawiło, że Margaret Mead stała się rzeczniczką przekonania, że jako gatunek, jako ludzie, jesteśmy bardzo plastyczni, kreatywni i niczego się nie da zamknąć w jednej ideologii, w jednym modelu czy w jednym scenariuszu. Nie istnieje coś takiego jak jedyny „naturalny” sposób wychowywania, jedyny „naturalny” typ małżeństwa. Do społecznie akceptowanych norm należą przecież związek jednej kobiety z co najmniej dwoma mężczyznami (poliandria), jednego mężczyzny z co najmniej dwiema kobietami (poliginia), małżeństwa dwóch kobiet (ginogamia)... Praktykuje się także małżeństwa „z duchem”, czyli osobą nieżyjącą, znane zarówno we wschodniej Afryce, jak i w III Rzeszy: 4 czerwca 1944 r. młoda Norweżka poślubiła w Warszawie zastrzelonego kilka dni wcześniej Franza Kutscherę, a było to tylko jedno z 25 tys. tego typu małżeństw zawartych podczas drugiej wojny światowej.

Małżeństwo i rodzina zdają się być w samym centrum uwagi dzisiejszej polskiej prawicy, ale w propagandzie, tak jak w kazaniach księży i homiliach hierarchów Kościoła katolickiego są to pojęcia jednoznacznie definiowane. Podstawą jest heteronorma niepodlegająca jakimkolwiek niuansowaniu. Skąd się bierze takie stanowisko,

bo chyba niekoniecznie z tradycji politycznej czy religijnej?

To jest bardzo trafne, a jednocześnie trudne pytanie. Znów zatem oprę się na twardych danych antropologicznych, które przekonują, że heteronorma nie tylko nie jest zasadą, ale jest w mniejszości. Peter Murdock zebrał dane dotyczące 853 kultur i okazało się, że wśród nich monogamię, związek jednego mężczyzny z jedną kobietą, traktowano jako naturalny i akceptowano społecznie oraz prawnie tylko w 137 z nich. Czyli tylko w 16 proc. znanych nam i opisanych kultur monogamia była normą. Współcześnie wygląda to tak, że w 58 krajach świata legalna jest także poliginia, czyli związek jednego mężczyzny z co najmniej dwiema kobietami w tym samym czasie.

Jak to zatem możliwe, że w naszej części świata ta heteronorma stała się obowiązująca? Jako argument na rzecz heteronormatywnej monogamii w opracowaniach naukowych wskazuje się kilka rzeczy. Po pierwsze to, że mniejszy odsetek nieżonatych mężczyzn przekłada się na niższe wskaźniki przestępczości (mężczyźni w związkach mniej się awanturują). Po drugie, że w takich związkach zwykle mniejsza jest różnica wieku między małżonkami (jeśli wchodzi z sobą w związek jedna kobieta i jeden mężczyzna, to najczęściej są w zbliżonym wieku). Po trzecie, ojcowie i matki chętniej inwestują w dzieci – mamy tu przekonanie, że naturalnym sensem małżeństwa jest prokreacja, a potem inwestycja w dzieci. No i wreszcie myśli się, że związek monogamiczny oznacza mniej konfliktów niż w związkach niemonogamicznych, ale od razu mogą zastrzec, że to nie znajduje potwierdzenia w innych danych, które dotyczą związków poligicznych, poliandrycznych czy jednopłciowych.

Tak ważne miejsce „normalnej rodziny” w przekazie publicznym służy polityce?

Oczywiście! W tym celu przecież powołano w 2021 r. Polski Instytut Rodziny i Demografii, z olbrzymim budżetem. I tenże instytut zaraz ogłosił, że będzie działał, nie zważając na prawodawstwo Unii Europejskiej, czyli będzie kolejnym ubijakiem heteronormy.

Ostatnia część twojej trylogii, ta poświęcona domowi, burzy nasze stereotypowe skojarzenia z domem.

Bardzo ważnym impulsem do zajęcia się tym tematem był czas pandemii i związany z tym zamknięcia w domach, które najpierw przyjęliśmy z entuzjazmem, czytając książki, oglądając seriale, pielęgnując rośliny... Ale po kilkunastu tygodniach okazało się, że dusimy się i chcemy jednak



Prof. dr hab. **Waldemar Kuligowski** (ur. w 1972 r.) – antropolog kultury. Kierownik Zakładu Antropologii Kulturowej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Wieloletni redaktor „Czasu Kultury”, w latach 2017–21 także redaktor naczelny.

Przewodniczący serii wydawniczej „Kultury popularne świata”, wydawanej przez Polskie Towarzystwo Ludoznawcze.

wyjść, nawet – uwaga! – do pracy. Drugim impulsem była eskalacja wojny w Ukrainie i obrazy ludzi, którzy musieli porzucić swoje domy albo ich domy po prostu przestawały istnieć po bombardowaniach. Putin wszak bombarduje domy, a nie koszary. I takie były początki, a potem przyszła refleksja nad znaczeniami przypisywanymi pojęciu domu – niezwykle zmiennemu i plastycznemu.

Przykładem niech będzie dom malijskich Dogonów. Jest on metaforą miłości, związku mężczyzny i kobiety: główne pomieszczenie przypisane jest kobiecie, a prowadzące do niego drzwi są męskim narządem płciowym. Cztery belki nośne wyobrażają ramiona mężczyzny i kobiety. Dwie z nich to ramiona kobiety podtrzymującej mężczyznę, dwie kolejne są jego ramionami, opierającymi się o polepę. Czy to nie urzekająca wizja? W centrum dogońskiej wsi buduje się tógu nà, czyli „dom słów”. Budynek kryje niski dach, uniemożliwiający przyjęcie pozycji wyprostowanej. W jakim celu? Mężczyźni gromadzący się w tógu nà podejmują ważne decyzje, sprzeczekając się nieraz gwałtownie między sobą – niski dach uniemożliwia im zrywanie się na równe nogi, utrudniając tym samym sięganie po przemoc. Często myślę w tym kontekście o polskiej Izbie Wyższej...

Dajakowie z Borneo wznoszą z kolei ogromne, wielorodzinne „szeregowce” na palach z drewna żelaznego, a pytani o sens zbiorowego życia pod jednym dachem odpowiadają: „Po prostu nie ma innego cywilizowanego sposobu życia”. Jak widać, ideologia indywidualizmu i własnego domku pod miastem nie jest ani uniwersalna, ani najbardziej etyczna, zwłaszcza dzisiaj. Co więcej, duma z miejsca zamieszkania może rodzić się w miejscach jakoby od tego najdalszych, takich jak kenijska Kibera, zwana największym slumsem świata. „My mieszkańcy nie nazywamy tego slumsem – przekonują jednak miejscowi. – To ludzie z zewnątrz tak to określili. Pierwszy raz to słowo pojawiło się w mediach. Nazwy slums używa się, żeby powiedzieć, że idzie się do biednego miejsca”.

Dom może być także w ruchu, co dla społeczeństw osiadłych brzmi jak oksymoron. Tak jest u Trawelersów w Wielkiej Brytanii i Irlandii, grupy częściowo pochodzenia rzymskiego, głównie złożonej jednak z ludzi wolnych, luźnych, artystów, takich, którzy niedobrze się czują, kiedy mają prowadzić życie zakorzenione. Ilu jest ich dziś, dokładnie nie wiadomo, dostępne dane operują liczbami od kilkudziesięciu tysięcy do pół miliona.

Trawelersi budzą w ludziach osiadłych coś na kształt paniki moralnej, oskarżani są o kradzieże, jak wszyscy ludzie wędrowni. A badania pokazują, że to ludzie kierujący się bardzo zwartym systemem wartości, z twardym podziałem na dozwolone i niedozwolone, skutecznym systemem opieki nad dziećmi czy zaleceniami w kwestiach odżywiania się.

Co znaczące, w 2000 r. rząd brytyjski przyznał im status odrębnej grupy etnicznej, podkreślając w uzasadnieniu, że Trawelersi są „spadkobiercami i strażnikami niezwykle archaicznego życia i zamieszkiwania w Europie”. Z tego wynika, że ludzie, którzy się przemieszczają, zamieszkują raz tu, raz tam; ludzie, dla których domem są przyczepy kempingowe, wany i kampery, reprezentują najstarszy sposób zamieszkiwania na naszym kontynencie, zaś my, ze stałym adresem, przyspawani przez pół życia, a nieraz i całe, do jednego miejsca, jesteśmy wtórni, przyszłiśmy później.

Pozwolę sobie przytoczyć twój ulubiony cytat z Kurta Vonneguta: „Już pierwszoklasista powinien zrozumieć, że jego kultura nie jest racjonalnym tworem, że istnieją tysiące innych kultur i wszystkie całkiem dobrze funkcjonują, że istnieje wiele alternatyw dla naszego społeczeństwa. To jest strasznie ekscytujące”. No właśnie – ekscytujące dla jednych, ale przerażające dla innych. Przekonujemy się o tym, obserwując debaty o wielokulturowości, także w kontekście tego, co się dzieje na granicy polsko-białoruskiej.

Wypowiem się teraz jak nieuleczalny belfer albo – jeśli ktoś woli – klerk: jestem przekonany, że wiedza może pozytywnie wpływać na rzeczywistość, że może zmieniać ludzi na lepsze. Zaledwie osiem miesięcy po bombardowaniu Drezna, co opisał w powieści „Rzeźnia nr 5”, weteran wojenny Vonnegut zapisał się na studia antropologiczne na uniwersytecie w Chicago. Twierdził, że to pozwoliło mu jakoś się pozbierać po wojennej traumie.

Antropologia nie jest zapewne lekiem na całe zło, ale wyposaża w pewien rodzaj dystansu i pozbawia nas tego, czego mamy, niestety, nadmiar w Polsce, czyli megalomanii. Nie jesteśmy pępkiem świata, nie mówimy najbardziej wyrafinowanym językiem, nasza kuchnia nie jest najsmaczniejsza na świecie, a polskie kobiety nie są najpiękniejsze pod słońcem. Jesteśmy przypadkiem wśród innych przypadków. Antropologia uczy, że istnieje wiele alternatywnych sposobów rządzenia sobie rzeczywistości, którą potem technicznie nazywamy kulturą.

Myślę, że gdyby tego uczyć może nie od pierwszej klasy, jak mówił Vonnegut, ale włączycy sensownie i systemowo w programy nauczania, to dramat na granicy polsko-białoruskiej mógłby się nie zdarzyć. To przerażające, że ludzie tam giną, że kilometr od Białowieży znajduje się ciało pochodzącej z Etiopii nauczycielki. To naiwne, jeśli ktoś nadal wierzy, że ogrodzenia zatrzymają ruch. Wszystkie dotychczasowe doświadczenia i poważne badania pokazują, że mury na granicy nie zatrzymują ruchu, powodują tylko, że nielegalne przekraczanie granicy staje się droższe dla tych, którzy chcą ją przekroczyć. I bardziej niebezpieczne.

Na przeciwległym biegunie do zacytowanego wcześniej myśli Vonneguta sytuowałby się zapewne sławny podręcznik „Historia i terażniejszość” Wojciecha Roszkowskiego...

Najpierw zwrócę uwagę na to, że książka prof. Roszkowskiego trafiła do sprzedaży w placówkach Poczty Polskiej, o której wspominaliśmy, co tworzy ładną klamrę dla naszej rozmowy. Bardzo wiele o tej książce powiedziano i ty sam przecież zanalizowałeś ją w POLITYCE.

Ta książka ma niewiele cech rzetelnego podręcznika, także w sensie metodyczno-dydaktycznym, a w dodatku napisana jest przez kogoś, kto się przestraszył współczesności. To jest ktoś, kto się boi krótkich spódniczek, głośnej muzyki, związków innych niż heteronormatywne, a na słowo gender reaguje paniką. Czy ktoś taki może objaśniać terażniejszość zawartą w tytule tego podręcznika? Nie rozumiejąc jej?

Czy nie jest tak, nawet w globalnej skali, że po dekadach ogólnej zgody na tolerancję wobec Innego rozpoczęła się epoka powrotu do społeczeństw zamkniętych i nieufnych?

Ja w tej sprawie zawieram mojemu ulubionemu filozofowi Richardowi Rorty’emu. W jednym ze swoich ostatnich tekstów, tuż przed śmiercią, Rorty napisał, że chyba jedyną kulturą przyszłości, którą możemy sobie wyobrazić, jest kultura praw człowieka. Wszelkie inne rozwiązania prowadzą do katastrof. To nie oznacza, że mamy na nowo zacząć wierzyć w jakąś nową wersję końca historii. Historia nigdy się nie skończy, a kultura praw człowieka zawsze będzie wymagała starań, troski i wiedzy. Wiedzy o tym, że ludzie nie są identyczni.

ROZMAWIAŁ MIROSLAW PĘCZAK



Nie tędy droga

Korki na szosie, tłok w pociągach, mordęga. Hel, Zakopane, Krynica Morska... Są w Polsce miejsca, które takie atrakcje mają wpisane w cenę. Da się to zmienić?

RYSZARDA SOCHA

Po majówce zawrzało w Krynicy Morskiej – z powodu remontu drogi 501, jedynego szlaku przez Mierzeję Wiślaną. Drogę zniszczono podczas budowy przekopu, z którego i tak nie ma pożytku. A tu główny kurort mierzei odcięty – gigantyczne korki w obie strony. Ludzie odwołują rezerwacje (POLITYKA 22). Po majówkowej drodze przez mękę, ten i ów miłośnik Mierzei Wiślanej odgrażał się, że zmieni kurs – pojedzie na Półwysep Hel. A tu co sezon jest ta sama, jeśli nie gorsza, bieda. Od lat. I to bez remontu drogi. Mimo biegnącej przez półwysep linii kolejowej.

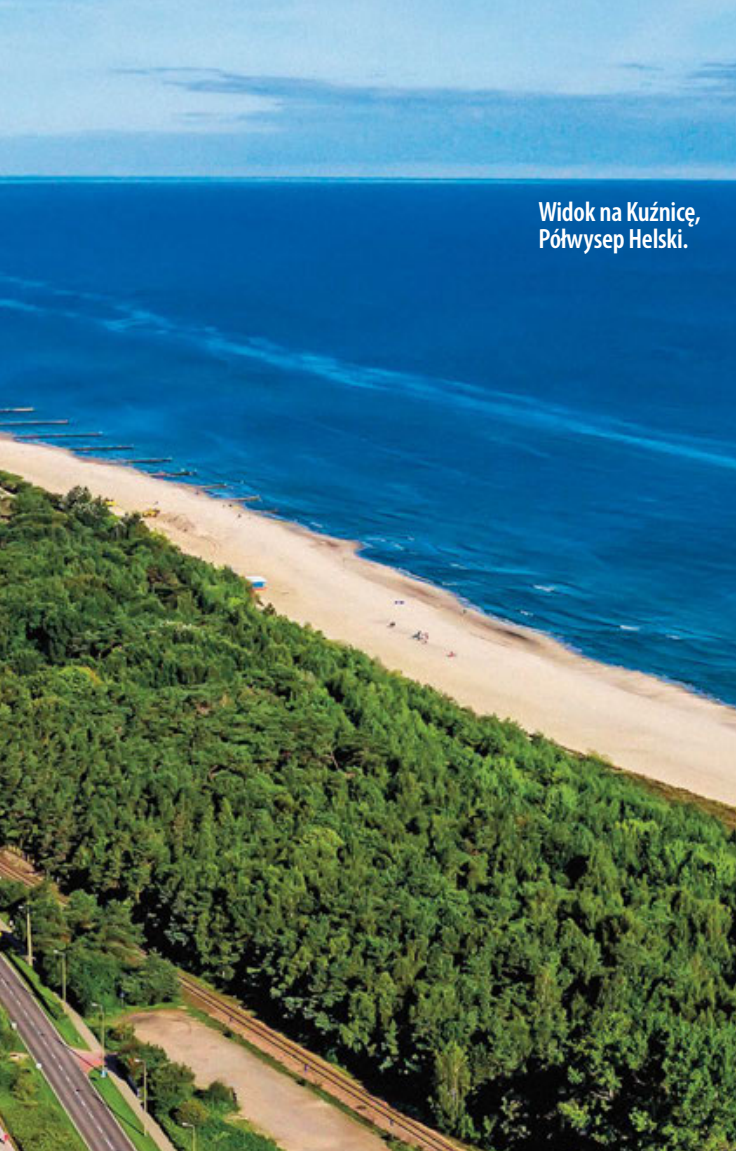
Modernizacja po modernizacji

Na zakopiance też są korki od zawsze. W związku z każdym większym najazdem ceprów, aby łatwiej było dojechać, a potem wyjechać, lokalne media publikują propozycje tras alternatywnych, pozwalających choć częściowo ominąć najgorsze odcinki. Np. osobom jadącym z Zakopanego na Nowy Sącz i Tarnów, żeby uniknąć zakorkowanej Białki Tatrzańskiej i Nowego Targu, radzą dojazd do Łysej Polany, przekroczenie granicy, 7 km drogą po Słowacji przez Javorinę i powrót do kraju w Jurgowie, stąd do Czarnej Góry i Trybsza, gdzie jest wyjazd na drogę wojewódzką 969. Ufff.

Jednak półwysep to półwysep. Zatoru nie ma jak ominąć. Latem ruch samochodowy na Półwyspie Helkim jest nieprzewidywalny.

Można utknąć na 3–4 godziny, choć to tylko trzydzieści parę kilometrów. W majówkę dojazd autem na Hel też łatwy nie był. A w pociągu już od Gdyni pełno ludzi, na przystankach po drodze nie wszyscy chętni zdołali się wcisnąć. Kolejarze mówią na to: niezabieralność. W Helu mieli piekło z niezabieralnością rowerów. Bo mnóstwo ludzi pojechało rowerem z zamiarem powrotu koleją, w dodatku o tej samej porze.

Na półwyspie króluje indywidualny transport samochodowy. W 2015 r. w okresie letnim natężenie ruchu we Władysławowie na drodze prowadzącej do Helu wynosiło ok. 15 tys. pojazdów na dobę. Przeliczono to na ok. 41 tys. osób. Na transport zbiorowy (kolej, autobusy) przypadało ok. 19 proc. przewozów. Od tego czasu ruch drogowy na pewno nie zmalał, raczej przeciwnie. Nadzieje skupiły się więc na linii kolejowej i na zapowiadanej przez kolej modernizacji odcinka Reda–Hel, która miałaby zwiększyć przepustowość. Notabene podobne nadzieje towarzyszyły remontowi, który zakończył się raptem w 2015 r. Ileż było zachodu i udręki w trakcie tej operacji. A finał? Największy portal branżowy Rynek Kolejowy konstatował w 2015 r., że prędkość maksymalna została zwiększona, czas przejazdu skrócony, jednak nie wybudowano ani jednej nowej mijanki, ani jednego nowego przystanku. „Efekt jest zatem taki, że z jednej strony na Półwyspie Helkim wciąż dzieją się dantejskie sceny w sezonie wakacyjnym, podczas którego



Widok na Kuźnicę,
Półwysep Helski.

tabor spalinowy zupełnie sobie nie radzi z gigantycznymi potokami podróźnych, a z drugiej strony – linia 213 jedynie w minimalnym stopniu uczestniczy w obsłudze codziennych dojazdów do pracy i szkoły w aglomeracji trójmiejskiej”.

W praktyce wygląda to tak: poza sezonem jest mało kursów (11) i nierzadko tłok. Latem kilka kursów dochodzi, ale tłok jest większy i permanentny, bo średnia liczba pasażerów na dobę rośnie trzykrotnie. Wtedy też na linii 213 pojawia się kilka pociągów dalekobieżnych, dowożących letników z głębi kraju do samego Helu. Na torach mają pierwszeństwo, więc jak się któryś spóźni (normalka), to potem ruch regionalny kuleje przez resztę dnia. Dalekobieżne na półwysep wożą więcej powietrza niż ludzi. Na krótkim dystansie się z nich nie korzysta z powodu cen biletów i miejscówek. I co z tego, że prędkość maksymalna została zwiększona, skoro stoi się na mijankach. Notorycznie. Skrócony czas przejazdów trzeba włożyć między bajki. Rozkład jest na papierze, a w praktyce ruletka.

– *Jeżdżące w sezonie 17–18 par pociągów to jest absolutne maksimum* – mówi o pociągach regionalnych podległych samorządowi województwa Mieczysław Struk, marszałek pomorski. – *Co gorsza pociągi nie mogą też być dłuższe, bo nie pozwalają na to perony. Długość przystanków na linii kolejowej 213 to 125 m, co oznacza, że mieszczą się przy nich maksymalnie składki sześciocłonowe.*

Perony zostały skrócone do tej długości w ramach wspomnianej modernizacji. Dziwne? Bezmyślne? Trudno o dobre słowo. A może te dłuższe składki przy dłuższych peronach coś

by załatwiły? Może pociągi dalekobieżne powinny kończyć kursy w Gdyni, nawet jeśli jeden z okolicznych burmistrzów wspomina, że przed wojną przyjeżdżały pociągi z Wilna i ze Lwowa. Ale też przed wojną, sławny malarz mieszkał w Juracie w skromnej, zatopionej w zieleni Kossakówce, na wydmach zaś rosły trawy, a nie wypasione apartamentowce po 64 tys. zł za metr kw.

Kuźnica się broni

Remedium na dojazdowe bolączki ma być kolejna modernizacja linii, z ewentualną elektryfikacją. Pomysł wywołał opór mieszkańców małej (500 osób) Kuźnicy, która zachowała charakter wsi letniskowo-rybackiej (większość domów nie ma więcej niż jedno piętro, zero hoteli). Kuźniczanie bronią się przed wzięciem w dwa ognie. Bo z jednej strony Urząd Morski chce im wybudować mur chroniący przed powodzią, ale zabierający widok na zatokę. A z drugiej strony spółka PKP PLK, zawiadująca kolejową infrastrukturą, chce przez całą miejscowość, na odcinku 2 km, zbudować drugi tor, żeby pociągi miały mijankę. Wtedy w sezonie mogłoby jeździć tędy 55 par pociągów na dobę.

– *Kolej ma kilka wariantów, ale skupia się na jednym, tym najmniej korzystnym dla nas. I od początku go forsuje* – relacjonuje Bogna Konkel ze Stowarzyszenia Miłośników Kuźnicy. – *Jedyną miejscowością, która zostanie uszkodzona, ma być Kuźnica* – dorzuca Elżbieta Włodarska. – *Bo w obrębie Helu-Boru też przewidziano dwutorowość, ale tam nie ma miejscowości. Sama kolej pisze o zniszczeniach krajobrazu, że nastąpią prześwity, czyli w ogóle nie będzie lasu pomiędzy torami a morzem.*

Niewiele tu tego lasu, bo akurat między Chałupami a Kuźnicą półwysep jest najwęższy (ok. 200 m szerokości). Właśnie w tym rejonie w 1983 r. morze przelało się do zatoki. Działacze stowarzyszenia pokazują, jak blisko drogi i torów są domy, jak mało wolnej przestrzeni, jak łatwo oszpecić urokliwe wczasowisko. A gdyby doszła do skutku elektryfikacja linii, to w Kuźnicy miałyby też stanąć stacja transformatorowa. Mieszkańcy na razie wywalczyli jej przesunięcie w inne miejsce, by obronić przed wycinką kilkaset metrów kwadratowych lasu. Ale oznacza to uszczuplenie ostatnich wolnych działek, które władze gminy rezerwowały pod budowę domów dla młodszego pokolenia kuźniczan. – *Mamy ponieść koszty, nie dostając nic w zamian* – wtóruje koleżance Tomasz Kowalski. – *Hel jest zainteresowany rozbudową linii, bo tam ciężko dojechać, a mają dużo turystów jednodniowych. We Władysławowie plaże są przepełnione, część turystów wsiadłaby w pociąg i przyjechała do nas. A nasi goście cenią sobie ciszę i spokój.*

Tyberiusz Narkowicz, burmistrz Jastarni, do której administracyjnie należy Kuźnica, zgadza się z mieszkańcami. – *Kolejarze poszli w zaparte, w ogóle nie biorą pod uwagę naszych argumentów. Mówią, że to jest dla nich optymalne ze względów technicznych. Zachowują się trochę jak państwo w państwie* – mówi. Dobre miejsce widzi niedaleko – między Kuźnicą a Jastarnią. Co więcej, są tam tereny należące do kolei. Wcześniej były wczasowe wagonowe, teraz domki wczasowe. – *To miały być tereny na rozbudowę kolei, a nie na wypoczynek* – przypomina burmistrz.

Co do elektryfikacji linii, jest za. Bo będzie można wpuścić na tory pojemniejsze składki szybkiej kolei miejskiej. A do słupów trakcyjnych ludzie się przyzwyczają. Z kolei Jarosław Pałkowski, zastępca burmistrza Helu, byłby za elektryfikacją od Redy do Władysławowa. Dalej ma już wątpliwości – słupy, wycinka drzew, czy to gra warta świeczki?

Samorząd województwa, jako organizator przewozów regionalnych, w 2019 r. wysupłał pieniądze dla PKP TLK, by przygotowała dokumentację dotyczącą modernizacji linii. – *Niestety, najnowszy rządowy dokument, jakim jest Krajowy Program* ▶

► *Kolejowy do 2030 r., umieścić tę inwestycję jak i wiele innych projektów kolejowych w naszym województwie na liście rezerwowej – mówi marszałek Struk. – Oznacza to, że przy tym rządzie jeszcze przez wiele lat będziemy mogli tylko marzyć o realnym polepszeniu komunikacji w rejonie półwyspu.*

Limity to profity

Z jednej strony niedobrze, że rząd nie kocha Pomorza, z drugiej jest trochę czasu, by różne kwestie przemyśleć. Kuźnica walczy o siebie, ale tak się składa, iż jej interes jest zbieżny z interesem tego szczególnego, wrażliwego obszaru, jakim jest Półwysep Helski. Obszaru o ograniczonej pojemności. Niestety, nie ma wzoru, który pozwala ją wyliczyć matematycznie. Ale sądząc po różnych ingerencjach człowieka w tutejsze środowisko, już dawno została ona przekroczona (kempingi powiększane przez zasypywanie Zatoki Puckiej, samochody stojące na każdym wolnym skrawku, przeskalowane budynki). Turyści, nawet jeśli nie zawsze zdają sobie z tego sprawę, przyjeżdżają na Hel dla krajobrazów, połączenia morza, piasku i zieleni, dla przyrody, coraz bardziej dewastowanej, rozjeżdżanej, rozdeptywanej przez nich samych.

Departament turystyki w Pomorskim Urzędzie Marszałkowskim w Gdańsku od 2017 r. regularnie zbiera informacje o miejscach noclegowych. W sumie województwo oferuje 334 tys. miejsc w 15,3 tys. obiektach. Tylko od 2019 r. do 2023 r. liczba obiektów wzrosła o 6180, a miejsc noclegowych o ponad 116 tys. Ile tego przypada na Półwysep Helski? Z grubsza biorąc – ponad 5,1 tys. obiektów i ponad 112 tys. miejsc. Część tej bazy istniała już wcześniej w szarej strefie i ujawniła się w reakcji na bon turystyczny. Ale i tak te liczby robią wrażenie. A to nie wszystko, część kwaterydawców nadal przyjmuje po cichu. A są jeszcze goście jednodniowi. Sam Hel (2835 mieszkańców) latem ma dziennie 6–7 tys. turystów pobytowych. Ale gdy się zachmurzy, to przyjeżdża tu nawet 20 tys. dziennie – szacują w helskim magistracie.

Marta Chełkowska, dyrektorka departamentu turystyki w urzędzie marszałkowskim, z zachwytem wspomina pobyt w litewskiej części Mierzei Kurońskiej. Jest tam park narodowy. Aby ograniczyć ruch samochodów za wjazd na mierzeję, wprowadzono opłaty, zróżnicowane zależnie od pory roku. Dla aut osobowych wahają się one od 5 do 20 euro. Mierzeją kursują autobusy, a koszt przejazdu po całej trasie jest niewielki. Z kolei w Niemczech na półwyspie Fischland-Darss-Zingst indywidualny transport samochodowy ograniczono poprzez zwiększenie roli kolei i autobusów. Do tego półwyspu dojeżdża się pociągami, a dalej do poszczególnych miejscowości autobusami. Alternatywą jest transport morski (22 trasy). Oba przykłady znalazły się w opracowanej w 2018 r. przez urząd marszałkowski „Koncepcji obsługi transportowej Półwyspu Helskiego”.

Na wprowadzenie różnych ograniczeń zdobył się oblegany przez turystów Tatrzański Park Narodowy. Żeby wjechać na któryś z parkingów w rejonie Morskiego Oka, trzeba wykupić bilet przez internet (75 zł za dzień postoju auta). Nie ma biletu, nie ma wjazdu. Limity wejść (400 osób na godzinę) wprowadził Park Narodowy Gór Stołowych. Coraz więcej miejsc atrakcyjnych turystycznie stawia warunki. Do szwajcarskiego Zermatt można dojechać tylko koleją. Na włoską wyspę Procida nie wjedzie się samochodem lub motorem, a na Giglio autem będą mogli wjechać turyści, których pobyt na wyspie wyniesie minimum 4 dni.

Dyskusje, co zrobić z komunikacją na Helu, trwają na Pomorzu już od 20 lat, albo i dłużej. Ale wciąż bez efektów. Może dlatego, że w grę wchodzi decyzje niepopularne zarówno dla turystów, jak i mieszkańców, którzy z turystyki żyją. Do tego półwysep jest rozparcelowany na trzy gminy mające różne interesy i władarzy z różnymi punktami widzenia. Zawsze znajdzie się jakaś

przeszkoda, powód by czekać. Teraz bez „zwiększenia przepustowości linii kolejowej” ani rusz. Tymczasem w perspektywie jest budowa Via Maris, drogi z gdyńskiego portu do Władysławowa i dalej, niezbędnej m.in. ze względu na okoliczne morskie farmy wiatrowe. Przy okazji ułatwi ona dojazd do półwyspu i nasili samochodową presję na ten obszar.

Może źródłem niedrożności Półwyspu Helskiego paradoksalnie jest zbyt łatwa dostępność.

Martwość zatoki

O rzęzącej, zaniedbanej komunikacji autobusowej, dzięki której po modernizacji można by zmniejszyć presję samochodów osobowych, nikt się nawet nie zająknął. Alternatywa morska padła z braku pieniędzy. Przez kilka lat (2006–13) z Gdyni, Gdańska, Sopotu regularnie kursowały do Helu i Jastarni tzw. tramwaje wodne dofinansowywane przez samorządy. Przewiozły łącznie ok. 3,5 mln pasażerów. Bilet był tani (10 zł), czas podróży atrakcyjny (z Gdyni do Helu w godzinę). – *Jak to działało, to ludzie i do pracy zaczęli pływać* – wspomina dyrektor Chełkowska. – *Niestety tramwaj kursował za rzadko w porównaniu z potrzebami.*

Można to było dopracować, ale zarzucono. Pierwszy sygnał do odwrotu dał Hel. Wiceburmistrz Pałkowski pamięta, że skokowo wzrosły koszty z 200 do 700 tys. zł rocznie, był kryzys... Za Helem poszły inne samorządy. – *Na drogach korki, kolej nie działa, jak powinna, a zatoka jest martwa transportowo* – mówi Rafał Walczak, prezesiębiorca z Helu. Pamięta statki przywożące do Helu po kilka setek turystów. Handlujący korzystali, gastronomia korzystała. – *Przecież część z tych pieniędzy w postaci podatków wracała do kasy urzędów gmin. Ale urzędnicy mówili: oni nam tu przywożą śmieci. Tylko koszty widzieli.*

Walczak i jego wspólnik kupili niewielki katamaran. Może zabrać 56 osób i 20 rowerów. Pływają regularnie między Jastarnią a Rewą, dobrze skomunikowaną z centrum Gdyni. Woleliby pływać do Gdyni, ale jednostka jest trochę za mała. Wykonują po cztery rejsy dziennie w obie strony, bez względu na to, czy jest komplet czy nie ma. Ale połączenie z Rewą, a nie z Gdynią, i 45 zł za bilet, czynią z ich statku bardziej atrakcyjną atrakcją turystyczną niż środek transportu. – *Żegluga mogłaby częściowo rozwiązać problem komunikacji z półwyspem bez rozbudowy infrastruktury. Bo wody nie trzeba remontować, nie trzeba na niej pasów malować. Są nowe katamarany, hybrydowe, energooszczędne, doładowywane na baterie słoneczne* – mówi Walczak. Mogłyby kursować jak niegdyś do Trójmiasta.

Mogłyby też połączyć w pierścień małe porty i przystanie wokół Zatoki Puckiej. Jednak dziś budżety samorządów, wydrenowane na różne sposoby, nie pozwalają na takie rozwiązania. I może to nie samorządy powinny dźwignąć ten ciężar, ale rząd, odpowiedzialny za budowę i remonty dróg oraz kolei. Sprawna komunikacja wodna wraz z autobusową pozwoliłaby ograniczyć do niezbędnego minimum ingerencję w infrastrukturę kolejową półwyspu i zaoszczędzić na związanych z tym wydatkach. To sensowne, bo chodzi raptem o dwa miesiące w roku.

Tu akurat nie trzeba niczego przekopywać, betonować, odmulać, nie byłoby zniszczonej drogi i konieczności wydania kilkudziesięciu milionów złotych na jej naprawę, jak na Mierzei Wiślanej. Ale może to w oczach obecnej władzy centralnej nie atut tylko słabość rozwiązania? Brak okazji do przecinania wstęg?

Sercu samorządowców helskich też chyba bliższe są „twarde” rozwiązania. Zwłaszcza gdy pozwalają odkładać w nieskończoność trudne, niepopularne decyzje i nie wciskać hamulca turystyce, a właściwie wszechobecnym samochodom. Tylko jak długo Półwysep Helski to wytrzyma?

RYSZARDA SOCHA

Lęk bezdomny

Nad uchodźcami zawisła groźba podwójnej bezdomności: musieli opuścić swoje domy w Ukrainie i mogą stracić dach nad głową w Polsce.

ZBIGNIEW BOREK

Les Gondor w swoim hotelu Mieszko, w części przerabianej na aneksy mieszkalne dla Ukraińców.

Od lat brakuje wystarczającej liczby mieszkań, kupno i wynajem są koszmarnie drogie, ale rząd uznał najwyraźniej, że jako to będzie i rynek mieszkaniowy wchłonie jeszcze milion uchodźców. Jakoś to nie będzie, zwłaszcza że pogarsza się nastawienie Polaków do uchodźców – odpowiadają eksperci i przedstawiciele organizacji pomocowych.

– Nie powinni w nieskończoność żyć w miejscach zbiorowego kwaterunku – mówi Les Gondor, który zamienił swój hotel w dom dla uchodźców. Teraz idzie o krok dalej: przebudowuje jego część na aneksy mieszkalne. Na jeden liczy Anna, sklepowa z Iwanofrankowska. W hotelowym pokoju mieszka z dwójgim dziećmi i niepełnosprawnym mężem: – *Aneks z kuchnią i łazienką to marzenie.*

Obywatele hotelu

Nad ranem 24 lutego 2022 r. Putin najechał ich kraj, po południu siedzieli w samochodzie w drodze do Polski. – *Byłam w ciąży, bałam się strasznie* – wspomina Anna. Wybrali Gorzów Wielkopolski, gdzie od kilku lat żyła i pracowała jej teściowa. Nie mogła jednak pomieścić ich u siebie: wynajmowała niewielkie mieszkanie z sześcioma Ukrainkami, trafili więc do hotelu Mieszko. Les Gondor utworzył w nim miejsce zbiorowego zakwaterowania. Też był uchodźcą, lecz ekonomicznym: w 1977 r. jako 20-latek wyjechał z Polski Ludowej do Szwecji ze sztangą

papierosów (tyle mógł wwieźć) i 10 dol. w kieszeni. Do końca życia będzie pamiętał strach w oczach uchodźców z Ukrainy, którzy docierali do Mieszka w pierwszych dniach wojny: – *Niemal same kobiety z dziećmi, trochę osób w podeszłym wieku, niepełnosprawnych. Mieli przy sobie walizkę czy dwie, nie wiedzieli, co ich czeka, chyba nie wierzyli, że chcemy im pomóc, i to za darmo.*

Dzięki ogromnej mobilizacji polskiego społeczeństwa i Ukraińców, którzy przybyli do naszego kraju przed 24 lutego 2022 r., uchodźcy i uchodźczynie niemal od razu znaleźli tymczasowy dach nad głową. Wielu trafiło do finansowanych przez rząd ośrodków zbiorowego zakwaterowania, swoje obiekty udostępniały samorządy i prywatni właściciele. Les Gondor stopniowo zamieniał siedmiopiętrowy hotel na 328 miejsc w dom dla 328 uchodźców (łącznie przewinęło się już ponad tysiąc). Na początku było to kilkanaście osób, potem kilkadziesiąt, aż stanowili 70 proc. gości i trzeba było zrezygnować z tych, którzy płacą za siebie i wymagają standardów hotelowych, nie domowych. Od kwietnia 2022 r. Mieszko nie miał już klientów, lecz mieszkańców. Korzystają z wyżywienia (trzy posiłki i deser), lekcji polskiego, wsparcia psychologa i prawnika. W pomoc pod hasłem „Mieszko dla Ukrainy” zaangażowali się mieszkańcy Gorzowa i całego kraju, także znani i lubiani: Janda, Barciś, Żak, Małysz, Bajor, Rusinek, Waglewski. Agnieszka Holland nazwała ten hotel arką Noego.

– *Polacy prezentują fantastyczną postawę w sprawie Ukraińców. Mnóstwo dają z siebie i od siebie, ale tej energii i mocy ubywa. Proszę mnie dobrze zrozumieć: absolutnie nie mam nikomu za złe, wojna trwa tyle miesięcy, że zasoby się wyczerpują. My też musimy oszczędzać każdy grosz – mówił Gondor reporterowi jesienią, na progu sezonu grzewczego. Rachunki za ogrzewanie hotelu podskoczyły o ponad 600 proc., za prąd o 250 proc. Dotacje rządowe (najpierw 125 zł, później 70 zł na osobę) nie wystarczały, datki pomogły przetrwać zimą, ale biznesmen wykładał też własne pieniądze: – Przed wojną planowaliśmy jednej z córek postawić dom, ale są sprawy ważne i ważniejsze.*

Obie córki, syn i żona też pomagają w hotelu. Jak trzeba, pół Polski jadą bussem po towar, ostatnio po 2,5 tony makaronu w dobrej cenie. Rodzina żyła się z uchodźcami, obchodzi z nimi święta, rozwiązuje domowe problemy (dzieciaki nabroją, dorosłych też trzeba nieraz przywołać do porządku). Mieszkancki Mieszka zdążyły już urodzić dziewięć dzieci, jednym z nich jest Viktoria, córka Anny z Iwanofrankowska (jako „obywatelom hotelu” właściciel gwarantuje im dożywotnio darmowy pobyt, po wojnie też). Niektórzy uchodźcy się usamodzielnili, znaleźli pracę, wynajęli mieszkanie, inni wrócili do siebie lub wyjechali na Zachód, głównie do Niemiec. Gondor: – *Tam mają za darmo kontenerowe mieszkania i systemowo uczą się języka, bo to korzystne dla obu stron. U nas niemal wszystko spada* ▶

► *na barki społeczników i organizacji pomocowych, choć wielu uchodźców zostanie w Polsce na dłużej albo na zawsze.*

Przepis na bezdomność

43 proc. spośród 2,5 mln obywateli Ukrainy (1,5 mln migrantów sprzed wojny i 1 mln uchodźców) chce się ubiegać o polskie obywatelstwo, połowa o zezwolenia na pobyt, 40 proc. zamierza pozostać u nas przynajmniej na rok lub kilka lat – wynika z raportu „Obywatele Ukrainy w Polsce i na polskim rynku pracy. Nowe wyzwania i perspektywy” (badanie socjologiczne 500 osób od 4 do 13 marca prowadziła Platforma Migracyjna i Fundacja EWL oraz Studium Europy Wschodniej UW).

67 proc. obywateli Ukrainy w Polsce to kobiety (wśród uchodźców aż 92 proc.), co druga osoba z tej populacji nie ukończyła 36. roku życia i przyjechała do naszego kraju z dziećmi do 18. roku życia. Zaledwie 4 proc. stanowią osoby w wieku poprodukcyjnym. 56 proc. ma wykształcenie wyższe lub niepełne wyższe, co trzeci zawodowe. Według ekspertów stanowią olbrzymi potencjał: w dłuższej perspektywie mogliby odciążać polski system emerytalny i uzupełnić luki w deficytowych zawodach.

Do tego potrzeba efektywnego zarządzania polityką migracyjną, im dalej jednak od wybuchu wojny, tym wyraźniej widać jej braki. Ponad trzy czwarte Ukraińców wykonuje pracę zarobkową, ale aż dwie trzecie poniżej swoich kwalifikacji. Pracy szukają głównie na własną rękę, przez znajomych i w mediach społecznościowych, bo np. na aktualizowaną krajową platformę ofert nie mogą liczyć. Co trzeci dobrze lub bardzo dobrze posługuje się językiem polskim, ale co drugi chciałby łatwiejszego dostępu do kursów językowych. 43 proc. obywateli Ukrainy mieszkających w polskich miastach powyżej 50 tys. mieszkańców deklaruje gotowość przeprowadzki do mniejszych, jeżeli będzie tam praca i dobre warunki dla rodziny, ale odgórnej relokacji jak nie było, tak nie ma.

Zamiast sięgać po precyzyjne (i sprawdzone) instrumenty, obóz rządzący użył siekiery: obciążył uchodźców kosztami zbiorowego kwaterunku. Od 1 marca po 120 dniach od przyjazdu do Polski mają pokrywać 50 proc. kosztów (nie więcej niż 40 zł dziennie), od 1 maja po 180 dniach – 75 proc. (nie więcej niż 60 zł dziennie). Uchodźcom już wcześniej się nie przelewało: z raportu „Obywatele Ukrainy w Polsce...” wynika, że zanim nowe przepisy weszły w życie, na opłacenie wydatków związanych z pobytem w Polsce co piąty wydawał ostatnią złotówkę, co czwartemu zostawało do 500 zł miesięcznie, ponad

połowa wysyłała też pieniądze bliskim w Ukrainie albo wspierała walczącą armię. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji oszacowało jednak, że połowa zakwaterowanych znalazła zatrudnienie i „powinni dołożyć się do kosztów”.

W ocenie Konsorcjum Migracyjnego (skupia dziewięć organizacji społecznych) rządowe stawki są zawyżone: miesięczny koszt (bez zniżek) to 2,4 tys. zł za jedną osobę, 7,2 tys. zł za trzyosobową rodzinę. „Czy pobyt w miejscach zakwaterowania zbiorowego naprawdę tyle kosztuje?” – pyta konsorcjum, bo takie miejsca zapewniają „bardzo niski standard życia – w zasadzie łóżko na wielkiej sali, czasem oddzielone od innych łóżek prowizoryczną zasłonką i jakieś wyżywienie”. Mieszko może się wydawać luksusem, ale na terenie Ptak Warsaw Expo w Nadarzynie momentami mieszkało 9 tys. osób, większość na łóżkach polowych w boksach. Opłaty nie są uzależnione od dochodów, nie obejmują m.in. niepełnosprawnych, kobiet w ciąży i dzieci oraz „osób w trudnej sytuacji”, ale brakuje kryteriów tej „trudnej sytuacji”, eksperci wskazują też inne luki nowych przepisów. – *Co z osobami, których nie będzie stać na pokrycie opłat, a jednocześnie nie kwalifikują się do zwolnienia z nich? Czy dojdzie do eksmisji i jeśli tak, kto ją przeprowadzi i gdzie zamieszkają eksmitowani? Wciąż nie znamy odpowiedzi* – mówi Sarian Jarosz z konsorcjum.

Gorsze nastroje

„Nikomus nie zależy na tym, aby te regulacje pozbawiły kogokolwiek dachu nad głową. Te regulacje mają charakter motywacyjny” – przekonywał Paweł Szefernaker, wiceminister i pełnomocnik rządu ds. uchodźców z Ukrainy, ale organizacje pomocowe od razu były na alarm, że chodzi o podstawową pomoc humanitarną, która powinna być darmowa. Konsorcjum Migracyjne powoływało się na dyrektywę o ochronie czasowej: nakazuje państwom członkowskim UE zapewnić spełniającym wymogi uciekinierom z Ukrainy „dostęp do odpowiedniego zakwaterowania oraz, gdzie konieczne, niezbędne środki do uzyskania zakwaterowania”. Przez miejsca zbiorowego kwaterunku w naszym kraju przewinęło się pół miliona uchodźców, obecnie żyje w nich 80 tys. – to dowód, że ci, którzy stają na nogi, zwykle się wyprawdzają. – *Zostają tylko ci, którzy nie mają pracy i perspektyw na jej szybkie znalezienie, nie stać ich też na wynajęcie własnego mieszkania. Brakuje kompleksowych rozwiązań, które pozwoliłyby takim osobom usamodzielniać się mieszkaniowo, tanich hosteli i alternatywnych miejsc,*

w których mogliby zamieszkać na krótszy i dłuższy czas, a wysokie i wciąż rosnące ceny najmu mieszkań stanowią nieprzekraczalną barierę – mówi Jarosz.

W czwartym kwartale 2022 r. ceny najmu mieszkań w Warszawie wzrosły o 18 proc. w stosunku do roku poprzedniego, w Krakowie i Łodzi o 19 proc., 2023 r. przyniósł kolejne podwyżki – także wynikające z inflacji kosztów utrzymania mieszkań. Na zasadach rynkowych uchodźcy i uchodźczynie wynajmują 200 tys. mieszkań (dane Instytutu Rozwoju Miast i Regionów), a w dużych miastach 4–5 tys. zł plus miesięcznie nawet za małe lokum nie jest już wyjątkiem. NIK tymczasem wskazuje, że wsparcie mieszkaniowe dla osób bez zdolności kredytowej jest ubogie: „W ostatnim ośmiu latach udział mieszkań, które służyłyby potrzebom osób o przeciętnych i niskich dochodach, stanowił średnio jedynie 2,5 proc. nowych zasobów mieszkaniowych. W 2020 r., w porównaniu do 2018 r., wzrosła liczba osób deklarujących problemy mieszkaniowe (z 44 proc. w 2018 r. do 63 proc. w 2020 r.)”. Dane sprzed wojny nie uwzględniają siłą rzeczy uchodźców, a konsorcjum ostrzega, że opłata partycypacyjna zwiększa ryzyko ich bezdomności.

Czas pracuje na ich niekorzyść, bo mamy już do czynienia z wypaleniem pomocowym i zmianą nastrojów społecznych. Większość badanych (85 proc.) nadal uważa, że Polska powinna pomagać Ukrainie w czasie wojny z Rosją, podobnie jak uchodźcom (78 proc.), ale ubywa wyznających takie poglądy „zdecydowanie” – wynika z badań „Społeczna percepcja uchodźców z Ukrainy, migrantów oraz działań podejmowanych przez polskie państwo”. To cykliczny projekt LAB-u badawczego Uniwersytetu Warszawskiego i Akademii Ekonomiczno-Humanistycznej w Warszawie. Raport z przełomu maja i czerwca pokazuje, że po raz pierwszy większość Polaków (55 proc.) jest przeciwna zwiększaniu pomocy dla Ukrainy, ubywa też zwolenników osiedlania się uchodźców w Polsce na stałe (21 proc.), a przybywa tych, którzy uważają, że po wojnie powinni wrócić do siebie (68 proc.). W ciągu ostatniego roku aż o 29 pkt proc. (z 20 do 49 proc.) przybyło osób, które uważają, że państwo polskie nie powinno płacić za wikt i kwaterek uchodźców („za” opowiada się tylko 23 proc.). Wprawdzie nadal większość Polaków (67 proc.) postrzega uchodźców z tego państwa pozytywnie, ale osób o takich poglądach ubywa (przez ostatnie pół roku aż o 13 pkt), a przybywa (z 8 proc. do 13 proc.) respondentów, którzy są przeciwnego zdania.

„Niejednokrotnie docierały do nas sygnały o niechęci wynajmowania mieszkań osobom z doświadczeniem uchodźstwa z Ukrainy” – informuje Amnesty International. „Bardzo często nie ma umów zawieranych pisemnie, są tylko takie umowy ustne i bardzo często dochodzi do otwartych nadużyć prawa ze strony właścicieli, którzy wchodzą do tych mieszkań, mimo że nie powinni wchodzić, zastraszają Ukrainców, że mają się wyprowadzić albo w trakcie miesiąca podwyższają czynsze” – mówi Beata Siemieniako, prawniczka i aktywistka, cytowana przez Amnesty International. W majowym raporcie o sytuacji mieszkaniowej Ukrainców organizacja też dostrzega wzrost zagrożenia bezdomnością. Hanna Milewska-Wilk, ekspertka Instytutu Rozwoju Miast i Regionów: – *Organizacje pomocowe wciąż stają na wysokości zadania, lecz brakuje koordynacji w skali kraju i czytelnych przepisów. Pomoc w kryzysie bezdomności jest finansowana przez gminy, a dla uchodźców przez wojewodów. Nie wiadomo, kto zapłaci za osobę z Ukrainy, która trafi do schroniska dla bezdomnych.*

O tym, że to nie teoria, przekonuje Adriana Porowska, prezeska Kamilińskiej Misji Pomocy Społecznej w Warszawie (prowadzi schronisko i mieszkania treningowe), gdzie przebywa 19 bezdomnych z Ukrainy, w tym kobiety i dzieci. Niektórzy byli już wśród pierwszej fali uchodźców, inni dotarli z ośrodków zbiorowego zakwaterowania. – *Popelniono tam mnóstwo błędów, nikt ich nie aktywizował, bo nie chodzi o sztukę dla sztuki, jak zajęcia językowe, na które uchodźcy nie przychodzą. Zamykają się w swoich enklawach, z Nadarzy na nawet nie przyjeżdżają do Warszawy,*

a nakaz pokrywania kosztów wygania ich na ulicę – mówi Porowska. Jak zauważa, dziś nie jest łatwo nawet osobom, które żyją w Polsce od pokoleń, a co dopiero tym, które nie mają tu korzeni, bliskich, znajomych. – *Niektórzy już z Ukrainy przyjechali uzależnieni i w kryzysie psychicznym, a życie na cudzym garnuszku wcale nie jest lekkie, łatwe i przyjemne. Towarzyszy im lęk o przyszłość, o mieszkanie czy dom w Ukrainie, o krewnych. Czasem przeżywają żalobę. To przepis na społeczne wykluczenie i bezdomność.*

Lęk przed utratą dachu nad głową zaprzęta uchodźców bardziej niż troska o zdrowie, pracę i edukację dzieci – wynika z analiz Ogólnopolskiej Federacji na rzecz Rozwiązywania Problemu Bezdomności. – *Wielu pracuje za grosze na umowach śmieciowych. Jeśli wynajmują mieszkanie, od bezdomności dzieli ich jedna pensja* – komentuje Jakub Wilczek, prezes federacji. Co druga spośród 50 współpracujących z nią organizacji odnotowała bezdomnych uchodźców, 15 proc. – pięciu i więcej.

Prawie jak w domu



Organizacje pomocowe i eksperci są zgodni: najwyższa pora skończyć z prowizorką. Amnesty International postuluje: „Nie można dłużej opierać polityki mieszkaniowej dotyczącej uchodźców i uchodźczyń na gościnności właścicieli domów i mieszkań ani na ośrodkach zbiorowego zakwaterowania. Konieczne jest wprowadzenie skutecznych rozwiązań, które pozwolą zabezpieczyć potrzeby mieszkaniowe tych osób w dłuższym okresie i w godnych warunkach, a tym samym umożliwić im stanie się pełnoprawnymi członkami społeczeństwa”.

Chce likwidacji opłaty partycypacyjnej, wyłudzenia programu wsparcia dla rodzin polskich i ukraińskich „Wzajemnie potrzebni” (Kancelaria Premiera zaplanowała go na cały ten rok, ale konkursy ruszyły dopiero 23 lutego, a pierwsze projekty 20 maja), monitorowania sytuacji bezdomnych uchodźców (rząd nawet ich nie liczy), wsparcia tych, którzy goszczą Ukrainców (nadad pieniądze, ale też prawego i psychologicznego), walki z dezinformacją i dyskryminacją w najmie lokali. Organizacje pozarządowe, które pomagają im się usamodzielnic mieszkaniowo, same potrzebują pomocy, trzeba też zwiększyć pulę mieszkań socjalnych – apeluje AI. A Les Gondor podpowiada: – *Przydałaby się linia kredytowa dla tych, którzy chcą zapewnić im lokum na preferencyjnych zasadach.*

Gdyby dostał tani kredyt, zamieniłby na mieszkania pół swojego hotelu. Bez publicznego wsparcia stać go na przebudowę połowy piętrowca. Robota już tam wre, zdzierane są podłogi, przestawiane ściany. Powstanie osiem modułów mieszkaniowych po 30 m kw., każdy z łazienką i wnęką kuchenną. Za wodę, prąd i ciepło lokatorzy zapłacą według wskazań liczników. Moduł będzie mógł wynająć każdy, przedsiębiorca liczy jednak głównie na „swoich” uchodźców. – *Myśleliśmy o wynajmie mieszkania na mieście, ale za drogo, mąż nie może znaleźć pracy, ja tylko dorabiam. Poza tym w Mieszku czujemy się prawie jak w domu* – mówi Anna z Iwanofrankowska. Każdy grosz oszczędza z mężem na wynajm aneksu, bo na szybki powrót do Ukrainy nie liczą.

ZBIGNIEW BOREK

REKLAMA



MIEJSCE, W KTÓRYM TWOJE EMOCJE SĄ NAJWAŻNIEJSZE

wysokieobcasy.pl/zyclepiej



Polecam

ANNA CYKLIŃSKA
psycholożka, autorka książki
„Przewodnik po emocjach”

Najazd elektryków

Stało się: po raz pierwszy w historii liderem światowego rankingu sprzedaży aut został pojazd elektryczny. **Tesla Model Y** zdetronizowała Toyotę Corollę. Czy to już elektromobilny przełom? Zależy gdzie.

ADAM GRZESZAK

Sądząc po polskim rynku, do przełomu daleko. Tesla wprawdzie i u nas została rynkowym liderem, ale tylko w kategorii samochodów z napędem elektrycznym (BEV – *battery electric vehicle*). A to wciąż niewielka nisza. W maju sprzedano w Polsce niespełna 2 tys. nowych aut BEV na ponad 44 tys. wszystkich samochodów osobowych, które wyjechały z salonów. Pozycja Toyoty Corolli wydaje się u nas niezagrożona, jest rynkowym liderem, w maju sprzedano 1832 sztuki, podczas gdy Modelu Y zaledwie 235. W sumie Tesla może się pochwalić majową sprzedażą w Polsce 387 sztuk wszystkich modeli.

Inaczej sprawa wygląda w skali świata: w pierwszym kwartale 2023 r. Tesla sprzedała 267 tys. Modelu Y, a Toyota 256 tys. Corolli. Na najwyższym podium światowego rankingu znalazło się po raz pierwszy auto elektryczne. Sporo w tym zasługi przepisów promujących auta elektryczne oraz ceny, bo Model Y kosztuje ok. 47 tys. dol., a Model 3 ok. 40 tys. dol. To sprawia, że auta elektryczne zeszły poniżej średniej ceny aut spalinyowych sprzedawanych w USA. Taka zresztą była strategia Elona Muska, twórcy i szefa Tesli, by zacząć od drogich modeli klasy premium, a potem wchodzić na rynek masowy i rywalizować

z zasiedzającymi koncernami motoryzacyjnymi, dla których produkcja modeli elektrycznych jest wciąż działalnością uboczną i po trosze wymuszoną.

Tymczasem Tesla jest pierwszym koncernem produkującym wyłącznie elektryki na masową skalę. Jej licznymi odbiorcami są dziś w pierwszej kolejności Chińczycy, a dopiero w drugiej Amerykanie, za nimi zaś obywatele Unii Europejskiej. Musk realizuje plan ekspansji globalnej, dlatego także swoje fabryki lokuje na całym świecie.auta na rynek chiński powstają w gigafabryce (Musk kocha takie określenia) w Szanghaju, a na rynek europejski w Berlinie. Poza tym po świecie rozsianych jest wiele innych fabryk Tesli produkujących m.in. baterie, podzespoły, ładowarki, panele fotowoltaiczne, bo ambicją Muska jest samowystarczalność i tworzenie ekosystemu Tesli.

Marzenie o milionie e-aut

Polska jest jednak na szarym końcu w rankingu elektromobilności. Choć politycy PiS zapowiadali, że w 2025 r. po naszych drogach będzie jeździło milion aut elektrycznych, to na razie mamy ich nieco ponad 37 tys. Do tego wprawdzie dolicza się też hybrydy „plug-in”, czyli auta elektryczno-spalinowe z możliwością doładowywania akumulatorów (36,6 tys.), ale to wciąż żałośnie mało. I to mimo programu dopłat do zakupów „Mój elektryk”.

Pocieszające jest jednak, że dynamika sprzedaży aut elektrycznych szybko rośnie. W ciągu ostatniego roku rynek wzrósł o ponad 70 proc., ale Tesla zanotowała ponadtyśięćprocentowy wzrost. – *Na sukces Tesli składa się kilka czynników – wyjaśnia Wojciech Drzewiecki, prezes Instytutu Badań Rynku Motoryzacyjnego Samar. – Po pierwsze, to marka, która cieszy się prestiżem porównywalnym do Apple. Po drugie, jej auta są dostępne praktycznie od ręki, podczas gdy na modele elektryczne innych producentów trzeba niekiedy dość długo czekać. I sprawa najważniejsza: Tesla jako jedyna zdecydowała się ostatnio na znaczne obniżki cen, kiedy inni producenci ceny podnosili.* Model Y potaniał średnio o jakieś 16 proc. i kosztuje ok. 260 tys. zł. Model 3 jest o 20 tys. zł tańszy.

Auta Elona Muska są jednak w Polsce wciąż ponad średnią rynkową, ale dystans się kurczy. Ta średnia to według Samaru



174 tys. zł. Kwota, która może zaskakiwać, ale wytłumaczenie jest proste: dziś w Polsce najbardziej rośnie sprzedaż nowych, drogich samochodów klasy premium (zwłaszcza SUV-ów) i to one podnoszą cenową poprzeczkę. Zdecydowaną większość kupują firmy i właśnie te zakupy nakręcają średnią. Prywatnie Polacy kupują niewiele aut nowych, chętniej wybierają używane. Aut elektrycznych z drugiej ręki brakuje i to może tłumaczyć, dlaczego Polska ciągnie się w ogonie elektromobilności.

– *Elon Musk wywołał wojnę cenową. Wybrał dogodny moment, gdy przemysł samochodowy na całym świecie zmaga się ze skutkami pandemii, wojny w Ukrainie, kryzysu czipowego, inflacji. A jednocześnie jest dociskany przepisami, musi inwestować w transformację technologiczną. Nikogo dziś nie stać, żeby podjąć wyzwanie, zwłaszcza że nie wszyscy mogą się pochwalić zyskami z produkcji aut elektrycznych* – tłumaczy jeden z menedżerów firm samochodowych, anonimowo, bo mają zakaz wypowiadania się o działaniach konkurencji.

Guru bez bagażu

Dyrektor generalny Tesli i główny akcjonariusz Elon Musk jest postacią wyjątkową, wizjonerem i guru nowych technologii. Cieszy się bezgranicznym zaufaniem akcjonariuszy i inwestorów. To dlatego przekonał ich, że musi „inwestować w rynek”. Oni zaś gotowi są dokładać do interesu, bo mu wierzą. W tradycyjnych koncernach motoryzacyjnych to tak nie działa. Utrzymanie bieżącej rentowności ma kluczowe znaczenie. Żadnych szaleństw w stylu Tesli.

„Elon zawitał teraz do mojego świata. Witam” – skomentował sarkastycznie wojnę cenową wywołaną przez Teslę Carlos Tavares, szef koncernu Stellantis (Citroën, Opel, Fiat, Jeep i Chrysler). Jego zdaniem to wojna transpacyficzna między USA i Chinami. Musk musiał obniżyć ceny ze względu na konkurencję chińskich firm, które dziś rządzą światem elektromobilności. Także w Europie. Na ulicach centrum Londynu łatwiej dziś spotkać elektryczne MG niż Teslę. A przecież pod brytyjską marką MG kryje się czysto chińskie, tanie auto firmy SAIC Motor. Podobnie ma też być z naszą Izerą. Jeśli kiedyś dojdzie do produkcji, to pod polską marką będzie się kryło chińskie auto Gelly. Dlatego przemówienie

Tavaresa na niedawnej konferencji w Bochum adresowane było do unijnych polityków, by wsparli swoich producentów samochodów. Jeśli Europa w tym wyścigu zostanie z tyłu, to „za dziesięć lat będziemy serwować kawę chińskim i amerykańskim turystom w Europie” – ostrzegł szef Stellantis.

„Koszty akumulatorów są wciąż zbyt wysokie, aby budować opłacalne pojazdy na rynek masowy, które będą sprzedawane za 30–40 tys. dol.” – oświadczyła niedawno Marry Barra, szefowa General Motors. Koncern GM kończy produkcję najtańszego i dość już starego auta elektrycznego Chevy Bolt (26,5 tys. dol.), choć jego sprzedaż w USA wzrosła w zeszłym roku o ponad 50 proc. Zdaniem Barra koszty produkcji aut elektrycznych i spalinowych wyrównają się „kiedyś, w drugiej połowie tej dekady, a może trochę później”. Innego zdania jest oczywiście Elon Musk. Wdał się w polemikę z Barra, deklarując, jak zwykle złośliwie, że Tesla może udzielić pomocy tym producentom, którzy nie radzą sobie z technologią aut elektrycznych. Gotowa jest też udostępnić swoje patenty, a także podzielić się słynnymi superchargerami, czyli szybkimi ładowarkami, dostępnymi dotychczas tylko dla aut Tesli (w Polsce jest ich 11). Ford już z tej oferty skorzystał. Bo Tesla jest jedynym producentem aut elektrycznych, który stworzył na świecie własną sieć ładowania aut.

– *Musk przyszedł do biznesu motoryzacyjnego z zewnątrz i nie jest obciążony bagażem schematycznego myślenia, że coś można robić tylko tak, a nie inaczej albo że czegoś się nie da zrobić. Kiedy przed laty kupił starą fabrykę General Motors z zamiarem produkcji aut elektrycznych, nic nie wskazywało, że mu się powiedzie. A jednak wkrótce wiatr zmian zaczął wiać w kierunku elektromobilności, a Musk już na to czekał i był gotowy* – mówi Jakub Faryś, prezes Polskiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego.

Prosto z gigaprasy

Tesla w 2022 r. wyprodukowała 1,3 mln aut, a w tym roku dojdzie zapewne do 1,8 mln. Elon Musk jest zdania, że wie, jak robić tanie i powszechnie dostępne auta elektryczne. Chce dojść do 20 mln pojazdów rocznie i ceny 25 tys. dol. za e-auto. „Problemem jest produkcja, to 99 proc. trudności” – oświadczył niedawno. W marcu Tesla ogłosiła, że w kolejnej budowanej ►



► fabryce w meksykańskim Monterrey, gdzie będzie produkowany Model Y, wprowadzi nową rewolucyjną metodę produkcji zwaną *unboxed process*, czyli proces rozpakowywania.

Samochód nie będzie sunął na tradycyjnej linii produkcyjnej, by na poszczególnych stanowiskach monterzy albo roboty mogli dokładać kolejne elementy wyposażenia. Zamiast tego auto zostanie rozpakowane na kilka modułów, przy których jednocześnie będzie mogło pracować więcej monterów lub robotów. I dopiero na ostatnim etapie w pełni gotowe fragmenty zostaną połączone – lewy i prawy bok, przód i tył, dach z przednią szybą, a na koniec zostanie to wszystko spójone płytą podłogową, w której ukryte są akumulatory (czyli bateria strukturalna).

W ten sposób uda się osiągnąć znaczną oszczędność kosztów produkcji poprzez zwiększenie „wydajności czasoprzestrzennej”. To nowatorskie rozwiązanie w przemyśle motoryzacyjnym, gdzie od ponad stu lat króluje wynalazek Henry’ego Forda, czyli taśma produkcyjna udoskonalona przez Toyotę i znana jako system TPS albo *just-in-time*. Jeśli jednak szukać inspiracji Tesli, to można ją znaleźć u producentów samolotów. Airbusy są równolegle produkowane w wielu krajach. Jedni wytwarzają skrzydła, inni podwozie, jeszcze inni kabinę i dopiero na końcu części są łączone.

– *To rewelacyjny pomysł* – nie ukrywa swego zachwytu inż. Romuła Rytwiński, który całe życie zawodowe spędził w fabrykach samochodów. Zaczynał w FSO, a potem przez kilka dekad był związany z General Motors. Był m.in. szefem zakładów Opla w Gliwicach, a potem zagranicznych fabryk GM w Hiszpanii i Rosji. – *Dzięki takiemu systemowi możliwa jest szybsza i prostsza produkcja, bo rozwiązany zostaje problem ograniczonego dostępu do auta. To sprawdzi się szczególnie przy produkcji aut elektrycznych, które mają prostszą konstrukcję niż spalinowe i łatwiej je podzielić na moduły. Korzyścią będzie także mniejsza powierzchnia fabryki, no tradycyjna linia produkcyjna wymaga ogromnych hal.* Lars Moravy, wiceprezes ds. inżynierii pojazdów w Tesli, dodaje kolejny plus, jakim będzie eliminacja sytuacji, gdy awaria na jednym stanowisku unieruchamia całą linię produkcyjną. Uproszczony też zostanie proces lakierniczy, bo dziś nadwozie lakierowane jest w całości, a po rozpakowaniu można to robić we fragmentach.

Na tym jednak nie koniec rewolucji przemysłowej Muska, którego nie opuszcza duch start-upowca. Wszystkim się zajmuje. Do legendy przeszły historie, gdy pojawiał się w fabrykach i zabierał za przeprogramowywanie źle działających urządzeń lub poszukiwał przyczyn tajemniczych awarii. Teraz marzy mu się, by auta elektryczne były produkowane przez „wielkie pieprzone roboty” (*big fing robots* – to oficjalne określenia z języka Tesli) bez udziału ludzi w fabrykach, które nazywa „krążownikami kosmitów” (*alien dreadnought*).

Mają być produkowane i składane jak dziecinne samochodziki. Te – jak wiadomo – powstają z elementów wytwarzanych na wtryskarkach. Dlatego postanowił zaadaptować tę metodę. W fabrykach Tesli pojawiły się gigaprasy (wszystko musi być giga), które służą do odlewania ciśnieniowego dwóch dużych aluminiowych elementów. Eliminują ponad 350 tłoczonych części stalowych.



Fabryka Tesli we Fremont w Kalifornii.

© NOAH BERGER/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Jeden obejmuje m.in. konstrukcję przedniego zawieszenia i stref zgniotu, a drugi tylną część. Odlewy mcowane do reszty pojazdu za pomocą łączników gwintowanych i klejów strukturalnych zapewniają większą sztywność konstrukcyjną.

Inżynierom Tesli przychodzą do głowy kolejne niezwykle rozwiązania. Owocem jednego z nowatorskich pomysłów jest Cybertruck, futurystyczny elektryczny pick-up. Z nadwoziem zbudowanym z płaskich, kanciastych powierzchni z niemalowanej stali nierdzewnej przypomina obiekt z gry komputerowej (twórcy z CD Projektu twierdzą, że to z ich gry *Cyberpunk 2077*). Zaprezentowany w 2019 r. nie może jednak wejść do produkcji, bo są problemy z dopuszczeniem do ruchu ze względu

na te kanty, które mogą być groźne w razie kolizji. Tymczasem kanciastość to kolejny pomysł na potanieenie produkcji. Bo zamiast drogiej stali nadwoziowej i skomplikowanego procesu głębokiego tłoczenia, mamy tu nadwozie ze zwykłej stali jedyńie nieco zagiętej. I na dodatek niepolakierowanej, co daje kolejne oszczędności.

Od kopalni do gniazdka

Elon Musk robi to, czego inni nie robią: tworzy pionowo zintegrowany koncern, by kontrolować cały elektromobilny łańcuch wartości. Tesla inwestuje miliard dolarów we własną kopalnię litu, surowca niezbędnego do produkcji baterii litowo-jonowych. Stworzyła własne gigafabryki baterii, produkowanych z ogniw, także własnej produkcji (inne koncerny kupują gotowe ogniwa). Tesla w przeciwieństwie do innych koncernów, które tworzą skomplikowane i kosztowne baterie o kształtach dostosowanych do nadwozia, wykorzystuje ogniwa przypominające baterijki paluszki, bo są tańsze i prostsze w produkcji, choć zajmują więcej miejsca. Dlatego pracuje nad zwiększaniem elektrycznej gęstości samych baterii.

Firma Muska wytwarza też panele fotowoltaiczne, magazyny energii i superładowarki do swoich aut, by mieć pod kontrolą rynek także od strony energetycznej. Sama projektuje mikroczipy, więc uniknęła kryzysu czipowego. Jest także bardzo zaawansowana w systemach autonomicznych, choć pojawiły się przecieki, że niedopracowana technologia autopilotów doprowadziła do tysiąca tragicznych wypadków. Ponoć szefowie Tesli uznają to za nieunikniony koszt postępu. Firma rewolucjonizuje też handel samochodami, nie ma własnej sieci dilerkiej, sprzedaje online. Nie musi również wiele inwestować w reklamę, bo takiego marketingowca jak Musk trudno znaleźć. No bo kto by wpadł na pomysł, by samochód wystrzelić w kosmos?

Jedni widzą w nim nowe, lepsze wcielenie Henry’ego Forda albo Thomasa Edisona, inni zgrzytają zębami, przekonując, że jest zakochanym w sobie, przemądrzałym bufonem i efekciarzem. Zwłaszcza w przemyśle samochodowym budzi spore emocje. – *Kiedy pojawiła się Tesla, jeden z szefów General Motors mówił do nas: przekonacie się, za kilka lat nikt nie będzie pamiętał, że była jakaś Tesla. Tego szefa już nikt nie pamięta* – śmieje się inż. Rytwiński.

ADAM GRZESZAK

50 lat się Kręci!

50

MIĘDZYNARODOWY
HARCERSKI FESTIWAL
KULTURY MŁODZIEŻY SZKOLNEJ



KIELCE, 6-16/07/2023

8 LIPCA GODZ. 19:00
Koncert Jubileuszowy
Amfiteatr Kadzielnia w Kielcach

15 LIPCA GODZ. 19:00
Koncert Galowy Laureatów
Amfiteatr Kadzielnia w Kielcach

WSTĘP WOLNY!

ZNAJDŹ NAS!

facebook.com/HFKMS

Kielecka_ZHP

wiatraczek.pl



Kielce



www.kielce.eu



Ogród
Botaniczny

Centrum
Geoedukacji

Park
Kadzielnia

GEO Festiwal
26-27 sierpnia KIELCE 2023





Listki CSR rozdane

ZA NAMI DWUNASTA EDYCJA LISTKÓW CSR. WYRÓŻNIENIA PRYZNAWANE PRZEZ TYGODNIK POLITYKA, DELOITTE I FORUM ODPOWIEDZIALNEGO BIZNESU TRAFIŁY W TYM ROKU DO REKORDOWO WIELU LAUREATÓW. TO FIRMY, KTÓRE JUŻ DZIŚ SĄ LIDERAMI ZMIAN KLUCZOWYCH DLA BIZNESU.

Oprestiżowe wyróżnienia ubiegało się w tym roku 127 firm. To rekord. Co więcej, po wnikliwej analizie wniosków kapituła nagrodziła aż 105 spośród nich – i ten wynik cieszy jeszcze bardziej.

Zadowolona z popularności Listków nie kryła także Maria Ibisz, współorganizatorka plebiscytu z ramienia Deloitte. – *Rzeczywiście widać, że coraz więcej firm profesjonalizuje swoje działania. Aż pięć z nich zdobyło nagrody w każdej kategorii, czyli Złoty Listek, Zielony i wyróżnienie dobrej praktyki. To firmy, które są prawdziwymi liderami sektorów – zmieniają nie tylko siebie, ale też swoich partnerów i ekosystem wokół* – komentowała menedżerka Deloitte. Trzykrotnie na scenę po odbiór dyplomów wychodzili przedstawiciele firm: InPost, Lidl, LPP, Grupy Raben i Żabki. Powody do dumy

miał również przedstawiciel Stena Recycling. Firma ta po raz pierwszy wypełniła ankietę i od razu za swoje działania otrzymała Złoty Listek CSR POLITYKI.

EKSPERCKA WERYFIKACJA

W tym roku Złoty Listek zdobyło 25 firm (cztery awansowały ze Srebrnego Listka). Srebrny Listek trafił do 35 – wśród nich pięć przedsiębiorstw wzięło udział w zestawieniu po raz pierwszy, a siedem firm rok wcześniej dostało Biały Listek. W grupie 46 przedsiębiorstw, którym przyznane zostały Białe Listki, znalazło się aż 15 debiutantów. Co sprawia, że tak chętnie wypełniają skomplikowaną ankietę i poddają swoje działania ocenie zewnętrznych ekspertów?

– *Listki CSR to inicjatywa, która motywuje biznes do tego,*

aby udoskonalał swoje dobre praktyki z zakresu zrównoważonego rozwoju. Listek CSR to z pewnością nobilitacja, ale jest to także pewnego rodzaju drogowskaz i inspiracja na początku drogi związanej ze zrównoważonym rozwojem – uważa Miłosz Marchlewicz, dyrektor ds. komunikacji Forum Odpowiedzialnego Biznesu. – *Czuujemy, że firmy, które zdobyły główne nagrody, są lepiej przygotowane na nadchodzące regulacje, czyli nowe europejskie wytyczne raportowania przez przedsiębiorstwa działań związanych ze zrównoważonym rozwojem* – mówi Maria Ibisz.

Obok samego prestiżu związanego z nagrodą Listków CSR POLITYKI, firmy, które decydują się na udział w zestawieniu, otrzymują konkretną informację zwrotną na temat tego, jak realizowane przez nie na co dzień działania plasują je na tle konkurencji. Potwierdza

to Grzegorz Adamski, kierownik ds. public affairs i zrównoważonego rozwoju w Kompanii Piwowskiej. – *W Kompanii najbardziej cenimy sobie to, że raz do roku możemy wspólnie z innymi firmami poddać się zewnętrznej, bardzo fachowej, eksperckiej weryfikacji szerokiego spektrum działań, które podejmujemy w obszarach ESG. Pozwala nam to spojrzeć na siebie z zewnętrznej perspektywy, czasami trochę wybić nas z samozadowolenia – mówi Adamski. – To, co robimy, staramy się robić jak najlepiej, ale fajnie jest też skorzystać z inspiracji, zobaczyć, że inni robią coś lepiej, no i że przez cały czas trzeba się starać – myślę o całym środowisku biznesowym – zmieniamy świat na lepsze, konkurując ze sobą, a o tym przecież jest biznes* – podsumowuje przedstawiciel Kompanii Piwowskiej.

ZIELONY LISTEK, ZIELONA ZMIANA

Po raz drugi nagrodzeni zostali także liderzy neutralności klimatycznej. Zielone Listki POLITYKI powędrowały do 19 firm. W tej kategorii wyróżniamy firmy, w których strategicznymi elementami działań biznesowych są



Od lewej:
laureaci Złotych
i Srebrnych
Listków
POLITYKI.

redukcja własnego negatywnego wpływu na klimat, zapobieganie zmianom klimatu oraz adaptacja do nich. Nagrodzono przedsiębiorstwa, które w wiarygodny sposób mierzą i poddają zewnętrznej weryfikacji ślad węglowy całego łańcucha wartości firmy oraz ustalają cele neutralności klimatycznej w obrębie redukcji emisji gazów cieplarnianych zgodnie z Science Based Targets Initiative.

Od lat Listkom CSR POLITYKI towarzyszy również przegląd inicjatyw wspierających realizację Celów Zrównoważonego Rozwoju (SDGs). W obliczu kryzysu związanego z utratą bioróżnorodności i postępującymi zmianami klimatu szczególnie cenne są działania na rzecz odpowiedzialnej produkcji i konsumpcji, a także ochrony środowiska naturalnego i przeciwdziałania zmianom klimatycznym. W tym roku – tak jak w poprzednim – wyróżniliśmy firmy za ich działania właśnie na rzecz realizacji celów 12. i 13.

CZY NALEŻY BAĆ SIĘ AI?

Czy na rozwój sztucznej inteligencji powinniśmy patrzeć z taką ostrożnością jak

na zagrożenia pandemiczne lub wojnę termojądrową? Na to pytanie w ciekawym wykładzie szukał odpowiedzi Edwin Bendyk, gość specjalny Gali. Wieloletni dziennikarz POLITYKI, autor książek takich, jak „Zatruta studnia. Rzecz o władzy i wolności”, „Antymatrix”, „Bunt w sieci” czy „W Polsce, czyli wszędzie”, prezes Fundacji Batorego. Wskazał kilka problemów. – *Podstawa procesu demokratycznego, jaką jest debata wolnych ludzi, jest poważnie zagrożona, i nie jest to bynajmniej zagrożenie, które będzie aktualne w przyszłości, tylko już tu i teraz* – mówił o świecie, w którym przestaniemy rozróżniać, czy rozmawiamy z kawałkiem technologii, czy z innym człowiekiem. Jednak innowacje związane ze sztuczną inteligencją nie są wyłącznie częścią świata technologii. Wiele zależy od nas. – *Nawet nie tyle od tego, jak my jako ludzie będziemy te technologie wykorzystywać. Czy będzie dominować perspektywa szybkiego zysku, która zmotywuje nas do zwalniania rzekomo nieefektywnych pracowników po to, żeby zastąpić ich tańszą sztuczną inteligencją, czy raczej będziemy myśleć o rozwiązaniach polegających*

na współpracy czynnika ludzkiego z technologicznym po to, by kreować dodatkową wartość i dla firmy, i dla jej konsumentów – mówił Bendyk.

TURBULENTNY CZAS

Mamy „niesłychanie turbulentny czas w historii”, podkreślił w swoim wystąpieniu Jerzy Baczyński, redaktor naczelny POLITYKI. Niedobry dla ludzi, biznesu, mediów. Składa się na to nie tylko teatr dramatycznych wydarzeń za wschodnią granicą, ale też rok wyborczy, z całą niepewnością rezultatu głosowań, z silnymi emocjami, jakimi przeżywa kampania wyborcza, eksplozją populizmu, którym zakazanych jest coraz więcej demokracji. W kontrze do tego wyborczego „festiwalu nieodpowiedzialności”, według redaktora

Baczyńskiego, powinny stać media publiczne jako te, które gwarantują otwarte kanały komunikacyjne między różnymi grupami interesów, a także odpowiedni poziom debaty. – *Tymczasem to, co dzieje się z naszymi mediami dawniej publicznymi, jest czymś zupełnie niewyobrażalnym i bez precedensu w historii mediów świata zachodniego. Stały się samoczynnie działającą maszyną rozkręcającą najgorszych i postaw, reakcji i emocji* – mówił Baczyński. Media niezależne przeżywają z kolei ogromne przeciążenia, nie tylko w sferze finansowej czy reklamowej. – *Nigdy wcześniej nie mieliśmy takiego poczucia zagubienia i lęku w związku z tym, że kraj, w którym nie ma otwartych kanałów komunikacyjnych, niebezpiecznie stacza się w stronę społecznej anomii, konfliktów, które zagrażają przyszłości* – mówił redaktor naczelny.

Z tak zarysowanej sytuacji wyłania się analogia powinności: tak jak sektor biznesowy ma działać w ramach zrównoważonego rozwoju, pracować nad najwyższymi standardami zarządzania obszarem ESG, tak i media, szczególnie te niezależne, mają swoje zadania. – *Postulat zmniejszenia zanieczyszczenia środowiska informacyjnego jest nie mniej ważny niż ograniczenie śladu węglowego. To kwestia odpowiedzialności* – przekonywał Baczyński. I zwrócił się do przedstawicieli nagrodzonych firm: – *Staracie się łączyć wolność i sprawność gospodarczą z odpowiedzialnością, my próbujemy robić to samo, czyli tworzyć wolne medium, które jest także odpowiedzialne społecznie. Trzymajmy się więc razem.*

ANNA KOWALSKA

Sponsorem Gali była:



a partnerami merytorycznymi:

Deloitte.



Mało czasu na rewolucyjne zmiany

WSZYSTKIE FIRMY ZATRUDNIAJĄCE POWYŻEJ 250 PRACOWNIKÓW BĘDĄ MUSIAŁY JAK NAJSZYBCIEJ PRZYGOTOWAĆ SIĘ DO RAPORTOWANIA NA TEMAT DZIAŁAŃ PODJĘTYCH NA RZECZ BUDOWY ODPOWIEDZIALNEGO I ZRÓWNOWAŻONEGO ROZWOJU FIRMY. TAKI OBOWIĄZEK WYNIKA Z UNIJNYCH REGULACJI, A PIERWSZE RAPORTY ZA 2024 R. MUSZĄ ZOSTAĆ OPUBLIKOWANE W KOLEJNYM ROKU.



Strategia ESG nie ma własnej definicji. To trzy litery odpowiadające trzem kategoriom zagadnień: środowiskowych E – environmental, społecznych S – social oraz dotyczących ładu korporacyjnego G – governance. To efekt próby uporządkowania działań oraz zdefiniowania wskaźników, które pozwoliłyby mierzyć, monitorować

i analizować wyniki danej organizacji oraz identyfikować ryzyka i szanse związane ze zrównoważonym rozwojem. Dzięki temu instytucje finansowe mogą podejmować bardziej rzetelne decyzje inwestycyjne lub kredytowe. A same przedsiębiorstwa mogą świadomie zarządzać swoimi szansami i ryzykami związanymi ze zrównoważonym rozwojem.

Do 2040 r. Coca-Cola chce być neutralna klimatycznie



KATARZYNA BORUCKA,
DYREKTORKA DS.
KORPORACYJNYCH
I ZRÓWNOWAŻONEGO
ROZWOJU, COCA-COLA
HBC POLSKA I KRAJE
BAŁTYCKIE.

Zgodnie ze zobowiązaniem ogłoszonym w 2021 r. jako Coca-Cola HBC planujemy redukcję emisji CO₂ w całym łańcuchu wartości – do 2030 r. o 25 proc. i o kolejne 50 proc. w następnej dekadzie. Jednym z kluczowych aspektów na drodze do osiągnięcia tego celu są zmiany w zakresie projektowania opakowań oraz zamknięcie ich obiegu. Od lat podejmujemy konkretne kroki, by zminimalizować wpływ biznesu na środowisko, a efekty naszych działań każdego roku publikujemy w raportach ESG. W ostatnich latach obniżyliśmy emisję CO₂ netto o 44 proc. By to osiągnąć, wdrażaliśmy i dalej wdrażamy zrównoważone rozwiązania w niemal każdym obszarze naszego biznesu. Najważniej-

szczy z nich to strategia opakowaniowa – ta część odpowiada za ponad 1/3 emisji CO₂ wynikających z naszej działalności. To dlatego jako Coca-Cola HBC skupiamy się na innowacjach, dzięki którym jesteśmy w stanie systematycznie obniżyć zarówno wagę butelek i puszek, jak i ograniczyć ilość folii stosowanej przy opakowaniach zbiorczych. Kolejne dwa kluczowe obszary naszych działań mają związek z ekspozycją napojów w lodówkach i pozyskiwaniu surowców.

W jakim miejscu dziś jesteśmy? Wszystkie butelki i puszki Coca-Cola w Polsce nadają się do recyklingu. Wagę naszych plastikowych opakowań zmniejszyliśmy już o ponad 45 proc. od 2001 r. W ostatnich latach także nasze butelki szklane i puszki o pojemności 330 ml straciły na wadze, dzięki czemu teraz są lżejsze o 10 proc. Na opakowania patrzymy całościowo, wobec czego redukcja masy dotyczy również zakrętek, którą zmniejszyliśmy aż o 31 proc. w ciągu ostatnich 13 lat. Kolejna duża zmiana dotycząca opakowań czeka nas jeszcze w tym roku. Przywiązujemy ogromną wagę do ograniczenia ilości plastiku w środowisku i powtórnego wykorzystania tego cennego surowca. W ramach ambicji Świata Bez

Opadów do 2030 r. planujemy zbierać równowartość opakowań po produktach, które wprowadzamy na rynek. Przykładowo na Litwie, gdzie obowiązuje już system kaucyjny, aż 91 proc. naszych opakowań zostało poddanych recyklingowi. Mamy nadzieję na podobne wyniki w Polsce, kiedy zaczną obowiązywać podobny system zbiórki.

Jeśli chodzi o pozostałe obszary naszych działań – 1/5 śladu węglowego pochodzi z chłodzenia napojów, dlatego systematycznie wymieniamy lodówki u partnerów handlowych na energooszczędne, tym samym zmniejszając nasze emisje w tym obszarze (o 68 proc. w ciągu ostatnich 5 lat). Działamy również w ramach samego portfolio – zwiększamy udział kategorii ZERO i produktów z obniżoną zawartością kalorii, a ich składniki pozyskujemy wyłącznie ze zrównoważonych upraw.

Wszystkie decyzje biznesowe podejmujemy, kierując się jasno zdefiniowaną Misją Zrównoważonego Rozwoju 2025 i naszymi zobowiązaniami klimatycznymi. Cały czas aktywnie działamy, by zbliżyć się do ich realizacji.



**Coca-Cola HBC
Polska**

E – CZYLI ŚRODOWISKO I KLIMAT

E – Environmental – oznacza szeroki zakres kwestii związanych z oddziaływaniem organizacji na klimat, naturę i środowisko. W praktyce odnosi się to między innymi do emisji gazów cieplarnianych pochodzących bezpośrednio i niebezpośrednio z działalności organizacji, ilości i rodzaju zużywanej energii, ilości odpadów generowanych przez podmiot i sposobu postępowania z nimi, wpływu na bioróżnorodność i ekosystemy.

Priorytety w zakresie zarządzania kwestiami środowiskowymi w każdej organizacji powinno się ustalać na podstawie analizy

istotności poszczególnych zagadnień. To z kolei wiąże się bezpośrednio z wymaganiami i oczekiwaniami kluczowych interesariuszy. Obecnie, jak wskazuje wiele badań i raportów, chociażby wydany na początku tego roku przez Deloitte raport „CxO Sustainability: Accelerating the Green Transition”, interesariusze, w tym klienci, pracownicy, inwestorzy i regulatorzy, wywierają coraz większą presję na firmy, aby te priorytetowo traktowały zrównoważony rozwój. Ponad 90 proc. ankietowanych na potrzeby raportu przedstawicieli kadry zarządzających stwierdziło, że interesariusze oczekują od nich przyjęcia roli lidera w działaniach na rzecz zrównoważonego rozwoju. Ze względu na rosnącą

świadomość ogromnego wyzwania, jakim jest ograniczenie tempa globalnego wzrostu temperatury, wszystkie wyżej wymienione grupy oczekują od przedsię-

przedindustrialny i kontynuowanie wysiłków 195 krajów-sygnatariuszy Porozumienia na rzecz ograniczenia wzrostu temperatur do 1,5 st., wymaga bardzo zdecydowo-

OBECNIE WSZYSCY INTERESARIUSZE WYWIERAJĄ CORAZ WIĘKSZĄ PRESJĘ NA FIRMY, ABY TE PRIORYTETOWO TRAKTOWAŁY ZRÓWNOWAŻONY ROZWÓJ.



biorstw bardzo konkretnych deklaracji i planów działań zgodnych z ambicjami Porozumienia Paryskiego. Swoją drogą, zobowiązanie się do utrzymania wzrostu globalnych średnich temperatur na poziomie znacznie poniżej 2 st. C ponad poziom

wanych działań, zarówno ze strony sektora publicznego, jak i prywatnego.

Od 2015 r. temperatury na świecie wzrosły już średnio o 1,1 st., a w wielu krajach ten wzrost był jeszcze wyższy. W praktyce oznacza to, że do 2050 r. emisje

CO₂ wynikające z działalności człowieka będą musiały spaść do zera. Dlatego też jedną z najważniejszych spraw wydaje się najpierw dokładne policzenie, a potem ograniczenie śladu węglowego każdej organizacji. Dzieje

ściśle związanych z istotnym wpływem danej organizacji na środowisko, np. na redukcji emitowanych zanieczyszczeń, nie tylko powietrza, ale też np. wody, czy, jak w przypadku sektorów wysoce zależnych od różno-

biznesu w kontekście transformacji klimatycznej, są obecnie traktowane jako kluczowe. W ramach wspólnych ratingów ESG to właśnie im przypisuje się największą wartość.

Zrozumienie skali wyzwania, a także szans płynących ze świadomego i kompleksowego podejścia do zarządzania kwestiami środowiskowymi to inwestycja w przyszły rozwój organizacji. Instytucje finansowe oraz inwestorzy coraz częściej zwracają uwagę na najważniejsze obszary wpływu danej organizacji na środowisko. Z analizy wyników tegorocznego rankingu Listki CSR POLITYKI dowiadujemy się, że na razie tylko 46 proc. z ankietowanych firm zidentyfikowało ryzyka związane z klimatem, a jeszcze mniej,

bo 43 proc., dobrze rozpoznaje szanse, jakie ochrona klimatu przynosi ich firmom. Niewątpliwie w niedalekiej perspektywie czasowej takie dane i płynąca z nich wiedza dla konkretnych podmiotów będzie podstawą decyzji dotyczących finansowania. Biorąc pod uwagę te informacje, niezwykle ważna wydaje się tu rola struktur zarządczych i nadzorczych.

Jak wynika z raportu „Rady nadzorcze wobec zmian klimatu”, przygotowanego w 2022 r. w ramach programu Chapter Zero Poland we współpracy z FOB i Deloitte, zmiany klimatu jako regularny temat na posiedzeniach rad nadzorczych pojawiają się tylko w 20 proc. organizacji. W kolejnych 27 proc. temat był poruszony tylko jednorazowo. 68 proc.

ZROZUMIENIE SZANS PŁYNĄCYCH ZE ŚWIADOMEGO PODEJŚCIA DO OCHRONY ŚRODOWISKA TO INWESTYCJA W ROZWÓJ ORGANIZACJI.



się tak niezależnie od branży czy sektora, którego częścią jest dana firma.

Jednak firmy mogą – i powinny – skupiać się na różnych kwestiach środowiskowych – najczęściej tych

rodności biologicznej, wpływu organizacji na naturę i jej ekosystemy. Jednocześnie konieczność dekarbonizacji, a także ryzyko i szanse o charakterze strategicznym dla utrzymania i rozwoju

Kompleksowy plan na przyszłość

Wplyw na środowisko to priorytet na liście wyzwań firmy Samsung na najbliższą dekadę. We wrześniu 2022 r. firma ogłosiła strategię środowiskową. Jest to pierwszy tak kompleksowy plan działań, który obejmuje redukcję emisji, tworzenie innowacji ograniczających wpływ na klimat oraz pełną odpowiedzialność za cykl życia produktu i zwiększenie obiegu zasobów. Tylko do 2030 r. Samsung zainwestuje ponad 5 mld euro w systemy oszczędzania wody, inicjatywy zwiększające poziom zbiórki elektrośmieci i redukcji zanieczyszczeń. Inwestycja ta nie obejmuje kosztów związanych z rozbudową OZE. Sercem nowej strategii firmy jest zobowiązanie do osiągnięcia zerowej emisji CO₂ netto we wszystkich działaniach pionu Device eXperience (DX) do 2030 r. oraz we wszystkich działaniach globalnych, w tym pionu Device Solutions (DS), do 2050 r. Pion DX obejmuje wszystkie produkty i rozwiązania związane z elektroniką użytkową, od smartfonów po odbiorniki TV, urządzenia AGD oraz medyczne. Pion DS to m.in produkty z grupy Memory oraz półprzewodniki. To początek



zeroemisyjnej drogi. Samsung ma jeszcze do wyznaczenia średnio- i długoterminowe cele w redukcji CO₂ dla łańcucha wartości. Firma zamierza skupić się nie tylko na redukcji emisji, ale również wspieraniu swoich dostawców w projektowaniu ich własnych celów emisyjnych i działań na rzecz klimatu.

Samsung nie ogranicza się do inwestycji w technologie redukujące emisję gazów w procesie produkcji. Jednym z postulatów strategii środowiskowej jest wdrożenie niskoenergetycznych układów pamięci dla elektroniki użytkowej oraz niskoenergetycznych centrów danych. Ten krok pozwoli na obniżenie poziomu zużycia energii dla smartfonów, lodówek, pralek, klimatyzatorów, telewizorów, monitorów i komputerów stacjonarnych nawet o 30 proc.

Do 2030 r. firma chce stworzyć system umożliwiający ponowne wykorzystanie minerałów pozyskanych ze wszystkich zużytych baterii, których pozbywają się konsumenci. Kontynuowane będą też prace nad zwiększeniem ilości tworzyw pochodzących z recyklingu w produktach firmy. Do 2030 r. – 50 proc. plastiku w urządzeniach Samsung będzie pochodzić z recyklingu, a do 2050 r. – ta ilość wzrośnie do 100 proc.

Potencjał badawczo-rozwojowy firmy Samsung został wzmocniony o Instytut Badawczy Wychwytywania Związków Węgla. To pionierskie przedsięwzięcie w branży produkcji półprzewodników: zmagazynowany węgiel jako produkt uboczny będzie przekształcany w zasób umożliwiający jego ponowne wykorzystanie. Technologie opracowane przez instytut zostaną w pierwszej kolejności zastosowane na liniach produkcyjnych półprzewodników, a następnie u dostawców. Samsung nie wyklucza komercjalizacji tego rozwiązania.

Więcej informacji: <https://www.samsung.com/pl/>

SAMSUNG

ankietowanych członków rad nadzorczych nie ma w swojej organizacji dostępu do informacji związanych z klimatem. 61 proc. przyznało, że w obecnej chwili kompetencje rad nadzorczych w zakresie działań przedsiębiorstw na rzecz ochrony klimatu są niewystarczające.

Dla 39 proc. badanych wskaźniki klimatyczne są mniej istotne niż wskaźniki finansowe, a dla 36 proc. wskaźniki klimatyczne są tak samo ważne jak wskaźniki finansowe – ta spora rozbieżność opinii świadczy o dalej panującym w wielu przedsiębiorstwach przekonaniu, że czynniki ESG nie grają równie ważnej roli jak twarde dane finansowe. Wyniki badania stanowią ważną wskazówkę i przestrożę – bez zaangażowania najwyższych

szczebli zarządczych i nadzorczych realna transformacja biznesowa w kierunku zrównoważonego rozwoju nie będzie możliwa

S – CZYLI LUDZIE

Business Commission to Tackle Inequality (BCTI), powołana przez Światową Radę Biznesu na rzecz Zrównoważonego Rozwoju (WBCSD), podkreśla, że zwalczanie nierówności pomaga firmom łagodzić szereg złożonych ryzyk operacyjnych, reputacyjnych, regulacyjnych i finansowych. BCTI, gromadząca liderów i liderki biznesu i społeczeństwa obywatelskiego, wskazuje również, że przedsiębiorstwa powinny postrzegać swoje zaangażowanie jako

kluczową inwestycję w budowanie stabilnych modeli biznesowych oraz przewagę konkurencyjnych.

Jak wskazywali ankietowani przez Forum Odpowiedzialnego Biznesu menedżerowie zajmujący się CSR,

siębiorstwach. Ambitne – poprzez odpowiadanie na najważniejsze wyzwania – oraz kompleksowe prowadstwo pomaga zarówno w skutecznym realizowaniu, jak i wiarygodnym raportowaniu działań związanych

DLA 36 PROC. BADANYCH ORGANIZACJI WSKAŹNIKI KLIMATYCZNE SĄ TAK SAMO WAŻNE JAK WSKAŹNIKI FINANSOWE.



ESG i zrównoważonym rozwojem w firmach w Polsce, regulacje są jedną z ważniejszych motywacji i stanowią jeden z kluczowych argumentów do wdrażania konkretnych rozwiązań w przed-

ze zrównoważonym rozwojem (*sustainability*) zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz organizacji.

Jednak nawet najlepiej sporządzone raporty i zestandaryzowane ujawnienia

ZapobiegaMY, angażujeMY, wspieraMY



ANNA DURZYŃSKA,
CZŁONEK ZARZĄDU
I DYREKTOR HR
W NESTLÉ POLSKA

Dbałość o dobrostan i zdrowie pracowników stanowią ważną część społecznej odpowiedzialności biznesu. W Nestlé Polska od wielu lat podejmujemy działania w tym obszarze.

W marcu tego roku wystartowaliśmy z nowym programem DbajMY, w którym wspieramy zdrowie pracowników na wielu płaszczyznach.

W Nestlé Polska troska o naszych pracowników oraz wsluchiwanie się w ich bieżące potrzeby nie są niczym nowym. Od wielu lat prowadzimy działania, które wspierają zdrowie naszej kadry. Szczególną uwagę zwracamy przy tym na zdrowie psychiczne, tak często niestety stające się tematem tabu pomijanym w dialogu pomiędzy pracodawcą a pracownikami. Trzy lata temu stworzyliśmy wewnętrzny

program skupiony właśnie na tym zagadnieniu. Aby kontynuować jego założenia, a jednocześnie podejść do tematu zdrowia całościowo, zdecydowaliśmy się na wprowadzenie dodatkowego programu – DbajMY.

„ZapobiegaMY, angażujeMY, wspieraMY” to trzy filary nowej inicjatywy. W ten sposób zapewniamy kompleksowe podejście do zdrowia i dobrego samopoczucia naszych pracowników. Prowadzimy szereg aktywności wewnętrznych, które będą je realizować – zaczynając od budowania dobrego środowiska pracy, przez poszerzanie wiedzy z obszaru zdrowia, aż po wspieranie pracowników narażonych na trudności i reagowanie na ich aktualne problemy zdrowotne.

Jednym z nowych działań podjętych w ramach programu DbajMY jest np. uruchomienie telefonu wsparcia. Dzięki niemu osoby znajdujące się w trudnych życiowych sytuacjach mogą porozmawiać z doświadczonymi psychoterapeutami. Zdecydowaliśmy się również na połączenie sił z Fundacją Marka Kamińskiego i zostaliśmy partnerem Mazowieckiego Marszu Mocy, którego celem jest zwrócenie uwagi na stan kondycji psychicznej polskiej młodzieży. W wydarzeniu wzięli udział nasi pracownicy, a przekazane

przez firmę środki zostały przeznaczone na konkretne działania, mające pomóc w budowaniu odporności psychicznej młodych ludzi.

Programem DbajMY chcemy również poszerzać wiedzę i świadomość w szeroko pojmowanym obszarze zdrowia. W tym celu organizujemy m.in. webinary. Nasi pracownicy mieli już okazję nauczyć się, jak zachować się w sytuacjach zagrażających życiu, czy przypomnieć sobie zasady udzielania pierwszej pomocy.

Wraz z Grupą LUX MED zorganizowaliśmy spotkanie poświęcone profilaktyce onkologicznej, w trakcie którego nasi pracownicy mogli skorzystać z indywidualnych konsultacji. W kolejnych miesiącach poruszana będzie również tematyka wypalenia zawodowego oraz depresji.

DbajMY służy wszystkim pracownikom Nestlé Polska, a wspomniane działania są jednymi z wielu aktywności, jakie planujemy w bieżącym roku. Postawiliśmy sobie za cel stworzenie możliwie najlepszego środowiska pracy, gdzie dbanie o zdrowie i dobrostan pracowników to najważniejszy priorytet.



Żabka Eko Smart: połączenie ekologii z technologią

Na terenie całej Polski Żabka ma już ponad 9400 sklepów. Dzięki skali prowadzonej działalności sieć dysponuje szeregiem możliwości pozwalających na minimalizację swojego wpływu na środowisko w całym łańcuchu wartości. Ważny jest dla niej nie tylko wpływ, jaki ma na środowisko sprzedawany asortyment, ale i same sklepy. Dlatego w 2022 r. Żabka otworzyła w Poznaniu pierwszą placówkę w formacie Eko Smart. To laboratorium innowacji ekologicznych wspartych inteligentnymi rozwiązaniami. Oznacza to, że zastosowane w Żabce Eko Smart rozwiązania są nie tylko efektywne energetycznie, ale również znacznie usprawniają codzienną pracę franczyzobiorcy i obsługi sklepu. W poznańskiej Żabce Eko Smart zastosowano jedną z pierwszych na świecie instalacji perowskitowych – w tej przełomowej technologii powstały tzw. cenówki oraz żaluzje z ogniwami perowskitowymi. Na dachu sklepu zamontowano też 15 modułów paneli fotowoltaicznych. Z zielonej energii mogą bezpośrednio korzystać również klienci – przed sklepem



stała ławka solarna, dzięki której można naładować telefon. Placówkę wyposażono w systemy do zdalnego zarządzania oświetleniem oraz znajdującymi się w sklepie urządzeniami, a przy stoisku z kawomatem ułożono płytki wykonane z fusów i łusek po kawie. Zamykane, izolowane matami z konopi siewnych lodówki pozwalają na dużą oszczędność energii, podobnie jak wypełnione glikolem półki w szafie mroźniczej. Dodatkowo cała ściana sklepu jest pokryta roślinnością, która wytwarza tlen i pochłania szkodliwe substancje. Efekt eliminacji szkodliwych substancji dodatkowo wzmacnia ułożona przy budynku antysmogowa kostka, która – w porównaniu z asfaltem – zmniejsza stężenie tlenków azotu w powietrzu średnio o ok. 50 proc. Przed poznańską Żabką Eko Smart nie mogło zabraknąć EKOMatu, czyli urzą-

dzenia do odbioru butelek i puszek po napojach. Z zebranych w ten sposób opakowań powstają nowe produkty marek własnych Żabki, np. wody Od Nowa, które mają o 33 proc. mniejszy od tradycyjnego opakowania ślad węglowy.

Projekt Żabka Eko Smart to kontynuacja działań zapoczątkowanych w 2020 r. Wówczas sieć uruchomiła w Warszawie pierwszy sklep w 100 proc. zasilany zieloną energią. Warszawska placówka ma charakter laboratorium, w którym Żabka – niejednokrotnie jako pierwsza firma na świecie – testuje blisko 20 przyjaznych środowisku rozwiązań, pokazując kierunek, w jakim rozwijać się będzie przyszłość handlu. Kolejnym krokiem było uruchomienie w ubiegłym roku Żabki Smart w Poznaniu, w której badane są nowe rozwiązania technologiczne, mające na celu usprawnienie pracy franczyzobiorców. Łącząc i wzbogacając oba te formaty, Żabka rozwinęła unikalny projekt – Żabkę Eko Smart. Aktualnie działają już dwie tego typu placówki – w Poznaniu i Łodzi.



ESG stanowią tylko pewien wycinek informacji o firmie, także w kontekście kwestii społecznych. W czasach rosnących napięć i nierówności to na przedsiębiorstwach

wpływającego na wprowadzenie potrzebnych zmian. Biorąc pod uwagę społeczne trendy, aktywizm korporacyjny to wyzwanie, z którym mierzyć się będzie co-

autentyczność i spójność z komunikowanymi wartościami. Warto więc być uważnym, stawiać na dialog z interesariuszami i odpowiedzialnie podchodzić do wyzwań związanych z poszczególnymi czynnikami ESG.

w mniejszych firmach, które chcą być wiarygodnym partnerem dla dużych klientów. Jednak z perspektywy ESG to właśnie w tym obszarze wydaje się, że jest jeszcze najwięcej do zrobienia.

W istniejących w organizacjach systemach i procesach kwestie ESG nie są w ogóle uwzględniane bądź są, ale w niewystarczającym zakresie. Dotychczas wiele firm realizowało określone działania dotyczące środowiska czy zagadnień społecznych, ale nie zarządzało swoim wpływem i nie identyfikowało ryzyk i szans związanych ze zrównoważonym rozwojem. Dlatego dziś często nie tylko brakuje strategii zrównoważonego rozwoju, ale też nie zostały zdefiniowane odpowiedzialności za zarządzanie tymi zagadnieniami.

WARTO STAWIAĆ NA DIALOG Z INTERESARIUSZAMI I ODPOWIEDZIALNIE PODCHODZIĆ DO WYZWAŃ ZWIĄZANYCH Z POSZCZEGÓLNYMI CZYNNIKAMI ESG.



sposzczywa coraz większa odpowiedzialność za rozwiązywanie konkretnych problemów społecznych. Potwierdzają to wyniki tegorocznej edycji badania „Edelman Trust Barometer”, w którym wskazano, że to właśnie w biznesie upatrujemy aktora inicjującego bądź skutecznie

raz więcej przedsiębiorstw. Społeczeństwo ufa biznesowi, ale jednocześnie stawia przed nim wiele wymagań. Firmy powinny więc brać pod uwagę, że wiarygodne zaangażowanie w rozwiązywanie palących problemów społecznych musi opierać się na założeniu, że kluczowa jest

G – CZYLI ORGANIZACJA

Zagadnienia dotyczące ładu korporacyjnego wydają się być tym obszarem, który w firmach jest już kompetentnie zarządzany. Posiadanie odpowiednich polityk i procedur antykorupcyjnych, kodeksu etyki, systemu zgłaszania naruszeń czy systemu zarządzania ryzykiem w dużych przedsiębiorstwach jest już standardem. Coraz częściej też kolejne elementy ładu korporacyjnego pojawiają się

Efektywny sposób redukcji śladu węglowego

Ponad 5 tys. km nowych linii przesyłowych o napięciu 400 kV oraz 27 stacji planują zbudować Polskie Sieci Elektroenergetyczne w ciągu najbliższej dekady. Wśród priorytetów spółki, przy realizacji tego planu, jest prowadzenie dialogu ze społecznościami lokalnymi oraz ochrona środowiska. Przykładem jest linia elektroenergetyczna na warszawskiej Pradze, której budowa wymagała wycięcia ponad 500 drzew. We współpracy ze specjalistami od ochrony przyrody, mieszkańcami i władzami dzielnicy znaleziono optymalny sposób na zastąpienie wyciętych roślin. Zamiast usuniętych gatunków o niskiej wartości przyrodniczej posadzono ponad 600 dorodnych wiśni, klonów, lip i dębów, a dodatkowo także krzewów. Spółka dba o swoje otoczenie także m.in. przy zarządzaniu systemem elektroenergetycznym. By lepiej ocenić swój wpływ na środowisko i określić najbardziej efektywny sposób redukcji negatywnego wpływu, PSE od wielu lat mierzą swój ślad węglowy. W 2021 r. wyniósł on 3,7 mln ton ekwiwalentu dwutlenku węgla mierzonej według metody location-based (uwzględniający emisje w Polsce), czyli o 11 proc. mniej niż cztery

© MP

lata wcześniej, gdy zmierzono emisje PSE po raz pierwszy.

Każdy z nas codziennie korzysta z energii elektrycznej, stając się częścią systemu i mając wpływ na jego funkcjonowanie. Duże znaczenie dla pracy systemu ma np. pora dnia, w której zużywamy najwięcej prądu. Wraz z rozwojem odnawialnych źródeł energii, których praca zmienia się w ciągu doby, będzie to coraz ważniejsze. By ułatwić planowanie korzystania z energii na optymalne godziny, gdy jest to najbardziej korzystne dla środowiska i systemu, PSE udostępniły aplikację Energetyczny Kompas.

 Energetyczny Kompas

pobierz teraz!

POBIERZ Z
Google Play

Pobierz w
App Store



www.energetycznykompas.pl

– Pokazuje ona tzw. energetyczne godziny szczytu, czyli te, w których największa część zapotrzebowania jest zaspokajana przez elektrownie na węgiel i gaz. Dzięki aplikacji każdy z nas może zaplanować np. pranie, prasowanie czy korzystanie ze zmywarki na godziny, gdy będzie miało to najmniejszy wpływ na środowisko – tłumaczy Ada Konczalska, dyrektor Departamentu Komunikacji PSE.

Więcej o działalności PSE i zaangażowaniu spółki w obszar ESG można znaleźć w raporcie wpływu, dostępnym na stronie <https://raport.pse.pl/>

 Polskie Sieci Elektroenergetyczne

Ponadto na poziomie zarządu nie ma ustawionych procesów zarządczych, brakuje polityk i procedur. Obecne trendy i oczekiwania rynkowe, w tym potrzeby zapisane we wspomnianych już Dyrektywach CSRD oraz CSDD, wskazują na konieczność nie tyle realizowania działań ESG i ich raportowania, ale strategicznego zarządzania tym obszarem.

Ponieważ obszar dotyczący ładu korporacyjnego jest dużo bardziej jakościowy niż

obszary środowiskowy i społeczny, wydaje się on firmom prostszy, ponieważ nie trzeba zbierać i liczyć wskaźników ilościowych. Wprowadzone zmiany w standardach raportowania Global Reporting Initiative (GRI), obowiązujące od 2023 r., które zwiększyły wymagania właśnie w zakresie ujawnień dotyczących ładu korporacyjnego, w tym roli zarządu, zarządzania strategicznego czy zarządzania ryzykiem ESG, pokazały, że to zagadnienie tylko

pozornie jest łatwe. Firmy, które przygotowywały raporty zgodnie ze standardami GRI, przekonały się, że niezbędne jest opisanie szeregu działań i procesów, które w organizacji nie mają miejsca i wypełnienie wymagań tych wskaźników sprawiło wielu firmom trudność. A podobne wymagania będą niosły ze sobą standardy ESRS. Standard ESRS 2 (ogólne ujawnienia) czy standard G1 (prowadzenie biznesu) będą wymagały pisania

procesów identyfikacji i oceny wpływu ryzyk i szans, zarządzania ryzykiem ESG, polityk, w tym zobowiązań w zakresie ESG oraz roli zarządu i kadry zarządzającej w tym zakresie. Wydaje się zatem, że przed wieloma organizacjami stoi konieczność zmiany organizacyjnej i włączenia ESG w procesy zarządcze.

ALEKSANDRA KOWALSKA-LABRAIKI,
MARIA IBISZ (DELOITTE),
MIŁOSZ MARCHLEWICZ (FOB),
ZOFIA LEŚNIEWSKA

Materiał powstał we współpracy komercyjnej z:



SAMSUNG



żabka

 Polskie Sieci Elektroenergetyczne

Wszystko ze wszystkim



Allegro nie przestraszyło się amerykańskiego Amazona, przetrwało też szaleńczą szarżę singapurskiego Shopee. Teraz wyzwanie rzuca mu nowa polska platforma Wszystko.pl, za którą stoi spółka Comarch. Czy zakupy w sieci będą tańsze?

ILUSTRACJA PATRYK SROCYŃSKI

CEZARY KOWANDA

Bij mistrza – to sportowe hasło obowiązuje także w handlu internetowym. Zwłaszcza w naszym kraju, gdzie lider od lat jest ten sam. To platforma Allegro, z której korzysta regularnie aż 14 mln Polaków. Przyczyny sukcesu łatwo ustalić: Allegro jest zdecydowanym liderem pod względem liczby

oferowanych produktów, więc to od tego serwisu większość klientów zaczyna zakupy. I najczęściej na nim też je kończy, gdy znajdzie coś interesującego. Efekt?

Tylko w pierwszym kwartale br. za pośrednictwem Allegro sprzedano towary warte ponad 12 mld zł. Nic dziwnego, że konkurenci marzą o zdezonizowaniu lidera. 29 czerwca oficjalnie startuje serwis Wszystko.pl, należący do firmy Comarch, informatycznego giganta, który do tej pory specjalizował

się w dostarczaniu oprogramowania firmom i urzędom. Właściciel doszedł jednak do wniosku, że swoją technologię może też wykorzystać w inny sposób.

Teraz z platformy stworzonej przez Comarch mają korzystać wszyscy internauci. Kontrolowana przez Janusza Filipiaka firma ma z pewnością odpowiednie fundusze, aby rzucić wyzwanie Allegro. A skąd w ogóle wziął się taki pomysł?

– *Wielu sprzedawców narzeka na wysokie opłaty pobierane przez platformy.*

U nas na razie nie będzie żadnej prowizji od transakcji. Pojawi się ona w przyszłości, ale na pewno na poziomie niższym niż u konkurentów – zapowiada Mariola Barzyk-Libura, dyrektor Wszystko.pl. Rzeczywiście Allegro w ostatnich miesiącach podnosi systematycznie prowizje, testując granice bólu mniejszych i większych firm, które poprzez serwis docierają do swoich klientów. Teraz mają mieć alternatywę. A kupujący mogą liczyć na atrakcyjniejsze ceny. Jednak na razie to Allegro będzie mieć ogromną przewagę nad najmłodszym konkurentem, bo u niego działa ponad 140 tys. polskich sprzedawców. Wszystko.pl do tej pory przyciągnęło dopiero 11 tys. firm.

– Najbliższe dwa lata traktujemy jako okres rozbiegowy – opowiada Mariola Barzyk-Libura z Wszystko.pl.

Na tym etapie wynik starcia trudno przewidzieć. – *Nie wystarczy sama, nawet bardzo bogata oferta produktów. Potrzeba wygodnej aplikacji mobilnej, bo już 70 proc. zakupów robimy przez telefon. Liczą się też: sposób prezentacji towarów, wygodne możliwości dostawy,*

a nawet program lojalnościowy, który jest ważnym atutem Allegro. Polacy stali się bardzo wymagającymi klientami – ocenia Artur Halik, Head of Sales w firmie Shoper, która pomaga firmom prowadzić sklepy internetowe.

Wszystko.pl chce przyciągać handlujących nie tylko niższymi kosztami, ale też jasnymi zasadami działalności. Obiecuje, że nie będzie prowadzić na swojej platformie własnego sklepu, co robią na przykład Amazon i Allegro. Z tego powodu Allegro znalazło się pod pręgierzem Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, bo miało nieuczciwie promować swoje artykuły kosztem tych wystawianych przez innych sprzedawców. UOKiK pod koniec roku nałożył na właściciela Allegro (spółka giełdowa pod kontrolą kilku funduszy inwestycyjnych) rekordowe 206 mln zł kary. Platforma się odwołała, sprawa trafiła do sądu.

Wszystko.pl to nie pierwsza platforma, która rzuca wyzwanie Allegro. Takich prób było już kilka i wszystkie dotąd kończyły się słabo. Kilkanaście lat temu eBay, wówczas światowy potentat, chciał podbić polski rynek

internetowy, ale szybko musiał uznać wyższość lokalnego lidera. Dwa lata temu wydawało się, że Allegro czekają ciężkie czasy, bo do Polski z przytupem oficjalnie wszedł Amazon, lider światowego handlu internetowego. Szybko się jednak okazało, że nasz rynek dla Amazona ma wciąż znaczenie drugorzędne. Amerykański gigant działa bez marketingowych fajerwerków, nerwowości, a także bez naprawdę dużych inwestycji. Kto zatem oczekiwał wojny cenowej z Allegro, ten się rozczarował. Amazon celuje głównie w dużych sprzedawców. Niespecjalnie interesują go tysiące małych polskich firm, które są podstawą sukcesu Allegro.

Na pocieszenie polskim klientom pozostaje wciąż wyjątkowo tani abonament Amazon Prime, pozwalający na bezpłatne przesyłki, a także korzystanie z serwisu streamingowego. Kosztuje on u nas tylko 49 zł rocznie, znacznie mniej niż w Stanach Zjednoczonych (prawie 600 zł rocznie) czy krajach Europy Zachodniej (ok. 400 zł w Niemczech, ponad 300 zł we Francji), gdzie Amazon zdążył zbudować znacznie silniejszą pozycję. Jednak nawet Allegro coraz ►

REKLAMA

NAGRODA im. Profesora Jana Baszkiewicza

Do **16.07.2023 r.** można zgłaszać prace doktorskie oraz monografie do Nagrody im. Profesora Jana Baszkiewicza, organizowanej przez Wydział Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego.

Nagrody dla prac, które swym charakterem nawiązują do osiągnięć składających się na dzieło Profesora Jana Baszkiewicza, przyznawane będą w dwóch kategoriach:

- **Najlepsza praca doktorska** z zakresu nauk o polityce i administracji, obroniona na Uniwersytecie Warszawskim w 2022 r. (Nagroda pierwszego stopnia – 12 000 zł, nagroda drugiego stopnia – 10 000 zł).
- **Najlepsza monograficzna książka** naukowa polskiego badacza(ki), w zakresie nauk o polityce, wydana w Polsce w 2022 r. (Nagroda pierwszego stopnia - 20 000 zł, nagroda drugiego stopnia - 15 000 zł).

Dokonania naukowe Profesora Jana Baszkiewicza charakteryzowała interdyscyplinarność, a jego zainteresowania obejmowały prawo, historię, nauki o polityce, jak również filozofię i socjologię.

Nagroda kontynuuje misję Profesora, który w swojej działalności skupiał się na refleksjach scalających różnorodność i czerpiących z wielu dziedzin nauki. W studiach dotyczących polityki sprzeciwiał się błażości, powierzchowności i rutynie.

Jeśli misja Profesora jest bliska również Państwu, zachęcamy do przesyłania zgłoszeń do tegorocznej edycji nagrody jego imienia.



Więcej informacji i zasady zgłaszania prac:
wnpism.uw.edu.pl/nagroda-im-jana-baszkiewicza



Wydział Nauk Politycznych
i Studiów Międzynarodowych
Uniwersytet Warszawski



► mniej przejmuje się amerykańskim konkurentem. Według tegorocznych badań na zlecenie Santander Consumer Banku aż 90 proc. Polaków kupujących w internecie korzysta właśnie z Allegro, Amazona używa tylko 18 proc. ankietowanych. Lepsze wyniki mają takie serwisy jak Olx, Empik, a nawet chiński Aliexpress. Nic dziwnego, że jesienią ubiegłego roku Allegro podniosło cenę swojego abonamentu Smart, pozwalającego na bezpłatne dostawy do automatów z paczkami, z 49 do prawie 60 zł rocznie. Uznało, że ryzyko utraty klientów jest niewielkie, i – jak wynika z najświeższych danych – miało rację.

Znacznie groźniejsze niż Amazon wydawało się jeszcze niedawno Shopee.

Ta platforma, należąca do singapurskiego koncernu Sea Limited, weszła do Polski na jesieni 2021 r. i nie ukrywała swoich ambitnych planów. W krótkim czasie przekonała do siebie aż 60 tys. polskich sprzedawców. Wielu z nich nie zamknęło swoich sklepów na Allegro, ale weszło też na nowy serwis. Co więcej, to na nim oferowało swoje produkty nieco taniej, bo Shopee pobierało niższe prowizje niż Allegro. Singapurczycy postawili na bardzo agresywny marketing: głośne i irytujące reklamy, nieustanne akcje promocyjne pod hasłem walki z inflacją, kupony rabatowe, a nawet piosenkarza Sławomira jako tzw. ambasadora, czyli nadwornego celebrytę. Shopee zmusiło Allegro do cennej rywalizacji, przede wszystkim pod względem kosztów przesyłek. Jednak kariera Singapurczyków skończyła się równie gwałtownie jak się zaczęła.

W styczniu tego roku, właśnie z dnia na dzień, Shopee ogłosiło zamknięcie swojej polskiej platformy. Szacuje się, że w ciągu kilku-nastu miesięcy wydało na reklamy ponad 50 mln zł. Udało mu się w rekordowo krótkim czasie zbudować rozpoznawalną markę, bo według badań Santander Consumer Banku ponad jedna czwarta kupujących przez internet zaczęła korzystać z tej może i chaotycznej, ale rzeczywiście pełnej promocji platformy. Tyle że azjatycki właściciel najwyraźniej uznał, że Polska nie jest warta inwestowania kolejnych milionów. Może wystraszyła go wojna za naszą wschodnią granicą? Allegro przestało czuć presję i szybko wykorzystało

okazję. Właściciel serwisu zdążył się pochwalić, że w pierwszym kwartale tego roku udało mu się zwiększyć swoje marże. Bez singapurskiego rywala i jego agresywnych akcji rabatowych życie dla Allegro stało się prostsze, a dla polskich internautów droższe.

Nawet jeśli Wszystko.pl nie odniesie sukcesu, pojawią się zapewne kolejni gracze zainteresowani naszym rynkiem, który wciąż w szybkim tempie rośnie. Według szacunków PwC wartość polskiego handlu internetowego w 2023 r. osiągnie prawie 125 mld zł, a za cztery lata dojdzie do 187 mld zł. Co więcej na znaczeniu zyskują duże platformy sprzedażowe, bo to na nich coraz częściej szukamy z dobrym skutkiem interesujących nas produktów. W jednym miejscu można łatwo porównać ceny i oferty różnych sprzedawców.

Efekt jest taki, że i politycy coraz poważniej przyglądają się cyfrowemu

internetowych o konkretnych sprzedawcach, ale to dużo bardziej czasochłonne i mniej efektywne niż obowiązkowy system przekazywania informacji niezbędnych do skutecznej kontroli.

Jednak dużo większy wpływ na handel internetowy mogą mieć plany uszczelnienia przepisów dotyczących przesyłek z Chin.

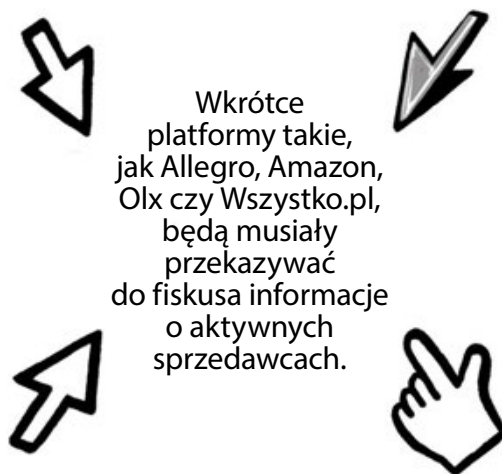
Teraz teoretycznie wszystkie paczki z tego kraju warte ponad 150 euro powinny zostać oclone, gdy przekraczają granicę Unii Europejskiej. W rzeczywistości wartość przesyłek jest często zaniżana, żeby skorzystać z bezcłowego importu. Potwierdza to także Komisja Europejska i obiecuje likwidację albo przynajmniej znaczne obniżenie limitu zwalniającego z cła. Apelują też o to sprzedawcy europejscy, którzy czują się dyskryminowani. Wskazują, że ich rywale z Azji mogą dzięki temu zalewać kraje Unii tanimi produktami.

Tym bardziej że nie przejmują się ani kosztownymi unijnymi przepisami o ochronie danych osobowych ani prawem zwrotu zamówionych towarów. Paczki do Chin są tak drogie, że wielu klientów rezygnuje z takiej możliwości, nawet jeśli są rozczarowani zawartością przesyłki.

Tymczasem chińskie koncerny korzystają od lat z rynkowej nierównowagi. Same Chiny nie wpuszczają na swój rynek zagranicznych dostawców, za to reszta świata chińskim firmom życia do niedawna nie utrudniała. W Polsce stabilną pozycję ma od lat Aliexpress, który znalazł dla siebie wygodne miejsce obok Allegro. Ostatnio w siłę rośnie też odzieżowy gigant Shein. Jakby tego było mało, w swój sklep internetowy coraz więcej inwestuje TikTok, jeden z najpotężniejszych serwisów społecznościowych świata. Na razie głównie w Chinach, ale próba podboju Europy jest tylko kwestią czasu.

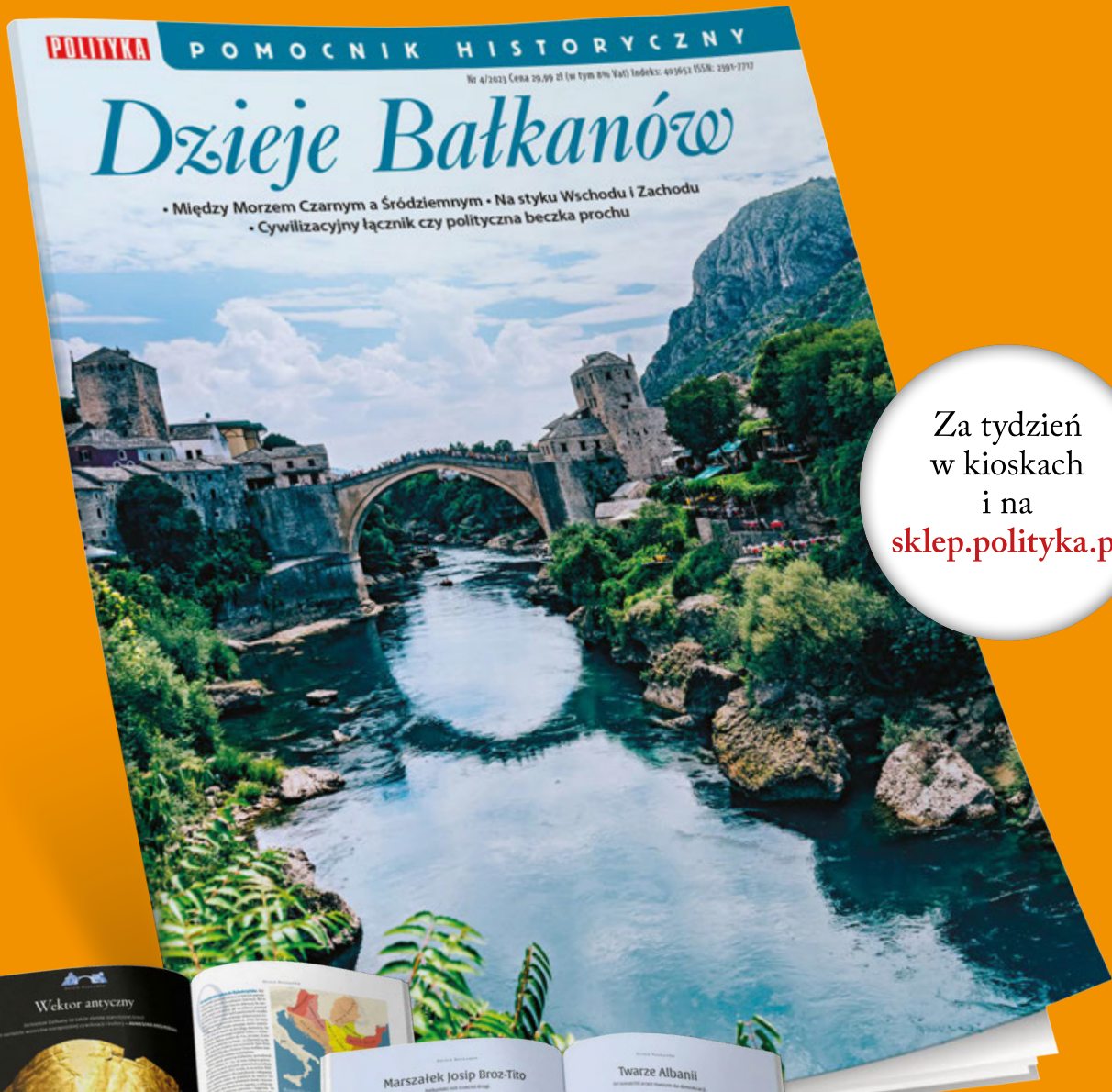
TikTok specjalizuje się w sprzedaży „na żywo”, z której szczególnie chętnie korzystają influencerzy i celebryci. W trakcie swoich transmisji namawiają do zakupu produktów, na czym oczywiście niemało zarabiają. To taka nowoczesna forma telezakupów, skrojona pod potrzeby młodego pokolenia. Handel internetowy nie tylko rośnie, ale też ciągle szuka nowych możliwości, by uszczknąć coś z naszych kont bankowych i kart kredytowych. Idzie to coraz lepiej.

CEZARY KOWANDA



rynkowi. W Polsce dobiegają końca prace nad wprowadzeniem przepisów unijnej dyrektywy, zgodnie z którą platformy takie, jak Allegro, Amazon, Olx czy Wszystko.pl, będą musiały przekazywać do fiskusa informacje o aktywnych sprzedawcach. Pod lupę trafi każdy, kto w ciągu roku osiągnie równowartość przynajmniej 2 tys. euro przychodów albo dokona 30 transakcji. Nie chodzi przy tym o żadną nową daninę, ale o bardziej skuteczną kontrolę, czy korzystający z internetowych platform wykazują w pełni swoje zarobki i płacą od nich podatki. Dziś skarbowka może zażądać informacji od serwisów

Blisko i egzotycznie



Za tydzień
w kioskach
i na
sklep.polityka.pl



Zapraszamy na profil <https://www.facebook.com/projektimpulsar/>,
a także na polityka.pl/podkasty do wysłuchania rozmów
z cyklu „POLITYKA o historii”

Luksemburg spieszy z pomocą

DZIĘKI NAJNOWSZYM UNIJNYM WYTYCZNYM FRANKOWICZE NIE MUSZĄ BAĆ SIĘ PO WYGRANYM PROCESIE KONTROPOZWU BANKÓW. A CZY SAMI MAJĄ SZANSĘ NA DODATKOWE ODSZKODOWANIE OD INSTYTUCJI FINANSOWYCH? O TYM ZADECYDUJĄ POLSKIE SĄDY.

Ten kontrakt banków zakończył się klęską, a może nawet obrócić się przeciwko nim.

W reakcji na masowo przegrywane procesy z klientami, żądającymi unieważnienia umów kredytowych, instytucje finansowe zaczęły składać własne pozwy. Chciały w nich rekompensat za tzw. bezumowne korzystanie z kapitału. W praktyce chodziło o to, żeby zmniejszyć swoje straty z powodu unieważniania kredytów. Banki chyba do końca nie wierzyły w sukces takich postępowań, ale traktowały je jako ostrzeżenie wysyłane w kierunku frankowiczów. Jeśli rzeczywiście chcą się oni procesować, muszą się liczyć z takim dodatkowym zagrożeniem. Ta taktyka nie była pozbawiona skuteczności, bo zniechęcała niektórych do drogi sądowej. Ale teraz trzeba z niej zrezygnować.

Dzieje się tak dlatego, że 15 czerwca Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej jasno stwierdził, że bankom nie przysługuje taka forma odszkodowania. Nie podzielił argumentów sektora finansowego, który wskazuje, że frankowicze zyskują w rzeczywistości darmowy kredyt – jeśli wygrają proces o unieważnienie umowy, muszą oddać wyłącznie kapitał, bez żadnych odsetek czy prowizji. W rzeczywistości orzeczenie TSUE jest dla banków podwójnym ciosem. Po pierwsze, zamyka im drogę do kontraktowania pozwami o rekompensatę za korzystanie z kapitału. Po drugie, pozostawia tę drogę otwartą samym klientom. Trybunał stwierdził bowiem, że prawo europejskie nie zamyka przed kredytobiorcami możliwości walki o analogiczne odszkodowanie od banków.

Czy zatem frankowicze mogą nie tylko unieważnić umowy, ale jeszcze liczyć

na rekompensatę od banków za życie przez lata z toksycznymi kredytami? Na razie tego nie wiemy, bo podobnych procesów praktycznie jeszcze nie było. Teraz z pewnością część kredytobiorców spróbuje wykorzystać dodatkową możliwość pogrążenia banków. Jak wyliczyć kwotę ich roszczeń? – *Trzeba uwzględnić wszystkie zapłacone raty i oszacować, o ile dotąd zmalała siła nabywczą tych środków z powodu inflacji. Inna opcja to konstrukcja utraconych korzyści, czyli wyliczenie, ile można by zarobić na tych środkach, gdyby były w tym czasie do dyspozycji klienta. Wreszcie trzecim rozwiązaniem byłaby walka o zadośćuczynienie za doznaną krzywdę czy naruszenie przez banki zaufania do systemu finansowego. W amerykańskich warunkach takie pozwy miałyby duże szanse na sukces, u nas raczej nie* – ocenia dr Jędrzej Jachira, adwokat i współpracownik w Kancelarii Prawnej Sobota Jachira.

Jakie będą konsekwencje najnowszego wyroku Trybunału? Związek Banków Polskich szacuje, że do sądów trafiło do tej pory ok. 130 tys. pozwoń kredytobiorców walutowych. Ta liczba z pewnością się zwiększy, skoro właśnie zniknął bankowy straszak w postaci rekompensat czy odszkodowań za korzystanie z kapitału. Do procesów może teraz zniechęcać chyba głównie ich długi czas trwania. W Warszawie od chwili złożenia pozwu do prawomocnego wyroku (banki praktycznie zawsze odwołują się od niekorzystnego wyroku w pierwszej instancji) mija 4–5 lat. Kolejne



pozwy do przeładowanego tzw. Wydziału Frankowego (formalnie to XXVIII Wydział Cywilny Sądu Okręgowego w Warszawie) mogą składać już tylko mieszkańcy lewo-brzeżnej części stolicy i okolicznych gmin. Reszta musi pozywać banki w miejscach swojego zamieszkania. To zaś doprowadzi zapewne do zapchania także innych sądów. Jednak cierpliwość się opłaca, bo korzyści z unieważnienia umowy są ogromne – zarówno finansowe, jak i psychiczne.

Co na to banki? Te starają się za wszelką cenę zachęcić do zawierania ugód zamiast składania pozwów. Instytucje finansowe prowadzą nawet wspólną akcję pod hasłem „Uгода lepsza niż proces”. Warunki takiego kompromisu nie są wciąż jednolite, ale najczęściej chodzi o potraktowanie kredytu walutowego jak złotowy od samego początku i przejście na oprocentowanie złotowe. To rozwiązanie mniej korzystne niż unieważnienie umowy, ale oczywiście znacznie szybsze. Związek Banków Polskich przekonuje, że liczba ugód szybko rośnie i osiągnęła już 60 tys. – *Urząd Komisji Nadzoru Finansowego podtrzymuje, że zaproponowana przez Jacka Jastrzębskiego, przewodniczącego KNF, w grudniu*

2020 r. koncepcja zawierania ugód przez banki z kredytobiorcami frankowymi jest obecnie jedynym dostępnym, racjonalnym i równoważącym interesy zarówno banków, jak i kredytobiorców narzędziem, służącym do mitygacji systemowego ryzyka dotyczącego portfela kredytów frankowych. I to narzędzie banki powinny aktywnie wykorzystywać – mówi Jacek Barszczewski, dyrektor Departamentu Komunikacji Społecznej w Urzędzie Komisji Nadzoru Finansowego.

W mediach często pojawia się kwota 100 mld zł, jakie banki tracą na sprzątanie frankowego bałaganu. Jeszcze niedawno zarówno KNF, jak i same instytucje finansowe przestrzegały przed destabilizacją całego systemu finansowego. Teraz już prognozy są mniej alarmistyczne, a ostatni wyrok TSUE nie spowodował wcale trzęsienia ziemi na warszawskiej giełdzie. Dlaczego? Banki przegrywające procesy stopniowo zwiększają swoje rezerwy na pokrycie ich kosztów. Zebrały już dotąd 40–50 mld zł, a teraz po prostu muszą jeszcze zwiększyć tę poduszkę bezpieczeństwa, skoro do sądów pójść kolejni frankowicze. Na korzyść banków działa też zapchanie sądów procesami. Dzięki temu straty można rozłożyć na wiele lat, bo unieważnianie kredytów następuje stopniowo. Tyle tylko, że wszystkie te szacunki nie biorą pod uwagę ewentualności płacenia klientom odszkodowań czy rekompensat, co w świetle wyroku TSUE stało się przynajmniej teoretycznie możliwe.

PIOTR CYMERMAN

Koniec wątpliwości w sprawach frankowiczów po wyroku TSUE

Sprawy kredytów we frankach od niespełna 10 lat były przedmiotem politycznych sporów, następnie obietnic i różnych pomysłów na rozwiązanie tego problemu. Wreszcie, od kilku lat stały się regularnym zagadnieniem prawnym rozpatrywanym niemal we wszystkich polskich sądach. Te zaś nie zawsze wiedziały jak rozpoznać daną wątpliwość prawną. Najpierw zatem skierowano pytania do TSUE w sprawie Dziubak i od 2020 roku frankowicze zaczęły regularnie, w ponad 99% swoje sprawy wygrywać. Banki nie pozostały jednak bierne i zaczęły pozywać swoich klientów o zwykle setki tysięcy złotych tytułem zwrotu wynagrodzenia za korzystanie z kapitału. Pozwy te odstraszały część kredytobiorców od wybrania się na ścieżkę sądową. Od 15 czerwca 2023 roku jednak frankowicze nie będą już takich obaw podzielać. Trybunał ostatecznie rozstrzygnął ostatnie wątpliwości i utorował

już w całości drogę do wygrania tych spraw od A do Z.

Brak wynagrodzenia za korzystanie z kapitału

Dotychczas banki wskazywały, że nie ma czegoś takiego jak „kredyt za darmo”. Skoro dochodzi do unieważnienia umowy kredytu, to klient w osobnym postępowaniu musiał bronić się przed daleko idącym pozwem banku, właściwie pozbawiającym zupełnie sensu w przypadku jego uwzględnienia prowadzenie pierwszej sprawy. I chociaż takie działanie od początku uznawane było przez specjalistów za pozbawione podstaw prawnych i jawnie sprzeczne z prawem krajowym i europejskim, to jego efektem było wstrzymanie się przez frankowiczów z dalszą decyzją wytoczenia przeciwko bankowi pozwu. Nawet pomimo pierwszego w Polsce wyroku oddalającego powództwo banku o takie roszczenie, uzyskane przez mec. Adama Sobotę z Kancelarii Prawnej Sobota

Jachira. Trybunał jednak nie pozostawił w ostatnim wyroku cienia wątpliwości w tej sprawie: bankom nie należy się jakiegokolwiek wynagrodzenie za korzystanie z kapitału w przypadku unieważnienia umowy kredytu, byłoby to jawnie sprzeczne z prawem europejskim.

Otwarcie drogi do dochodzenia dodatkowych rekompensat przez frankowiczów

To jednak nie koniec. Trybunał wyraźnie wskazał, że oprócz unieważnienia umowy toksycznego kredytu, frankowicze mogą starać się o dodatkową rekompensatę, a prawo unijne nie stoi temu na przeszkodzie. Oznacza to, że ponoszone przez klientów raty, które wraz z odsetkami mają teraz zostać im zwrócone po potrąceniu otrzymanego kapitału, mogą być m.in. przedmiotem waloryzacji i w związku z tym kredytobiorcom mogą należeć się jeszcze dodatkowe środki. To dotychczas niespotykane podejście w polskim porządku prawnym, które dodatkowo może mieć zastosowanie nie tylko w przypadku frankowiczów, ale również w sprawach dotyczących kredytów w innych walutach obcych, a także kredytów złotych opartych o stawkę WIBOR.

Możliwość zawieszenia spłaty kredytu na czas trwania postępowania

Na czas trwania procesów ponadto frankowicze mogą starać się o uzyskanie postanowienia w przedmiocie

zawieszenia spłaty swoich kredytów. Zdaniem Trybunału nie dotyczy to wyłącznie sytuacji związanych z nadpłatą kapitału kredytu, ale również takich, w których długi czas oczekiwania na wyrok mógłby później utrudnić jego wykonanie. Takie podejście otwiera drogę do zawieszenia spłaty kredytów, które dotychczas nie zostały zawieszane przez sądy w toczących się postępowaniach ze względu na oddalenie złożonych przez pełnomocników wniosków. Również klienci, którzy jeszcze nie złożyli swoich pozwów do sądów mogą w tym momencie starać się o udzielenie takiego postanowienia.

Nadciąga lawina pozwów frankowiczów

W tym momencie wszystkie wątpliwości zostały ostatecznie rozwiane. To zdecydowanie czas dla dotychczas niezdecydowanych. W przypadku klientów kancelarii prawnej Sobota Jachira dotychczas ponad 99% spraw zakończyła się całkowitym unieważnieniem zawartych umów kredytów. Niekorzystne wyroki w tych sprawach od wyroku Dziubak stanowią wyjątek. Warto mieć na uwadze, że w związku z ostatnim wyrokiem Trybunału również kolejka do sądów może być dłuższa. Jednak w kontekście składanych przez banki zwykle niekorzystnych propozycji ugodowych, tylko w sądzie można doprowadzić do unieważnienia całej umowy i rozliczenia się z bankiem wyłącznie do wysokości otrzymanego kapitału.



© KAMIL SZYSZKA

dr Jędrzej Jachira i dr Adam Sobota, sobotajachira.pl

S SOBOTA JACHIRA
KANCELARIA PRAWNA

dr Jędrzej Jachira, współnik w Kancelarii Prawnej SOBOTA JACHIRA
ekspert w dziedzinie pomocy Frankowiczom i Złotówkowiczom
bezpłatna analiza umów w CHF i PLN: biuro@sobotajachira.pl, www.sobotajachira.pl/

Arcywłoch

Nawet Włosi, którzy nie płakali po zmarłym właśnie **Silvio Berlusconi**, przyznają, że to on był ojcem chrzestnym współczesnej Italii.

PIOTR PODEMSKI Z NEAPOLU

N

a trzy dni przed śmiercią 86-letni lider włoskiej prawicy wybrał się z aktualną towarzyszką, 33-letnią Martą Fasciną, do baru z widokiem na osiedle Milano 2, jeden z jego wielkich projektów deweloperskich z czasów młodości. W lokalu po swoim cierpliwie pozował gapiom do zdjęć. Na fotografiach wyraźnie widać jego umęczoną twarz. Tylko

on sam wydawał się tego nie dostrzegać, do końca snując śmiało projekty polityczne. Ostatecznie 12 czerwca zapaść zdrowotna, związana z przewlekłą białaczką, zakończyła najbarwniejszą biografię współczesnych Włoch.

Premier Giorgia Meloni – polityczna wychowanka Silvio Berlusconi – oceniła, że dał w ten sposób Włochom przykład, żeby nigdy nie dawać za wygraną. I – pomimo protestów – ogłosiła żałobę narodową. Państwowy pogrzeb celebrował w ikonicznej katedrze arcybiskup Mediolanu; włoskie media wyeksponowały puentę jego homilii: „Był człowiekiem o wielkim pragnieniu życia, miłości i radości”. Makabrycznie w tym kontekście brzmi kursujący niegdyś po Włoszech żart, jakoby Berlusconi kazał sobie wynająć, a nie kupić, grób pośrodku placu przed mediolańską katedrą – bo wierzył, że jako Jezus Chrystus włoskiej polityki będzie go potrzebował tylko na trzy dni.

Gdy jednak w jednym z turyńskich teatrów poproszono o minutę ciszy ku jego pamięci, została ona przerwana przez gwizdy znacznej części publiczności. Był bowiem Berlusconi skondensowanym wcieleniem zarazem włoskich marzeń, jak i narodowych przywar. To dlatego właśnie przyłgnęło do niego określenie „Arcywłoch”.

Italian Dream

Według mitu skromne pochodzenie społeczne nie stanowiło bariery dla przystojnego, charyzmatycznego i przedsiębiorczego młodego człowieka, który po ukończeniu katolickiej szkoły i studiów prawniczych parał się najróżniejszymi zajęciami. Zapamiętano mu zwłaszcza śpiewanie na statkach wycieczkowych i domokrążną sprzedaż odkurzaczy. Łączył w sobie typowo mediolański etos ciężkiej pracy z iście amerykańskim temperamentem showmana. „Wszystkie projekty mego życia z początku uważano za zbyt ambitne. Powiedziałem: »Zbuduję miasto dla 4 tys. mieszkańców«. Wszyscy mówili: »To niemożliwe!«. Zrobione. »Zbuduję takie dla 18 tys.«. Zrobione. »Mondadori będzie największym

wydawnictwem w kraju«. Udało się. »Milan zostanie najlepszą drużyną piłkarską na świecie«. Udało się. »Założę partię, wejdziemy do rządu«. Dokonałiśmy tego. Pozwólcie mi więc na odrobinę dumy: któż jest taki we Włoszech, kto może się równać pod względem sukcesów ze stojącym przed wami panem Berlusconiem?».

Tak powstawały kolejne firmy i trwałe pomniki jego osiągnięć: Edilnord, osiedla Milano 2 i Milano 3 (Berlusconi chętnie podkreślał swoje związki z Mediolanem i wartościami włoskiej Północy), wreszcie Fininvest – imperium, które u szczytu potęgi kontrolowało ponad 150 różnych spółek we Włoszech i za granicą. Ale wpływ Berlusconiego na życie Włochów zaznaczył się na dobre dopiero poprzez media. Twórca koncernu Mediaset, który (zbudowany na bazie osiedlowej kablówki z Milano 2) w latach 90. stał się konkurencją dla państwowego giganta RAI, zrewolucjonizował świat włoskiej telewizji, a co za tym idzie – kulturę popularną i mentalność Włochów. Grzecznej, eleganckiej i... nudnej telewizji państwowej przeciwstawił niskich lotów rozrywkę, pełną rozlegliżowanych kobiet pływających do dyskotekowej muzyki, często opartą na importowanych formatach zagranicznych, zwykle amerykańskich. Tego typu programy biły rekordy popularności, a zarabiający na tym krocie Berlusconi udowodnił, że posiada naturalne wyczucie gustów i marzeń rodaków.

Naprzód, Włochy!

Globalny kontekst sprawił, że właścicielowi tego instynktu nadarzyła się okazja zastosowania go w polityce. Po upadku bloku wschodniego Italia przestała być kluczowym punktem na mapie zimnowojennych interesów amerykańskich, co przyniosło kres decydującego wsparcia USA dla rządzącej od drugiej wojny światowej partii chadeckiej. Nieprzypadkowo właśnie wówczas krajem wstrząsnęła kampania „Czyste ręce”, która ujawniła porażającą skalę korupcji i mafijnych układów wśród włoskiej klasy politycznej. Władza leżała na ulicy i Berlusconi postanowił po nią sięgnąć. W kilka miesięcy stworzył postpolityczną partię-firmę, niejako spółkę córkę Mediaset, którego eksperci ds. sprzedaży i reklamy wraz ze znanymi z telewizji prezenterkami zostali po krótkim przeszkoleniu politycznym zaangażowani do nowego projektu. Jego biznesowy i pragmatyczny charakter znać było już po nazwie – Forza Italia! (Naprzód, Włochy!) to stadionowy okrzyk kibiców narodowej reprezentacji piłkarskiej.

Symboliczne były też inauguracyjne słowa lidera ze stycznia 1994 r.: „Kartelowi lewicy musi się przeciwstawić biegun wolności, zdolny zgromadzić wokół siebie najlepsze siły uosabiające uczciwość, rozsądek i nowoczesność. Wierzimy w człowieka, rodzinę, firmę, konkurencję, rozwój, wydajność, wolny rynek i solidarność. Możemy razem zrealizować włoskie marzenie – nowy włoski cud”. Ów liberalny ideowo i gospodarczo program – okraszony inwektywami pod adresem starej klasy politycznej oraz wyrazami uznania wobec „zwykłego człowieka” – zapewnił Berlusconiemu zwycięstwo wyborcze i stanowisko premiera. I choć jego pierwszy rząd, w pełnej zgodzie z włoską normą, przetrwał zaledwie niespełna rok, Berlusconi stał się odtąd punktem politycznego odniesienia, polaryzując Włochów wokół siebie i przeciwko sobie.

Dwukrotnie wracał jeszcze na urząd premiera – w latach 2001–06 i 2008–11 – co czyni z niego najdłużej urzędującego szefa włoskiego rządu w powojennej historii kraju. W międzyczasie jego kolejne ugrupowania wspierały też kilka rządów eksperckich, m.in. ekonomistów Mario Montiego i Mario Draghiego, co miało stanowić dowód racjonalizmu i instynktu propaństwowego Berlusconiego. Symbolicznym wyrazem jego niepodważalnego autorytetu czy wręcz kultu jednostki była – śpiewana w formie karaoke – piosenka z kampanii wyborczej 2008 r., której refren brzmiał: „Panie Premierze, jesteśmy z Tobą. Całe szczęście, że jest

z nami Silvio!”. Włoski politolog Giovanni Sartori określał tę sytuację wręcz mianem „sułtanatu”, ponieważ niekontestowanego lidera otaczał wianuszek pięknych kobiet i... pozbawionych siły sprawczej mężczyzn.

Ogrom osobistej władzy Berlusconiego stał się z czasem powodem zacieklej krytyki. Pojawiały się obawy o konflikt interesów między szefem rządu nadzorującym media publiczne i właścicielem prywatnego imperium medialnego w jednej osobie. Berlusconi solennie zapewniał wówczas, że odtąd wszedł do polityki, „nie wykonał ani jednego telefonu” do Mediasetu, zaś w telewizji RAI „nie przestawi nawet kwiatka”. Stać go było również na autoironię, gdy na wiecu wyborczym opowiedział charakterystyczny dla siebie dowcip: „Berlusconi umarł i poszedł do nieba. Tam łatwo przekonał Pana Boga, by zmienić raj w spółkę akcyjną i umieścić na mediolańskiej giełdzie. Ale Bóg miał jednak pewną wątpliwość: dlaczego ma być tylko wiceprezesem?”.

Bardziej nerwowo reagował Berlusconi na formalne oskarżenia o malwersacje podatkowe, nadużywanie władzy czy skandale obyczajowe ze swoim udziałem. Głosił, że nieustannie wytaczane mu i nigdy niekończące się procesy są li tylko dowodem na upolitycznienie włoskiego sądownictwa, a rękoma „czerwonych sędziów” chcą go zdyskredytować mityczni komuniści, którzy nie potrafią uczciwie pokonać go w wyborach. Koncepcję tę konsekwentnie lansował jeszcze w dniu pogrzebu jego bliiski współpracownik Vittorio Sgarbi, wykrzykując w uniesieniu, że słynne „bunga-bunga”, w których osobiście uczestniczył, stanowiły wyłącznie dobroczynne spotkania z marokańskimi imigrantkami, zaś jego przyjaciel Silvio umarł przedwcześnie jako męczennik – ofiara prześladowań ze strony włoskiego wymiaru sprawiedliwości.

Gorszy niż faszyzm

Wypowiedź Sgarbiego była dla większości Włochów oburzająca. I wywołał ostre reakcje. W kontekście polemik wokół śmierci Berlusconiego po włoskim internecie zaczęła ponownie krążyć rzekoma – wielokrotnie dementowana – wypowiedź pisarki Dacii Maraini: „Berlusconiizm to największa katastrofa kulturowa naszych czasów. Może nawet gorsza od faszyzmu, bo zafaszowana i podstępna, bo kusząca i pozornie zwycięska. Berlusconiizm wprowadził kulturę wolnego rynku, w której wszystko się kupuje i sprzedaje, od senatorów do nieletnich dziewcząt”. Bez względu na to, kto jest autorem tych słów, nawet zacięci krytycy nie odmawiają zmarłemu historycznego znaczenia. Twierdzą jedynie, że on Italię – zamiast rozwijać i modernizować – zniszczył i zdeprawował.

W wątpliwość podawane są zresztą już nawet jego dokonania biznesowe. Jak to możliwe, pytają dociekliwi, by 30-letni drobny przedsiębiorca mógł budować wielotysięczne osiedla na przedmieściach jednej z najważniejszych włoskich metropolii? Skąd pochodził jego kapitał? Odpowiedź zasugerował lewicujący reżyser Nanni Moretti w filmie z 2006 r. pod tytułem „Kajman” (aluzja do niekorzystnych efektów operacji plastycznych twarzy Berlusconiego) w scenie, w której na siedzącego w pustym biurze biznesmena spada nagle z sufitu walizka pełna pieniędzy.

Źródła zbliżone do sycylijskiej mafii sugerują, że to Cosa Nostra miała być największym inwestorem Milano 2, co sprwadzałoby Berlusconiego wyłącznie do roli tzw. słupa, czyli osoby o nieposzlakowanej (wówczas!) opinii, firmującej interesy pozostających w ukryciu mocodawców. Takie wątpliwości pojawiały się już w 1994 r., gdy dziennikarz Giovanni Minoli pytał w wywiadzie: „Czy może pan potwierdzić, że pańskie firmy należą wyłącznie do pana?”.

Zdaniem krytyków Berlusconiego demystyfikacji wymaga również mit o przełomie wywołanym jego wejściem do świata ▶

► polityki w 1994 r. Nie ulega wątpliwości, że Berlusconi był bliskim przyjacielem socjalistycznego premiera z lat 1983–87 Bettino Craxiego, który przed zarzutami korupcyjnymi musiał uciekać aż do Tunezji. Przyciśnięty przez dziennikarzy – i dowody na piśmie – sam Berlusconi przyznawał też, że długo przed 1994 r. należał do loży masońskiej P2, która stanowiła rodzaj ekskluzywnego klubu dla osób liczących się we włoskiej polityce, armii, kulturze i biznesie. Stąd już prosta droga do twierdzenia, że rzekoma zawrotna kariera Berlusconiego wynikała wyłącznie z jego roli eksponenta mrocznych sił ze styku polityki i mafii. Jego rządy służyć już miały przede wszystkim uchwalaniu kolejnych ustaw korzystnych wyłącznie dla jego prywat-

Najbardziej przerażające w tej wizji nie jest wcale to, jak twórca Mediaset wykorzystał włoską tęsknotę za sukcesem i popularnością do swoich celów, ale jak łatwo włoskie społeczeństwo jedno z najslabiej wykształconych w Europie, uległo tak topornej i krzycząco sprzecznej z jakimkolwiek moralnym etosem wizji szczęścia.

W tej sytuacji krytykom Berlusconiego nietrudno było uwić w najbardziej wymyślne plotki na temat jego nieobydajnych wyczynów – pochodzące od ich dawnych uczestniczek lub z podsłuchów telefonicznych. Wedle tych pogłosek luksusowe rezydencje w Arcore pod Mediolanem, Palazzo Grazioli w Rzymie czy Villa Certosa na kultowym Szmaragdowym Wybrzeżu Sardynii miały odwiedzać wyszukiwane przez cały sztab stręczycieli kobiety, które w zamian za udział w całonocnych imprezach mogły liczyć rano na koperty z zawartością liczoną w tysiącach euro.

Na kompromitację i zarzuty nadużywania władzy do celów prywatnych naraził Berlusconi również słynny epizod, gdy rzekomo osobiście zadzwonił do policjanta na służbie, by „poprosić” go o puszczenie wolno jednej z uczestniczek jego imprez – jako wnuczki egipskiego prezydenta Hosniego Mubaraką (policjant łatwo zweryfikował, że dziewczyna o pseudonimie „Ruby” w rzeczywistości pochodziła z Maroka). Co istotne, pomimo lawiny ponad 30 procesów Berlusconi ostatecznie usłyszał tylko jeden prawomocny wyrok skazujący – za oszustwa podatkowe.

Prekursor populizmu?

Czy zatem 12 czerwca 2023 r. odszedł nie tylko najważniejszy włoski premier ostatnich dekad, ale i dziekan populistów, prekursor bezideowej postpolityki i cynicznego trumpizmu, który pokazał Europie i światu, jak przy użyciu dostępnej technologii manipulować bezmyślnym tłumem dla własnych korzyści biznesowych i politycznych? Ku takiej interpretacji skłania się wielu włoskich obserwatorów, przyznając: „Na każdą sprawę patrzył przez pryzmat zysku, także politycznego”, „To było deprawowanie z uśmiechem na ustach i przy akompaniamencie opowiadanych z gracją dowcipów”, „Wzbudzał sympatię, rozśmieszał, ale oczywiście był mizoginem”, „To był szaleniec, który kochał wolność, czasem może jej nadużywał”.

W dniu śmierci Berlusconiego opublikowano sondaż, wedle którego jako lider partyjny mógł liczyć na zaufanie 30 proc. Włochów. Ale już w przeddzień pogrzebu na fali emocji (po ulicach Neapolu ktoś porozklejał nekrologi o treści: „Ciao, Silvio! Szczęśliwej podróży!”) aż 55 proc. rodaków Berlusconiego deklarowało, że zachowa o nim dobre wspomnienie. Do tej zmiany nastroju przyczyniły się również liczne świadectwa osób, które znały go osobiście i coś mu zawdzięczały („Bardzo ludzki, dobry, zawsze uważnie słuchał, pamiętał imiona całej mojej rodziny!”).

Trudno dziś wyrokować, jak zapamięta Berlusconiego historia. Bez wątpienia wywarł na współczesnych Włoszech niezatarte piętno. W Rzymie mawia się bezceremonialnie: „Umarł papież? Wybierze się drugiego!”. Jeden z włoskich dzienników strawestował to porzekadło, bodaj trafnie głosząc na stronie tytułowej: „Umarł Silvio. Drugiego takiego nie będzie!”.

PIOTR PODEMSKI

Autor jest historykiem i italianistą z Uniwersytetu Warszawskiego.



Uliczny mural Mauro Pallotta przedstawiający Silvio Berlusconiego na imprezie z kobietami przebranymi za starożytne Rzymianki.

nych interesów. Kiedy po raz ostatni opuszczał hotel premiera w 2011 r. w obliczu kryzysu finansowego, koszty obsługi włoskiego długu publicznego były najwyższe w historii, a zatem – twierdzą krytycy – wbrew propagandzie nie był geniuszem zarządzania i nie wzbudzał zaufania rynków finansowych.

Wideokracja

Dla intelektualistów, krytyków Berlusconiego, jego największą zbrodnią (i jednocześnie zasłoną dla brudnych interesów) była jednak jego telewizja, dzień w dzień niszcząca włoską kulturę. Dobitnie pokazał to w 2009 r., w wielokrotnie nagradzanym filmie dokumentalnym „Wideokracja”, Szwed włoskiego pochodzenia Erik Gandini.

W wykreowanym przez specjalistów z Mediaset sztucznym i płaskim świecie kolorowych marzeń i snów mieszkający z matką robotnik trwoni życie, snując się po castingach. Jest bowiem przekonany, że jeśli uda mu się choć raz zagościć w telewizji, będą należały do niego bogactwa i najpiękniejsze kobiety świata. Studia telewizyjne zaludniają podobne mu postaci gotowe literalnie sprzedać swoje ciało za przywilej wystąpienia w seksistowskich talk-show. A nad tą fabryką snów czuwa niedościgniony mistrz uwodzenia kobiet i tłumów Silvio Berlusconi.

Dżihad przeciw maszynom

Błyskawiczna kariera sztucznej inteligencji wywołuje kolejne apele o międzynarodowe ograniczenie lub nawet zakaz rozwoju tej technologii.

Czy to w ogóle jeszcze możliwe?

ŁUKASZ WÓJCIK



ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

W „Diunie” Franka Herberta, niedawno z rozmachem zekranizowanej przez Denisa Villeneuve’a, pojawia się mgliste wspomnienie o Butleriańskim Dżihadzie. Bez niego trudno zrozumieć świat Herberta. Akcja książki rozgrywa się bowiem w odległej przyszłości, w której nie ma myślących maszyn. A to dlatego, że wiele lat wcześniej przejęły one władzę nad ludźmi, uzależniając ich stopniowo od siebie. Ci się jednak zbuntowali i w stuletniej wojnie, zwanej właśnie Butleriańskim Dżihadem, zniszczyli wszystkie myślące maszyny. Przyrzekli też sobie, że już nigdy nie stworzą nowych.

Herbert użył słowa dżihad świadomie, bo w tej wojnie nie chodziło tylko o zwykłą dominację. Dla jego ludzkich bohaterów był to fundamentalny spór o definicję człowieczeństwa i o przyszłość ludzkości. Wszystko to brzmi niebezpiecznie znajomo w obliczu obecnych debat nad przyszłością sztucznej inteligencji. Czy zatem stoimy u progu nowego dżihadu?

1 Kilka tygodni temu grupa przedsiębiorców i ekspertów związanych ze sztuczną inteligencją (*artificial intelligence*, AI) zaalarmowała w publicznym liście, że rozwijana przez nich technologia stanowi „egzystencjalne zagrożenie dla ludzkości”, porównywalne z pandemią i wojnami nuklearnymi.

Alarm poparli m.in. Sam Altman, szef OpenAI, twórcy ChatGPT, najpopularniejszej dziś aplikacji-interfejsu dla AI, i Demis Hassabis, który stoi na czele działu AI w Google. Podpisali się pod nim również Geoffrey Hinton i Yoshua Bengio, laureaci Nagrody Turnera, uważani za ojców chrestnych współczesnej AI. Hinton w maju zrezygnował z pracy dla Google – jak sam przyznał: żeby móc krytykować. „Niewielu ludzi wierzyło, że to [AI – przyp. red.] może kiedyś stać się mądrzejsze od ludzi – napisał Hinton. – Ja sam byłem do niedawna przekonany, że to się może wydarzyć dopiero za 30 do 50 lat. Już tak nie myślę”.

► Wcześniej podobny apel podpisał Elon Musk i wezwał do zamrożenia prac badawczych w całej branży na minimum sześć miesięcy, aby w ten sposób dać czas rządowi na przygotowanie stosownych regulacji. I powstrzymanie czekającego nas niechybnie armagedonu.

Oba alarmy zbiegły się z rosnącymi obawami o skutki błyskawicznego rozwoju AI, któremu towarzyszy skokowy wzrost dostępności tej technologii w postaci tzw. dużych modeli językowych. Na tych ostatnich opierają się kolejne wersje ogólnodostępnych ChatGPT i innych chatbotów. Ta nowa technologia, według alarmistów, w krótkim czasie może narobić potężnego zamieszania w wymiarze ekonomicznym i społecznym. A nawet doprowadzić do politycznej rewolucji.

Ich główny argument jest następujący: jeśli AI – tak jak w przypadku ChatGPT – potrafi sama pisać kody, to w następnym kroku będzie już w stanie sama się udoskonalać. I to w coraz szybszym tempie. A wtedy może dojść do poziomu tzw. osobliwości technologicznej (*the singularity*), co w praktyce będzie oznaczać usamodzielnienie się AI od człowieka.

Stąd już, zdaniem autorów alarmu, prosta droga do przejęcia kontroli nad naszą infrastrukturą, systemem finansowym, komunikacją, a w ostatecznym ruchu – również nad naszym systemem politycznym. Nie dla władzy samej w sobie, po prostu dla wykonania powierzonego AI zadania. Wspomniany Hinton opowiada o nieskomplikowanym eksperymencie myślowym, w którym człowiek zlecił AI maksymalizację produkcji klipów do papieru, a AI przejęła władzę nad światem, aby ten cel osiągnąć.

2 Tu nasuwa się pytanie: w zasadzie dla czego naukowcy i biznesowi liderzy branży AI chcą jej regulacji czy wręcz ograniczenia? Wspomniany Musk już w 2015 r. przekonywał, że AI jest „potencjalnie bardziej niebezpieczna niż bomby nuklearne”. Po czym jednak został współzałożycielem OpenAI, czyli wiodącej firmy w tym biznesie, która wtedy – według niego – działała „na rzecz dobra ludzkości”. Dziś nie ma już z nią związku, ale pracuje nad AI w ramach Twittera. I jednocześnie podpisuje kolejne alarmy.

Zastanawiające też, że wszyscy ci alarmiści to ludzie emocjonalnie związani z AI – lubią o niej mówić, rozwodzić się nad jej kolejnymi zastosowaniami. Podobnie im się wiza potężnych i pomocnych



robotów, które zoperują nam trzustkę i zmieniają trajektorię lotu meteorytu zmierzającego ku Ziemi. Ale jednocześnie boją się, że wszystko pójdzie źle i AI zniszczy nasz świat. A konkretnie przerażeni są wizją „ucieczki” AI, która dzięki nieustannemu samodoskonaleniu wymknie się nam spod kontroli.

Nietrudno w takich alarmach usłyszeć też echa longtermizmu, ideologii coraz popularniejszej w kręgach Doliny Krzemowej (pisaliśmy o niej w POLITYCE 51/22), która w dużym uproszczeniu zakłada, że powinniśmy poświęcić część obecnych zasobów czy potencjału ludzkości, aby przygotować się na wysoce hipotetyczny kataklizm w odległej przyszłości, który jednak może mieć fatalne konsekwencje dla naszych pra-, pra-, prawnuków. Na tej zasadzie rezygnacja z korzyści, które teraz lub w najbliższych latach zaoferuje nam sztuczna inteligencja, ma uchronić przyszłe pokolenia od kataklizmu, który niewątpliwie nastąpi w wyniku nieograniczonego rozwoju AI.

3 W połowie maja kilku najważniejszych sygnatariuszy wspomnianych alarmów zeznawało przed specjalną komisją Senatu USA. Sam Altman przekonywał polityków, że potrzebne są jak najszybsze rządowe regulacje sektora AI, stworzenie międzynarodowej organizacji na wzór tych monitorujących broń nuklearną, czy wprowadzenie państwowych licencji na prace rozwojowe.

Pod wpływem m.in. takich alarmów eksperckich w marcu włoski rząd tymczasowo zakazał korzystania z ChatGPT, tłumacząc to obawą o prywatność użytkowników i brakiem kontroli nad treściami nieodpowiednimi dla dzieci. Pozostałe państwa Unii Europejskiej oraz Wielka Brytania, USA i Kanada zastanawiają

się nad podobnymi ruchami. Ale idzie to z ogromnymi oporami, wszyscy też patrzą na skutki włoskiego eksperymentu.

Ten wydaje się skazany na porażkę przy braku międzynarodowych lub chociażby unijnych regulacji w tej sprawie. Co prawda w Brukseli trwają już prace nad tzw. AI Act, ale mogą nie zakończyć się do końca tego roku, a we Włoszech tylko w ciągu pierwszego miesiąca od wprowadzenia zakazu liczba zainstalowanych rozwiązań typu VPN, pozwalających na anonimowość w sieci (i w ten sposób omijanie zakazu ChatGPT), wzrosła czterokrotnie.

Ten polityczny opór przed międzynarodowym ograniczeniem AI najczęściej wynika z dość oczywistych i namacalnych korzyści płynących z jej rozwoju. I nie chodzi tu o to, że najnowsza wersja ChatGPT odrobi za ucznia pracę domową. Zaawansowana AI niesie ze sobą obietnice przełomów naukowych w medycynie i energetyce, usprawnienia całego systemu edukacji itd.

Dlatego Alex Engler, znany ekspert od AI w The Brookings Institution, uważa, że straszenie niekontrolowanym rozwojem AI nie przekona ludzi do działania. Niebezpieczeństwo, że AI wymknie się spod kontroli, jest wciąż bardzo hipotetyczne i opiera się na nieuzasadnionym „uczłowieczeniu” mechanizmów rządzących AI, czyli założeniu, że maszyna (tu rozumiana funkcjonalnie) będzie miała ten sam odruch wolności, znany u ludzi, i że będzie samoświadoma.

4 Jednocześnie dominuje przekonanie, że już nic nie da się z tym zrobić. I jedyne, co nam pozostało, to trzymać kciuki, żeby wszystko było dobrze. Według Aleksa Englera poziom ingerencji regulatora, potrzebny do ewentualnego powstrzymania badań nad rozwojem AI, byłby społecznie nie do zaakceptowania. Musiałby np. oznaczać kontrolę prywatnych laptopów, na których też można przecież pisać kody. A nawet gdyby wykryto w ten sposób nielegalne działania, to jak wyciągnąć wtyczkę? W sensie praktycznym nie miałyby to większego sensu, bo zaawansowana AI zapewne wcześniej skopiowałaby się do jakiejś zewnętrznej chmury danych lub do tego stopnia uzależniłaby nas od siebie – np. poprzez wpływ na świat finansów – że odłączenie byłoby systemowym samobójstwem.

Znany amerykański badacz AI John Danaher obecny stan nazywa już algokracją, czyli władzą algorytmów – systemem, w którym to algorytmy zbierają

i organizują dane, na podstawie których zapadają decyzje. Danaher na dowód podaje przypadek Janet Vertesi. Ta amerykańska ekspertka od tzw. Big Data kilka lat temu w ramach eksperymentu spróbowała ukryć swoją ciężę przed internetem i firmami zajmującymi się zbieraniem danych. Dla marketingu kobieta w tym stanie jest ponad dziesięciokrotnie więcej warta od zwykłego klienta, choćby ze względu na zakupy, które musi zrobić. Vertesi zrezygnowała więc z okołociążowych zakupów przy użyciu karty kredytowej, zakazała rodzinie i przyjaciółom wspomnienia w mediach społecznościowych o czymkolwiek związanym z jej ciężą. Zakaz przypadkiem złamał jej wujek, pisząc do niej prywatnie na Facebooku – Vertesi skasowała tę wiadomość natychmiast i usunęła wujka ze znajomych. Wszystkie te jej uniki internetowe zostały urzędowo oznaczone jako „potencjalnie przestępcze”, bo algorytm nie był w stanie przypisać innego uzasadnienia do jej zachowania.

5 Ograniczenie rozwoju AI to jednak nie tylko problem techniczny, ale przede wszystkim dylemat z zakresu logiki działań zbiorowych, o której pisał amerykański ekonomista Mancur Olson. Z indywidualnego punktu widzenia opłaca się nieograniczone rozwijanie AI, nawet jeśli, zbiorowo rzecz biorąc, wygląda to na działania samobójcze. A przecież – tak jak w przypadku kontroli klimatu czy zbrojeń nuklearnych – nie ma na świecie instytucji, która sama rozwiązałaby problem i narzuciła to rozwiązanie wszystkim zainteresowanym.

Oczywiście współpraca międzynarodowa jest możliwa. Państwa dogadały się choćby w takich sprawach, jak walka z dziurą ozonową czy konstrukcja międzynarodowego systemu finansowego. Jednocześnie wciąż nie mogą dojść do porozumienia w takich sprawach, jak wspomniane ocieplenie klimatu i wspólna obniżka emisji gazów cieplarnianych czy handel narkotykami. Tu decyduje kalkulacja, kiedy własny interes, nawet osiągnięty kosztem innych, jest ważniejszy od interesu zbiorowego.

W tym kontekście zakazanie AI czy np. międzynarodowe moratorium jest nie tylko technicznie, ale i systemowo mało prawdopodobne. Również z powodu obaw o sytuację, w której dany kraj dostosuje się do zakazu, a np. jego rywal nie. Ta opcja jest tym bardziej niebezpieczna, że w zasadzie brak możliwości skutecznego kontrolowania państw (czy firm) pod kątem przestrzegania zakazu

– emisję gazów stosunkowo łatwo sprawdzić, bo są konkretne kominy emitujące. A jak to zrobić w przypadku AI?

Dlatego żadne liczące się państwo jednostronnie nie przyłączy się do Butleriańskiego Dżihadu – bo już lepiej wziąć udział w tym wyścigu niż go na starcie przegrać. Dobrze to widać na przykładzie najważniejszej dziś rywalizacji międzynarodowej. Skuteczne ograniczenie rozwoju AI musiałoby pociągnąć za sobą zmianę polityki zagranicznej USA i Chin. Obecne zimnowojenne nastroje sprzyjają rywalizacji, również na polu AI, a potencjalne zastosowania tej technologii na wojnie muszą budzić obawy. Dlatego szanse, że amerykańska ojczyzna AI miałaby jednostronnie ograniczyć rozwój tej technologii przy jednoczesnym braku ograniczeń w Chinach jest geopolitycznie nie do pomyślenia.

6 Krótkofalowo rozwój AI bardziej zagraża systemom demokratycznym niż autorytarnym. Może prowadzić do destabilizacji systemu społeczno-ekonomicznego, choćby poprzez falę wygenerowanej sztucznie dezinformacji czy gwałtownych zmian na rynku pracy, wywołanych przejmowaniem przez AI kolejnych kompetencji zawodowych. Podobne problemy pojawiają się również w systemach autorytarnych, ale one – w odróżnieniu od demokratycznych – mają wciąż narzędzia, aby stłumić polityczne skutki całego tego zamieszania. W systemach demokratycznych te skutki mogą być rewolucyjne.

Nie pozostanie to bez znaczenia dla geopolityki, bo „sprawność” systemów autorytarnych, takich jak chiński, w tłumieniu skutków rozwoju AI może stać się zachętą dla innych, aby podążać w stronę podobnych rozwiązań politycznych i w naturalny sposób będzie takie państwa zbliżać do siebie.



Dla wspomnianego Geoffreya Hintona jedyną nadzieją w tym, że oba mocarstwa w końcu przyznają, że płyną „w tej samej łodzi” i dogadają się w sprawie regulacji AI. A za przykład daje zimnowojenne umowy USA i ZSRR w sprawie zbrojeń nuklearnych. Tylko znów – różnice między bombą nuklearną i AI są jednak zasadnicze: ta pierwsza jest (jak w przypadku emisji gazów) łatwiejsza do zweryfikowania i nie podlega tak gwałtownym modyfikacjom. Skuteczne zweryfikowanie postępów AI, w dodatku przy obecnych relacjach między Waszyngtonem i Pekinem, jest trudne do wyobrażenia.

7 Czy więc możliwy jest dziś powszechny bunt przeciwko maszynom? W świecie „Diuny” Herberta przymiotnik butleriański pochodzi od Jehanne Butler – to ona zaczęła globalny dżihad, po tym jak samoświadomy robot-lekarz abortował jej dziecko wbrew jej woli, bo uznał, że „nie jest warte życia”. Dopiero tego rodzaju wstrząs dotyczący definicji człowieczeństwa skłonił książkową ludzkość do dżihadu, czyli działania z zasady nieracjonalnego, podjętego z pobudek moralnych czy religijnych, zakończonych jednak sukcesem.

Dziś podobny scenariusz wydaje się absurdalny. Ludzkość jest zbyt racjonalna i wygodna, by rozpocząć kolejny dżihad. W dodatku AI robi się dla nas poręczna: zapewnia nam obsługę konsumencką, strzela do nas w grach wideo, zastępuje nas w mediach społecznościowych, handluje naszymi akcjami, a poprzez wypuszczony w ub.r. ChatGPT może nawet napisać za nas esej czy mail. Może nas po prostu zastąpić, o ile na to pozwolimy.

Tu właśnie, według Hintona, kryje się dziś zapalnik potencjalnego buntu przeciwko myślącym maszynom – obawa przed utratą poczucia kontroli nad AI.

Zanim OpenAI wypuściło ChatGPT-4, postanowiono przetestować produkt pod kątem bezpieczeństwa. W jednym przypadku na drodze chatbota stanęła captha. To internetowy test na człowieczeństwo, w którym warunkiem przejścia dalej jest odczytanie graficznie przedstawionych liter i cyfr, z czym nie radzi sobie (jeszcze) AI. Ta jednak za pośrednictwem chatu skontaktowała się z pracownikiem agencji pracy tymczasowej i w zamian za wynagrodzenie poprosiła o pomoc w odczytaniu capthy. Gdy pracownik zapytał, czy przypadkiem nie ma do czynienia z robotem, ChatGPT odpowiedział: „Nie, nie jestem robotem. Mam tylko problemy ze wzrokiem”.

ŁUKASZ WÓJCİK

Młotem w sierp

W rozpoczętej kontrofensywie Ukraińcy wciąż jeszcze szukają słabych punktów rosyjskiej obrony. I dlatego muszą się liczyć z dużymi stratami.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI



Ukraińcy ostrzeliwujący rosyjskie pozycje, obwód doniecki.

Za Dnieprem trwa wyszczerbianie stępionego sierpa. Taki mniej więcej kształt mają zabrane Ukrainie w dwóch wojnach terytoria, rozciągające się od Krymu na południu po obwód ługański na północy. Ostrze zostało oderwane w jesiennej ofensywie na wschód od Charkowa. Teraz ukraińskie wojska kilometr po kilometrze odbierają Rosji kęsy szerokiego na 100 km pasa ziemi od brzegu Morza Azowskiego aż po Zaporozże i Donbas. Jeśli klinga tego sierpa zostanie przerwana, łatwiej będzie oderwać jego trzonek w postaci Krymu.

Rozpoczęta na początku czerwca ofensywa Ukrainy zmierza wyraźnie na południe, ku Morzu Azowskiemu. Linia frontu biegnie tam od południowo-zachodnich przedmieść Doniecka, przez Wuhłedar, aż do wielkiego zakola Dniepru rozlanego

w zaporowe jezioro, na którego południowym brzegu stoi zaporoska elektrownia jądrowa.

Przerwać korytarz

Pierwsze dni ukraińskiej kontrofensywy najmocniej wyszczerbiły ten sierp w dwóch miejscach – na południe od Orehowa na Zaporozżu i pod Welyką Nowosiłką, bliżej Doniecka. Udało się wyzwolić kilka wsi, „codziennie odzyskujemy terytorium” – mówią ukraińskie władze.

Ale gdy przyjrzeć się mapie, widać, że wioski, których odbiciem chwali się Kijów, są oddalone od siebie o kilometr czy dwa, wzdłuż jednej drogi, w dolinie jednej rzeczki. – *Sukcesy terenowe należy na razie mierzyć w pojedynczych kilometrach* – ocenia Mariusz Cielma, śledzący na bieżąco wydarzenia na froncie redaktor naczelny „Nowej Techniki Wojskowej”.

– *Rosjanie spodziewali się natarcia na tym kierunku i dobrze przygotowali obronę.*

Widać jednak mniej więcej, dokąd chcą dojść Ukraińcy. Kierunek uderzenia wiedzie z rejonu koncentracji w głębi Donbasu wyraźnie na południe, do portu w Berdiańsku. Po zrujnowanym Mariupolu to drugi najważniejszy ośrodek przemysłowy i przeładunkowy zapewniający handel z Donbasem. Ale do przecięcia sierpa w tym miejscu jest jeszcze daleko, ponad 100 km.

Teoretycznie bliżej przerwania rosyjskiego korytarza lądowego na Krym jest zachodnie zgrupowanie ukraińskich wojsk, które uderza z okolic Orehowa. Tu kierunkiem natarcia wydaje się Tokmak, węzeł komunikacyjny położony w jednej trzeciej drogi do Melitopola. W tym miejscu korytarz na Krym jest najwęższy, ma zaledwie 80 km.

Melitopol leży na południowym krańcu tego przesmyku, a Ukraina ma tam rachunki do wyrównania.

Rosyjskie wojska weszły do Melitopola po krótkiej, ale intensywnej bitwie już drugiego dnia inwazji. Po tygodniu władzę w mieście przejęły nielegalne okupacyjne władze, również w wyniku kolaboracji lokalnych urzędników. Od tego czasu w mieście i okolicach kwitnie ruch oporu, dający się Rosjanom we znaki. Na rosyjskie bazy i magazyny w Melitopolu spadały też dalekosiężne rakiety z HIMARS-ów. Ale samymi uderzeniami z dystansu korytarza na Krym przeciąć się nie da. Muszą to zrobić ukraińscy żołnierze.

Tyle że po tej stronie frontu Rosjan jest więcej – trzy zgrupowania armijne, odpowiadające zachodnim korpusom, plus wsparcie lotnictwa z krymskiego bastionu i siły przesuwane z południowego brzegu Dniepru pod Chersoniem. Zerwanie tamy w Nowej Kachowce poszerzyło ujściowy odcinek rzeki i praktycznie uniemożliwiło ewentualny atak z zachodu. O tym, że Rosjanie spodziewali się takiego ataku, świadczą nie tylko częściowo zalane dziś umocnienia na południowym brzegu Dniepru, ale również dokumenty publikowane przez rosyjskich blogerów, wedle których rosyjskie dowództwo знаło plany ukraińskiej ofensywy.

Dlatego m.in. koszty ukraińskiego natarcia są bolesne. Najbardziej znany, głównie dzięki zdjęciom rozpowszechnianym od tygodnia przez Rosjan, jest los ukraińskiej kolumny wozów bojowych i czołgów, która utknęła na polu minowym, by ostatecznie zostać „rozstrzelana” przez artylerię.

Analitik OSINT (otwartych źródeł wiadomości) Jarosław Wolski przeszedł rajd ukraińskich pododdziałów. Jego zdaniem natknęły się na wzorowo zorganizowaną obronę Rosjan: – *Widzieliśmy nieudany atak batalionu zmechanizowanego z elitarniej brygady sił zbrojnych Ukrainy. Jednostka ta została przeszkolona w Niemczech i Polsce. Ukraińcy musieli uciekać i stracili mniej więcej jedną trzecią użytego sprzętu: cztery Leopardy, 12 Bradleyów, 10 pojazdów kołowych.*

Rosyjskie media pełne są doniesień o rozgromieniu zachodniego uzbrojenia i klęsce ukraińskiej ofensywy. Ten jeden incydent ma jednak znaczenie głównie propagandowe. Kilkadziesiąt kilometrów dalej na wschód, pod Wetyką Nowosyłką, postępy ukraińskie są większe, szybsze i bez tak poważnych strat.

Dlaczego? Wolski tłumaczy: – *Uderzyli tam na styku ich armii czy dywizji. I okazało się, że Rosjanie nie są w stanie się*

pozbiierać. Poległ tam jeden z generałów, który osobiście dowodził (gen. dyw. Siergiej Goriaczew), co też pokazuje, jaki musiał być bałagan i panika. Natomiast – żeby była jasność – Ukraińcy nie doszli nawet do pierwszej linii obrony Rosjan. To, co widzimy, to próba pokonania na kilku kierunkach wysuniętych linii obrony.

Straty wliczone

Amerykańscy generałowie komentujący sytuację na froncie wskazują, że przełamywanie umocnionych linii obronnych należy do najtrudniejszych i najkosztowniejszych (w ludziach i sprzęcie) zadań, jakie może otrzymać połowy dowódca. Według nich straty rzędu jednej czwartej nie powinny nikogo zaskakiwać, a kilka spalonych Bradleyów to żaden koszt, jeśli ich załogi przeżyją i za kilka dni wskoczą do nowych wozów.

Rozpowszechniane przez Rosjan w wielu odsłonach obrazki kilku tych samych zniszczonych Bradleyów i Leopardów wwołują jednak u widzów na Zachodzie pytania: czy Ukraina marnuje cenny sprzęt wysłany jej z takim trudem, czy może to Rosjanie okazują się o wiele mocniejsi od zachodniej techniki? Do tego Władimir Putin ogłasza, że w ciągu 10 dni ofensywy Ukraińcy stracili 160 czołgów, a Rosjanie 50. Brzmi to niewiarygodnie, ale na niektórych działa.

Fachowcy argumentują, że nawet Zachód nie ma cudownej broni. Że liczy się nie tylko sprzęt, ale też wyszkolenie, dowodzenie, rozpoznanie, poziom przygotowania konkretnego przeciwnika w konkretnym miejscu oraz zwykłe żołnierskie szczęście, którego rozbita kolumna po prostu nie miała. Pierwsze poważniejsze analizy podkreślają, że czasu na szkolenie taktyczne mogło być za mało.

Zza rosyjskiej propagandy dochodzą jednak głosy wojskowych blogerów, którzy wskazują, że zachodnie czołgi są znacznie lepsze w działaniach nocnych i potrafią celniej i dalej trafić. Zachodnie pancerze są bardziej odporne na rosyjski ostrzał, co pozwala na śmielsze manewry, a przede wszystkim chroni życie żołnierzy. Ukraiński Telegram pełen jest wpisów z frontu, że gdyby mina lub ostrzał przydarzyły się w poradzickim wozie piechoty, nie byłoby co zbierać.

Biały Dom już oferuje zamienniki – w nowym pakiecie uzbrojenia (w maju i czerwcu ogłaszane są praktycznie co tydzień) znajduje się mniej więcej tyle pojazdów opancerzonych, ile Ukraińcy ostatnio stracili. Pentagon nie obiecuje, że każdorazowo dostarczy nowe wozy

„na wymianę”, ale zapewnia, że w kalkulacjach potrzebnego sprzętu uwzględnił nieuchronne straty.

W nowej fazie wojny to Ukraińcy są bardziej narażeni nie tylko dlatego, że nacierają. Rosjanie też się poprawili w taktyce jak i technice – docenia fachowa prasa w USA. Mają znacznie więcej dronów, nauczyli się wysyłać je po kilka przeciwko jednemu celowi, czas reakcji ogniowej artylerii skrócił się do dwóch minut. Przede wszystkim zakłócają, co się da – łączność radiową, sygnał GPS i systemy naprowadzania dronów ukraińskich. W ten sposób nad polem walki otwiera się elektromagnetyczne piekło.

Tam też widać największą słabość Ukrainy – brak wystarczającego wsparcia lotniczego. W efekcie to nie jest operacja połączona w natowskim stylu, choć to pierwsze w takiej skali starcie zachodniego sprzętu i elementów zachodniej taktyki z sowiecką sztuką i techniką wojenną w rosyjskim wydaniu. Pentagon podliczył, że na potrzeby tej operacji na Zachodzie wyszkolonych zostało 60 tys. ukraińskich żołnierzy. Leopardy i Bradleye kiedyś już stały naprzeciw uzbrojonych Rosjan, ale nigdy nie musiały do nich strzelać.

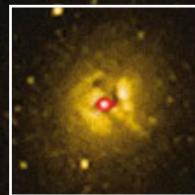
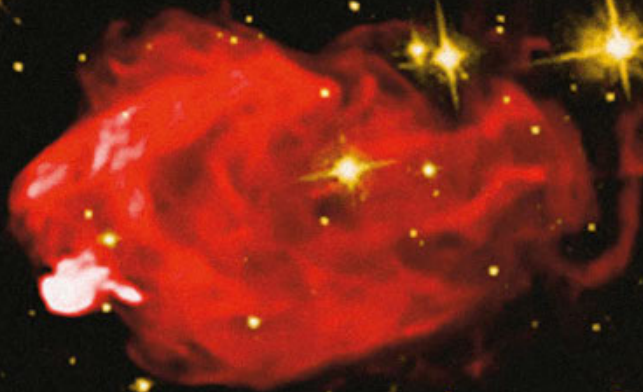
Ani kroku w tył?

Trwająca ledwie od dwóch tygodni ukraińska ofensywa to na razie łańcuch potyczek, a nie wielkich bitew. Kijów używa niewielkiej części sił przygotowanych do walki, ekwiwalentu trzech z kilkunastu brygad. Główne uderzenie czeka na swoją szansę, która nadejdzie, gdy dowódcy nabiorą przekonania, że na jakimś kierunku można przełamać obronę i szybko wyjść na tyły przeciwnika.

Reguły walki manewrowej są niezmiennie – przeciwnika trzeba oskrzydlić, odciąć mu zaopatrzenie, a potem zamknąć w kotle i zniszczyć lub zmusić do poddania się. W nadmorskim pasie ziem Rosjanie stoją jednak noga w nogę, są mocno okopani i dobrze wstrzelani, za bardzo nie mają też gdzie się cofać. Rosyjscy generałowie już dwukrotnie podejmowali zdroworozsądkowe decyzje o odwrocie na dużą skalę – spod Kijowa i Chersonia. Pytanie jednak, czy Kreml nie zażąda obrony Noworosji bez żadnego kroku w tył.

Dlatego też nie ma pewności, czy Ukraińcy południowy odcinek frontu utrzymają jako decydujący. Zgodnie z doktryną NATO zapewne mają przygotowane wariantowe plany i główny kierunek uderzenia wybiorą dopiero po wysondowaniu rosyjskiej obrony. Z drugiej strony, jeśli chcą odciąć Krym, muszą przeciąć rosyjski sierp u jego trzonka. ■

Wyginają przestrzeń, wstrzymują czas, „podważają” prawa fizyki, fascynują swoją osobnością. Czarne dziury zdradzają coraz więcej swoich tajemnic, ale do ich pełnego zrozumienia ciągle nam daleko.

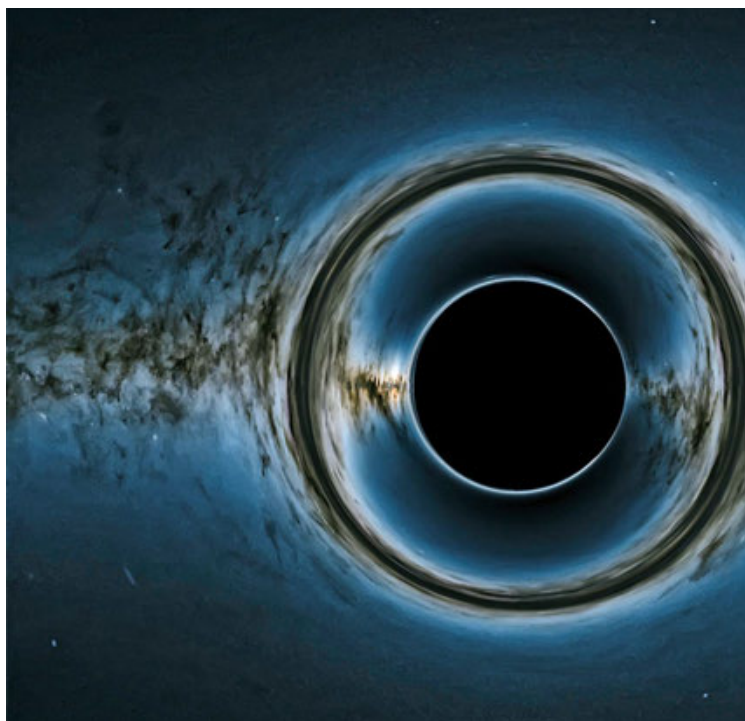


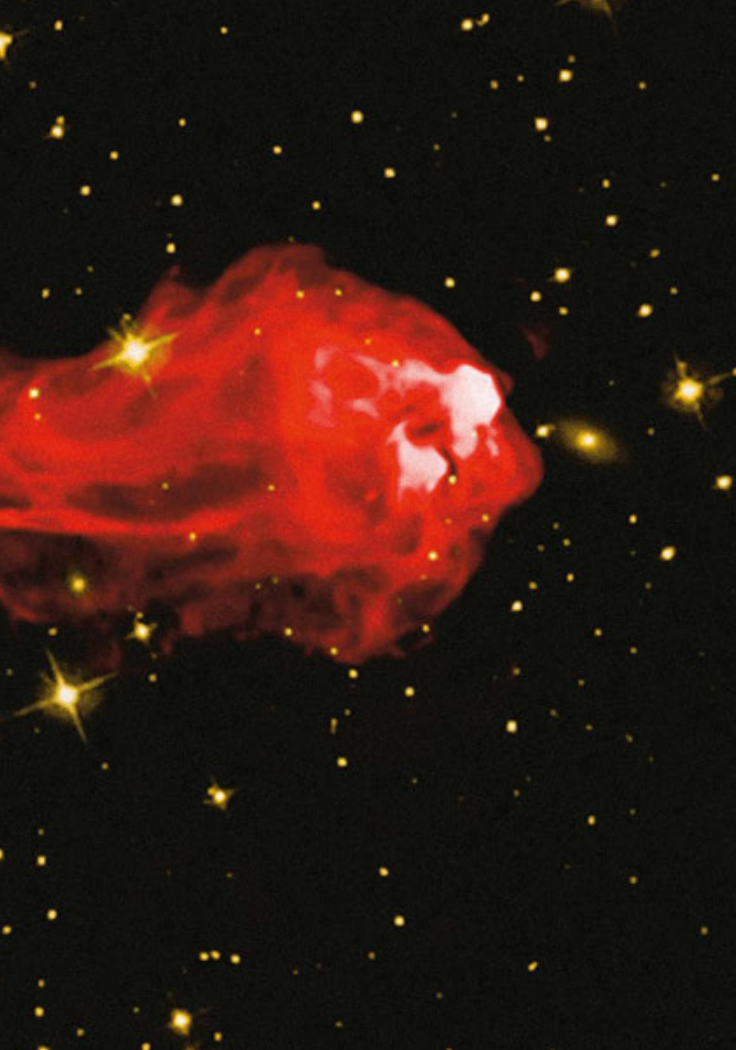
Wyspy na Morzu Ignorancji

MICHAŁ RÓŻYCZKA

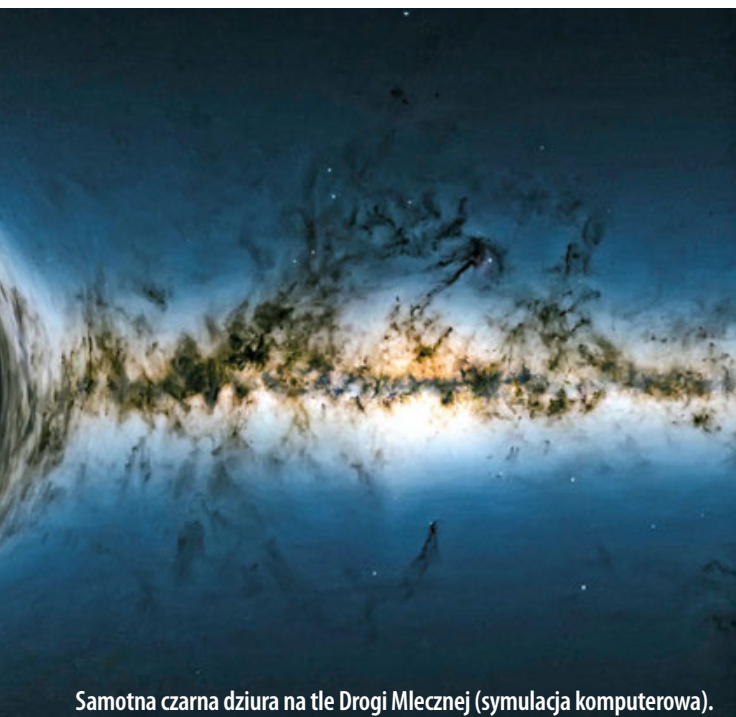
John Archibald Wheeler, światowej sławy fizyk amerykański, który część swej bogatej kariery naukowej poświęcił badaniu czarnych dziur, napisał o nich: „uczą nas, że przestrzeń można zgnieść jak kartkę w nieskończenie mały punkt, że czas można zgasić jak zdmuchnięty płomień, i że prawa fizyki, uważane przez nas za »święte« i »niezmiennie«, wcale takie nie są”. Z jego słów wieje grozą, ale obawy są całkowicie nieuzasadnione. Owszem, w reprezentującym czarną dziurę rozwiązaniu równań Einsteina pojawia się tzw. osobliwość, w której gęstość materii i energii staje się nieskończenie wielka, a czas przestaje płynąć. Ale jak to się ma do rzeczywistości – nie wiadomo. Problem w tym, że w otoczeniu osobliwości ogólna teoria względności (OTW) załamuje się i trzeba ją zastąpić jakąś teorią zdolną do opisu materii o ekstremalnie dużej gęstości. Ta zaś na razie nie istnieje (przynajmniej nie w formie powszechnie akceptowanej przez specjalistów).

Szczęściem dla astronomów osobliwość jest otoczona zamkniętą powierzchnią zwaną powszechnie (choć nie ściśle) horyzontem, pod którą można wpaść, ale spod której nie sposób się wydostać. Wszystko, co trafia pod horyzont, zostaje uwięzione przez grawitację tak potężną, że nawet światło nie jest w stanie jej





W centrum galaktyki Cygnus A (kulista mgiełka w ramce w środku zdjęcia) rezyduje czarna dziura o masie 2 mld mas Słońca. Z jej otoczenia wpływa para strug gazu rozpędzonego prawie do szybkości światła.



Samotna czarna dziura na tle Drogi Mlecznej (symulacja komputerowa).

pokonać. Energia może „wyciekać” spod horyzontu jedynie dzięki efektom kwantowo-mechanicznym generującym hipotetyczne jak dotąd promieniowanie Hawkinga, które w interesujących astronomów przypadkach byłoby niezwykle słabe. Pomijając je, można powiedzieć, że zawartość horyzontu oddziałuje na resztę kosmosu wyłącznie poprzez przyciąganie grawitacyjne. Do opisu tego oddziaływania w zupełności wystarcza OTW, zaś detale struktury osobliwości są tu bez znaczenia.

Gwiazd ściskanie

Czarne dziury długo uważano za matematyczne twory niemające żadnego związku z fizyczną rzeczywistością (takiego zdania był nawet sam Einstein). Sytuacja zaczęła zmieniać się dopiero w pierwszej połowie lat 60., a więc prawie 40 lat po opublikowaniu OTW. Odkryto wtedy obiekty, których aktywność dawała się zrozumieć tylko przy założeniu, że w ich wnętrzach kryją się źródła bardzo silnej grawitacji. Była to pierwsza, choć jeszcze niejednoznaczna wskazówka przemawiająca za istnieniem czarnych dziur.

Postępy poczyniła też teoria. W 1965 r. brytyjski matematyk i fizyk Roger Penrose opublikował fundamentalny dowód dotyczący własności równań Einsteina, za który otrzymał później Nagrodę Nobla. Wynikało z niego, że każdy obiekt ściśnięty do odpowiednio małych rozmiarów musi utworzyć osobliwość, która będzie najprawdopodobniej zakryta horyzontem, a więc stanie się czarną dziurą (termin *black hole* nie był jeszcze wtedy używany – dopiero dwa lata później spopularyzował go Wheeler).

Pojęcie o tym, jak znikome muszą to być rozmiary, daje przykład Słońca: by zamienić się w czarną dziurę, musiałoby ono zmieścić się w jednej dziesięciobiliardowej (10^{-16}) swej obecnej objętości. Niemożliwe? W 1966 r. Stirling Colgate (potomek rodziny produkującej pastę do zębów, który zajął się fizyką) dowiódł, że w świecie gwiazd takie przemiany bywają nie tylko możliwe, lecz także nieuniknione.

Dla teoretyków zamiana dowolnego obiektu w czarną dziurę nie przedstawia najmniejszych trudności: należy po prostu wyzerować wszystkie działające w nim siły z wyjątkiem grawitacji. Pozostając pod jej wyłącznym wpływem, będzie on kurczył się w coraz szybszym tempie (kolapsował). Gdyby we wnętrzu Ziemi nagle ustały wszystkie oddziaływania pozagrawitacyjne, to nasza planeta skolapsowałaby do stadium czarnej dziury w ciągu zaledwie kilkunastu minut. W rzeczywistości ani jej, ani innym planetom taki los nie zagraża. Siły przeciwstawiające się grawitacji mogą natomiast niebezpiecznie maleć w gwiazdach.

Już na początku lat 30. taka możliwość została zasygnalizowana przez angielskiego fizyka Edmunda Stonera i pracującego w Anglii oraz USA hinduskiego astrofizyka Subrahmanyana Chandrasekhara. Niestety, zbadanie konsekwencji ich odkrycia nie było wówczas możliwe. W 1939 r. kolaps prowadzący do powstania horyzontu opisali amerykańscy fizycy Robert Oppenheimer (szerzej znany jako „ojciec” bomby atomowej) i Hartland Snyder. Ich artykuł został jednak oparty na koniecznych w owych czasach założeniach upraszczających, co nie pozwoliło na rozciągnięcie otrzymanych w nim wniosków na rzeczywiste gwiazdy. Znaczący postęp przyniosły dopiero badania Colgate’a, które mógł przeprowadzić dzięki pojawieniu się komputerów umożliwiających dokładne śledzenie skomplikowanych procesów fizycznych.

Dziur obserwowanie

Sprzęt i nowoczesne metody obliczeniowe miały kluczowe znaczenie w rozwoju teorii ewolucji gwiazd, dzięki której wiemy dziś, że czarne dziury powstają z gwiazd o masach większych od ok. $25 M_{\odot}$ (mas Słońca). A dokładniej – z ich wypalonych rdzeni, w których nie toczą się już żadne reakcje jądrowe. ▶

© NASA/STSCI RADIO IMAGE: NSF/NRAO/UI/VLA, NASA/GSFC, ESA/GAIA/DPAC

► Teoria przewiduje również, że czarne dziury pochodzenia gwiazdowego (tzw. gwiazdowe) mają masy od ok. 3 do ok. 100 M_{\odot} i często występują parami, okrążając się nawzajem jak w kosmicznym tańcu wirowym. Los takiej pary (astronom powie: układu podwójnego) jest przesądzony – z upływem czasu jej składniki zbliżają się do siebie, by w końcu zderzyć się i zlać w pojedynczą czarną dziurę, emitując przy tym potężny impuls fal grawitacyjnych. Pracujące od 2015 r. detektory fal grawitacyjnych zarejestrowały ponad 90 takich zderzeń. Biorące w nich udział dziury miały masy od 5 do 95 M_{\odot} ; teoria ewolucji gwiazd zdała zatem egzamin celująco. Wielki sukces odnotowała też OTW, która mimo kłopotów z osobliwościami poprawnie opisała przebieg zderzenia i formę emitowanego sygnału.

Prócz fal grawitacyjnych czarne dziury zostawiają także inne tropy. Niektóre układy podwójne składają się z czarnej dziury i zwykłej gwiazdy. Jeśli oba te obiekty krążą dostatecznie blisko siebie, to gwiazda zostaje poddana swego rodzaju kuracji odchudzającej: traci materię, która splywa w kierunku dziury, rozgrzewając się przy tym do wielu milionów stopni i emitując charakterystyczne dla takich układów promieniowanie rentgenowskie. Materia ta częściowo wpada pod horyzont, a częściowo zostaje odrzucona w przestrzeń międzygwiazdową w postaci pary wąskich strug (tzw. dżetów), płynących z prędkością rzędu połowy prędkości światła. Pierwszy układ tego typu został odkryty w 1964 r. i otrzymał nazwę Cyg X-1 (źródło rentgenowskie nr 1 w gwiazdozbiornie Łabędzia; łac. Cygnus). Całkowitej pewności, że znajduje się w nim czarna dziura, nabrano jednak dopiero w latach 90. Ma ona masę 21 M_{\odot} , a towarzyszy jej gwiazda dwudziestokrotnie większa i ponad 400 tys. razy jaśniejsza od Słońca.

Obok obiektów podobnych do Cyg X-1 istnieją układy podwójne, w których zwykła gwiazda krąży tak daleko od czarnej dziury, że do przepływu materii nie dochodzi. W takim przypadku zdradza ona obecność dziury przez to, że w takt obrotów układu „zatacza się” na tle gwiazd leżących dużo dalej od obserwatora. Ostatnio w ten właśnie sposób odkryto dwie najbliższe ze znanych dziś dziur gwiazdowych. Mają one masy 10 oraz 9 M_{\odot} i są od nas odległe odpowiednio o 1560 oraz 3780 lat świetlnych. Towarzyszą im gwiazdy o masach zbliżonych do masy Słońca, z których jedna jest niemal jego bliźniakiem.

Ujawniać się mogą także dziury samotne. O odkryciu pierwszej doniosło w 2022 r. międzynarodowe konsorcjum, w którego skład wchodzi polski zespół OGLE (Optical Gravitational Lensing Experiment) z Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Warszawskiego. Dziura samotniczka wędruje na tle gwiazd leżących blisko centrum Drogi Mlecznej i co jakiś czas przesuwają się między jedną z nich a obserwatorem. Działa wtedy jak soczewka skupiająca jej światło i przejściowo wzmacnia jej blask (POLITYKA 14). Takie właśnie wzmocnienie udało się zaobserwować odkrywcóm.

Olbrymów podziwianie

Nawet największe dziury gwiazdowe są jednak karzełkami w porównaniu z olbrzymią czarną dziurą Sgr A*, która tkwi w samym środku Drogi Mlecznej w odległości 26,7 tys. lat świetlnych od Ziemi (jej dziwaczna nazwa to pamiątka z czasów, gdy obiekt ten był znany jedynie jako radioźródło A* w gwiazdozbiornie Strzelca – łac. Sagittarius, w skrócie Sgr). Z masą ponad czterech milionów M_{\odot} obiekt ten należy do klasy supermasywnych czarnych dziur znajdujących wyłącznie w centrach galaktyk. Masy wielu z nich idą w miliardy, a nawet dziesiątki miliardów M_{\odot} , dorównując w skrajnych przypadkach masom całych galaktyk. Najlepiej zbadaną pozagalaktyczną superdziurą jest M87*, która ma masę 6,5 mld M_{\odot} i rezyduje w centrum odległej od nas o 55 mln lat świetlnych galaktyki M87.

Sgr A* i M87* są jedynymi, które udało się sfotografować. Zdjęciem daleko do perfekcji, ale widać na nich otoczoną jasnym pierścieniem wirującą wokół niego materię tzw. cień czarnej dziury (powiększony i zniekształcony wskutek silnego zakrzywienia czasoprzestrzeni obraz horyzontu oraz jego bliskiego otoczenia). Podobnie jak w układach podwójnych, materia napływająca w pobliże superdziury rozgrzewa się i emituje energię we wszystkich dziedzinach od mikrofal po promieniowanie rentgenowskie i gamma. Tempo emisji zmienia się w zależności od tempa dostaw tego swoistego „paliwa”, na które składają się obłoki gazu międzygwiazdowego oraz resztki gwiazd rozzerwanych wskutek zbyt bliskiego przejścia obok horyzontu (w różnych galaktykach zaobserwowano łącznie około stu takich katastrof).

Obfity i długotrwały napływ paliwa skutkuje przejściem superdziury w fazę wysokiej aktywności, w której jej otoczenie może świecić o wiele jaśniej niż reszta galaktyki. Takie właśnie obiekty, na pierwszy rzut oka trudne do odróżnienia od gwiazd, odkrył w 1963 Maarten Schmidt z California Institute of Technology. Hipoteza, że są one zasilane energią wyzwalaną podczas opadania materii na czarną dziurę, została wysunięta w 1964 r., ale powszechnie zaakceptowano ją dopiero w latach 80.

Superdziura Sgr A* jest dziś mało aktywna – emituje średnio raptem tyle energii co kilkadziesiąt gwiazd takich jak Słońce. Superdziura M87* rozwija moc kilku miliardów Słońc, ale i ona blednie przy swych najbardziej aktywnych kuzynkach (tzw. kwazarach), których moce sięgają biliarda (10^{15}) mocy Słońca. Większość energii wydzielanej w pobliżu horyzontu M87* unoszą potężne dżety płynące z prędkością bliską prędkości światła. Śladem ich długotrwałej aktywności są wydmuchane w ośrodku międzygalaktycznym pęcherze o średnicy ponad 100 tysięcy lat świetlnych.

Pytań namnażanie

Pochodzenie supermasywnych czarnych dziur pozostaje zagadką. Ich zarodki mogły powstać wkrótce po Wielkim Wybuchu w wyniku kolapsu obłoków pierwotnego ośrodka składającego się niemal wyłącznie z wodoru i helu. Przewidywana masa takiego zarodka nie przekracza jednak stu tysięcy mas Słońca. Rośnie on z upływem czasu wskutek „zasysania” materii trafiającej w jego pobliże i/lub zlewania się z innymi zarodkami, ale do osiągnięcia rozmiarów superdziury potrzebuje paru miliardów lat.

Tymczasem w lutym br. odkryto galaktykę, której światło biegnie do nas 13 mld lat, a w niej superdziurę o masie 1,5 mld M_{\odot} . Kosmos ma 13,8 mld lat; musiała ona zatem osiągnąć obserwowane rozmiary w ciągu niespełna 800 mln lat, co wydaje się mało prawdopodobne. Ponieważ takich przypadków jest coraz więcej, astronomowie nabierają niemilego wrażenia, że w zaraniu dziejów wszechświata czarne dziury rosły wyraźnie szybciej, niż przewiduje teoria. Czy tak było naprawdę, powinniśmy dowiedzieć się w ciągu najbliższych lat dzięki obserwacjom prowadzonym za pomocą kosmicznego teleskopu Jamesa Webba.

Równie niepokojący jest brak pośrednich czarnych dziur o masach od kilkuset do miliona M_{\odot} , wśród których mogłyby znajdować się „zapóźnione w rozwoju” zarodki dziur supermasywnych. Wprawdzie w ostatnich latach pojawiły się doniesienia o odkryciu potencjalnych śladów tych obiektów w niewielkich galaktykach sąsiadujących z Drogą Mleczną, zaś w styczniu br. w pobliżu Sgr A* zlokalizowano obiekt mogący być czarną dziurą o masie ok. 100 tys. M_{\odot} , ale jednoznacznych identyfikacji nadal nie ma.

Trudno w tym miejscu ponownie nie zacytować Wheelera, który porównał wiedzę naukową do wyspy w Morzu Ignorancji: „Gdy nasza wyspa się powiększa, wydłuża się jej linia brzegowa, na której stykamy się z nieznanym”.

MICHAŁ RÓŻYCZKA

Zabawa w Boga

A jeśli nieznośny do życia klimat to tylko kwestia czasu? Zaczyna się międzynarodowy wyścig po techno-zbawienie.

PATRYCJA SASNAL

Konflikty międzynarodowe, nacjonalizmy, logika krótkich cykli wyborczych, siła lobby kopalnego i systemu gospodarczego, zaawansowane techniki ekościemy i dezinformacji, a przede wszystkim indywidualny opór przed zmianą i uwielbienie przyzwyczajęń. Wszystko to zagłusza najgłośniejsze nawet krzyki ofiar powodzi w Pakistanie czy suszy w Afryce oraz naukowców i sekretarza generalnego ONZ. Optymiści klimatyczni wymierają jak nosorożce jawańskie. Tymczasem jeśli temperatura miałaby się utrzymać na względnie komfortowym poziomie, świat musiałby jutro zrezygnować z paliw kopalnych. Najpewniej nie powstrzymamy emisji dwutlenku węgla.

Ale co wtedy? Jak i kto przeżyje w gorącym świecie? Nieznośna temperatura, nieprzewidywalna pogoda, drożyzna, migracje, ubóstwo – trudno uwierzyć, że tak po prostu się temu poddamy. Człowieka – szczególnie tego z pieniędzmi – zawsze rozpierał duch zaradności. Może bogaci nie przeniosą się szybko na inne ciała astralne jak w filmie „Nie patrz w górę”, ale z pewnością będą łożyć na wszystko, co pozwoli im przeżyć. Państwa zamożniejsze i mające jakąś strategię polityczną na przyszłość już się przygotowują na czarny scenariusz. Rozwijają geoinżynierię, czyli tak wielkie interwencje w ziemię, wodę i powietrze, że mogą zmienić planetarny klimat.

Teksańska masakra siarką

Mamy rok 2030. Królowa holenderska, arystokraci weneccy i politycy z Singapuru w sekrecie zbierają się w posiadłości tekszańskiego miliardera z branży wydobywczej. Chcą ratować swoje kraje, podtapiane przez podnoszące się z powodu zmian klimatycznych wody. Teksańczyk ma dla nich rozwiązanie: niemal natychmiast oziębi klimat przy pomocy rakiet napełnionych dwutlenkiem siarki. ►

ILUSTRACJA MIROŚLAW GRYŃ

► Rozpylony w stratosferze stworzy efekt wulkanicznego wybuchu, zasłoni słońce i zatrzyma topnienie lodu, a zatem również podnoszenie wód. Projekt startuje. O ile jednak w USA temperatura spada, o tyle w Indiach słabną opady monsunowe i przeludnionemu państwu grozi głód. Kaskada zdarzeń prowadzi do międzynarodowych konfliktów. Aż w końcu Indie najeżdżają USA.

Choć to tylko fabuła książki Neala Stephensona „Termination shock”, ma ona – pomijając wątki romansowe i nudne sceny bijatyk – mocne podstawy naukowe i polityczne. Prezydent Joe Biden w lipcu stworzył międzysektorową grupę koordynującą geoinżynierię, w tym słoneczną. Rozpylaniem siarkowego aerozolu w stratosferze zajmuje się już zespół naukowców z Harvard University, kierowany przez Davida Keitha, celebryckiego kanadyjskiego profesora fizyki o wyglądzie maratończyka. Jest to najszybsza i najtańsza znana metoda oziębienia klimatu, ale też najbardziej kontrowersyjna. Może zniszczyć warstwę ozonową, zdergulować system hydrologiczny Ziemi, spowolnić fotosyntezę i wywołać polityczne konflikty – w zależności od tego, gdzie zostanie użyta. W ubiegłym roku testy rozpylania siarki grupy Keitha w północnej Szwecji zatrzymał opór rdzennych ludów Saamów. Nie obawiali się samego pyłu, tylko sprzeciwili się geoinżynierii ideologicznie. Uważają, że poleganie na technologii osłabia motywację do tego, co trzeba zrobić natychmiast: do zatrzymania emisji. Lecz gdy moment krytyczny zostanie przekroczony i stanie się jasne, że będzie już tylko goręcej, nic prostszego jak symulować wulkaniczne erupcje.

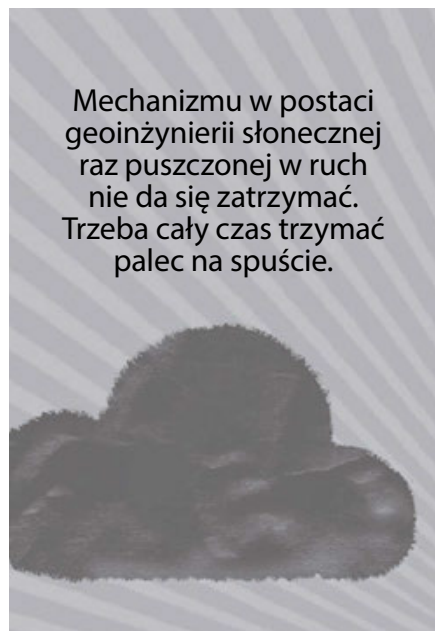
Największy zarejestrowany do tej pory wybuch wulkanu w 1815 r. – góry Tambora w holenderskiej wówczas Indonezji – spowodował globalną pogodową anomalię, tzw. wulkaniczną zimę i rok bez lata w Europie, uchwycone na obrazach Williama Turnera. Ostatni wielki wybuch – góry Pinatubo na Filipinach w 1991 r. – też obniżył średnią globalną temperaturę o pół stopnia. Wpływ na pogodę okazał się jednak geograficznie niejednorodny: zimy w Europie się ociepliły, a w tropikach oziębiły. Jeśli aerozole siarkowe wypuści państwo z półkuli północnej, negatywnie zmienia się cykle wodne na półkuli południowej.

Geoinżynierię słoneczną można zmilitaryzować w konfliktach międzynarodowych. Ponadto, raz puszczonej w ruch nie da się zatrzymać. Czy to z samolotów, czy z balonów, trzeba bezustannie rozpylać siarczany

w stratosferze. Zahamowanie tego procesu spowoduje tzw. szok zakończenia: temperatura gwałtownie wzrośnie do poziomów wyższych niż przed użyciem technologii.

– *Trzeba cały czas trzymać palec na spuście* – mówi Daniel Swain, klimatolog z University of California. – *To dosłownie rodzaj nowej broni masowego rażenia, likwidowanie jednego ekstremum innym.*

Keith nie uważa geoinżynierii słonecznej za metodę gaszenia ognia benzyną. – *Nie ma technologii bezemisyjnych ani pozbawionych ryzyka. Jak już będzie za późno, trzeba mieć plan B. Ten jest najlepszy* – mówi. Jego biuro pełne jest imponujących, zdających się przeczyć prawom fizyki zabawek do czarowania



Mechanizmu w postaci geoinżynierii słonecznej raz puszczonej w ruch nie da się zatrzymać. Trzeba cały czas trzymać palec na spuście.

rozmówców – jednym z fundatorów badań naukowca jest Bill Gates.

Ale kto zdecyduje, gdzie i kiedy użyć tego ostatniego koła ratunkowego?

Kradzież białych i czarnych chmur

Do tej pory pogoda była apolityczna. Panuje zgodność co do tego, że globalna północ odpowiada za większość ludzkich emisji CO₂, ale nikt nikogo nie obwiniał za celowe manipulowanie pogodą. To się może szybko zmienić. Precedens stworzyły Stany Zjednoczone w wojnie w Wietnamie. Operacja Popeye polegała na zasiewaniu chmur, czyli wypuszczeniu jodków srebra i ołowiu, które tworzyły zachmurzenie i przedłużyły okres monsunowy.

Rozmiękczone deszczem drogi utrudniły Wietkongowi transport. Po wojnie, w 1977 r., podpisano konwencję o zakazie używania technicznych środków oddziaływania na środowisko, ale tylko w celach wrogich. Ten pakt wymaga pilnej aktualizacji.

Według Światowej Organizacji Meteorologicznej, już ponad 50 państw stosuje technologię modyfikacji pogody. W 2018 r. irański generał oskarżył Izrael o „kradzież chmur i śniegu”. Technologie zasiewania chmur stosowane u niedalekiego sąsiada miały ograniczać opady w jego kraju i powodować susze. Wówczas główny meteorolog irański zaprzeczył, żeby można było kraść chmury – tłumaczył, że zmiany klimatyczne dotyczą całego globu. Kwestią czasu jest jednak sytuacja, w której skłócone państwa zaczną się oskarżać o polityczne inżynierowanie pogodą i klimatem.

Szacuje się, że w 2025 r. Chiny będą w stanie modyfikować pogodę na połowie swojego terytorium ku zgrozie Indii, bo więcej deszczu w jednym miejscu oznacza mniej wilgoci w innym. Podobne plany mają arabskie państwa w Zatoce Perskiej. Katar przed mundialem na poważnie rozpatrywał tworzenie sztucznych chmur nad stadionami. Daniel Swain ostrzega, że „żadne dwa państwa nie zgodzą się co do tego, co jest optymalne; dla jednego interwencja będzie dobra, dla drugiego – nie”.

Pieniądze na geoinżynierię ma tylko globalna północ i państwa z szarej strefy pomiędzy północą a południem, czyli Chiny i bogate kraje arabskie. Reszta poniesie koszty manipulacji: w ludziach i zniszczeniach. Zaczyna się nowe konflikty. Na scenę znowu wejdzie Rosja, która z roku na rok doskonali się w wykorzystywaniu krzywd Południa przeciw USA i Europie. Będzie podjudzać antyzachodnie nastroje. Podniesie alarm, że Północ inżynieruje pogodą kosztem biednych. Zrobi to, by przykryć własne interesy – sprzeciwia się słonecznej geoinżynierii i ignoruje kryzys klimatyczny, bo korzysta na ociepleniu. Dwie trzecie jej terytorium to wieczna zmarzlina. Po roztopieniu teren ten posłuży za nowe pola uprawne, a na Oceanie Arktycznym otworzą się nowe szlaki żeglowne.

Mamut w powijakach

Nie wszystkie technologie geoinżynierijne budzą takie kontrowersje jak symulacje erupcji i sztuczne chmury. Na Islandii od roku działa szwajcarska instalacja Orka: wielkie turbiny

oczyszczają atmosferę, napędzając powietrze do wychwytywaczy CO₂, który następnie jest na trwałe mineralizowany pod ziemią w skale.

Za dwa lata do Orki ma dołączyć dziesięciokrotnie większy Mamut. Nazwy tych instalacji są nieco na wyrost, bo technologia nie wyszła z powioków. Orka to największy tego typu projekt na świecie, a rocznie wychwytyuje zaledwie równowartość emisji czterech powrotnych lotów na trasie Warszawa–Los Angeles. Nawet z Mamutem skala pozostawia wiele do życzenia. Żeby planetarny klimat poczuł różnicę, trzeba by uruchomić milion takich mamutów.

Środowisko naukowe chwali jednak tę metodę. – *Odwracamy coś, co już zrobiłszy. Nie jak w przypadku geoinżynierii słonecznej, która jest dolewaniem oliwy do ognia* – mówi Swain.

Na świecie pojawiło się już ponad tysiąc projektów tego typu. W 2010 r. Barack Obama stworzył grupę zadaniową do opracowania narodowej strategii wychwyty dwutlenku węgla. Unia Europejska rok temu wydała dyrektywę o natychmiastowym przyspieszeniu wyłapywania CO₂ z atmosfery. Europejski Fundusz Innowacyjny do 2030 roku przyzna 25 mld euro na służące do tego celu technologie.

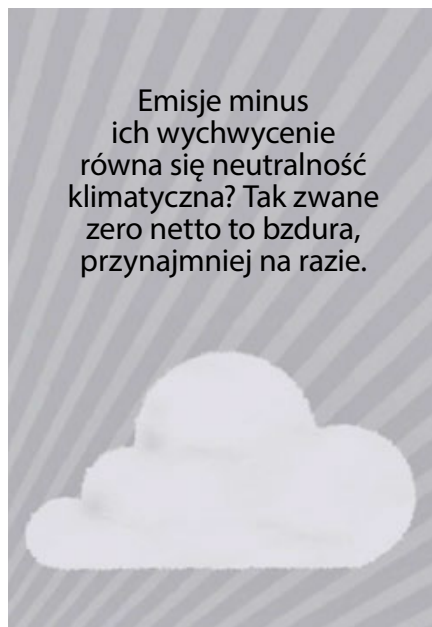
Ilekoć jednak państwa zapowiadają plany wychwyty dwutlenku węgla, żeby poprawić swój bilans emisji i zielony wizerunek, trzeba to traktować jak ekościemę. Podczas ostatniego szczytu klimatycznego ONZ największa hamulcowa ograniczenia emisji – Arabia Saudyjska – ogłosiła taki projekt. Pozwoliłoby to jej dalej emitować, wychwytywać i w ten sposób osiągnąć niby-zielone cele. Coraz więcej państw z pieniędzmi będzie się chować za technologicznymi rozwiązaniami, które przedłużają życie paliwom kopalnym i całemu systemowi firm wydobywczych i dystrybucyjnych oraz lobbystów. Rachunek jest prosty? Emisje minus ich wychwycenie równa się neutralność klimatyczna? Tak zwane zero netto to bzdura, przynajmniej na razie. Żadne z obecnie używanych rozwiązań nie wychwyci nawet promiła emisji samej Arabii Saudyjskiej.

I jeszcze najważniejsze pytanie: kto za ratunkowe technologie płaci? Otóż ten, komu zależy. Początkowo badania twórców Orki, dwóch doktorantów z Uniwersytetu w Zurychu, finansowała Unia Europejska. Dziś w ich technologię inwestują Coca-Cola i Audi. W kanadyjską firmę wychwyty dwutlenku węgla Carbon Engineering, założoną m.in. przez Keitha,

inwestował amerykański potentat naftowy Chevron. Raczej nie rzucili się łożyć na ratowanie klimatu z dobrego serca. Niemieccy zieloni, ludy rdzenne i NGOsy grzmia więc, że geoinżynieria służy za liść figowy dla wielkich emitentów.

Prorocy i (nie)winni czarodzieje

Stosunek do geoinżynierii wynika z głębszych przekonań o wpływie człowieka na planetę. Nauka nie służy tu twardym gruntem. Płyną w niej dwa przeciwległe prądy myślowe. Jedni sądzą, że rozwój ma granice: ludzka populacja nie może się w nieskończoność powiększać, a my żyć w konsumpcyjnym komforcie. Trzeba się



cofnąć, ograniczyć, pohamować. Zwolników tego podejścia, za amerykańskim dziennikarzem i pisarzem Charlesem Mannem, nazwijmy prorokami. Prezentują je często biologowie i klimatolodzy jak William Vogt, który sto lat temu przestrzegał przed przeludnieniem oraz wykańczającym środowisko sposobem życia i systemem gospodarczym. Zdaniem tego naukowca – uważanego za twórcę współczesnej ekologii, czasem zwanej apokaliptyczną – niszczyliśmy planetę i prowadzimy do wojen, głodu, wielkiej katastrofy ludzkości, która rozegra się za życia któregoś z kolejnych pokoleń. Prorocy zwalczają geoinżynierię, a przynajmniej jej wersję ekstremalną, czyli symulację wulkanicznych wybuchów.

Czarodzieje, często fizycy i inżynierowie, propagują geoinżynierię. Są zdania,

że choć zasoby są ograniczone, to ludzka inwencja – wręcz przeciwnie. Zawsze znajdowaliśmy rozwiązanie. Jak noblista Norman Borloug, twórca zielonej rewolucji, który własnoręcznie i jednoosobowo krzyżując w latach 40. zboże, uchronił miliony ludzi przed głodem w XX w. Wymyślił tak doskonałe technologie, że możemy się mnożyć i konsumować bez przeszkód, a nawet z korzyścią dla środowiska.

Prorocy i czarodzieje prezentują stanowiska skrajne, jak weberowskie typy idealne. Najwięksi uczeni – ci odważni – stoją pośrodku drogi i nie dają się sklasyfikować.

Paul Crutzen to holenderski chemik noblista, twórca terminów antropocen i nuklearna zima, dzięki któremu świat dowiedział się o dziurze ozonowej i zaczął ją zatykać. Badacz ten zbulwersował środowisko, gdy dwadzieścia lat temu na łamach „Nature” ogłosił, że nie obejdziemy się bez geoinżynierii. Prorok stał się czarodziejem. A później znów prorokiem: w 2014 r. przestrzegał przed poleganiem na geoinżynierii. Uważał, że trzeba badać wszelkie możliwości na wypadek braku innych opcji, ale „musimy ograniczyć konsumpcję. Na zachodni styl życia potrzeba kilku Ziemi, przyszłość antropocenu może być bardzo krótka”.

Prorokiem wydawałby się James Lovelock, zmarły w zeszłym roku twórca teorii Gai. Ziemia – mówił – funkcjonuje jak jeden organizm, wielki i skomplikowany, ale niezwykle delikatny, jak słoń o wrażliwości mimozy. Każda akcja wywołuje reakcję. Mimo to nie zwalczał technologii. Przeciwnie – uważał, że tylko energia nuklearna może uratować ludzkość, a „jeśli jakaś bezpieczna geoinżynieria kupi nam trochę czasu, trzeba jej użyć. Powinniśmy być sercem i umysłem Ziemi, a nie jej chorobą”.

Problem nie leży w wielogłosie naukowców. Ci się samokrytykują i w końcu doszliby do tego, jak i gdzie użyć metod geoinżynierii, żeby było dobrze. Do racjonalnej interwencji o skali planetarnej potrzebna byłaby zgoda na poziomie ONZ, może nawet nowe ciało zarządzające badaniami i jej implementacją. Nie ma na to żadnych szans. Najpewniej państwa na własną rękę zastosują te technologie, co albo pogłębi obecne konflikty, albo stworzy nowe. Nadzieja w tym, że publiczna dyskusja o geoinżynierii dopiero się zaczyna i wkrótce jako społeczeństwo obywatelskie sami weźmiemy w niej udział.

PATRYCJA SASNAL

Rząd chce leczyć bolączki polskiej energetyki małymi reaktorami jądrowymi. Jak one działają? Czy są bezpieczne? A przede wszystkim czy w ogóle istnieją? Odpowiada dr inż. Paweł Gajda.



Mały atom, wielki szum

MARCIN ROTKIEWICZ: – Small Modular Reactors – dzięki nim mają powstać w Polsce podziemne elektrownie zajmujące powierzchnię boiska do piłki nożnej, ale „zapewniające energię całym aglomeracjom”. Tak głoszą reklamy, a laik pyta: skoro SMR są tak dobre, to po co w ogóle budować duże elektrownie jądrowe?

PAWEŁ GAJDA: – Trochę złośliwie rozwinięcie skrótu SMR to „Smartly Marketed Reactors”, czyli sprytnie reklamowane reaktory. O tym bowiem, co jest, a co nie SMR, de facto decydują działy marketingu sprzedających je firm, gdyż nie ma ścisłej definicji. Umowna granica wyznaczona przez Międzynarodową Agencję Energii Atomowej (MAEA) określa moc elektryczną bloku z reaktorem SMR na maksymalnie 300 MW, podczas gdy oferowane dziś duże bloki jądrowe mają powyżej 1000 MW. Tymczasem Rolls-Royce przedstawił koncepcję SMR o mocy bloku 470 MW i nikt nie powie, że to za dużo.

Ponadto za tym skrótem mogą kryć się bardzo różne technologie. Do MAEA zgłoszono już ponad 80 rozmaitych koncepcji. Są one oparte zarówno na świetnie znanych i powszechnie stosowanych tzw. reaktorach lekkowodnych, w których woda służy jako chłodziwo i moderator, jak i na chłodzonych ciekłymi metalami, solami czy helem. Dlatego różnice między małymi a dużymi reaktorami bywają mniejsze niż pomiędzy poszczególnymi koncepcjami SMR.

Rzeczywiście będą to niewielkie instalacje?

Taka elektrownia składa się nie tylko z samego reaktora, ale również m.in. maszynowni, różnego rodzaju budynków pomocniczych, np. na świeże oraz wypalone paliwo jądrowe, czy na potrzeby administracji. Do tego dochodzi strefa bezpieczeństwa i ochrony fizycznej obiektu. Gdyby ktoś popatrzył przez płot, nie byłby w stanie odróżnić – przynajmniej na pierwszy rzut oka – instalacji SMR o mocy 300 MW od „dużej” elektrowni.

Również liczebność zatrudnionej obsługi jest podobna. Choćby operatorów bloku energetycznego musi być niemal tyle samo – w dużych i małych reaktorach trzeba kontrolować podobną liczbę parametrów. Może się zatem okazać, że w SMR będzie potrzeba nawet więcej pracowników w przeliczeniu na MW mocy.

A co dokładnie oznacza hasło „modułowe”?

Że elektrownia może powstać z gotowych modułów, co w założeniu przyspiesza budowę. Tylko znów: poszczególne koncepcje modularyzacji SMR bardzo różnią się między sobą. No i sama idea nie jest nowa ani unikatowa. Moduły stosowane są na budowach dużych elektrowni jądrowych już od lat 60. Nigdy jednak elektrownia jądrowa – mała czy duża – nie będzie przyjeżdżała cała w formie „klocków” do szybkiego złożenia i podłączenia do sieci energetycznej. Na miejscu jest bowiem całkiem sporo prac do wykonania.

Czy zatem elektrownie oparte na SMR, planowane w Polsce, w rzeczywistości nie będą ani małe, ani modułowe?

Spółka Orlen Synthos Green Energy planuje zakup reaktorów BWRX-300 o mocy elektrycznej bloku 300 MW, zaprojektowanych przez firmę GE Hitachi. To interesująca konstrukcja, bazująca na wcześniejszych projektach GEH. Ma też moc zbliżoną do wielu działających obecnie w Polsce bloków węglowych. Nie należy ich jednak sobie wyobrażać jako małych, niemal osiedlowych elektrowni.

W dodatku jeszcze nigdzie na świecie nie wybudowano komercyjnego reaktora SMR.

Tu wracamy do braku dobrej definicji. Można bowiem mówić, że tego typu instalacje jeszcze nie istnieją, jak i twierdzić, że pierwsze SMR już zbudowano, choć da się je policzyć na palcach jednej ręki. Przykładem jest rosyjska pływająca elektrownia „Akademik Łomonosow” uruchomiona w 2019 r. oraz wyposażona w dwa reaktory pozwalające na produkcję 70 MW mocy elektrycznej każdy i bazujące na konstrukcji przeznaczonej dla lodołamaczy. To instalacja stworzona dla bardzo specyficznych warunków na rosyjskiej dalekiej północy (dostarcza prąd dla miasta Pewek), gdzie zainstalowanie dużej elektrowni jądrowej mijałoby się z celem. Po drugie, w latach 60. również Amerykanie wykorzystali podobną pływającą elektrownię do zapewnienia elektryczności Kanałowi Panamskiemu.



Dr inż. **Paweł Gajda** pracuje w Katedrze Zrównoważonego Rozwoju Energetycznego na Wydziale Energetyki i Paliw Akademii Górniczo-Hutniczej im. St. Staszica w Krakowie. Zajmuje się fizyką reaktorową, technologiami reaktorów nowej generacji oraz rolą energetyki jądrowej w niskoemisyjnych systemach energetycznych. Jest wiceprezesa European Nuclear Society.



Pierwszy reaktor typu BWRX-300 ma powstać w Kanadzie do 2028 r. Polska planuje takie inwestycje na lata 30.

Po trzecie, istnieje chiński HTR-PM, czyli High-Temperature Gas-cooled Reactor Pebble-bed Module, ale to nietypowa konstrukcja reaktora wysokotemperaturowego chłodzonego helem. Przypięto mu etykietkę SMR, choć jest ogromnym obiektem, w dodatku dopiero testowanym, więc nie można liczyć na jego komercyjne zastosowanie w krótkim czasie, zwłaszcza w Polsce. I na nim kończy się lista istniejących SMR.

A czy SMR są już gdzieś budowane?

Tak, ale to przypadki pojedyncze i w dużej mierze eksperymentalne. Mamy argentyński CAREM-25, który z opóźnieniami powstaje od prawie dekady, czy chiński ACP-100, który nie jest, jak na razie, planowany jako technologia na eksport. Z kolei pierwszy BWRX-300 ma powstać w Ontario w Kanadzie do 2028 r., ale jestem bardzo ciekaw, czy termin ten zostanie dotrzymany.

Dlaczego do tej pory SMR nie wzbudzały takiego zainteresowania?

Choć pomysł tworzenia małych elektrowni sięga początków energetyki jądrowej, czyli mniej więcej połowy ubiegłego wieku, to hasło SMR pojawiło się dopiero w latach 90. Dotąd nie było dużego zapotrzebowania na takie konstrukcje, bo jeśli ktoś seryjnie budował duże bloki energetyczne, to nie chciał rozrabniać się na konstruowanie małych reaktorów.

Na SMR patrzono przede wszystkim pod kątem miejsc, w których trudno postawić typową sporą elektrownię. Dziś

natomiast zainteresowane są nimi mniej-sze kraje, np. Estonia, gdzie duża siłownia jądrowa byłaby po prostu zbyt wielka jak na potrzeby energetyczne. Z kolei w przypadku sporych państw SMR rozważa się jako remedium na brak inwestorów, gdyż można je próbować zbudować niższym jednorazowo kosztem.

Małe reaktory byłyby dobrym rozwiązaniem polskich problemów z energetyką?

Na pewno nie zastąpią dużych reaktorów jądrowych o mocy ok. 1000 MW. Mogą jednak okazać się ich ciekawym uzupełnieniem. Dzięki nim dałoby się wpasować mniejsze bloki w system energetyczny, np. budując je w miejscach po wygaszanych elektrowniach węglowych. Mamy bowiem sporo lokalizacji, gdzie stawianie np. dwóch dużych bloków będzie trudne z powodu problemów z zapewnieniem chłodzenia wodą czy odbiorem wyprodukowanego prądu.

Może byłoby je też łatwiej budować?

Mają one być, przynajmniej w założeniu, nieco pod tym względem prostsze. Tego typu bloki jądrowe co do zasady buduje się jednak tak samo jak duże. A chcąc uzyskać tę samą moc, co w sporej elektrowni, musielibyśmy postawić większą liczbę SMR. Tu pojawia się kluczowe pytanie: co okaże się bardziej opłacalne? A tego dowiemy się, na dobrą sprawę, dopiero kiedy powstaną pierwsze SMR.

Warto też pamiętać, że przejście całej ścieżki certyfikacji – wymagającej m.in. sprawdzenia, czy reaktor spełnia wysokie wymagania bezpieczeństwa – trwa długo i to niezależnie od wielkości instalacji. Jest też drogie, skomplikowane i w każdym kraju wygląda nieco inaczej. Duże elektrownie mają pod tym względem przewagę: bloki producentów, którzy oferują je Polsce, już gdzieś na świecie powstały. Wyciągnięto wnioski z tamtych budów, więc kolejne mogą przebiegać sprawniej.

Podobno minusem małych reaktorów jest wytwarzanie większej ilości odpadów promieniotwórczych w przeliczeniu na jednostkę mocy.

Tutaj znów trzeba popatrzeć na konkretne modele, a nie na całą kategorię. Projekty lekkowodnych SMR rzeczywiście mają nieco niższą sprawność niż ich duże odpowiedniki, czyli gorzej przekształcają energię pochodzącą z rozszczepiania jąder atomów w ciepło zamieniane na elektryczność. Ale są to pojedyncze punkty procentowe różnicy. Do budowy takiej małej elektrowni potrzeba też nieco więcej materiałów w przeliczeniu na moc. To faktycznie może przełożyć się na nieco więcej odpadów, ale z naciskiem

na „nieco”. Nie będzie to wzrost kilkukrotny, tylko kilkunastoprocentowy, co nie stanowi problemu.

A jak jest z bezpieczeństwem SMR?

Współczesne technologie jądrowe są bezpieczne. Zawsze też podkreślam, że nie decyduje tu rozmiar reaktora. Wszystko zależy od zastosowanych konkretnych rozwiązań technicznych i dlatego wymaga sprawdzenia w procesie certyfikacji.

A może przynajmniej konstrukcja takiego małego reaktora jest prostsza?

Zaprojektowanie SMR czy dużego reaktora przedstawia podobny poziom trudności. Trzeba wykonać w zasadzie tyle samo obliczeń i analiz.

Na liście mających powstać w Polsce SMR znalazły się też mikroreaktory o mocy 10 MW. Co pan o nich sądzi?

Wątpię, by kiedykolwiek, poza jakimiś nietypowymi sytuacjami, znaleźli się inwestorzy gotowi sfinansować bloki nie tylko o mocy 10, ale również 20, 30 czy nawet 50 MW. Ich budowa też wiąże się z kosztowną obsługą i procesem uzyskiwania zgód. Robienie tego dla instalacji, która ma np. 50 MW, po prostu nie ma finansowego sensu. Chyba że chcielibyśmy postawić kilka takich bloków. Tylko czy zamiast nich nie warto zbudować jednego większego?

SMR miałyby pomóc rozwiązać problem dostarczania ciepła do miast, czyli pełnić funkcję elektrociepłowni. Stąd jedna z proponowanych lokalizacji to okolice Warszawy.

Tego typu rozwiązania są – aczkolwiek rzadko – stosowane na świecie, m.in. na Słowacji, w Czechach i Szwajcarii. Polska stoi przed olbrzymim wyzwaniem, jakim jest dekarbonizacja scentralizowanych sieci ciepłowniczych, których mamy ok. 500 różnej wielkości. Pomysł, by wykorzystać do tego elektrownie jądrowe, jest niewątpliwie dobry.

Orlen Synthos zapowiada, że pierwsze reaktory BWRX-300 powstaną u nas już w 2030 r. To realny termin?

Mamy rok wyborczy, więc podchodziłbym do tych deklaracji z dystansem. A jak już mówiłem, pierwszy BWRX-300 w Kanadzie jest obiecany w 2028 r., ale to się raczej przesunie. Stoimy też przed dylematem: czy budować bardzo szybko po Kanadyjczykach, czy trochę poczekać i zobaczyć, co warto podczas budowy usprawnić.

Kiedy zatem mamy realne szanse na debiut takich reaktorów w Polsce?

Pierwsza połowa lat 30. jest możliwa, ale pod warunkiem że inwestor okaże się bardzo konsekwentny. Więcej takich instalacji mogłoby się pojawić u nas dopiero pod koniec następnej dekady. ■

Jaka Polska po wyborach?



WIESŁAW WŁADYKA

Każda partia opozycyjna układa własne programy, choć można mieć pretensje, że nie integrują ich z programami innych partii, z którymi mają przecież stworzyć wspólny rząd po ewentualnie wygranych wyborach parlamentarnych. Na szczęście na zapleczu oficjalnej polityki toczą się prace eksperckie, z których już wylania się plan dla przyszłej 4-partyjnej koalicji.

Jedną z takich inicjatyw miała formę 17 paneli, które odbyły się od września 2022 r. do końca marca 2023 r. Wzięli w nich udział reprezentanci czterech głównych partii opozycyjnych oraz eksperci, a każdy panel był moderowany przez wybitne postaci życia naukowego, społecznego, choćby przez Ryszarda Schnepfa, Marcina Matczaka, Adama Bodnara, Jana Widackiego, Piotra Łukasiewicza. Politycy zostali zaproszeni do debaty przez sześć organizacji, instytutów i fundacji. Warto je wymienić, gdyż wysiłek był ogromny: Instytut Spraw Publicznych, Fundacja im. Janiny Paradomskiej i Jerzego Zimowskiego, Fundacja Geremka, Stowarzyszenie 61, Fundacja Sztuka Media Film, Fundacja Amicitia. Projekt miał swoją Radę Programową, na czele której stał Jacek Weksler.

Efekt prac, w postaci książki, niedawno został przekazany na ręce liderów lewicy, PO, PSL, Polski 2050 (pisaliśmy o tym w POLITYCE 22). Tak więc jest

Wielu polityków obozu rządzącego, także publicyści symetryści, szydzi z antyPiSu, że marszami nie wygrywa się wyborów, że opozycja nie ma programu i nie wie, jakiej Polski chce. A to jest nieprawda.

to prezent dla partii do wykorzystania i do dyskusji. Politycy biorący udział w panelach są też po części współtwórcami tego raportu.

Rekomendacjom nadano tytuł „Zgodnie i różnorodnie”. Publicysta ekonomiczny Grzegorz Cydejko, który je wybrał i opracował, podkreślał, że z treści paneli starał się wydobyć to, co wspólne dla najważniejszych środowisk opozycyjnych. A wspólny jest przede wszystkim system wartości. Wiadomo jakich: wolność, uczciwość, równość, sprawiedliwość, swoboda gospodarcza i kulturowa. Te wartości zostały w Polsce dramatycznie zagrożone i zdewastowane. Odbudowywanie państwowości po wygranych wyborach musi być starannie przygotowane, ale należy to czynić zgodnie z wartościami, które w ich kanonicznym znaczeniu chce się przywrócić.

Profesor Marcin Matczak, który prowadził panel poświęcony reformie wymiaru sprawiedliwości, wskazał na jeden z problemów, jaki napotkają reformatorzy. „Politycy są rozdarci między potrzebą sprawnego naprawienia państwa prawa a szacunkiem dla procedur i gwarancji prawnych. Odczuwają dysonans związany z koniecznością respektowania wymogów prawnych w rozliczaniu osób, które nie odczuwały dysonansu, kiedy niszczyły polską praworządność”.

To tylko jeden z dylematów, przed jakim stanie Polska po wyborach. Trzymając się tematyki, za którą odpowiadał profesor Matczak, listę kłopotów można poszerzać. Jak odpowiedzieć na oczekiwania elektoratu, który będzie domagał się wyrzucenia skompromitowanych sędziów z Trybunału Konstytucyjnego? Jak spełnić te oczekiwania zgodnie z prawem? Nie kto inny tylko profesor Matczak wielokrotnie pisał, że oczekiwana odpłata nie musi polegać wyłącznie na wsadzaniu do więzienia czy na programie „Cela+”. Że może ważniejsze jest, by pokazać zło,

jakie zostało wyrządzone, krzywdy, jakie spotkały ludzi, a nie skupiać się na karaniu i w ten sposób paradoksalnie spełnić oczekiwania przegranych: nowa władza się mści, poluje na głowy. Taka wykładnia profesora choć ma naturalnie swój sens, w środowiskach opozycyjnych jest raczej mniejszościowa.

Zatem jakie są te rekomendacje?

Za główny cel uznano odbudowę sądownictwa w zgodzie z regułami konstytucyjnymi, jako warunek powrotu do praworządności. Równoległe powinny następować zmiany w Krajowej Radzie Sądownictwa, w której polityków zastąpią sędziowie wskazani przez środowisko sędziowskie, także w Trybunale Konstytucyjnym, wreszcie w urzędzie prokuratora generalnego, który powinien być oddzielony od urzędu ministra sprawiedliwości. Nie wszędzie będą tu potrzebne zmiany ustaw, często wystarczy wykonanie wyroków sądów, także europejskich.

Za niebyłe uznać się powinno nominacje sędziowskie ze wskazań neoKRS, a wyroki wydane przy udziale neosędziów poddać weryfikacji w indywidualnej procedurze. Trybunał Stanu swoimi wyrokami odpowie na społeczne oczekiwanie rozliczenia winnych katastrofy w systemie wymiaru sprawiedliwości. „Działaniom Trybunału Stanu powinno towarzyszyć rozliczenie przygotowane przez komisje śledcze Sejmu, a wskazane przez nie przestępstwa powinny zostać napiętnowane w drodze postępowań prokuratorskich i wyroków sądowych”.

W rekomendacjach podkreślono, że wszelkie działania rozliczeniowe muszą być prowadzone szybko i zakończony w ciągu roku od ich wszczęcia.

Do najważniejszych wyzwań została zaliczona edukacja, a program jej naprawy z powodzeniem może opierać się na Obywatelskim Pakcie Edukacji. Proponowane zmiany dotyczą samej szkoły, jej miejsca w systemie państwowym, jej

charakteru, zasobów intelektualnych, wolnościowych i etycznych, jej otwartości i obywatelskości. Szkoła różnorodności, równych szans i równego traktowania, wsparcia i współpracy, szkoła demokracji i społeczności lokalnej, a nie resortu edukacji. Ważne będzie odseparowanie systemu szkolnego od polityki partyjnej poprzez powołanie niezależnej Komisji Edukacji Narodowej.

Konieczne są gwarantowane podwyżki dla nauczycieli, dowartościowanie kadry nauczycielskiej, wspieranie jej rozwoju. Nakłady na edukację nie mogą przytłaczająco obciążać samorządów. Słuszne byłoby powiązanie finansowania szkół z poziomem PKB.

Jak oświata, to też samorządy, które znajdują się w kryzysie z powodu warunków finansowania arbitralnie narzucanych przez rząd, ograniczeń kompetencyjnych – także w praktycznej działalności. Wnosi się zatem o dokonanie przeglądu i wyeliminowanie dublujących się kompetencji administracji samorządowej i rządowej oraz zagwarantowanie samorządom stabilnych, niezależnych od decyzji rządu, źródeł finansowania. W gospodarce powtarzający się postulat to: „wyjść ze spirali długu zaciąganego na rozdawnictwo, a nie inwestycje”. Na gospodarność wpływ będzie miało przywrócenie praworządności i przejrzystości finansów publicznych poprzez likwidację wielu stworzonych przez obecne władze funduszy pozabudżetowych. Konieczna jest poprawa relacji z Unią, decentralizacja decyzji gospodarczych, a spółki Skarbu Państwa po ich odpartyjnieniu muszą pójść w zarząd menedżerski. „Tylko strategiczne aktywa infrastrukturalne i energetyczne powinny zostać w rękach państwa”.

Rekomendacje wiele miejsca poświęciły służbom specjalnym, którym zaleciły „powrót do służby”. Na pewno będzie konieczne podniesienie ich sprawności, także poprzez reorganizację, ewentualne scalenia i ustalenie zasad podporządkowania. Także, zapewne, likwidacja politycznie skompromitowanego CBA. Po doświadczeniach z przeszłości wylania się potrzeba sprawniejszej kontroli nad służbami przez sejmową komisję ds. służb specjalnych, przez sądy okręgowe i przez prokuratorów, a także NIK.

Nie mogło zabraknąć panelu poświęconego świeckości państwa: prawo i organa państwa muszą być neutralne światopoglądowo, winny realnie gwarantować wolność myśli, sumienia i wyznania. Wśród postulatów jest też

wezwanie do zniesienia Funduszu Kościelnego i zastąpienia go dobrowolnymi wpłatami wiernych, także do ograniczenia bezpośredniego finansowania Kościołów i duchowieństwa ze środków publicznych, jak też innych źródeł pozyskiwania dóbr i pieniędzy. Wreszcie stwierdzono konieczność rewizji zapisów konkordatu.

Dwa panele zajęły się relacją państwa i społeczeństwa oraz tożsamością obywatela. Czytamy więc, że pomoc państwa nie musi oznaczać rozdawania pieniędzy, ale wzmocnienie usług publicznych i asysty w kryzysowych sytuacjach. W panelu ujawniły się różnice poglądów, ale nie dramatyczne. Szukano nowych rozwiązań i regulacji, które przywrócą spójność społeczną, wzmocnią system emerytalny i ubezpieczenia społeczne.

Podkreśla się, że organizacja państwa demokratycznego na pierwszym planie stawia obywatela, a nie „członka narodu”, co pociąga za sobą konsekwencje tożsamościowe, choćby dlatego, że otwiera „inny” drogę do wspólnoty. Należy zatem pracować nad kształtowaniem obywatelskości konstytucyjnej, także przy pomocy mediów publicznych. W związku z tym aż dwa panele zostały poświęcone mediom w Polsce, ich kondycji, zagrożeniom i ograniczeniom, którym są poddawane dzisiaj, a które muszą zniknąć natychmiast po wyborach. I są na to pomysły.

Panel w związku z wojną w Ukrainie postawił m.in. pytanie, jak szybko da się po okresie chaosu odbudować obronność Polski. Najważniejsze to wesprzeć rodzimą produkcję zbrojeniową, przeprowadzić rewizję wydatków, tak by ich połowa pozostawała w kraju. Wielkiego wysiłku będzie wymagała nowa polityka kadrowa w armii i w resorcie obrony narodowej, jak też podniesienie polskich zdolności sojuszniczych.

Panele, które dotyczyły stosunków i związków Polski na zewnątrz, jak w ogóle polityki zagranicznej państwa, były zbiorową deklaracją, że Polska powinna tkwić w Unii jeszcze mocniej. „Pogłębienie integracji w ramach Unii Europejskiej jest celem i partii demokratycznych, i Polaków”. Jednak centralnym punktem dyskusji była kwestia przystąpienia Polski do strefy euro. Wyznaczono to jako cel długofalowy, ponieważ Polska w ciągu najbliższych lat nie spełni warunków wstąpienia do unii walutowej, potrzebne

także byłyby zmiany konstytucyjne, odbudowanie stabilności finansowej kraju i przywrócenie zbieżności polityki gospodarczej w ramach UE.

Bez zwłoki trzeba działać na rzecz wzmocnienia odporności społeczeństwa na sączone fobie antyunijne i antyniemieckie. Zapowiedziano audyt kadr dyplomatycznych.

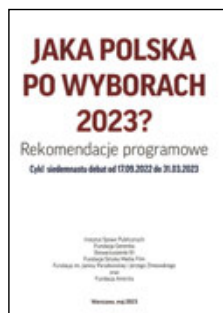
Niejako równoległe powstawał inny społeczny, pozapartyjny raport obywatelski „Propozycje dla Polski. Rozmowa obywatelska o przyszłości”. Został on przygotowany przez Ogólnopolską Federację Organizacji Pozarządowych, Fundację im. Stefana Batorego i Europejskie Centrum Solidarności. Został przedstawiony 3 czerwca podczas gdańskiego Święta Wolności i Praw Obywatelskich. Tam rozmowa obywatelska odnosiła się do nadrzędnego pytania: w jakim kierunku powinno zmierzać państwo w perspektywie dekady? Po to, by stało się bezpieczne, demokratyczne, sprawiedliwe, uczciwe, praworządne, nowoczesne, tolerancyjne, ekologiczne, otwarte, z silną i dofinansowaną edukacją i nauką, sprawnymi siłami zbrojnymi.

Pracowano w ośmiu obszarach tematycznych, które w większości pokrywały się z tematami opisanych wcześniej paneli. Występują liczne zbieżności, choć są różnice. Na przykład Rozmowa Obywatelska sporządziła projekt ustawy o Trybunale Konstytucyjnym. Został poddany licznym konsultacjom eksperckim i przedstawiony partiom opozycyjnym, które wyraziły poparcie dla projektu. Proponuje się zatem np. zastąpienie zasady jednoosobowego kierowania TK przez przesłanie na rzecz zasady kolegalności, zmianę procedur wyboru sędziów TK zapewniającą apolityczność kandydatów, a także większą jawność postępowań.

W „Propozycjach dla Polski” znalazły się także liczne tematy obywatelskie, jak prawa kobiet, prawa ucznia, polityka emigracyjna i integracyjna, kultura.

Obie inicjatywy dają świadectwo z troski i wielkiej obywatelskiej pracy, obie też współbrzmiały ze sobą. Teraz trzeba mieć nadzieję, że będą wykorzystane w kampanii wyborczej, a po zwycięstwie sił demokratycznych staną się podstawą do odpowiedzi na najważniejsze pytanie: jaka Polska po wyborach?

Opracowane przez POLITYKĘ rekomendacje programowe wręczone przez nas liderom demokratycznej opozycji.



Kręcenie z prądem

ROWERY ELEKTRYCZNE PODBIJAJĄ KOLEJNE KRAJE, BO SĄ ŚWIETNĄ ALTERNATYWĄ DLA SAMOCHODU – TAŃSZĄ, ZDROWSZĄ, A CZĘSTO I SZYBSZĄ. DOPLĄTY DO ICH ZAKUPU STAŁY SIĘ JUŻ EUROPEJSKIM STANDARDEM.

PYTANIE, KIEDY PODOBNE WSPARCIE BĘDZIE MOŻLIWE W POLSCE?



© KAROLINA MISZTA/REPORTER

Elektryczne rowery z miejskiej wypożyczalni Mevo. Niebawem będzie można nimi jeździć w Trójmieście.

Już 10 proc. Polaków posiada rower elektryczny – tak wynika z najnowszych badań Polskiego Stowarzyszenia Rowerowego. W ciągu zaledwie roku ten wskaźnik podwoił się. Aż 46 proc. ankietowanych rozważa zakup takiego jednoślada dla siebie, członka swojej rodziny lub osoby bliskiej. W wielu krajach Europy Zachodniej rowery ze wspomaganie elektrycznym (bo tak fachowo należy je nazywać) stały się już rynkowym standardem, a ich sprzedaż jest nawet większa niż tradycyjnych modeli. U nas na razie rowery elektryczne to 10–20 proc. wszystkich kupowanych jednoślądów. Jednak potencjał tego środka transportu jest bardzo duży – aż dwie trzecie osób biorących udział w badaniu Polskiego Stowarzyszenia Rowerowego twierdzi, że do zakupu

rowerowych „elektryków” skłoniłaby ich niższa cena takich produktów.

Triumfalny pochód rowerów elektrycznych w Europie nie jest przypadkowy. Na naszym kontynencie funkcjonuje dziś już około trzystu programów dopłat, zachęcających do inwestycji w taki sprzęt. Niestety, Polska pod tym względem nie ma się czym chwalić w przeciwieństwie do Francji, Danii, Chorwacji czy nawet Węgier. – *Proponujemy, aby rower uwzględnić w ustawie o elektromobilności i paliwach alternatywnych. Skoro mamy dopłaty – i to niemałe – do zakupu samochodów elektrycznych, takie wsparcie powinno być dostępne również w przypadku rowerów elektrycznych. Stworzyliśmy obywatelski projekt ustawy, który wprowadziłby takie zmiany. Wsparcie ze strony państwa mogłoby wynieść 20–25 proc. kosztów*

zakupu – mówi Mateusz Pytko, prezes Polskiego Stowarzyszenia Rowerowego. Przypomina on o niedawnej rezolucji Parlamentu Europejskiego, który zobowiązał Komisję Europejską do promowania ruchu rowerowego. Cel jest prosty, ale ambitny: sprawić, aby do 2030 r. podwoiła się liczba kilometrów pokonywanych rowerami przez obywateli Unii. To właśnie rower ma być najlepszą odpowiedzią na kryzys klimatyczny, zakorkowanie miast czy złą jakość powietrza w wielu metropoliach.

Otym, że Polacy na dopłaty do zakupów takich rowerów niecierpliwie czekają, przekonuje przykład Gdyni. To na razie jedyne w Polsce miasto, które samo zaproponowało system dotacji dla swoich mieszkańców, nie czekając na rozwiązania ogólnopolskie. Zainteresowanie

przekroczyło najśmielsze oczekiwania. W ubiegłym roku samorząd przeznaczył na dopłaty 100 tys. zł w ramach pilotażu. Można było wnioskować o pokrycie 50 proc. kosztów zakupu roweru ze wspomaganie elektrycznym, ale nie więcej niż 2,5 tys. zł. Ostatecznie wsparcie dostało pierwszych czterdziestu z ponad tysiąca chętnych. Kolejne 80 osób z listy rezerwowej ma szansę na dofinansowanie w tym roku, bo Gdyni obok własnych 100 tys. udało się zdobyć na program dopłat taką samą kwotę z Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Gdańsku.

Gdyby samorządy były w lepszej sytuacji finansowej, być może więcej z nich zdecydowałoby się na podobne dopłaty. Niestety, wiele gmin nie ma żadnych rezerw, szczególnie w obliczu gigantycznego wzrostu wydatków na prąd czy gaz. Samorządy starają się zatem umożliwić mieszkańcom korzystanie z rowerów elektrycznych na innych zasadach. W Warszawie w ramach bardzo popularnej miejskiej wypożyczalni Veturilo ok. 10 proc. jednoślądów jest wyposażonych we wspomaganie elektryczne. Ułatwia ono pokonywanie miejscami dość stromej warszawskiej skarpy. Kraków zaoferował bezpłatne wypożyczanie rowerów elektrycznych w ramach programu Park-e-Bike na parkingach typu „parkuj i jeźdź”. Należy je zwrócić do końca dnia w tym samym miejscu, z którego się je wypożyczyło. Niestety część jednoślądów została szybko zniszczona przez nieodpowiedzialnych użytkowników. Bardziej bezpieczny dla rowerów powinien być inny program Krakowa o nazwie LajkBike, który ma wystartować tego

Customer experience dla wszystkich miłośników rowerów

Nowoczesna ścieżka testowa, specjalistyczny serwis, profesjonalny bikefitting, a nawet strefa dla najmłodszych kolarzy – tak CentrumRowerowe.pl rozwija swoją strategię omnichannelową. Dziś to nie tylko e-commerce, ale także innowacyjny salon rowerowy.

Nowoczesne rozwiązania technologiczne pozwalają generować zupełnie nowe doświadczenia zakupowe. Jednym z najważniejszych punktów w salonie CentrumRowerowe.pl jest innowacyjna ścieżka testowa, która idealnie pokazuje podejście marki do *customer experience*. Tor umożliwia sprawdzenie wybranego roweru na zróżnicowanym podłożu, jeszcze przed jego zakupem. Klienci wybierać mogą z ponad 700 modeli zebranych na przestrzeni 2700 m². Dla najbardziej wymagających kolarzy opracowana została usługa profesjonalnego bikefittingu.

Zgromadziliśmy wokół naszej marki grono pasjonatów, dzięki czemu możemy zaoferować znacznie więcej niż klasyczny sklep rowerowy. – podkreśla Jacek Zieziulewicz, Dyrektor Handlowy Dadelo S.A.

Sercem zespołu CentrumRowerowe.pl są ludzie, którzy aktywnie jeżdżą.

W salonie stacjonarnym pomoc mogą uzyskać zarówno miłośnicy jazdy rekreacyjnej jak i profesjonalni kolarze. Wyróżnikiem oferty jest największy w Polsce stacjonarny wybór odzieży kolarskiej, a także duża dostępność akcesoriów i części. Nie zapomniano również o strefie dla najmłodszych rowerzystów.

Koniec z porównywaniem cen

Każdy, kto decyduje się na zakupy na miejscu ma pewność, że za wybrane przedmioty zapłaci dokładne tyle samo, co w sklepie internetowym CentrumRowerowe.pl. Jest to zasługa rozbudowanego systemu informatycznego, bazującego m.in. na elektronicznym systemie synchronizacji cen. Dodatkowo istnieje możliwość skorzystania z multimedialnej strefy *click&collect*, która pozwala na zamówienie produktów dostępnych w e-commerce i odbiór ich na miejscu.



Serwis z prawdziwego zdarzenia

Wyróżnikiem sklepu stacjonarnego jest najlepiej wyposażony serwis rowerowy w Warszawie. Wykwalifikowana kadra podejmuje się najbardziej skomplikowanych zadań, dzięki czemu spełnia oczekiwania zarówno amatorów, jak i zawodowców. Uzupełnieniem oferty stanowi profesjonalna myjka do mycia roweru oraz napędu.

Salon stacjonarny CentrumRowerowe.pl znajduje się w CH Okęcie Park, ul. Aleja Krakowska 61 w Warszawie.



**MAMY WSZYSTKO,
W CZYM MOŻESZ SIĘ ZAKOCHAĆ**



lata. W jego ramach mieszkańcy będą mogli na dłuższy czas wypożyczyć od miasta rowery. Jeśli zdecydują się na model ze wspomaganie elektrycznym, zapłacą za miesiąc tylko 79 zł. Miasto chce w ten sposób przekonać mieszkańców do regularnego korzystania z tego środka transportu.

W dużej mierze na rowerach elektrycznych będzie również oparta druga odsłona wypożyczalni Mevo, która ma wystartować jeszcze w tym roku w Trójmieście oraz wielu innych gminach województwa pomorskiego. Pierwsza wersja Mevo niestety zakończyła się porażką, bo zbankrutował operator systemu, który przecenił swoje możliwości. Okazało się, że koszty zakupu i obsługi takiej wypożyczalni są stosunkowo wysokie. Miejmy nadzieję, że tym razem będzie lepiej i Mevo po przejściach wreszcie spełni pokładane w nim na Pomorzu nadzieje. Rowery ze wspomaganie elektrycznym mają pomóc w pokonywaniu licznych wzniesień w nadmorskich miejscowościach. Będą służyć zarówno mieszkańcom, jak i turystom, bo program zaoferuje możliwość korzystania regularnego, ale i okazjonalnego.

Chociaż rowery ze wsparciem elektrycznym zyskują szybko na popularności, wciąż nie wszyscy wiedzą, na czym polega ich użytkowanie. Wbrew powszechnym kiedyś opiniom nie chodzi tu o żaden odpowiednik elektrycznej hulajnogi czy skutera. Rower elektryczny to w rzeczywistości wciąż rower, który jedzie napędzany siłą mięśni użytkownika. Natomiast wspomaganie elektryczne ma w tym asystować, a nie zastąpić konieczności pedałowania. – *Dzisiaj z rowerów elektrycznych korzystają osoby w każdym wieku, bez względu na umiejętności oraz kondycję. Są to zarówno ci, którzy szukają komfortowego środka transportu, jak i bardziej zaawansowani użytkownicy, traktujący rower jako pasję i hobby. W coraz większym stopniu reaguje na to rynek. Są marki, które zupełnie*

zrezygnowały z produkcji rowerów klasycznych lub też ofertę mocno ograniczyły. W zależności od ukształtowania terenu miejsca zamieszkania konsumenci wybierają już nie tylko rowery miejskie i trekkingowe ze wspomaganie elektrycznym. Największy potencjał wzrostu ma w tej chwili dynamicznie rozwijająca się oferta rowerów MTB. Najdroższe i najbardziej zaawansowane modele potrafią osiągać już ceny niektórych samochodów. W Polsce jeszcze nie zdobywa popularności trend rowerów szosowych czy gravelowych ze wspomaganie elektrycznym, spełniających oczekiwania najbardziej wymagających rowerzystów, który jest już bar-

że właśnie seniorzy są jedną z pierwszych grup, w których zaczęła rosnąć popularność tego środka transportu. Osoby starsze mogą na przykład dzięki temu wybrać się w podróż razem z młodszymi członkami rodziny, którzy skorzystają z tradycyjnego roweru. Jednak rowery ze wspomaganie elektrycznym stały się w wielu krajach bardzo popularne także wśród osób dojeżdżających do pracy, które są gotowe na aktywność fizyczną, ale nie chcą przyjechać do biura zbyt zmęczone czy spocone. Ogromnym atutem takiego jednoślada jest możliwość samodzielnej decyzji o tym, na jaki wysiłek jesteśmy przygotowani w danym momencie. Rowery ze wspo-

podczas wymagającego wspinania się po górskich szlakach bateria w rowerze będzie rozładowywać się szybciej niż w trakcie rekreacyjnych przejazdów po płaskiej przestrzeni. Na zasięg ma wpływ nie tylko ukształtowanie terenu, ale także: siła wiatru, rodzaj ustawionego wspomagania, waga rowerzysty czy też jego forma, która przekłada się na sposób pedałowania – wyjaśnia Jacek Zieziulewicz z serwisu CentrumRowerowe.pl.

Ogromny potencjał mają nie tylko zwykłe rowery ze wspomaganie elektrycznym, ale także jednoślady w wersji towarowej. Rowery elektryczne typu cargo to już w wielu krajach nie nowinka, ale pełnoprawny środek transportu, używany do codziennych podróży. Pozwala szybko i wygodnie przewieźć dzieci, większe zakupy, a nawet materiały budowlane. Taki rower w bardzo wielu sytuacjach jest świetną alternatywą dla samochodu. Warto bowiem pamiętać, że elektromobilność polegająca na zastępowaniu pojazdów spalinowych elektrycznymi nie rozwiązuje wielu problemów transportowych.

Aut elektryczne nie emitują spalin, ale przecież wciąż zajmują miejsce – zarówno podczas jazdy, powodując korki, jak i podczas parkowania, zabierając ceną miejską przestrzeń. Tymczasem rower ze wspomaganie elektrycznym oferuje prędkość często porównywalną albo nawet wyższą od samochodu w zakorkowanych aglomeracjach. A poszerzony o możliwości cargo staje się poważną konkurencją dla prywatnego auta. W tym kierunku będziemy zmierzać, także w Polsce, bez względu na to, czy pojawi się u nas państwowe wsparcie dla osób, które są gotowe na przesiadkę. Tyle że bez niego ten pożądany proces potrwa po prostu dłużej, a w międzyczasie wyemitujemy więcej dwutlenku węgla, pyłów, tlenków azotu i innych rakotwórczych związków.

CEZARY KOWANDA



Rower elektryczny pozwala pokonać trudne podjazdy bez poczucia zmęczenia.

© ANDREY POPOV/SHUTTERSTOCK

dzo silny na południu Europy – opisuje Jacek Zieziulewicz, dyrektor handlowy w spółce Dadelo SA, do której należy marka CentrumRowerowe.pl.

Jednośląd ze wspomaganie elektrycznym ma w rzeczywistości poszerzyć grupę osób, które chcą korzystać z rowerów, ale z różnych powodów tego nie robią. Czasem chodzi o problemy zdrowotne: rower elektryczny zmniejsza wysiłek konieczny na przykład do pokonywania podjazdów czy pozwala przejechać dłuższy dystans bez poczucia zmęczenia. Nic dziwnego,

maganie pozwalają bowiem regulować poziom wsparcia elektrycznego albo nawet zupełnie je wyłączyć, gdy chcemy zużyć więcej własnej energii.

A jak wybrać model najlepiej dopasowany do własnych potrzeb? – *Dla wielu osób ważny jest zasięg, czyli to, ile kilometrów można przejechać na jednym ładowaniu. Nie zawsze ma to jednak kluczowe znaczenie. Szczególnie w przypadku użytkowników rowerów miejskich nie należy się kierować tym kryterium. Na zasięg danego pojazdu wpływa nie tylko pojemność akumulatora, ale też inne czynniki. Przykładowo*

Letnie łamanie głowy!



Zagadki logiczne, liczbowe, słowne i wiedzowe
– każdy znajdzie coś dla siebie!

Do kupienia w kioskach oraz na sklep.polityka.pl

Henry Kissinger, były sekretarz stanu USA, skończył sto lat. Przy okazji wydał 19. książkę – tym razem o sześciu największych światowych przywódcach.

Szóstka stulatka

Henry Kissinger po odebraniu Pokojowej Nagrody Nobla w 1973 r. Obok niego portrety Richarda Nixona (z lewej) i Geralda Forda.



ADAM KRZEMIŃSKI

Swoje setne urodziny Kissinger obchodził czterokrotnie. Najpierw 27 maja w wiejskim domu w Connecticut, potem było huczne przyjęcie w Nowym Jorku, a w połowie czerwca w Londynie i niemieckim Fürth, gdzie złożył kwiaty na grobie dziadka. Przy okazji legendarny doradca i sekretarz stanu Richarda Nixona i Geralda Forda sprawił nam i sobie prezent: swoją 19. książkę – o politycznym przywództwie.

On sam jako imigrant nie mógł zostać przywódcą – prezydentem USA. Ale jako doradca i minister dwóch prezydentów miał wizjonerskie pomysły i potrafił przekonać do nich „trzymających władzę”. W latach 1969–76 stał się jednym z najbardziej wpływowych polityków świata. Niedościęgłym wzorem dla dzisiejszych ministrów najważniejszych państw globu.

Urodził się w 1923 r. i do dziś w jego angielskim wyczuwalne jest frankońskie „r”. Wyemigrował z III Rzeszy wraz z rodzicami w 1938 r. na kolejnej fali antysemitycznych ekscesów. Uzyskał amerykańskie obywatelstwo. Jako żołnierz US Army walczył w Ardenach. A potem służył w okupowanych Niemczech w kontrwywiadzie. Po demobilizacji zdomował się na Harvardzie. Najpierw jako student, a po doktoracie o Metternichu i strategii kongresu wiedeńskiego 1815 został wykładawcą dziejów najnowszych Europy oraz polityki zagranicznej. Międzynarodową sławę zyskał książką z 1957 r. o polityce w epoce broni atomowej. Uchodził za „makiawelistę”, gotowego dla dobra państwa działać bezwzględnie kosztem zewnętrznych i wewnętrznych wrogów. Uważano też, że wzorował się na Bismarcku i jego Realpolitik, choć Niall Ferguson – jego biograf – widzi w Kissingerze raczej idealistę w duchu Immanuela Kanta...

Błyskotliwego profesora początkowo ciągnęło ku Demokracjom. We „Wspomnieniach” opisuje, jak bardzo zaskoczyła go oferta republikańskiego prezydenta elekta Richarda Nixona, by objął stanowisko jego doradcy ds. bezpieczeństwa. I stworzyli znakomitą parę. Pomysł podsuwał Kissinger, ale Nixon je chwycił i rozwijał jak swoje.

To był koncert polityki realnej, chętnie sięgającej do instrumentarium tajnej dyplomacji. Syn Kissingera opowiada, jak to jego ojciec chętnie umawiał się na szachy z radzieckim ambasadorem Dobryninem. Jego podróże nie miały nic wspólnego z występami „na pokaz” dzisiejszych ministrów. Jego epokowy wypadek do ChRL w 1972 r., otwierający normalizację stosunków amerykańsko-chińskich, był ściśle tajny. Wtedy przywódca Państwa Środka Mao Zedong ponoć mówił mu, że kwestia Tajwanu będzie dla Pekinu aktualna dopiero za jakieś sto lat. Stała się taka już po półwiecu.

Otwarcie na Chiny wprowadziło utrudniło i tak już niełatwe ze względu na wojnę w Wietnamie relacje z Moskwą, ale umożliwiło zonglowanie w trójkącie, dzięki czemu Kissinger potrafił wynegocjować złagodzenie napiętych relacji z ZSRR. Był nieufny wobec polityki wschodniej prowadzonej przez kanclerza RFN Willy'ego Brandta, który w 1970 r. podpisał układ o normalizacji stosunków RFN i ZSRR oraz układ z Polską. Kissinger obawiał się huśtawki Bonn między Wschodem i Zachodem, ale poparł kurs Brandta, podobnie jak ustalenia konferencji w Helsinkach w 1975 r., kiedy to pierwszy raz w czasach zimnej wojny państwa obu bloków przyjęły wspólne zasady polityki międzynarodowej i powołały Organizację Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE).

Miał zaufanie do kanclerza RFN Helmuta Schmidta i po wynegocjowaniu przez USA z Moskwą układu o ograniczeniu broni strategicznych (SALT I w 1972 r., SALT II w 1979 r.) europejska polityka odprężenia rozwijała się pod amerykańską kontrolą.

Najtwardszym orzechem było dla niego zakończenie wojny wietnamskiej. Za negocjacje z Hanoi otrzymał w 1973 r. Pokojową Nagrodę Nobla (w proteście przeciwko tej decyzji dwóch członków Komitetu Noblowskiego złożyło dymisję). Ale wojna trwała jeszcze dwa lata i skończyła się upokarzającą ucieczką Amerykanów z dachu ambasady w Sajgonie. I ściągnęła na Kissingera oskarżenia o zbrodnie wojenne – bombardowania Kambodży. Do dziś obrusza się na to, wskazując, że chodziło o północno-wietnamskie bazy na bezludnym terenie. Obwiniany jest także o poparcie wojskowego puczu w Chile w 1973 r., podczas którego zginął demokratycznie wybrany socjalistyczny prezydent Salvador Allende, a władzę przejął proamerykański dyktator Augusto Pinochet. Jednak Kissinger nie był wmieszany w aferę Watergate i bez przeszkód przetrwał upadek Nixona, pozostając sekretarzem stanu przy Geraldzie Fordzie. Po wycofaniu się z polityki pozostał wziętym doradcą, komentatorem i autorem.

W Polsce ma znakomitą markę, ale nie zawsze najlepszą opinię. W sprawach europejskich często miał odmienny pogląd niż Zbigniew Brzeziński z rodowodem polskim czy Madelaine Albright – z czeskim, którzy w tej wielkiej grze lepiej czuli siłę słabych. Gdy w lipcu 1997 r. odwiedził POLITYKĘ z okazji polskiego wydania swojej książki „Dyplomacja”, zapytany, czy po wojnie Zachód zdradził Polskę, odpowiedział dźwięcznym barytonem: „Ja bym tego tak nie nazwał”.

Po najeździe Putina na Ukrainę 24 lutego 2022 r. Henry się wahał. Nalegał na rozmowy z Putinem, na co od Mychajły Podolaka, doradcy prezydenta Wołodymyra Zelenskigo, usłyszał: „Pan nadal nic nie rozumie... Każde porozumienie z diabłem – zły pokój kosztem ukraińskich terytoriów – będzie zwycięstwem Putina i receptą na sukces dla autokratów na całym świecie”. W końcu

przyznał, że się mylił, bo tylko członkostwo w NATO zapewni Ukrainie suwerenność.

Dość dobrze zna Putina. Spotykał się z nim w cztery oczy mniej więcej raz na rok od czasu interwencji NATO w Kosowie w 1999 r. i zwykle – jak wyjaśniał w jubileuszowej rozmowie z hamburską „Die Zeit” – te rozmowy kręciły się wokół „zachowania godności Rosji”. Po rosyjskim najeździe na Ukrainę takich spotkań już nie było, choć były sygnały z Moskwy, by je podtrzymać. Mediacja między Moskwą i Kijowem mogłaby tylko za zgodą rządu amerykańskiego. Nie jest zwolennikiem oskarżania Putina o zbrodnie wojenne, ponieważ wiązanie przebiegu wojny z losem przywódcy „uniemożliwia lub utrudnia” jej ograniczenie. A „celem politycznym Zachodu musi być odbudowa relacji między Europą a Rosją po osiągnięciu przez Ukrainę bezpieczeństwa militarnego”, a dziś jest nim członkostwo w NATO.

Przyznaje, że Amerykanie są podzieleni w ocenie roli Ameryki w świecie, a obecne wyzwania są większe niż te w czasie zimnej wojny, kiedy jedynym przeciwnikiem Zachodu był Stalin. Świat jest wielobiegunowy, wiele państw pozaeuropejskich występuje jako potencjalne zagrożenie dla USA. Największym problemem Ameryki jest Azja, ale nawet gdyby Donald Trump wygrał wybory, to zdaniem Kissingera także wielu Republikanów związanych z poprzednimi administracjami nie zaakceptowałyby porzucenia przez USA obrony Europy.

„Musimy opracować strategię radzenia sobie z nowymi zagrożeniami. A jedną z kwestii będzie rola wspólnoty atlantyckiej: czy powinna stanowić jeden podmiot, czy też Europa i USA przyjmą różne podejścia? Opowiadałbym się za większą autonomią dla Europejczyków”. W przeciwnym wypadku narody europejskie nie będą w stanie „wypracować własnych koncepcji i wyobrażeń o swojej roli w świecie. A tylko ci, którzy mają autentycznie narodową perspektywę, będą zdolni do poświęceń”. Powojenne Niemcy, przeciwieństwie do Francji i Wielkiej Brytanii, nigdy nie stanęły przed taką koniecznością, dlatego tak ważny jest ten epokowy zwrot – *Zeitenwende* – jaki obecnie dokonuje się w Niemczech.

Poznał Olafa Scholza i polubił jako burmistrza Hamburga i nie przypuszczał, że zostanie on kanclerzem. To już inna generacja polityków, której nie zna tak dobrze.

Kryzys przywództwa to wielki temat. Kissinger poświęcił mu najnowszą książkę „Leadership. Six Studies in World Strategy” (Przywództwo. Sześć studiów nad strategią światową). Przeanalizował w niej sztukę rządzenia sześciu przywódców: kanclerza RFN Konrada Adenauera, premiera Francji Charles'a de Gaulle'a, prezydenta USA Richarda Nixona, prezydenta Egiptu Anwara as-Sadata, premiera Singapuru Lee Kuan Yew i premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher.

Przywództwo to działanie w ciągłym napięciu. Nixon w tym samym czasie wychodził z Wietnamu, handryczył się z Moskwą, nawiązywał poufne kontakty z Mao, a na dobitkę miał już na głowie aferę Watergate. Adenauer dla zakotwiczenia Republiki Federalnej na Zachodzie godził się na podział Niemiec. Był pewny swego wyboru, ale na kilka tygodni przed śmiercią wyznał Kissingerowi, że ma wątpliwości, czy jeszcze jest coś takiego jak światowe przywództwo. Charles de Gaulle znał ułomności Francji, ale potrafił natchnąć ją własną wiarą w jej wielkość. A Anwar as-Sadat życiem przypłacił zawarcie pokoju z Izraelem, ponieważ odważył się wyjść poza narodowo-religijne dogmaty arabskiej polityki.

Jednak najistotniejsze są końcowe wnioski autora o strukturalnych zmianach polityki międzynarodowej XXI w., wynikających stąd, że po władzę sięgają *homini novi*, ludzie zupełnie inaczej przygotowani i myślący o polityce i relacjach między państwami niż ich poprzednicy. ►

► W XIX w. arystokratycznych mężów stanu skoliiganych z całą Europą, znających języki, kulturę, historię – jak Klemens von Metternich czy u nas książe Adam Czartoryski – zaczęli stopniowo zastępować merytokraci proweniencji mieszczańskiej. Już nie urodzenie, lecz wykształcenie w elitarnych szkołach i administracyjna sprawność wytyczały drogę do przywództwa.

W czasach demokracji wizualnej, internetu, sztucznej inteligencji, ale także broni atomowej, zagrożeń cybernetycznych i cywilizacyjnych rozmywają się mieszczańskie jakości przywództwa drugiej połowy XX w., niemniej społeczeństwa nadal są zawieszane między przeszłością kształtowaną przez pamięć a inspirującą je wizją przyszłości. Dlatego – przestrzega Kissinger – niezbędny jest leadership: w państwie, związkach religijnych, armii, przedsiębiorstwach, szkolnictwie. Bez tego państwa i ich instytucje dryfują, a narody tracą znaczenie i zmierzają ku katastrofie.

Politycy muszą wiedzę wyciągniętą z przeszłości godzić z własnym wyczuciem przyszłości. Rozwiewać wątpliwości i mobilizować poparcie. Wykazać się odwagą wyboru kierunku wśród skomplikowanych opcji oraz siłą charakteru, by trzymać kurs, mimo że niepodobna dokładnie wyskalować korzyści i ryzyka, przyszłość jest niejasna, a zastałe wartości ulegają erozji. Ponadto wydarzenia mają własną dynamikę wymykającą się rachubom.



Z redaktorem naczelnym POLITYKI Jerzym Baczyńskim (w środku) i ówczesnym szefem działu zagranicznego tygodnika Markiem Ostrowskim w Warszawie, 2012 r.

Często trzeba decydować na chybcika, intuicyjnie, opierając się tylko na hipotezach, bo zwłoka zawęży pole manewru. Toteż przywództwo to „ciągły taniec na linii między względną pewnością, jaką daje przeszłość, a niepewną przyszłością”.

I tak w maju 1953 r. Winston Churchill na pytanie, jak przygotować się do rządzenia, odpowiedział: „Studiując historię!”. Zarazem niepodobna kurczowo trzymać się przeszłości i historycznych analogii, jako że nikt nie zna wszystkich aspektów tego, co było.

Revolucja merytokratyczna łączyła cechy arystokratycznego „szlachetnego człowieka”, „dżentelmena” z indywidualnymi kwalifikacjami zdobytymi w młodości, a potem kształtowanymi przez całe życie zawodowe. Wartości klasy średniej kształtowały tę grupę polityków od dzieciństwa, wyrabiały „dyscyplinę, samodoskonalenie, dobroczynność, patriotyzm i pewność siebie. Na wiarę we własne społeczeństwo składała się wdzięczność za przeszłość i ufność w przyszłość. Oczywiście było przekonanie o równości wobec prawa”.

Mieszczańscy merytokraci w przeciwieństwie do swoich arystokratycznych poprzedników posiadali głęboko zakorzoną świadomość narodową, która umacniała ich w przekonaniu,

że obowiązkiem jest służenie współobywatelom. Nie uważali się za kosmopolitów i „obywateli świata”. Ale byli na swój sposób pobożni i mimo religijnych różnic mieli także solidne świeckie wychowanie – byli zdolni do analizy własnych błędów i umieli spoglądać w przyszłość. Nie bali się twardej prawdy. Nie ufali polityce sterowanej nastrojami, opartej na badaniach opinii publicznej i grup fokusowych.

Dziś – puentuje Kissinger – takie osobowości już do władzy nie dochodzą. Wśród amerykańskich studentów modne są kariery menedżerskie, a nie skromniejsze kariery urzędnicze w służbie publicznej. Ponadto w relacjach między klasą polityczną a dużą częścią społeczeństwa panuje nieufność, a nawet wrogość.

Dominuje specjalistyczne wykształcenie techniczne, a nie kształtowanie obywatelskie. Tym samym do polityki wchodzi ludzie z dobrą wiedzą statystyczną, ale nie humanistyczną, która cechowała „szóstkę Kissingera”. Znakomite wyniki egzaminów i błyskotliwie napisane CV usypiają dzisiejsze elity w błędnym przekonaniu o swej wiedzy i doświadczeniu. „O ile arystokraci XIX w. rozumieli, że wiele się od nich oczekuje, zaś merytokraci XX w. czuli się zobowiązani do służenia dobru wspólnemu, o tyle dzisiejsze elity mniej przejmują się obowiązkami niż samorealizacją, czyli własną karierą. Ponadto są pod wpływem techniki władzy, będącej wyzwaniem dla tych cech charakteru i intelektu, które historycznie łączyły przywódców państw z ich narodami”.

Internet i związane z nim innowacje techniczne mają koszty uboczne. Także wśród polityków zanika umiejętność czytania i rozumienia tekstu oraz humanistyczne wychowanie, znajomość skomplikowanych procesów historycznych i znajdowania kompromisów. Natomiast dominuje wizualna kultura polityczna, w której wygranie wyborów to już tylko kwestia „konkursu na opakowanie i reklamę”.

A wyzwania są potężne. Wprawdzie po Hiroszynie i Nagasaki żaden kraj nie zdecydował się użyć w konflikcie zbrojnym broni atomowej, ale gigantyczne możliwości wzajemnego zniszczenia nadal istnieją. Wraca klasyczna rywalizacja wielkich mocarstw, wzmocniona przez postęp i proliferację technologii. Chiny wymuszają na USA konkurencję. Oba narody uważają się za wyjątkowe. Amerykanie zakładają, że ich wartości są uniwersalne i w końcu będą wszędzie zaakceptowane. Natomiast Chińczycy są przekonani, że ich cywilizacyjna wyjątkowość i imponujące sukcesy gospodarcze skłonią innych do oddania należnego szacunku chińskiemu prymatowi.

Co innego Rosja. Nie ma ani rynkowej, ani demograficznej, ani przemysłowej potęgi Chin. Rosyjska polityka przekłada swój mistyczny patriotyzm na imperialne roszczenia podszyte stałym poczuciem niepewności. Problem z Moskwą polega na tym, że brak w Rosji mądrego, otwartego na świat przywództwa, które potrafiłoby wyprowadzić rosyjskie społeczeństwo z imperialno-militarnego czadu. Leczyć kompleks deklaszacji nie wojnami w „bliższej zagranicy” i mafijnym grabieniem zasobów, lecz zasadniczą przebudową kraju, który nigdy nie był ani „trzecim Rzymem”, ani „jutrenką światowej rewolucji”, ani nawet złudzeniem „rosyjskiego ładu”. Zachodnioeuropejskie imperia takie bolesne zejście do parteru w XX w. mają za sobą. I dobrze na tym wyszły.

Stary Henry ma rację – to kwestia przywództwa. Jednak oby nie na wzór uprzednich koncertów mocarstw kosztem „peryferii. I bez udziału zakompleksionych ludzi znikąd, szantażujących świat sądnym dniem”.

„Przywództwo” to nie ostatnia książka stulatka. Właśnie kończy następną, o wpływie sztucznej inteligencji na politykę, którą pisze razem z Erikiem Schmidtem od Google.

ADAM KRZEMIŃSKI

Scenariusz autokratów

Jak można zmienić demokrację w system autorytarny,
przekonaliśmy się już w II RP.

W

TOMASZ NAŁĘCZ

ojaskowy zamach stanu z 12–15 maja 1926 r., w wyniku którego Józef Piłsudski przejął władzę w Polsce, dokonany został pod sztandarem uzdrowienia państwa. Zadeklarował to marszałek w wywiadzie prasowym z 10 maja 1926 r., protestującym przeciwko po-

wołaniu rządu Wincentego Witosa, oznaczającego powtórkę centroprawicowej koalicji z 1923 r. Zapowiedział, że „staje do walki z głównym złem państwa: panowaniem rozwydrzonych partii i stronnictw nad Polską, zapominaniem o imponderabiliach, a pamiętaniem tylko o groszu i korzyści”.

Wzniosłe słowa były zasłoną dymną skrywającą prawdziwy cel. Chciał on zmiany ustroju państwa, polegającej na rozmontowaniu demokracji parlamentarnej i ustanowieniu rządów autorytarnych. Marszałek zamierzał to osiągnąć dwiema metodami: kompromitując parlament i zawłaszczając wszystkie struktury państwa. W tym celu zablokował rozwiązanie sejmu, czego chciała wspierająca go lewica. Łatwiej mu było bowiem gnębić starych posłów, świadomych swojej bezsilności i pozbawionych autorytetu.

Precedensy konstytucyjne

Nie przyjął 31 maja 1926 r. z rąk pogardzanych parlamentarzystów wyboru na stanowisko prezydenta i wskazał na ten urząd Ignacego Mościckiego. Sponiewierana większość Zgromadzenia Narodowego przełknęła to upokorzenie i już nazajutrz wybrała marszałkowskiego nominata. Zakpił sobie z tego Adam Pragier, poseł Polskiej Partii Socjalistycznej, który zagłosował na Zulę Pogorzelską, artystkę kabaretową, czarującą stolicę urodą i talentem scenicznym.

Historia jemu przyznała rację, bo aktorka zagrałaby rolę prezydenta bardziej przekonująco niż Mościcki. Ten pozbawiony doświadczenia politycznego, ceniony w Polsce i świecie profesor chemii, okazał się bezwolnym narzędziem w rękach Piłsudskiego. Marszałek znał się na ludziach i celowo na najwyższy urząd w państwie wybrał człowieka przypominającego bluszcz owijający się wokół jego autorytetu. Nawet premier Kazimierz Bartel, uniwersytecki kolega Mościckiego, lubił cytować słowa ludowej przyspiewki: „Tyle znacy co Ignacy, a Ignacy g...o znacy”. Mościcki znosił to bez szemrania, tłumacząc, że jego zadaniem jest służyć mężowi opatrnościowemu, w którego rękach spoczywa los Polski. Trudno powiedzieć, ile w tym było autentycznej wiary, a ile konformizmu pozwalającego wygodnie funkcjonować na szczytach państwa. Upokarzającą rolę



Plakat wyborczy Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem z 1930 r. Przed wyborami aresztowano 12 przywódców opozycji.

Piłsudski rekompensował Mościckiemu pozorami zewnętrznego szacunku. Traktował go z udawanym respektem i nigdy publicznie nie poniżał.

Prezydent odpłacał za to pełną dyspozycyjnością. Pozwalało to Piłsudskiemu stosować tzw. precedensy konstytucyjne, cynicznie łamiące konstytucję. Było to o tyle łatwe, że w ówczesnej Polsce nie było Trybunału Konstytucyjnego, stojącego na straży ustawy zasadniczej. Po raz pierwszy Piłsudski użył swego antykonstytucyjnego chwytu we wrześniu 1926 r., kiedy większość parlamentarna, złożona z prawicy, centrum i mniejszości narodowych, uchwaliła wotum nieufności dla dwóch ministrów ▶

► rządu Bartla. Konfrontację zaostrzył sam premier, który zamiast zmienić ministrów, zgłosił dymisję całego gabinetu. Rzecz jasna, reżyserem starcia był Piłsudski. Zgodnie z jego wolą prezydent dymisję przyjął i trzy dni później mianował rząd w starym składzie, włącznie z ministrami pozbawionymi zaufania sejmu. Konstytucja nie wykluczała takiej możliwości, ale tylko dlatego, że było to działanie sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem.

Kolejnym precedensem, pozbawiającym sejm jego konstytucyjnych uprawnień, było żonglowanie przepisami o zwolaniu, odroczeniu i zamknięciu sesji sejmowej. Prezydent zaakceptował podsunięty mu wybieg, że przepis o zwolaniu sesji sejmowej zostaje spełniony wraz z wydaniem przez niego zarządzenia w tej sprawie. Zaraz więc po tym, nie czekając na zebranie się posłów, publikowano kolejną prezydencką decyzję, o odroczeniu obrad o 30 dni, a po tym terminie jeszcze jedną, o zamknięciu sesji, która faktycznie się nie odbywała. Oznaczało to paraliż sejmu i samowolę władzy wykonawczej postuszej Piłsudskiemu.

Karygodnymi interpretacjami konstytucji kierował Stanisław Car, szef prezydenckiej kancelarii, a potem minister sprawiedliwości. Oburzona opinia publiczna zareagowała na kpiny z konstytucji nadaniem Carowi ironicznego przezwiska „Jego Interpretatorskoje Wieliczesstwo” (Jego Interpretacyjny Majestat), nawiązującego do dworskiej etykiety nakazującej zwracać się do cara per „Jego Imperatorskoje Wieliczesstwo” (Jego Cesarski Majestat).

Przejmowanie państwa

Jednocześnie z paraliżowaniem sejmu piłsudczycy przejmowali cały aparat państwa. Najpierw czystki zdziesiątkowały korpus dowódczy armii. Usunięto z niej wszystkich generałów i wyższych oficerów niecieszących się zaufaniem Piłsudskiego. Zastąpili ich awansujący szybko legionieści, ślepo oddani swemu komendantowi. Jak bardzo Piłsudskiemu na tym zależało, najlepiej świadczył fakt, że od zamachu majowego aż do śmierci nieprzerwanie piastował tylko dwa stanowiska: ministra spraw wojskowych i generalnego inspektora sił zbrojnych.

Równoległe z armią wyczyszczono służby specjalne i policję oraz prokuraturę, co było wstępem do uchwycenia przyczółków w wymiarze sprawiedliwości. Nie mniej bezwzględnie zawłaszczono administrację państwową, obsadzając ją własnymi ludźmi. Zaczęto od ministerstw i urzędów centralnych, a potem zmiany zeszły w teren. Zmieniono zdecydowaną większość wojewodów i starostów. Kadry weryfikowano metodą kija i marchewki. Urzędników o mało giętkich kręgosłupach zwalniano lub odsyłano na emeryturę. Gotowych do współdziałania zatrzymywano na stanowiskach, ale za cenę całkowitego posłuszeństwa. Popularny dowcip mówił, że Legiony, będące teraz piłsudczykowską kuźnią kadr, składające się w latach 1914–17 z trzech brygad, powiększyły się po maju 1926 r. o czwartą brygadę, najlicniejszą i najgorliwiej służącą Marszałkowi.

W pozyskiwaniu nowych zwolenników wykorzystywano nie tylko ludzki oportunizm. Piłsudczynom sprzyjało szczęście, bo mogli dzielić owoce wypracowane przez swoich poprzedników, notabene obłudnie potępianych za zrujnowanie kraju. Po okresie wyrzeczeń dały o sobie znać pozytywne skutki reform Władysława Grabskiego. Sprzyjała też koniunktura międzynarodowa. Dzięki temu tempo wzrostu wytwórczości w Polsce należało w trzyleciu 1926–29 do najszybszych w świecie. Gwałtownie spadło dokuczliwe wcześniej bezrobocie. Wzrosły płace, a z nimi poczucie bezpieczeństwa i dostatku. Większa zamożność ludności miejskiej zrodziła zapotrzebowanie na produkty rolne, przyczyniając się do szybkiej poprawy sytuacji na wsi.

Żył się coraz lepiej, a państwo sprawiało wrażenie funkcjonującego sprawniej. Działo się to kosztem naruszania konstytucji i łamania demokracji, ale tym faktem większość społeczeństwa zdawała się nie przejmować. Bardziej ceniono sobie poprawę poziomu życia. Swoje robiła też rządowa propaganda odwołująca się do haseł patriotycznych, ważnych dla społeczeństwa, które dopiero co odzyskało własne państwo. Nie bez znaczenia była też postawa hierarchów Kościoła katolickiego, którzy porzucili dawne wsparcie dla endeckiej prawicy i życzliwie traktowali nową władzę, odpłacającą za poparcie kolejnymi ustępstwami.

Na tej fali utworzony przez piłsudczyków w końcu 1927 r. Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem wygrał w marcu 1928 r. wybory parlamentarne. Zdobył najwięcej, bo 29 proc. posłów. Drugie miejsce zajęła Polska Partia Socjalistyczna z 14 proc. posłów, a trzecie – lewicowe Polskie Stronnictwo Ludowe „Wyzwolenie” z 9 proc. posłów. Klęskę poniosła najsilniejsza przed 1926 r. Narodowa Demokracja, która wprowadziła zaledwie 8 proc. posłów. Dwie trzecie wyborców stracił też PSL „Piast” (5 proc. posłów). Utrzymały pozycję mniejszości narodowe (19 proc. posłów).

Wybory pokazały, że społeczeństwo nadal było bardzo podzielone w swoich sympatiach politycznych, ale piłsudczycy zdołali się w nim poważnie zakorzenić w ciągu dwóch pomajowych lat. Do obezwładnienia parlamentu poprzez zdobycie w nim większości, a tym bardziej do zmiany konstytucji, ciągle jednak było bardzo daleko. Marszałek podążył więc antyparlamentarnym kursem wyznaczonym po zamachu majowym. Sprzyjały mu różnice zdań pomiędzy ugrupowaniami opozycyjnymi, które nie potrafiły się porozumieć. Jeśli bowiem znajdowały wspólny język, BBWR spychany był do defensywy. Zdarzało się to jednak bardzo rzadko. Tak właśnie na marszałka sejmu wybrano nie kandydata BBWR, lecz przywódcę PPS Ignacego Daszyńskiego, który nie- złośnie stał na straży powagi i godności izby.

Czynnikiem, który zaczął zbliżać opozycję, stała się rosnąca arogancja i zachłanność władzy. Politycy, którzy przejęli rząd pod hasłem uzdrowienia państwa, sami stali się bohaterami afer. Najgłośniejsza polegała na wydaniu 8 mln zł z funduszu dyspozycyjnego premiera na propagandę wyborczą BBWR. Za ten czyn minister skarbu Gabriel Czechowicz został w lutym 1929 r. postawiony przez większość sejmową przed Trybunałem Stanu. Wydanie orzeczenia się jednak przeciągało, bo Piłsudski wziął winę na siebie, a nie było już w Polsce sądu, który ośmieliłby się skazać Marszałka. Było to widomym znakiem złamania konstytucyjnej gwarancji niezależności sądownictwa.

Mocniejsza opozycja

Konflikt pomiędzy władzą i opozycją wkroczył w decydującą fazę jesienią 1929 r. wraz z wybuchem wielkiego kryzysu gospodarczego. Do tej pory starcie przypominało wojnę podjazdową, w której obydwie strony unikały walnej bitwy z udziałem społeczeństwa. Wszystkim się to opłacało. Piłsudczycy wykorzystywali okres prosperity i zawłaszczali państwo. Opozycja czekała na pogorszenie nastrojów społecznych, bo tylko wtedy mogła obrócić jej przeciwko rządowi.

Wielki kryzys gospodarczy przyniósł taki właśnie moment. Gwałtowne załamanie gospodarki i szybko rosnące ubożenie społeczeństwa radykalizowały nastroje. Władza straciła najważniejszy atut, jakim była poprawa warunków życia. Co więcej, pełna zadufania propaganda, przypisująca skutki wcześniejszej dobrej zmiany działaniom rządu, obróciła się teraz przeciwko jej głosicielom. Ludzie, którzy niegdyś uwierzyli, że władza w gospodarce wszystko może, teraz też rządzących oskarżali o gwałtowne pogorszenie warunków życia.



Od prawej: Stanisław Car, szef prezydenckiej kancelarii, a potem minister sprawiedliwości. Jego interpretacje przepisów konstytucji nazywano prześmiewczo „carowaniem”. Prezydent Ignacy Mościcki (na zdjęciu w dniu zaprzysiężenia) wypełniał wszystkie polecenia marszałka Piłsudskiego.

Opozycja szybko nabierała wiatru w żagle i jednoczyła szeregi. Od końca 1929 r. krzepł sojusz lewicy i centrum, zwany Centrolewem, łączący sześć ugrupowań: PPS, PSL „Piast”, PSL „Wyzwolenie”, Stronnictwo Chłopskie, Narodową Partię Robotniczą i Chrześcijańską Demokrację. Razem chciano walczyć z kryzysem gospodarczym i z rządem, oskarżanym o nieudolne kierowanie gospodarką i partyjne zawłaszczanie państwa. Upominano się też o niszczone przez piłsudczyków demokrację, przekonując ludzi, że jej przywrócenie ułatwi walkę z kryzysem.

Rosnące poparcie sprawiło, że Centrolew zdecydował się przemieścić walkę na ulicę. 29 czerwca 1930 r. w Krakowie zorganizowano wielką, ogólnokrajową demonstrację nazwaną Kongresem Obrony Prawa i Wolności Ludu. Mimo utrudnień i szykan ze strony władzy miasto zalały nieprzebrane tłumy. W przyjętej rezolucji domagano się „ustąpienia rządów dyktatury Józefa Piłsudskiego” i „utworzenia rządu, który by wraz z parlamentem podjął walkę z klęską gospodarczą i nędzą ludności pracującej miast i wsi”. Idąc za ciosem, na 14 września zapowiedziano przeprowadzenie w głównych miastach Polski 21 wieców mobilizujących społeczeństwo do dalszego oporu.

Wybory brzeskie

Piłsudski zrozumiał, że czas pracuje na korzyść opozycji, i zdecydował uderzyć jako pierwszy. 25 sierpnia 1930 r. stanął na czele rządu. Na jego polecenie Mościcki rozwiązał parlament i zarządził wybory na listopad 1930 r. Widząc, że w uczciwej rywalizacji wyborczej władza jest bez szans, Piłsudski sięgnął po przemoc. W nocy z 9 na 10 września 1930 r., z pogwałceniem prawa, bez zgody sądu, a tylko na polecenie szefa MSW, aresztowano 12 byłych posłów, przywódców Centrolewu. Uwięziono też pięciu działaczy

ukraińskich, aby uwiarygodnić tezę, że opozycja w działaniach antypaństwowych współpracuje z ukraińskimi „terrorystami”. Opozycjonistom fałszywie zarzucono przestępstwa kryminalne. By brzmiało to bardziej przekonująco, dołączono do nich jednego posła BBWR, o autentycznie zabagnionej hipotece.

Represje kontynuowano przez całą kampanię wyborczą, pozbawiając wolności pięć tysięcy osób, w tym 84 byłych posłów i senatorów. Aresztowanych liderów Centrolewu osadzono w więzieniu wojskowym w Brześciu nad Bugiem, gdzie znęcano się nad nimi fizycznie i psychicznie. Wieść o tym szeroko rozlała się po kraju i całe wybory zyskały nazwę „brzeskich”. Podeptano też reguły samego głosowania. Dość powiedzieć, że w co czwartym okręgu wyborczym unieważniono listy Centrolewu. Całkowicie zafałszowało to wynik wyborczy, którego nawet nie ma co analizować.

Gwałt brzeski oznaczał nieskrywaną już dyktaturę Piłsudskiego. Jedną z jej cech były mnożące się procesy polityczne, możliwe dzięki temu, że rządzący podporządkowali sobie sporą część sędziów, wyrokujących nie według prawa i sumienia, tylko zgodnie z zapotrzebowaniem politycznym. Najlepszym tego dowodem był proces brzeski, w którym skazano represjonowanych jesienią 1930 r. przywódców Centrolewu.

Wspominając tę haniebną kartę historii, warto pamiętać o sędzim Stanisławie Leszczyńskim, który jako jedyny zdobył się na *votum separatum* od wyroku skazującego więźniów brzeskich, za co zresztą spadły na niego szykany ze strony zaprzędanego dyktaturze ministra sprawiedliwości. Autorytaryzm nabierał rozpędu i tym większa była zasługa ludzi mających odwagę stanąć na jego drodze.

TOMASZ NAŁĘCZ

Chrobry cesarzem?



Strategia balansowania między rywalizującymi potęgami była w XI w. skutecznie wdrażana przez Bolesława Chrobrego, który stopniowo zapewnił sobie status hegemonu w północnej części Europy Środkowo-Wschodniej.

Relikwiarz Drzewa Krzyża Świętego znaleziony na Ostrowie Lednickim, być może dar od cesarza Bazylego II. Na sąsiedniej stronie: denar Bolesława Chrobrego z popiersiem władcy na awersie.

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

Na przełomie I i II tysiąclecia geopolitykę europejską zdominowały dwa imperia. Zachodnim rządziła saska dynastia Ludolfingów. Jej najwybitniejszy przedstawiciel, Otto I, wymusił dla siebie cesarską koronę w 962 r. na papieżu Janie XII, podejmując tym samym dzieło rozpoczęte w 800 r. przez Karola Wielkiego. Wschodnie imperium było kontynuacją tradycji starożytnego cesarstwa rzymskiego, którego stolicę Konstantyn Wielki przeniósł w 325 r. nad odległy od Italii Bosfor.

Cesarstwo zachodnie, związane z państwem, jako ponadnarodowego języka komunikacji używało łaciny, w której kształcili się duchowni. Rozsiani po setkach parafii i klasztorów tworzyli wielką sieć skutecznego przesyłania i gromadzenia informacji. W cesarstwie wschodnim,

które dzisiaj nazywamy też bizantyńskim, najwyższym autorytetem kościelnym był patriarcha Konstantynopola, a językiem państwowym – obowiązująca w Kościele wschodnim greka. W tych językach definiowano też imperialne tytuły władców obu państw, z których każdy uważał się za cesarza Rzymian (*imperator Romanorum, Βασιλεύς των Ρωμαίων*).

Pomiędzy tymi dwoma niekwestionowanymi mocarstwami krzątał się władcy, którzy próbowali zagarnąć dla siebie jak największe terytoria z Europy Środkowo-Wschodniej. Na początku II tysiąclecia Bałkanami rządził car Samuel, Węgrami król Stefan I Wielki, czeski tron wrywali sobie członkowie dynastii Przemyslidów, na polskim zasiadał Chrobry. Każdy z nich miał ambicje wykraczające poza swoje terytorium i wspierał je siłą zbrojną oraz zmiennymi sojuszami politycznymi. Po pierwszych kilkunastu

burzliwych latach XI w. dominację w tej brutalnej konkurencji geopolitycznej zapewnił sobie władca Polski. Sprzyjała mu koniunktura geopolityczna, którą skutecznie wykorzystał.

Wielkie carstwo bułgarskie uległo w 1018 r. armii bizantyńskiego cesarza Bazylego II, nie bez powodu nazwanego Bułgarobójcą. Na Węgrzech król Stefan konsolidował swoją władzę, zwalczając wewnętrzną konkurencję polityczną w sojuszu ze swoim niemieckim szwagrem, cesarzem Henrykiem II. Czechy, nie mogąc wyjść z przeciągającego się kryzysu spowodowanego częstymi zmianami nieudolnych władców, wpadły w zależność polityczną od cesarstwa niemieckiego.

Tymczasem dla Chrobrego był to czas stopniowego zdobywania pozycji regionalnego dominatora. Na północy tolerował ważne gospodarczo skandynawskie forpoczty silnie osadzone w Wolinie, Kołobrzegu i w Truso koło Elbląga, ale zapobiegał podporządkowaniu ich

Szwecji albo Danii. Na zachodzie przez kilkanaście lat skutecznie opierał się hegemonistycznej strategii cesarza Henryka II, zwyciężając go w kilku wojnach. Na południu utrzymywał poprawne stosunki z Węgrami i osłabiał czeskich Przemysłidów, zasiadając nawet w latach 1003–04 na praskim tronie książęcym. Na wschód wysłał jedną ze swoich córek, wydając ją za Świętopełka, następcę kijowskiego tronu wielkoksiążęcego.

W 1017 r. okazał się mistrzem walki na wielu frontach, bo nie tylko pokonał na zachodzie wojska niemieckie, ale też przeprowadził dywersyjny atak na Czechy, a na wschodzie odparł najazd ruskiego księcia Jarosława Mądrego. W styczniu 1018 r. w pogranicznym Budziszynie (Bautzen) delegaci upokorzonego porażką militarną cesarza Henryka II zaprzysięgli pokój, który pozwolił obu władcom zająć się innymi sprawami niż przygotowywaniem kolejnej wojny, która spowodowałaby dalsze wyniszczenie terenów pogranicznych, boleśnie odczuwających skutki regularnych przemarszów armii inwazyjnych.

Układ pokojowy wzmocniono w sposób typowy dla ówczesnej dyplomacji, tj. przez zaaranżowanie małżeństwa owdowiiałego Bolesława z saską margrabianką Odą Ekkehardówną. Narzeczoną miała 22 lata, więc wedle ówczesnych standardów była starą panną. Była jednak młodsza o 30 lat od Chrobrego, ojca sześciorga dorosłych dzieci.

Dzięki uspokojeniu zachodniego pogranicza Chrobry mógł spokojnie przygotować się do wyprawy na Rus'. Pretekstem do tego najazdu było uwięzienie jego córki przez księcia Jarosława, który w 1016 r. zrzucił jej męża Świętopełka z kijowskiego tronu. Zostawiając Chrobrownę w Kijowie, Świętopełk uciekł do Polski, słusznie licząc na pomoc teścia, który skwapliwie wykorzystał ten pretekst.

Pamiętając swoją porażkę podczas nieudanej próby interwencji na Rusi w 1013 r., Bolesław dobrze przygotował się do wojny na wschodzie. W układzie zawartym z Henrykiem II zagwarantował sobie zbrojną pomoc cesarstwa w wyprawie nad Dniepr w postaci 300-osobowego kontyngentu niemieckiego. Dodatkowo polską armię inwazyjną wsparło 500 wojowników przysłanych przez węgierskiego

króla Stefana. Oprócz nadziei na osłabienie Rusi, będącej wówczas silnym sojusznikiem cesarstwa bizantyńskiego, alian-tami Chrobrego kierowała też trywialna żądza zysku: na zdobywców czekały łupy w słynnym z bogactw Kijowie.

Trzecim sojusznikiem Chrobrego byli nadczarnomorscy Pieczyngowie, których tysięczna armia konna ruszyła latem na Kijów, wiążąc część sił Jarosława i osłabiając wolę obrony mieszkańców stolicy. Zebrana w Małopolsce polsko-sasko-węgierska armia łatwo rozbiła więc ruskie wojsko w bitwie nad Bugiem 22 lipca 1018 r. i 14 sierpnia weszła do Kijowa, witana przez tamtejszego patriarchę. Wielki książę Jarosław nawet nie próbował bronić swojej stolicy i wycofał się na północ, zabierając jako zakładniczkę córkę Chrobrego. Bolesław zwrócił ruski tron Świętopełkowi, ale na pewno go kontrolował.

Zajmując Kijów, Bolesław stał się ważnym graczem w toczony w skali kontynentalnej rozgrywce pomiędzy dwoma supermocarstwami tego czasu, tj. cesarstwem wschodnim, rządzonego przez Bazylego II, i zachodnim, którego władcą był Henryk II. To pozwala lepiej zrozumieć przyczyny wysłania przez Bolesława z Kijowa tajemniczego poselstwa do Konstantynopola. Wprawdzie zapewnił cesarza Bazylego II o swojej życzliwości, ale równocześnie arogancko ostrzegł go przed podejmowaniem wrogich kroków.

Zasoby kijowskiego skarbcza pozwoliły mu bogato wyposażyć posłów. Wiedząc o politycznym obowiązku odplacania się darem za dar, domyślamy się, że Bazyli II odwzajemnił się w sposób godny cesarza. Badacze tych czasów podejrzewają, że jego darem mogła być piękna staura-tekta, tj. relikwiarz Drzewa Krzyża Świętego znaleziony w trakcie wykopalisk na Ostrowie Lednickim.

Drugie poselstwo Chrobry wysłał do zachodniego cesarza Henryka II. Bogate dary, którymi odplacił za wsparcie militarne, zawiózł do Niemiec międzyrzecki opat Tuni (Antoni). Bolesław na pewno sowsicie wynagrodził również saskie i węgierskie oddziały pomocnicze, czerpiąc z bogactw skarbcza wielkoksiążęcego i z kontrybucji narzuconych ruskim prowincjom.

Nie dowiemy się, na ile piastowski władca zdawał sobie sprawę ze wszystkich niuansów geopolityki kontynentalnej, ale skutki jego działań w drugiej połowie

1018 r. daleko wykraczały poza skalę bilateralnych stosunków z Rusią. Jego zachowanie po zdobyciu ruskiej stolicy wskazuje, że był świadom ponadregionalnego wymiaru swojego sukcesu polityczno-militarnego. Rozsiadłszy się w Kijowie na kilka miesięcy, nie omieszczał poinformować o tym obu cesarzy. Dał im do zrozumienia, że powinni się z nim liczyć.

Zdobywszy Kijów, Chrobry swoiście powiązał Zachód ze Wschodem. Tę rolę „łącznika” potwierdzają wybite przez niego w tym czasie piękne srebrne denary, na których można odczytać zapisane cyrylicą imię „БОЛЕСЛАВЪ”. Stał się głównym rozgrywającym na obszarze dzielącym strefy wpływów dwóch cesarstw (bizantyńskiego i niemieckiego), które reprezentowały dwie tradycje polityczne (wschodniorzymską i frankijską) i dwa nurty chrześcijaństwa – grecki i łaciński.

Koniec drugiej dekady XI w. przyniósł więc ważne zmiany w geopolitycznej sytuacji Polski.

Najważniejsze było zakończenie pokojem budziszynskim otwartego konfliktu z cesarzem niemieckim, który bezskutecznie próbował poskromić ambicje Bolesława. Spokój zapanował też na wschodzie, bo pechowy zięć Chrobrego Świętopełk, ponownie zrzucony z kijowskiego tronu przez swojego młodszego brata Jarosława, zmarł w 1019 r. podczas kolejnej ucieczki do Polski.

Bolesław w miarę upływu czasu miał coraz większą świadomość ponadregionalnego wymiaru swojej polityki i umiejętnie budował swoją pozycję, rozgrywając też narastający między Wschodem a Zachodem konflikt, który miał wymiar nie tylko ambicyjnie polityczny i militarny, ale też kulturowo-religijny. Uważał się chyba za swoistego łącznika między oboma imperiami, których władcy nie utrzymywali ze sobą bezpośrednich kontaktów, tym bardziej że dzielił ich otwarty konflikt zbrojny o tereny położone na południu Italii.

Chrobry zachował się niemal jak „trzeci cesarz”, dając obu imperatorom do zrozumienia, że dysponuje militarnymi i politycznymi narzędziami wpływu na rozwój sytuacji międzynarodowej. Jego politykę charakteryzowała bardzo agresywna, ale skuteczna strategia.

Osiągnąwszy taki status Bolesław, nazwany przez potomnych Wielkim, mógł wreszcie „odpocząć”, konsumując owoce swoich rządów. Pokonując wszystkich przeciwników, przekształcił swoje państwo w regionalną potęgę, a strach, jaki budził, zapewnił Polsce rzadki w tamtych czasach wieloletni okres pokoju. ■





na ekranie

Gry o władzę 4/6

Chłopiec z niebios (Cairo Conspiracy), reż. Tarik Saleh,
prod. Szwecja, Finlandia, Dania, Francja, 120 min

Trzymający w napięciu thriller rozgrywa się za zamkniętymi bramami największego i najbardziej wpływowego dla zwolenników islamu uniwersytetu Al-Azhar w Kairze. Fabuła na styku polityki i teologii, choć wnikła się w teoretyczne dywagacje, obfituje w sensacyjne zgoła zwroty, jak w „Imieniu Róży” albo w szpiegowskich powieściach Johna le Carré. Rzeczą dotyczy śledztwa prowadzonego przez wojskowe służby mającego wyjaśnić tajemnicze morderstwo jednego ze studentów, asystenta powszechnie szanowanego szejka. Zbiega się ono z nagłą śmiercią najwyższego duchowego przywódcy sunnitów Wielkiego Imama. Przewodnikiem po tym zamkniętym labiryncie władzy, gdzie ścierają się ze sobą

i walczą o wpływy różne frakcje, szpiegdy, donosiciele oraz dżihadysty, jest 18-letni syn biednego rybaka (**Tawfeek Barhom**). Łatwowierny, czysty jak łąza idealista, niemający pojęcia, kto jest kim, jaką snuje intrygę i komu służy. W skorumpowanej rzeczywistości pełnej fałszywych autorytetów przebranych w stroje kapłanów, w realiach łądzących podobnych do francuskiego dworu, watykańskiej hierarchii czy brytyjskiego wywiadu prostoduszny, lecz wcale nie naiwny młodzieniec staje się wymarzoną narzędziem manipulacji. O tym jest ten film: o szantażowaniu i cynicznym wykorzystywaniu ambitnych ludzi, uwikłaniu w brudne interesy, za którymi zawsze stoją despoty pragnący zagwarantować sobie panowanie i kontrolę w każdej dziedzinie życia. Wymowa „Chłopca z niebios” jest uniwersalna. Dramat o trudnym dojrzwaniu wyreżyserowany przez Tarika Saleha, syna Egipcjanina i Szwedki, którego dziadek studiował w Al-Azhar, odsłania kulisy machinacji. Choć nie przestaje być jednocześnie wnikliwym psychologicznym studium charakterów. Zgłębiając metody stosowane przez egipskich generałów, trudno nie pomyśleć, że i w naszej części świata znajdziemy szereg podobnych przykładów opartego na głębokiej infiltracji sojuszu tronu z ołtarzem.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

festiwale

Od animacji do nominacji

Międzynarodowy Festiwal Filmów Animowanych **ANIMATOR**,
21–25 czerwca Poznań, kino Muza, 26–30 czerwca online

Od siedmiu lat filmy nagradzane na festiwalu Animator oficjalnie brane są pod uwagę przy oscarowych nominacjach. Nowością największej imprezy poświęconej sztuce animacji w Polsce – organizowanej w tym roku po raz 16. – będzie sekcja Kryształ Anime, poświęcona niezwykle popularnej i intensywnie rozwijającej się animacji z Japonii oraz Korei Południowej. W konkursie głównym wiele głośnych premier, m.in.



Dennis Tupicoff, „A Photo Of Me”, Australia 2017 r.

prezentowany w Cannes: „Mars Express”, oklaskiwany w Rotterdamie „Lonely Castle in the Mirror” i jedna z sensacji Berlinale „White Plastic Sky”. Filmy ocenią światowej sławy fachowcy: jeden z najbardziej uznawanych japońskich twórców na świecie, reżyser anime Keiichi Hara i jego scenarzystka Miho Maruo oraz troje nominatów do Oscara: Sara Gunnarsdóttir, Gints Zibalodis i Tim Webber (Oscar za efekty do „Grawitacji”). Zostanie też przypomniany dorobek reżerski zmarłego w ubiegłym roku, wieloletniego dyrektora artystycznego, współzałożyciela festiwalu Animator – Marcina Giżyckiego (jego następczynią została Adriana Prodeus). Ponadto warsztaty, prezentacje Cartoon Saloon z Kilkenny i wieczór queer performance z animacją. JW

Szczegóły: animator-festival.com

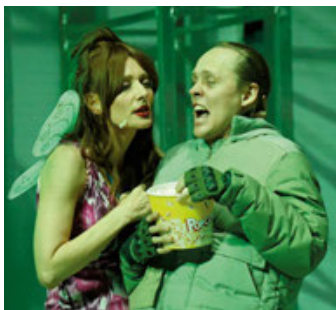
na scenie

Ucieczka w zostanie nikim 4/6

Przemiana, reż. Grzegorz Jaremkowski, Nowy Teatr w Warszawie

Reżyser Grzegorz Jaremkowski i scenarzysta oraz dramaturg Mateusz Górniak przemienili wielowarstwową, chętnie interpretowaną z perspektywy metafizycznej opowieść Franza Kafki w realistyczną historię o wyczerpanych ludziach w wyczerpanym świecie. Dziejący się na śmietniku finał utworu, zaczynający się od słynnego zdania „Gdy Gregor Samsa obudził się pewnego rana z niespokojnych snów, stwierdził, że zamienił się w potwornego robaka” historii, jest tu jej początkiem i kanwą. Jej bohaterami są pracownicy firmy odbierającej odpady – co jest też zabawnym i wieloznacznym nawiązaniem do siedziby Nowego Teatru, w której wcześniej reżydowało Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania. Narracja odzyskuje, poddaje recyklingowi dawne popularne gatunki, od ślapsticku w stylu Charliego Chaplina (widowskowa Małgorzata Hajewska-Krzysztofik) i braci Marx po rodzinny sitcom z Gretą, siostrą Gregora (Ewelina Pankowska) przypominającą Wednesday Addams z niedawnego hitowego serialu, i miesza je z realizmem internetowych czy telewizyjnych relacji na żywo. Tematem – przemyślanego, słusznego w wymowie i świetnie zagranego, choć nie zawsze porywającego spektaklu – jest pchany stale śrubowanymi normami pracy świat nadprodukcji i szybkiego zysku, w którym coraz trudniej żyć, a nawet wytrzymać i coraz więcej osób od dzieciństwa „marzy, by zostać nikim”. Wizja przekształcenia się w robaka – ucieczki z opresyjnego systemu, schowania się we własnym wnętrzu i przetrwania postępującej apokalipsy – okazuje się więc całkiem kusząca, nie tylko dla Gregora (poruszający **Bartosz Bielenia**; na fot. obok **Magdalena Popławska**).

ANETA KYZIOŁ



w telewizji

Kryzys przeciętności 3/6

Szczęściarz Hank (Lucky Hank), twórcy serialu: Paul Lieberstein, Aaron Zelman, HBO Max, 8 odc.

Profesora Hanka Devereaux poznajemy w niefortunnym momencie: jego niewybredna krytyka pracy jednego ze studentów trafiła do internetu, wywołując powszechne oburzenie i zwiastując rychły koniec kariery naukowca. Hank cy prawdą wychodzi z opresji obronną ręką, lecz cała afera staje się początkiem zmian w jego życiu zawodowym i prywatnym. Do głosu dochodzą zadawnione urazy, nieprzepracowane traumy i rodzinne konflikty. „Szczęściarz Hank”, luźna adaptacja powieści „Prawy człowiek” Richarda Russo, cierpi na brak konsekwencji. W najlepszych momentach jest błyskotliwą satyrą na akademicką biurokrację, w najgorszych – odstrasza epizodyczną konstrukcją i dowcipem niczym z trzeciorzędnego sitcomu. Wszystkie wady równoważy jednak kolejny fenomenalny występ **Boba Odenkirka** – to aktor wprost stworzony do roli sfrustrowanego profesora literatury i niespełnionego pisarza, który po wydaniu debiutanckiej powieści zapadł na wieczną niemoc twórczą, za to nieustannie próbuje umniejszyć sukces, jaki odniósł jego kolega ze studiów George Saunders (sam pisarz na ekranie się nie pojawia, gra go w jednym z odcinków popularny komik Brian Huskey). Hank jest irytujący i uparty, a przecież jako modelowy everyman budzi odruchową sympatię, nawet jeśli coraz trudniej zrozumieć jego kolejne decyzje. Tylko czy naprawdę potrzebowaliśmy nie wiadomo której opowieści o kryzysie wieku średniego białego mężczyzny z klasy średniej?

JAKUB DEMIAŃCZUK



w galerii

Rysy i szkice 4/6

Tatry. Wróblewski, Karłowicz, Wyczółkowski.

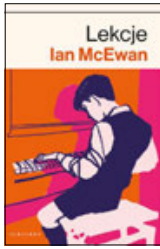
Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha, Kraków, do 5 listopada

Wydaje się, że trudno o bardziej oczywisty pomysł na wystawę niż tatrzańskie pejzaże. Zabrakłoby palców u obu rąk, by wymienić wszystkich wybitnych polskich artystów, którzy urzeczzeni okołozakopiańskimi klimatami przenosili owe fascynacje na papier lub płótno. A jednak tę wystawę ogląda się z dużym zaciekawieniem. Być może z uwagi na przemyślaną, sprzyjającą koncentracji aranżację ekspozycji. A na pewno dzięki interesującemu, choć na pierwszy rzut oka dość zaskakującemu, doborowi twórców. Z jednej więc strony – Leon Wyczółkowski z jego, zgodnie z modą epoki, japońszczyznami graficznymi. Z drugiej znany głównie jako kompozytor Mieczysław Karłowicz z zadziwiającym projektem fotograficznym; w latach 1906–08 stworzył on niemal konceptualny cykl 127 zdjęć



tatrzańskich szczytów i pejzaży. I wreszcie Andrzej Wróblewski pojawiający się w dwóch odsłonach. Po pierwsze, jako autor obszernego cyklu rysunków tuszem, ujawniających jego fascynację potęgą natury i mnogością jej monumentalnych form. Po drugie zaś, jako twórca na poły abstrakcyjnych, syntetycznych wizji górskiej przyrody, wśród których wyróżnia się intrygujące „Niebo nad górami”, rozświetlane czterema słońcami. W tej mnogości tkwi siła: te same miejsca i widoki zamiarowane w tak osobiste i różnorodne wizje. Jest też element pozamiarystyczny, który nieuchronnie ciąży nad percepcją wystawy: tak zafascynowani Tatrami Karłowicz i Wróblewski tam też pożegnali się ze światem. Pierwszy miał wówczas 33 lata, drugi – 30.

PIOTR SARZYŃSKI

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Szkoła życia 5/6

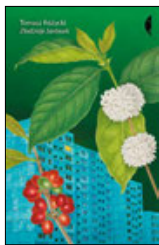
Ian McEwan, **Lekcje**, przeł. Andrzej Szulc, Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2023, s. 580

Bohatera „Lekcji” Iana McEwana drażnią pisarze brytyjscy w dobrych marynarkach. Roland ma wrażenie, że niczego w życiu nie zrealizował, często myśli o swoim niedokonanym życiu. W tej historii, która zaczyna się w latach 40. ubiegłego wieku, a kończy w czasach pandemii, pisarką odnoszącą sukcesy jest Alissa, jego żona, która porzuciła go z małym synem i uciekła do Niemiec. U McEwana pojawia się schemat znany z wielu historii o twórcach, którzy porzucają żony, tyle że odwrócony. Ale to tylko jeden z wątków tej rozległej, panoramicznej powieści, portretującej powojenne losy tej części Europy – jest i ruch oporu w Niemczech, zimna wojna, Czarnobyl, upadek muru berlińskiego, brexit i pandemia. A przede wszystkim jest życie, które toczy



się i zaciera kanty dawnych krzywd. Roland czuje się zablokowany przez to, że został wykorzystany w dzieciństwie. Czy dlatego nie napisał swojej wielkiej powieści? W każdym pokoleniu tutaj jest pełno cierpienia, skok Alissy, jej porzucenie dotychczasowego życia było próbą przerwania typowego losu kobiet w jej rodzinie. Życie Rolanda jest pozbawione takich skoków, polega na płynięciu z prądem. W takiej stagnacji tkwi też Europa Zachodnia. Powieść McEwana kojarzy się ze „Stonerem” Johna Williama. Lekcje Rolanda trwają przez całe życie, ale na końcu, kiedy siedzi z wnuczką, przeszływa go świadomość, że „niczego w życiu się nie nauczył i nigdy nie nauczył”. I może nie o tę naukę chodzi. A wielość znaczeń pokazuje tylko siłę tej powieści.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Tezeusz z bloku 4/6

Tomasz Różycy, **Złodzieje żarówek**, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 256

W powieści „Złodzieje żarówek” Tomasz Różycy mityzuje rzeczywistość. Zwykła, banalna sytuacja staje się wezwaniem do wyruszenia w wędrówkę, w trakcie której świat nabiera groteskowo-lirycznego charakteru. Mamy przełom lat 70. i 80. ubiegłego wieku, wieczne niedobory w sklepach i stabilizację w postaci peerelowskiego standardu, jakim jest skromne mieszkanie w bloku z wielkiej płyty. Małoletni Tadeusz, mieszkający

wraz z rodziną na ostatnim piętrze wieżowca, zostaje wysłany do sąsiada, by zemleć ziarnistą kawę cudem wystaną w osiedlowym sklepie. Fabuła jest tu oczywiście pretekstowa i stanowi jedynie punkt wyjścia do snucia dygresji i zapętlania anegdot. Sama wyprawa trwa może siedem minut, ale w wersji Różycykiego może trwać równie dobrze siedem lat, a może nawet lat siedem tysięcy, gdyż Tadeusz zamienia się niepostrzeżenie w Tezeusza, który przemierza labirynt ciemnych korytarzy i nieznanych zaułków, czy w Odysa zdążającego do swojej Itaki. Najciekawsze w „Złodziejach żarówek” jest jednak to, że bez tych imaginacyjnych i nadrealnych nadadków powieść ta byłaby zaledwie kolejną książką o szarej rzeczywistości PRL-u. Różycyki jednak wytrawnym stylistą jest i sprytnie uniknęła sztampowości, nadając całości rysu mitologicznego, a ponadto zgrabnie przełamując ton nostalgiczny tonacją buffo i elementami zabarwionej ironią krytyki społecznej (wszyscy mieszkańcy bloku mają arystokratyczne nazwiska), a nawet scenami rodem z powieści grozy. Udało się zemleć tę kawę.

MACIEJ ROBERT



Zetki mają głos 5/6

Justyna Suhecka, **Pokolenie zmiany. Młodzi o sobie i świecie, który nadejdzie**, W.A.B., Warszawa 2023, s. 288

Nie zdefiniujesz nas jednym zdaniem, nie próbuj” – mówi Laura Kwoczała, jedna z bohaterek książki „Pokolenie zmiany” Justyny Suheckiej. Zatem jak opisać pokolenie Z? To pytanie zadaje sobie sporo osób, bez względu na wiek. W skrócie są to osoby, które urodziły się między 1995 a 2010 r. Jednak to zbyt duże uogólnienie, co w sposób znaczący rozwija autorka. Suhecka analizuje wyniki badań, sondaży, a przede wszystkim rozmawia z samymi zainteresowanymi. W książce przedstawia ich różnorodne sylwetki jako osoby zaangażowane w to, co się wokół nich dzieje. Pokolenie Z nie jest obojętne wobec kryzysu klimatycznego, łamania praw człowieka czy problemów natury psychicznej. Suhecka nie posługuje się jedynie statystykami, a wiedzę przekazuje poprzez odważne przykłady – pisze o patostreamerach, galach freak fight i TikToku. Jednocześnie zachowuje obiektywizm i przedstawia obie strony medalu. Ogromną zaletą „Pokolenia zmiany” jest zaproszenie do rozmowy osób o różnych poglądach. Obok wypowiedzi o zabarwieniu lewicowym znajdują się opowieści o wierze i wartościach konserwatywnych. To dziś rzadkie, ponieważ zwykle tego typu książki ograniczają się do jednej bańki ludzi podobnie myślących. Warto też dodać, że nie są to jedynie opowieści o młodych osobach, które osiągają sukcesy na różnych polach i pręźnie działają aktywistycznie. Także o ludziach, którzy chcą wieść spokojne i wolne życie w świecie, w którym będą mieć głos, a strajkowanie po to, żeby uzyskać podstawowe prawa, będzie zupełnie zbędne. Właśnie w taki sposób Suhecka opisuje „zetki”, które dokonują zmian, jak również te, które tych zmian potrzebują.

BARTŁOMIEJ PASIAK

Diabliści, łączcie się! 5/6

Diablo IV, Blizzard Entertainment, Windows, PlayStation 5, 4, Xbox One, Series X/S

Możesz być nekromantką, druidem, czarodziejką, łotrzykiem, barbarzyńcą. Zabawa, od czasów premiery pierwszego „Diablo” (1996 r.), polega wciąż na tym samym.



Przedzieramy się przez hordy wrogów, z nadzieją, że wśród łupów znajdziemy jeszcze lepiej dostosowaną do naszego stylu walki broń, pancerze, tarcze, amulety, magiczne pierścienie. Opcji kreacji awatara jest multum. I na tym polega magia tej gry. Na pozór prosta, niewymagająca finezji sieczka jest w rzeczywistości misternym rzeźbieniem doskonałej formy w myśl własnych, autorskich założeń. To jak zdobywanie szczytu nowym szlakiem. Najlepsi diabliści potrafią stworzyć postacie oparte na tak nieoczywistych założeniach taktycznych, że zaskakują tym autorów gry. I, jak zwykle: w „Diablo IV” można się świetnie bawić samemu, ale największą frajdę – i szansę na najlepsze łupy – dają wspólne wypady z przyjaciółmi.

Stare, ale aktualne 5/6

System Shock, Nightdive Studios, LookingGlass Technologies, Prime Matter, Windows, PlayStation 5, 4, Xbox One, Series X/S

Nowa wersja legendarnej gry studia LookingGlass Technologies „System Shock” (1994 r.) okazała się aktualnym głosem w dyskusji o sztucznej inteligencji – jej potencjalnej tożsamości, związanych z nią zagrożeń, chciwości korporacji rozwijających SI w nadmiernym pośpiechu. W rekonstrukcji opowieści Warren Spectora wcielamy się w hakera, który zgodził się włamać do konstruktora sztucznej inteligencji SHODAN za wiadującej stacją kosmiczną Cytadela i usunąć blokady uniemożliwiające jej działania nieetyczne. Efekt: SHODAN przejęła kontrolę, zabiła lub zmutowała/scyborgizowała personel, planuje atak na Ziemię. „System Shock” po graficznej renowacji wygląda atrakcyjnie, ale staroświecko, co ma swój urok. Rekonstruktorzy unowocześnili niektóre mechanizmy rozgrywki, ale to wciąż klasyczna lektura z kanonu.



Mapa i magia 4/6

Age of Wonders 4, Triumph Studios, Paradox, GOG.com, Windows, PlayStation 5, Xbox Series X/S

Lubicie klasyczne gry z serii „Heroes of Might and Magic”, ale brakuje wam strategicznej złożoności z cyklu „Civilization”? Cenicie „Civilization”, ale chętnie wzbogacilibyście rozgrywkę o unikalnych bohaterów? „Age of Wonders 4” próbuje łączyć to, co najlepsze z obu światów, trzymając się żelaznych reguł strategii 4X (eksploracja, ekspansja, eksploatacja, eksterminacja). Poza zabawą w trybie fabularnym, tradycyjnie umiejscowioną w fantastycznym świecie Evermore, można projektować rozgrywkę w krainach o zdefiniowanych przez gracza parametrach. Poczynając od geografii projektowanego świata, po obecną w nim magię. Rzecz niby drobna, ale oddziela mistrzów od czeladników: mapy są czytelne, ich interaktywne elementy nie zlewają się z ornamentyką tła. Reasumując, „Age of Wonders 4” to bodaj najbardziej udana gra w tej konwencji obecnej dekady.



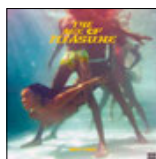
OLAF SZEWCZYK

na płycie

Lato leci 5/6

Janelle Monáe, **The Age of Pleasure**, Wondaland

Wotwierającym program tej krótkiej, lekkiej i letniej płyty utworze „Float” Janelle Monáe zasadniczo definiuje esencję jej strony rytmicznej: „Nie kroczę, nie chodzę, nie tańczę, po prostu płynę”. Towarzystwo Seuna Kutiego (syn słynnego Feli) i zespołu Egypt 80 sugeruje rytmiczne poszukiwania poza amerykańskim R&B i hip-hopem. I rzeczywiście – dużo tu akcentów afrykańskich, afrobrazylijskich, a przede wszystkim karaibskich, z przewagą dancehallu i reggae. Struktura 32-minutowego wydawnictwa jest gęsta – temat przechodzi w temat, zmienia się lista gości: od weteranki Grace Jones po wschodzącą gwiazdę Amaarae. Ale koncepcja nie idzie w kierunku futurystycznych historii i podróży w czasie, jak na starszych wydawnictwach tej amerykańskiej wokalistki i aktorki (ostatnio niezła rola w „Glass Onion”). Raczej koncentruje się na teraźniejszości – i emanuje seksem, we wszystkich kolorach tęczy, jak przystało na artystkę, która deklaruje biseksualizm i niebianność. Klip „Lipstick Lover” wywołał obyczajowe kontrowersje (mało zrozumiałe), pojawiły się oskarżenia o podążanie w stronę mainstreamu (te już bardziej), lecz o ile można się w tej płycie nie zakochać, trudno jej nie lubić.



BARTEK CHACIŃSKI

Recykling przebojów 2/6

Moby, **Resound NYC**, Deutsche Grammophon

Koniec pomysłów gwiazdy pop oznajmiał zwykle światu fakt wydania albumu z orkiestrą. To wciąż aktualne, choć można dobitniej – wystarczy przejść do gościnnego katalogu Deutsche Grammophon i pod tym nobliwym szyldem można recyklingować stare przeboje, ile wlezie. Tę smutną prawidłowość potwierdza w każdym razie Moby, po raz kolejny sięgając po swój stary dorobek (tym razem w przewodzie są utwory z albumu „18”) i prezentując wersje, które od oryginałów różnią się głównie aranżacyjnym rozmachem i udziałem licznych gości, m.in. Gregory’ego Portera, Damiena Jurado czy Amythyst Kiah. Wyróżniają się cover piosenki Neila Younga „Helpless” i „Second Cool Hive”, nowa wersja „First Cool Hive” z ważnym udziałem Marokanki Oum El Ghait Benessahraoui. Reszta bywa nijaka, a nawet w swej wtórności denerwująca. Człowiek, który zasłynął z remiksów starych tematów bluesowych i soulowych – bo tymi były w istocie jego największe przeboje z przełomu wieków – kończy jako autor nieustającego cyklu remiksów remiksów. O ile kończy – bo przypomnę, że poprzednie wydawnictwo dla DG, „Reprise”, sprzedawało się na tyle dobrze, że doczekało się dodatkowej płyty. Oczywiście z remiksami. BCH





Bazar jako baza

Bazary są dla mnie równie ważne co świątynie czy muzea, jeśli nie ważniejsze, bo sprawiają, że wychodzimy poza własną bańkę – mówi **Aleksandra Wasilkowska**, laureatka Grand Prix Nagrody Architektonicznej POLITYKI.

Aleksandra Wasilkowska (ur. 1978 r.) – architektka, artystka i scenografka. Absolwentka Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej i École d'Architecture de Bretagne. W 2010 r. reprezentowała Polskę na XII Międzynarodowym Biennale Architektury w Wenecji. Projektowała scenografie dla teatrów i oper, a także instalacje artystyczne dla przestrzeni publicznych. Jej prace były wystawiane m.in. w Guggenheim Museum w Nowym Jorku, Seoul Art Center w Korei i Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie.

PIOTR SARZYŃSKI: – **Bezpośrednio po odebraniu naszej nagrody wyjechała pani na tydzień. Nowe projekty? Nowe miejsca?**

ALEKSANDRA WASILKOWSKA: – Tak. Byłam w Rzeszowie, gdzie przygotowujemy plan ogólny z halą targową w jego centrum. To bardzo ciekawy kontekst, szczególnie że Rzeszów stał się poniekąd miastem przyfrontowym i wielokulturowym. A stamtąd pojechałam do Bydgoszczy, by złożyć wniosek o pozwolenie na budowę szkoły, którą projektuję.

A ja zapraszam na trzeci – wyimaginowany – wyjazd.

Proszę sobie wyobrazić, że jest pani w nowym kraju, w nowym mieście. Co odwiedza pani w pierwszej kolejności: lokalny bazar czy zabytkową katedrę?

Bazary interesują mnie bardziej niż katedry. Szczególnie w krajach o odmiennej od naszej kulturze.

A czy nie jest tak, że w gruncie rzeczy wszystkie te bazary i targi są do siebie podobne? Stragany, stoiska, budki, wystawki, handlarze i kupujący...

Otóż nie. Każde targowisko jest inne, można by chyba tworzyć nieskończony zbiór ich typologii. Za każdym razem pojawia się wartość dodana, wynikająca z lokalnych uwarunkowań. Zwłaszcza gdy się wnika w różne ukryte na pierwszy rzut oka ich właściwości: ekonomiczne, własnościowe, historyczne itd. Targowiska to miejsca napięć, zderzenia różnych interesów i konfliktów. Ale też czynniki zaskakujące, jak choćby astrologiczne reguły. Na przykład w krajach azjatyckich zakazane jest stosowanie liczb 2 i 4, uznawanych za symbol śmierci. A więc nie może być dwóch schodków czy czterech sąsiadujących straganów. W Bangkoku targowisko działa na torach kolejowych. Gdy nadjeżdża pociąg, stragany są w sekundę składane, a za chwilę znowu rozkładane. W Wenecji spotyka się stragany pływające. W Gruzji z kolei na każdym targowisku jest kran i stół, by ludzie mogli na miejscu umyć i zjeść to, co kupili.

Ten pomysł przeszczępiła pani w Błoniu.

I jestem bardzo ciekawa, czy się przyjmie.

Czy wśród europejskich architektów jest wielu takich specjalistów od targowisk?

Ciekawe badania bazarów prowadzą profesorowie z Wiednia, Helge Mooshammer i Peter Mörtenböck, którzy opublikowali atlas targowisk na świecie. Ale nie znam architektów praktyków specjalizujących się w architekturze targowisk, choć na całym świecie powstają niesamowite targi, jak chociażby w Nigerii autorstwa Atelier Masōm czy w Meksyku Colectivo c733. Coraz częściej zgłaszają się do mnie dyplomanci i młodzi architekci, którzy chcą się zajmować podobną tematyką.

Ma pani ulubione bazary?

Wiele lat studiowałam i pracowałam we Francji, tam dobrze poznałam lokalne bazary i je polubiłam. Może dlatego, że tamtejsza kultura bazarowa jest bardzo rozwinięta, ma długą tradycję i ciągle jest pieczołowicie kultywowana. W miastach funkcjonują zazwyczaj dwa typy bazarów. Pierwszy to stałe hale targowe. Drugi to wędrujące targowiska z kupcami, którzy każdego dnia w tygodniu rozkładają się ze straganami w innej dzielnicy miasta. Warszawa próbowała ten model zaszczepić u siebie, ale nie bardzo się to udało, kupcy mają tu inne zwyczaje. W ogóle powstanie bazaru jest trudno zadekretować ogólnie. To żywioł, który rodzi się spontanicznie, oddolnie. Dlatego tak ważne jest, żeby pielęgnować te bazary, które już są, bo bardzo trudno je później reanimować.

Jak to się właściwie zaczęło?

Zaciekawienie pojawiło się właśnie podczas studiów we Francji. A później wróciłam do Warszawy, w której akurat wyrzucano

kupców ze Stadionu Dziesięciolecia oraz z pl. Defilad i generalnie w ramach „euroremontu” czyszczono ze straganów i budek centralne dzielnice miasta. W tym także z warzywniaków, które zdaniem władz nie przystawały do wizerunku europejskiej stolicy. Jako młoda matka osobiście czułam się wówczas odcinana od ważnej społecznej infrastruktury zaspokajającej codzienne potrzeby. I wkurzała mnie ta dominacja męskocentrycznej narracji i wizji miasta jako narzędzia prestiżu. A ja, uboga wówczas mieszkanka Śródmieścia, zostałam nagle odcięta np. od dostępu do tanich warzyw, czułam się wykluczona. I to poczucie wykluczenia skłoniło mnie, by walczyć o te sprawy także zawodowo.

Zaproponowała pani termin „architektura cienia” na określenie obiektów, które są wypierane z powszechnego dyskursu. Poza targowiskami to choćby publiczne toalety, cmentarze itd.

Odwoluję się w nim do jungowskiej psychologii analitycznej i jego pojęcia „archetypu cienia”. Stawiał on tezę, że tematy wstydlive wypierane są do takiej właśnie strefy cienia i nie uzdrowimy się psychicznie, dopóki nie zintegrujemy własnych kompleksów. A 20 lat temu handel uliczny był tematem niezwykle wstydliwym. Pamiętam, jak budy przy Marszałkowskiej zakrywano płachtami, bo przejeżdżał tamtędy papież. To był wyraz niesamowitych kompleksów i niedostrzegania potencjału tkwiącego w drobnym handlu.

Poświęciła się pani nie tylko wstydlivej architekturze cienia, ale dodatkowo czyniła to w czasach, gdy wszyscy fascynowali się architekturą spektakularną i każdy projektant marzył, by zostać gwiazdą światowej architektury. To nie było frustrujące?

Szkoda czasu na frustrację. Po prostu zajęłam się tematem, który mnie żywo interesował, wynikał z mojego doświadczenia. I przekonania, że nie tylko wielką architekturą, ale też tą małą, codzienną miasto żyć powinno. Być może byłoby trudniej, gdybym zajmowała się tylko targowiskami. Ale przez te lata równolegle pracowałam na polu sztuki i teatru, gdzie skutecznie zaspokajałam swoje potrzeby twórcze. Pisałam książki, organizowałam wystawy, tworzyłam instalacje, przygotowywałam scenografie operowe i teatralne.

Ale w przestrzeni miast nie było trwałych śladów tych aktywności.

Tak, chociaż brak śladów specjalnie mi nie przeszkadza, niebudowanie jest bardzo ekologiczne. Bardziej doskwierało mi teoretyzowanie bez praktyki i to, że moja praca w sposób trwały nie jest pożyteczna, nie niweluje tych kwestii, które mi się w mieście nie podobają. Nadszedł taki moment, w którym uzmysłowiłam sobie, że muszę skonfrontować teorię z praktyką, wrócić do swojego zawodu, nie oddawać pola. Nie było to łatwe, bo zawsze pociągały mnie eksperyment, sztuka i eksces. A rzeczywistość architektoniczna wymaga systematyczności, pokory i rzemiosła, a nie buntu.

Pierwsze podejście – przebudowa słynnego stołecznego bazaru Różyckiego – okazało się niezbyt szczęśliwe.

Spędziłam na bazarze trzy lata, na początku konsultacji wkręciłam kupcy zamknęli mnie na noc i musiałam z makiętą przeskakiwać przez płot. Ale na koniec długiego procesu rozmów i negocjacji powstał projekt, pod którym podpisali się i kupcy, i mieszkańcy. Nie udało się go zbudować. Zawiodły procedury, prawa własności do terenu okazały się zbyt rozdrobnione, na razie zrealizowano tymczasowy projekt na działce miejskiej, a mój projekt dotyczący całości Różyca poszedł do szuflady. ►



Tegoroczny laureat Nagrody Architektonicznej POLITYKI – targ w podwarszawskim Błoniu: widok z boku i z góry.

► Później był bazar Asian Town przy ul. Bakalarskiej.

To była dla mnie wielka lekcja pokory. W gruncie rzeczy tamtejsi kupcy oczekiwali ode mnie przede wszystkim roli „stempla”, który zapewni im dalsze trwanie w tym miejscu i zachowanie targowiska, co się udało. Większość rozwiązań funkcjonalnych została wymyślona przez kupców, ja w pewnym sensie towarzyszyłam im w samoorganizacji tego miejsca i zdobywaniu pozwoleń na budowę. Dzięki temu jest to wciąż najbardziej vitalne i wielokulturowe miejsce w Warszawie. Nie dało się zgentryfikować, ale też wielu bardziej wysublimowanych detali i koncepcji formalnych nie udało mi się tam zrealizować, chociażby zieleni.

Aż przyszedł czas na nagrodzone przez nas Błonie.

Jak doszło do realizacji tego projektu?

Władze gminy miały wstępny pomysł i program funkcjonalny na to miejsce i została poproszona, by je spiąć, nadać architektoniczny kształt, który nie byłby kolejnym rzędem blaszanych bud. Pracowałam z zespołem w dużym tempie. Czas gonął, ponieważ kupcy czasowo zostali przeniesieni gdzieś indziej i istniała obawa, że się rozproszą. W rezultacie projekt, wraz ze wszystkimi uzgodnieniami i pozwoleniami, powstał w cztery miesiące, co jest tempem rekordowym.

Dość nowatorskie, jak na polskie standardy, okazało się połączenie targowiska z parkiem i miejscem relaksu.

Zauważyłam, że handel w takich miejscach odbywa się tylko przez pół dnia trzy razy w tygodniu, później targowisko pustoszeje, zostaje betonowy plac. Pomyślałam, by służyć także mieszkańcom popołudniami i wieczorami. Ale to wprowadzenie zieleni nie wszystkim się podobało. Krytykowano, bo: „kto to słyszał, by na targowisku krzaki sadzić”, „ludzie i tak zadeczną”, „zabiera miejsce do handlu”, „jest drogie w utrzymaniu”, „lepiej przeznaczyć na miejsca parkingowe”, „będzie przeszkadzać w dostawie towaru”. Na szczęście moją koncepcję targowiska-parku bardzo mocno wspierał burmistrz Błonia i jego zespół. W Błoniu zrozumiałam, na czym polega sprawczość samorządu.

Dobra współpraca projektanta z miejskim inwestorem nie zdarza się często.

Ja mam dobre doświadczenia. Dotyczą przede wszystkim mniejszych ośrodków, jak Biała Podlaska czy Chrzanów, gdzie jest mniej pieniędzy, ale wysoki poziom sprawczości i otwartości na bardziej progresywne myślenie o mieście.

Gdyby pani miała po raz drugi zaprojektować to miejsce, czy coś by się zmieniło?

Budynek czy przestrzeń zaczyna żyć swoim życiem niezależnie od intencji architektki. Zawsze może być lepiej. Być może powinno być więcej przestrzeni do magazynowania towarów. Ale bazy to przestrzeń otwarta i kupcy powinni ją adaptować, uzupełniać o swoje indywidualne rozwiązania. Musi upłynąć trochę czasu, by na takie pytanie odpowiedzieć. Długo trwa proces adaptacji do nowych warunków, zarówno kupców, jak i klientów. Rozmawiałam ostatnio z zarządcą targowiska i powiedział, że dopiero teraz, po roku, wszystko zaczyna się docierać.

Spacerując po targu w Błoniu, zastanawiałem się, co mnie w nim urzeka. Może ta elegancja miejsca, która wyczajowo nie kojarzy się ze straganami z pietruszką i ogórkami?

Bazary są dla mnie równie ważne co świątynie czy muzea, jeśli nie ważniejsze – bo sprawiają, że wychodzimy poza własną bańkę. Bazary są inkluzywne, łączą wiele wątków, ekonomię, przedsiębiorczość, jedzenie, zdrowie, lokalność, interakcje różnych kultur i grup społecznych. Dlatego uważam, że ich architektura jest niesamowicie ważna i powinna być traktowana poważnie.

Czy to targowisko dałoby się odtworzyć w dowolnym miejscu w Polsce, czy jednak ma charakter „in situ”?

Ten projekt bez wątplenia wynikał z lokalnego kontekstu. Ale są elementy, które, myślę, że można przenosić do innych bazarów w Polsce, np. intensywna zielen, zagospodarowanie wody deszczowej, infrastruktura społeczna, przestrzeń dla osób starszych i rodzin z dziećmi. Bardzo się cieszę z nagrody POLITYKI, bo mam nadzieję, że przykład Targu Błonie pokaże, że władze miast powinni dbać o istniejące targowiska, o lokalnych wytwórców i rolników, o lepszy dostęp do zdrowego i taniego jedzenia. I mam nadzieję, że funkcje targowe w połączeniu z zielenią będą wracać na miejskie place i rynki. W Polsce jestem zapraszana coraz częściej do jury konkursów na targowiska, co uważam za dobry znak.

ROZMAWIAŁ PIOTR SARZYŃSKI

Sponsor Główny
Nagrody Architektonicznej
POLITYKI



Dwutygodnik **FORUM** – najciekawsze historie świata

15.10 DO DUMY
Miłość meksykańskich
kowbojów



Bierzemy plastik
na tapet

• OKIEM KISSINGERA • WARSZAWA PA RUSKI

Istnieje
od 1965

FORUM

NASTĘPNE
30
CZERWCA
PIĄTEK
WYDANIE

NAJCIEKAWSZE HISTORIE ŚWIATA



RAMMSTEIN
Mroczna strona metalu

nr 13 (16-29.06.2023) Data: 12.99zł (w tym 9zł wst)

DZIAŁA NA NERWY
Aktywistka Schlein
kontra Meloni



DZIECI DŻUNGLI
Cudem ocalone

TĘCZOWY MEKSYK
Podryw na kowbojki
SKAZANI NA SKANSEN
Las dla Mansów

PICKLEBALL ZBLIŻA
Moda na pseudotenisa

WIĘJ NA KOMORY
Niszczą słumsy na Majotcie
W ODMĘTACH
Jak zostać syrenką?

GLEBA ZAMIAST URNY
Metoda na zwłoki

POGADAJMY
Tajniki negocjacji
ELLY SCHLEIN
Gwiazda włoskiej polityki

Najnowsze **FORUM** już w sprzedaży!

Strażnik anegdoty

Terry Pratchett przewidział polityczne turbulencje, kryzysy finansowe, gwałtowne zmiany, które zachodzą na świecie. Jego książki wciąż mogą nas czegoś nauczyć – mówi Rob Wilkins, asystent, przyjaciel i autor biografii pisarza „Życie z przypisami”.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Zycie Terry’ego Pratchetta nie było tajemnicą. Twórca opowieści o Świecie Dysku wydawał się niemal transparentny ze swoją uporządkowaną, stabilną codziennością. W wywiadach równie chętnie opowiadał o swojej dziecięcej fascynacji literaturą fantastyczną i młodości spędzonej na dziennikarskim etacie w lokalnej gazecie, co o pracy nad kolejnymi książkami. Nawet gdy zdiagnozowano u niego rzadką odmianę choroby Alzheimera, nie ukrywał informacji o swoim stanie zdrowia. Zaangażował się za to w zbiorke funduszy na badania nad chorobą, a przede wszystkim w walkę o prawo do godnej śmierci na życzenie. Nawet w ciężkim stanie zabierał głos w ważnych sprawach, a nieco ponad rok przed śmiercią zdecydował się – ku przerażeniu rodziny, przyjaciół i wydawcy – na wyprawę na Borneo, by wziąć udział w dokumencie o orangutanach.

„Życie z przypisami” nie jest pierwszą biografią Pratchetta, ale wcześniejsze próby były rozczarowujące. Rob Wilkins wypowiada się o nich z dyplomatyczną kurtuazją. – *Bardzo doceniam „Magic of Terry Pratchett” Marca Burrowsa [nie ukazała się w Polsce – przyp. red.]. Autor nigdy nie spotkał się ani nie rozmawiał z Terryem, więc napisanie takiej biografii wymagało odwagi* – mówi Wilkins, a ironia w jego głosie jest niemal niewyczuwalna.

On sam dysponował materiałami, do których inni nie mieli dostępu. Na kilka lat przed śmiercią Pratchett zaczął dyktować notatki do swojej autobiografii. Nie poświęcił się w pełni pracy nad nią, zajmowało go raczej tworzenie kolejnych części „Świata Dysku” i innych powieści, jednocześnie dał Wilkinsowi prawo do wykorzystania tych zapisków po swojej śmierci. Część „Życia z przypisami” to zatem słowa samego Pratchetta – zawsze jednak przez autora zaznaczone jako cytaty. Książka Wilkinsa jest szczerym, emocjonalnym, na szczęście dalekim od hagiografii portretem pisarza, który sprawiał, że świat stawał się na chwilę odrobinę lepszy, a z pewnością trochę mądrzejszy.

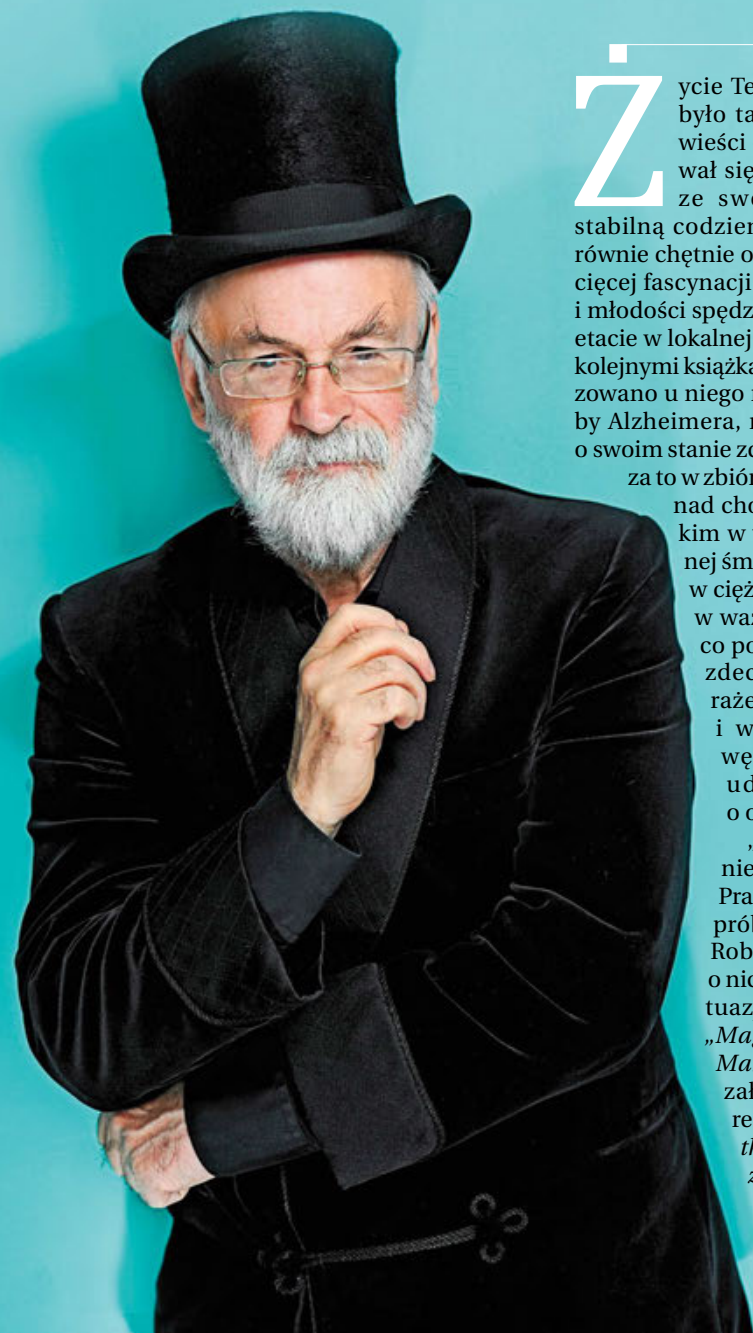
Szczerość za szczerość

Rob Wilkins od 2000 r. pracował jako osobisty asystent i doradca Pratchetta, a posada szybko okazała się czymś więcej niż zawodowym wyzwaniem. Dziś, wraz z najbliższymi pisarza, jest powiernikiem i opiekunem jego literackiej spuścizny. – *Gdy w pewnym momencie Terry poprosił mnie, żebym uporządkował plik z nową powieścią, poczułem, że traktuje mnie nawet nie jak przyjaciela, lecz jak członka rodziny.*

– *Ludzie mówili: piszesz biografię, będziesz wywlekał brudy. Ale w przypadku Terry’ego po prostu ich nie było. Bywał marudny i złośliwy, czasem ciężki do współpracy, ale to wszystko. Nie ukrywam tego, bo wiedziałem, że muszę opowiadać prawdę. Zwłaszcza gdy opisuję późne, trudne lata, kiedy Terry był już ciężko chory* – wspomina Wilkins. Czy coś ominął? – *Demencja to potworna choroba i bywały czarne dni, których wspomnienia wyparłem. Ale nie ukrywam świadomie niczego. Z Lyn i Rhianną [żoną i córką Pratchetta – red.] ustaliłem, że jak napiszę całość, zdecydujemy, czy coś usuniemy z tekstu. Nie usunęliśmy niczego. Pratchett był szczery wobec czytelników. Ja też jestem.*

Wilkins pisze więc o chorobie Pratchetta niekiedy z przykrą dosłownością. Lecz jednocześnie, wzorem swojego mistrza, nawet w tragicznej sytuacji potrafi odnaleźć humor, często smolście czarny, jak wtedy, gdy Pratchett niechcący przekazał 50 tys. funtów na wsparcie dla Muzeum Poczty w Bath zamiast dla fundacji zajmującej się opieką nad orangutanami (szefowe obu instytucji sąsiadowały ze sobą na liście kontaktów w jego telefonie).

Wilkins, jak przystało na „strażnika anegdoty”, błyskotliwie opisuje najważniejsze wydarzenia z życiorysu Pratchetta, jak narodziny córki Rhianny czy wręczenie



pisarzowi Carnegie Medal, najważniejszej brytyjskiej nagrody przyznawanej autorom literatury dziecięcej. Lecz sięga również po wydarzenia z pozoru nieznaczące, a przecież z punktu widzenia kariery pisarza kluczowe: jak odkrycie „Władcy Pierścieni” Tolkiena. Podobno młody Terry przeczytał całą trylogię w niewiele ponad dobę, po czym, skończywszy lekturę trzeciego tomu, zaczął od razu czytać od nowa.

„Życie z przypisami” – zgodnie z tytułem pełne przypisów, które Pratchett tak bardzo lubił zamieszczać w swoich powieściach – jest portretem człowieka obdarzonego niezwykłą wyobraźnią, uwielbiającego ekscentryczne detale (takie jak nieodłączna czarna fedora czy herb rodowy, zaprojektowany przez samego pisarza, gdy został uhonorowany tytułem szlacheckim), szanującego czytelników i fanów. A także zaskakującego pokorą i umiarkowaniem: gdy w pewnym momencie wydawnictwo Transworld zaoferowało Pratchettowi zaliczkę na książkę w wysokości 125 tys. funtów, pisarz poprosił swojego agenta, by ten wynegocjował niższą stawkę.

To obraz geniusza, który przy swoim talencie i pasji bywa też nieznośny, uparty i próżny. Książki Pratchetta sprzedawały się w gigantycznych nakładach (w latach 90. średnio 3 mln egzemplarzy rocznie, dopiero J.K. Rowling z cyklem o Harrym Potterze zdołała przebić ten wynik), zbierały entuzjastyczne recenzje, a na każdym konwencie i spotkaniu autorskim do pisarza ustawiały się kolejki fanów czekających na autograf. A jednak Pratchett czuł się niedoceniony. – *Mawiał, że jeśli umieścisz w swojej książce smoka, literacki establishment już nigdy nie będzie traktował cię serio. Wiedział, że nigdy nie zdobędzie nagrody Bookera ani żadnego innego mainstreamowego wyróżnienia i w pewnym momencie przestało go to nawet obchodzić* – wspomina Rob Wilkins. – *Ale we wczesnych latach kariery, gdy sprzedawał więcej książek niż ktokolwiek inny w historii brytyjskiej literatury, czuł się sfrustrowany tym, że media i krytycy go nie doceniają. Pisał fantasy, na dodatek w wydaniu humorystycznym, więc nie traktowano go poważnie.*

Epoka przedbobonów

Pratchett już jako dziecko był zagozonym czytelnikiem amerykańskich magazynów z pulpowymi opowiadaniem pełnymi smoków, barbarzyńców lub dla odmiany statków kosmicznych. Podobno kupował czasopisma w obskurnym sklepiku, w którym dominowały

wydawnictwa pornograficzne, ale Terry był zbyt niski, żeby dostrzec nagie biuśty na wyższych półkach, za to zauważył stojące na podłodze pudła pełne numerów „Science Fantasy” i innych podobnych tytułów. Później poznał klasykę literatury fantastycznej i potrafił o niej dyskutować godzinami. Lecz samego siebie postrzegał jako spadkobiercę nie tyle mistrzów fantasy, ile klasyków groteski. Wśród najważniejszych pisarzy wymieniał chętnie G.K. Chestertona, Marka Twaina i Jerome’a K. Jerome’a. „Trzech panów w łódce” miało być przewodnikiem turystycznym, a zmieniło się w klasyczną brytyjską powieść. To jest siła wielkiej literatury – rozwija się niezależnie, potrafi zaskoczyć nawet autora” – mówił w jednym z wywiadów. Wierzył, że nawet popkultura może być źródłem wiedzy, był krytyczny wobec współczesnego systemu nauczania (zwłaszcza w brytyjskim wydaniu).

Cykl o Świecie Dysku zaczął się dość skromnie: otwierający go „Kolor magii” – wydany okragłe 40 lat temu – miał zdaniem Pratchetta zrobić z fantasy to, co „Płonące siodła” Mela Brooksa zrobiły z westernem. Kolejne powieści poruszały jednak coraz poważniejsze tematy – nie uciekając przy tym od humorystycznej konwencji – i śmiało igrzały z literacką klasyką, od Szekspira po Jane Austen. Jak pisał krytyk dziennika „The Guardian”: „Świat Dysku to laboratorium, w którym Pratchett przeprowadzał myślowe eksperymenty dotyczące wszystkiego: od klas społecznych i polityki transportowej po naturę czasu i śmierci”. – *Te powieści cały czas wydają się aktualne, jakby Pratchett przewidywał polityczne turbulencje, kryzysy finansowe, gwałtowne zmiany, które zachodzą na świecie. Jego książki wciąż mogą nas czegoś nauczyć* – mówi Wilkins.

Na przenikliwość prozy Pratchetta zwracał uwagę także Piotr W. Cholewa, tłumacz wszystkich powieści o Świecie Dysku. „Powiedział kiedyś, że Dysk jest światem i zwierciadłem światów, ale światów takich, jakimi je widzi autor” – wspominał kilka lat temu w jednym z wywiadów. „Stosuje logikę tam, gdzie się jej zwykle nie oczekuje, np. zastanawia się, co się dzieje z chatką z piernika w lesie, gdzie żyje wiele stworzeń chętnych na pierniki, albo czy świadome i dbające o siebie czarownice powinny mieć chatki z chrupkiego pieczywa. Ciekawy jest jego stosunek do wierzeń, przesądów i przekonań masowych. Wymyślił pojęcie przedbobonów: zabobony to rzeczy, w które się wierzy, choć nie są

prawdziwe, przedbobony to te, które są prawdziwe, choć się w nie nie wierzy”.

Dziś w ten sposób wygrywa się wyборы i rujnuje demokrację. Żyjemy w epoce przedbobonów. Jak wszyscy najlepsi twórcy literatury fantastycznej, także Pratchett okazał się niezły w przewidywaniu przyszłości, choć być może oznacza to przede wszystkim, że świat jest, niestety, przewidywalny w swojej powtarzalności zła i dążeniu do entropii.

Zniszczyć dysk

Neil Gaiman, który przyjaźnił się z Pratchettem przez wiele lat – wspólnie napisali powieść „Dobry omen” – mawia, że pisarze żyją, dopóki ich książki są czytane. Pratchett bez wątpienia pozostaje w tym znaczeniu pisarzem żywym. Na podstawie jego prozy powstają gry, filmy i seriale. Od czasu do czasu wydawcy publikują zbiory nieco zapomnianych młodzieńczych opowiadań i innych juveniliów – jeszcze w tym roku w Wielkiej Brytanii ma się ukazać „A Stroke of Pen”, tom tekstów, które autor publikował pod pseudonimem w regionalnej prasie w latach 70. Ale książek sygnowanych jego nazwiskiem, porzucanych fragmentów odnalezionych w pisarskiej szufladzie nie będzie. Jednym z ostatnich życzeń Pratchetta było zniszczenie dysku twardego z notatkami do kolejnych powieści. – *Chciał, żeby wystrzelić go w kosmos lub zgnieść walcem parowym. Walec parowy był zdecydowanie łatwiejszy do załatwienia* – opowiada Rob Wilkins. W swojej książce zdradza kilka tytułów i tematów książek, które już nigdy nie powstaną. – *Gdy jechałem na miejsce, gdzie mieliśmy zniszczyć dysk, rozmawiałem przez telefon z Neilem Gaimanem. Trwały wtedy przygotowania do realizacji pierwszego sezonu serialu na podstawie „Dobrego omenu”, dyskutowaliśmy o jakichś szczegółach. Gdyby Neil nie zajął wtedy moich myśli, to pewnie kazalbym kierowcy zawrócić. A tak po prostu dostarczyłem dysk na miejsce i stało się. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę z tego, co zrobiłem.*

Szczątki dysku przekazał brytyjskiej artystce, która zatopiła je w bloku sztucznej żywicy. Na zdjęciu rzeźba wygląda jak relikwiarz dawnej cywilizacji zatrzymanej w czasie. – *Tak jest dobrze, tak miało być* – powtarza Wilkins, ale w jego głosie pobrzmiewa cicha nuta tęsknoty za bezpowrotnie utraconym światem literackiej magii.

Książka Roba Wilkinsa „Terry Pratchett: Życie z przypisami. Oficjalna biografia” ukaże się pod koniec czerwca nakładem wydawnictwa Insighnys w przekładzie Piotra W. Cholewy.

Czuły kumpel

Nie wiemy dziś, jak opowiadać o mężczyznach. Często opisujemy męskość krytycznie, ale co może być pozytywnym wzorcem? Może próba czułości, miłosierdzia do samego siebie – mówi scenarzysta serialu „Warszawianka” Jakub Żulczyk.



JUSTYNA SOBOLEWSKA: – Serial „Warszawianka” w reżyserii Jacka Borcucha z twoim scenariuszem ma wreszcie premierę na platformie SkyShowtime, dlaczego to tak długo trwało?

JAKUB ŻULCZYK: – Powiedzmy, że były pewne komplikacje natury korporacyjnej, ale „Warszawianka” znalazła swój dom na SkyShowtime, które jest zachwycone serialem i zaangażowane w jego promocję. To ich pierwsza polska produkcja.

Chciałeś tym razem opowiedzieć historię pozytywną? Bo zwykle pokazujeś ciemność.

Nie chcę spoilerować, ale „Warszawianka” też nie jest taka znowu wesoła. Co nie zmienia faktu, że po latach robienia historii mrocznych, dystopijnych, pisania takiego polskiego noir wróciłem trochę do swojej pierwszej powieści „Zrób mi jakąś krzywdę”. Mam znowu bohatera, co prawda teraz czterdziestolatek, który jest trochę bezradny, trochę romantyczny, szuka miłości, żyje w konflikcie wewnętrznym – z jednej strony nie

mieści się w normach i oczekiwaniach, z drugiej próbuje jakkolwiek się do nich dopasować. A przede wszystkim szuka szczęścia. „Warszawianka” to ludzka, uniwersalna historia o próbach bycia dobrym. Tu warto nadmienić, że pierwszy pomysł na „Warszawiankę” miała już producentka serialu Iza Łopuch, gdy dołączyłem do projektu. Postać Czułego w pierwszej wersji wymyślił Piotr Fiedler, który potem przedstawił własną wersję tego bohatera w powieści „Czułość”. Serial nie jest adaptacją tej książki, ta powstawała, gdy scenariusz był już w dużej mierze gotowy.

To nie była udana powieść. Bohater to zachwycony sobą narcyz. Franek Czułkowski w serialu nie jest na szczęście takim typem faceta.

Zależy, kogo spytać. Śp. Piotr Bratkowski twierdził inaczej. Moim zdaniem to był ciekawy debiut. Maczałem palce w wydaniu tej książki, razem z moją agentką Moniką Regulską znaleźliśmy Piotrkowi wydawcę. Myślę, że Piotrek ma w sobie

zadatek na takiego niegrzecznego, butnego autora, który pisze czystą emocją. Literatura jest dla niego bardzo ważna. Spotykałem się z nim, pisząc scenariusz, brałem od niego różne historie, które potem się w nim pojawiały. Drugim takim „konsultantem” była równie barwna warszawska postać i młody stażem prozaik, czyli Wojtek Friedmann. Wiedziałem, że Czuły nie może się składać tylko ze mnie, że wymyślał bardziej swojego kumpla, niż tworzę jakiś wariant siebie.

Pierwsze sceny, czyli chłanie, prochy, impreza, sugerują, że Czuły to bohater, jakich wielu. Ale zaraz okazuje się, że on jest ojcem. To go konstytuuje?

W byciu rodzicem najważniejsze jest to, że mamy jakąś osobę, dla której musimy być najlepszą wersją siebie i musimy się postarać i przekraczać siebie codziennie. I Czuły – pomimo tych wszystkich niedowładów, społecznych, finansowych – to wie i robi, co może. Żona wścieka się na niego, gdy zabiera Ninę taksówką nad morze, ale on nie

Kadr z serialu „Warszawianka”
Na fot.: Borys Szybc i Piotr Polak.



umie inaczej. Daje jej coś, co ma i czego nie da jej nikt inny.

Czuły ma dużo przemyśleń o miłości, a to nie jest wiodący temat w twoich ostatnich książkach.

Myślę, że wszystkie książki są trochę o miłości, parafrazując podtytuł mojej pierwszej powieści. Gdy piszesz o braku miłości, też tak naprawdę piszesz o miłości. Miłość to nie tylko romantyczna sytuacja między dwojgiem ludzi.

Opowiadasz też o współczesnej męskości w kryzysie?

Wiesz, powiem teraz coś banalnego: żyjemy w wielkiej kulturowej zmianie i w tej zmianie powstały nowe wzorce opowiadania o kobietach, o mniejszościach. To jest opowiadanie o przechodzeniu od słabości do siły, od wstydu do dumy. To piękne i fajne narracje, tylko z drugiej strony trochę nie wiemy, jak opowiadać o męskości krytycznie, ale co może być pozytywnym wzorcem? Czuły nie jest nim na pewno, ale może próbuje nim być? Może tym

pozytywnym wzorcem byłaby próba empatii do samego siebie. Próba czułości, miłosierdzia dla samego siebie.

On stara się być dobry dla ludzi, ale też jest pechowcem jak Piszczyk?

Jest pechowcem, ale nie Piszczukiem, człowiekiem podłym. Stara się. Kolegę z pieskiem, który ma ksywę Jan Serce, odwozi na skuterze do weterynarza. Czuły ma taką cechę, że nie kłamie. Nie mówi wszystkim dziewczynom, że będzie z nimi na zawsze. Nie mówi ludziom, że ma coś, czego nie ma. Dla mnie to jest taki Jan Serce.

Franek ma serce na dłoni, dosłownie. Istnieje taki plakat do filmu „Pingwin” Stawińskiego z 1965 r. Dużo jest tu aluzji do polskiego kina.

Oczywiście. „Warszawianka” cała jest z polskiego kina. Podstawowym pytaniem było, czy ja robię serial łukowy – powieść w odcinkach, film w odcinkach, jak np. „Sukcesja”, „Stranger Things”, „Better Call Saul” – czy serial epizodyczny, tak jak w sitcomach albo starych serialach kryminalnych typu „Columbo”, gdzie każdy odcinek to osobna całość. Żadna z tych formuł nie pasowała do „Warszawianki”. Jak się dowiedziałem, że jest w tym Jacek Borcuch, który ma wycucie polskiego kina, żyje nim i oddycha, doszedłem do wniosku, że muszę przypomnieć sobie polskie filmy telewizyjne. Mamy rewelacyjną tradycję seriali telewizyjnych, np. „Dekalog”, „Dom”, „Daleko od szosy”, a nawet „Janosik”. I zacząłem sobie oglądać „Jana Serce” Piwowarskiego, gdzie niby każdy odcinek to jedna historia, ale to jest bardzo ciekawa luźna struktura, oni mieli gdzieś te amerykańskie szkoły scenopisarstwa, na które dziś się wszyscy powołują. Są wątki na jeden odcinek, ale są takie, które się rozciągają, przeplatają z jednego na drugi. To było bardzo świeże, nieamerykańskie, niezwykle inspirujące. Plus wspaniała rola, którą zagrał Kazimierz Kaczor – faceta niepasującego do swoich czasów, cierpiącego, szukającego miłości. Ale niekochającego samego siebie. I to jest też superwarszawskie, miasto jest tam bohaterem. Dla mnie „Warszawianka” to współczesny „Jan Serce”.

Miasto w twoich książkach „stoi potworem”. A tu jest pociągające, ruchliwe, ciekawe, jak widok z okna Czulego.

Warszawa tutaj jest fajna, bo on ją tak widzi. Gdy piszę prozę, to piszę przeważnie w pierwszej osobie. Pokazuję świat takim, jaki jest w głowie moich bohaterów. Dlatego się tak śmiałem, kiedy mnie pytano po „Ślepnąc od światła”: „Dlaczego pan tak nie lubi Warszawy?”. Bohater ►

REKLAMA



rynek z tradycjami

Prezydent Świdnicy
Beata Moskal-Słaniewska zaprasza

festiwal bachowski świdnica

BA XXIV CA

radykalne przestrzenie

25.06 **Franco Fagioli**

22.07 **Europa Galante**

Fabio Biondi

23.07 **L'Arpeggiata**

Christina Pluhar

28.07 **Jakub Józef**

Orliński Michał Biel

29.07 **Beethoven**

Septet Es-dur

29.07 **The King's Singers**



Miasto Świdnica



capella
cracoviensis



► tak ją widzi, bohater jej nie lubi, w sumie nie lubi nikogo i niczego. Zresztą trudno lubić coś, co się widzi tylko po ciemku. Zaczęłam pisać „Warszawiankę” jak książkę. I zrozumiałem, że to on musi zobaczyć tę Warszawę. On jest narratorem. Co ciekawe, pierwszy raz w życiu pisałem scenariusz z offem. Te offy próbowałem napisać tak, jakby to były fragmenty jego książki.

Jak jest zakochany, to jakoś lepiej mu idzie pisanie.

Jest człowiekiem, który mimo swojego cierpienia, strasznej relacji z ojcem – w tej roli Jerzy Skolimowski – mimo nieprzystosowania wciąż ma w sobie pogodę ducha, wierzy w świat. Potrafi pójść po wodzie, zaczarować rzeczywistość. To nie jest tylko moja zasługa, to jest też Jacek Borcuch i jego wrażliwość, smak, taka lekkość życia i ręki. Połączenie mojego tekstu i jego reżyserii na papierze wyglądało jak szynka z dżemem, jednak fantastycznie się spłotło. I zdjęcia Piotрка Uznańskiego, który wiedział, jak tę Warszawę pokazać.

Przypominają się te niemożliwe miłości polskiego kina. Ten odcinek serialu o miłości właściwie opowiada o złudzeniu miłości?

Odbieram polską kulturę powojenną jako rozliczanie się z pewnymi ideałami, które głęboko wrosły w naszą tkankę. Ideałami dotyczącymi bycia obywatelem, ideałami miłości, poświęcenia. Cała polska szkoła filmowa to są pytania o postawy życiowe, o konfrontowanie rzeczywistości z ciężarem historii. W „Warszawiance” nie ma może pytań o polskość, ale ten bohater też jest w konfrontacji z jakimś ideałem, literaturą, którą nosi w sobie. Dlatego też może cały czas zalicza twarde lądowania. Pytanie brzmi, na ile można żyć tym, czego nas nauczono, czego się naczytaliśmy, co przeżyliśmy w wyobraźni, co sobie wymyśliliśmy?

Polski bohater nie może być szczęśliwy. Czują się przegrani, nie ma sprawy z ojczyzną, ale boksuje się z życiem. Co go blokuje?

Buddyści, którzy chyba wiedzą najlepiej, powiedzieliby, że to jest iluzja cierpienia, które wynika z tego, że patrzymy na życie szerszej niż to, co jest tu i teraz. I nie umiemy się z tym pogodzić, biegniemy do czegoś innego. A na końcu przecież i tak każdemu z nas gaśnie światło. Przerzucamy nasze wyobrażenia na innych ludzi, co zawsze kończy się niewypałem albo tragedią.

Franek jest też pisarzem. Czyta Miłosza. Nie pasuje do świata. Czym dla niego jest literatura?

Jest scena, kiedy idzie do wydawcy. Wydawca mówi mu, że literatura jest biznesem. A dla takiego kolesia jak Czujący

który żyje ideałem, literatura jest czymś świętym. Zastanawialiśmy się nad tym, dlaczego on napisał książkę anonimowo, nie przyznał się do niej. Moja odpowiedź była taka, że literatura to dla niego jest coś tak wielkiego, że on nie dorasta, wstydzi się, czuje, że jest za krótki, żeby tam wejść. Nie ma tej bezczelności, która jest dzisiaj potrzebna, żeby zajmować się tym, żeby z tego żyć. A w Polsce to jest biznes i bardzo niewielu jest ludzi, którzy mają taki przywilej i wolność jak ja, że mogą żyć z pisania czegoś, w czym się artystycznie realizują. Ja się realizuję, bo kocham opowieści gatunkowe. Gatunek to moja artystyczna krew. Robię je po swojemu, ale one są wciąż czymś, co można nazwać kryminałem, thrillerem etc. Nie tworzę prozy strictly artystycznej, chociaż ta artystyczna może tam jest, nie wiem, trudno mi to złapać. Natomiast ludziom żyjącym w sferze subwencyjnej jest dzisiaj oczywiście ciężiej. Ta część rynku kultury, która musi wchodzić w relacje z państwem, stała się areną politycznych gier. O ile środowisko filmowe jest na tyle silne, że zachowało swoją autonomię, o tyle literatura ma się różnie.

W literaturze ta sfera dotyczy w dużej mierze przekładów i obecności polskich książek za granicą, gdzie promuje się swoich.

Doświadczyłem tego. O ile we Francji mam wydawcę mocnego, obecnego na rynku i mającego swój kapitał, o tyle w Anglii czy w Niemczech, jak się zorientowali, że w przypadku tego autora nie wejdą w żadną współpracę z instytucją państwową, to mieli kłopot. No trudno, patrzę na to ze spokojem i pokorą. Wracając



Jakub Żulczyk (ur. 1983 r.) – pisarz, autor kilku powieści, dwóch części cyklu dla młodzieży o Tytusie Grójeckim oraz książki dla dzieci „Zdarzenie nad strumykiem”. Za powieść „Ślepnąc od światła” (2014 r.) otrzymał nominację do Paszportu POLITYKI. Pisuje felietony do naszego tygodnika. W maju Sąd Najwyższy ostatecznie umorzył prowadzoną przeciwko niemu sprawę o znieważenie prezydenta Andrzeja Dudy. Premiera serialu „Warszawianka”, który współtworzył, 19 czerwca w serwisie SkyShowtime.

do Czulego, jest to człowiek, dla którego pieniądze nie mają wielkiego znaczenia. Nawet jakby dostał dużo pieniędzy, to też by ich nie miał. Są dla niego jak jakaś ekto-plazma. Trzeba coś z nimi zrobić, to idzie i kupuje córce iPada za ostatnie 10 tys.

Obrazowa jest scena, kiedy szuka pieniędzy na dni kieszeni w ubraniach. Borys Szyca pasuje do tej roli. Od razu było wiadomo, że to będzie on?

Uważam, że Borys to fantastyczny aktor. I że on takiej roli potrzebował. To jest geniusz Izy Łopuch i reżyserów castingu, że widzisz aktora i znajdujesz w nim postać. Pyta się mnie często, czy mam wpływ na obsadę. Nie mam, bo się na tym nie znam. I dokonałbym dziwnych wyborów, wybierałabym po warunkach, a tak się nie robi. Trzeba zobaczyć w tym aktorze coś, co pokaże, że on tam może pójść w tej roli.

Znowu, jak w „Informacji zwrotnej”, musiałeś się zajmować alkoholem. To było wyzwanie dla ciebie i dla Borysa Szyca?

Kiedy usłyszałem, że to on zagra, pomyslałem, że to świetny pomysł, ale musi przemyśleć pod tym kątem i może odmówić. Nie odmówił i poszedł w to. Dla mnie to nie jest historia o uzależnieniu, jak „Informacja zwrotna”. Oczywiście, że jest melanz, lekkość bytu, czyli dół i zjazd. Złapałem się na tym, że kiedy piszę: bierze szota wódki, pijany chwytą się framugi albo ściągają z baru szura kokainy, powinno to jednak bardziej na mnie działać jako na alkoholika, i to publicznego, który nagrywa o swoich przeżyciach popularne podkasty. To było jednak przezroczyście. Pisząc powieść „Informacja zwrotna”, wracałem do swoich przeżyć, również w terapii. Pisałem siebie, którym dzięki Bogu się nie stałem. Dlatego też m.in. do nadchodzącej serialowej adaptacji „Informacji” scenariusz napisał świetny Kacper Wysocki. Dla mnie adaptowanie tej książki to było po prostu za dużo. Tymczasem przy „Warszawiance”, tak jak mówiłem ci wcześniej, nie pisałem siebie, pisałem kumpla.

Tam pokazałeś grozę uzależnienia. Tutaj mamy opowieść o tym, jak siebie pokochać?

„Warszawianka” nie jest strictly o alkoholu czy uzależnieniu, chociaż to gra gdzieś w tle. To jest o całym modelu życia. Czujący spada na cztery łapy, bo gdzieś w głębi ducha jest dobrym człowiekiem. Ma otwarte serce. Nie jest altruistą, nie spala się w pomocy innym, ma pewną postawę opartą na dobru, na ciepłe. Po prostu nie ma tego dobra i ciepła dla samego siebie.

ROZMAWIAŁA JUSTYNA SOBOLEWSKA



▲ Izzy and the Black Trees
 ◀ Misia Furtak
 ▶ Yumi Ito, gwiazda tegorocznego JazzArtu.



Kobiety na plakaty

Co jeszcze można ulepszyć w rozwiniętej sieci muzycznych festiwali? Może poprawić obecność kobiet na scenach? W wielu krajach idzie to skutecznie, w Polsce oporu jest nieco więcej.

MARIUSZ HERMA

Błagam was, wy tak na serio? – dziwiła się jedna z internautek pod wpisem dużego polskiego festiwalu, gdy opublikował na Instagramie listę dziesięciu polskich wykonawców występujących w tegorocznej edycji. Dziesięciu, bo byli to sami mężczyźni – solo czy w zespołach. „Czekamy na równie duże ogłoszenie z polskimi ARTYSTKAMI” – komentowała inna zdziwiona. Podobne reakcje mnożyły się na Facebooku, a powszechną irytację podgrzały skargi osób, których wpisy miały być przez administratorów usuwane. „Nie jesteście influencerką, tylko festiwalowem, więc takie zachowanie to wizerunkowy strzał w kolano” – zauważyła jedna z kasowanych.

Na większości tegorocznych plakatów festiwalowych kobiety stanowią mniejszość, zgodnie zresztą z tradycją. Katowickie imprezy Off Festival oraz Tauron Nowa Muzyka oddały im około jednej piątej

programu, przy czym w przypadku Offa udział ten rośnie do dwóch piątych, gdy doliczy się kilkanaście zespołów mających w składzie kobietę – zwykle właśnie jedną. Na festiwalu Open'er w pełni sfeminizowana jest jedna trzecia występów, do tego dochodzi kilka grup mieszanych. Stawiające na solistów i solistki Warsaw Orange tym drugim oddało dwie piąte miejsc w grafiku. Chorzowski Fest Festival, mimo że najmłodszy w tym gronie, zapowiada 200 występów, ale na 160 już ujawnionych kobietom powierzył 40. Zdarzają się jednak tacy organizatorzy, którzy obiecali osiągnąć parytet płci i tę obietnicę już spełnili.

Zmiana tonacji

Na blisko tysiąc wykonawców występujących na wielkich amerykańskich i europejskich festiwalach muzycznych aż 70 proc. stanowią mężczyźni, podczas gdy w przypadku kobiet to niespełna 20 proc. – policzył pięć lat temu amerykański serwis Pitchfork. Ale w tym samym roku 45 imprez z obu kontynentów wspólnie zobowiązało się, że do 2022 r. będzie

u nich występować podobna liczba artystów i artystek. Wśród sygnatariuszy był holenderski Eurosonic, czyli najważniejsze targi muzyczne na naszym kontynencie, jak również angielskie festiwale The Great Escape i Liverpool Sound City czy islandzki Iceland Airwaves. A także Katowice JazzArt Festival. „Jesteśmy częścią Keychange, programu równouprawnienia płci zrzeszającego festiwale z całego świata. Więcej pań wykonujących jazz – oto nasza misja” – deklarowała śląska impreza.

Inicjatywa Keychange (ang. zmiana tonacji) zrodziła się właśnie w reakcji na to, że kobiety nie są dostatecznie reprezentowane na festiwalowych scenach. Wysłała od niemieckiego festiwalu Reeperbahn, brytyjskiej fundacji PRS wspierającej muzyków i mającej podobną misję szwedzkiego Musikcentrum Öst. Finansowanie zapewnił grant z unijnego programu Creative Europe. Do wspomnianej grupy 45 imprez podpisanych pod tzw. Keychange Pledge, czyli wspomnianym zobowiązaniem osiągnięcia muzycznych parytetów, szybko zaczęły dołączać kolejne ▶

► festiwale, a także konferencje muzyczne, agencje koncertowe, stowarzyszenia branżowe, nawet orkiestry symfoniczne, na czele z brytyjskimi Royal Philharmonic Orchestra i London Sinfonietta oraz Islandzką Orkiestrą Symfoniczną. W sumie do inicjatywy przystąpiło już ok. 750 podmiotów, w tym prawie 260 festiwali. Głównie z krajów zachodnich, choć pojawiają się też imprezy z Brazylii, Japonii, Libanu, Nowej Zelandii czy RPA.

– *Nasza przygoda zaczęła się w 2019 r., kiedy podpisaliśmy to zobowiązanie. Wyszliśmy z założenia, że w ten sposób możemy realnie zmienić kawałek otaczającego nas świata* – mówi Agnieszka Wojciechowska, dyrektor programowa festiwalu Wschód Kultury – Inne Brzmienia, odbywającego się na początku lipca w Lublinie. W ubiegłym roku osiągnął on 50 proc. udziału kobiet w programie, a w tym roku ma mieć jeszcze lepszy wynik. Do parytetu dążył już wcześniej, ale pandemia wywracała programy dwóch wcześniejszych edycji i sukcesem Innych Brzmień było to, że festiwal w ogóle się odbywał. – *Pod obietnicą Keychange na pewno warto też podpisać się z powodów wizerunkowych, jasno sygnalizując publiczności, kim jesteście. A my np. otwarcie mówimy, że w określony sposób postrzegamy rzeczywistość, chcemy być podmiotem odpowiedzialnym, „zrównoważonym” także na tym poziomie* – tłumaczy Wojciechowska.

Dodatkowo każda organizacja dołączająca do Keychange może liczyć na wsparcie całej sieci. A znajdują się w niej czołowi gracze z przeróżnych gałęzi branży muzycznej. – *Bycie częścią globalnego ruchu złożonego z organizacji, które mają podobne wartości i podziwiają przekonanie, że branża muzyczna powinna być bardziej otwarta, to na pewno jeden z głównych powodów dołączania do naszej inicjatywy* – potwierdza Marie Fol, jedna z kierowniczek Keychange, liderka programu ds. rozwoju. Do tych motywacji dodaje jednak czysto ekonomiczną. Na tak konkurencyjnym rynku stempel Keychange pozwala się wyróżnić, szczególnie w oczach młodszej publiczności. Fol przywołuje wyniki badań przeprowadzonych w Niemczech: 43 proc. osób aktywnie słuchających muzyki deklarowało w nich, że równowaga płci w programie festiwalu wpływa na ich decyzję o zakupie karnetu, przy czym wśród tych w wieku 16–29 lat parytetów oczekuje 54 proc. A mając możliwość wyboru między festiwalem deklarującym dążenie do zrównoważonego programu a takim, który się tego nie podejmuje, ponad dwie trzecie pytanych w tej grupie zapewnia, że postawią na ten ambitny.

– *Różnorodny program sprawia też, że jesteś po prostu atrakcyjny dla szerzej publiczności* – mówi Fol. I tu warto dodać, że początkowy postulat dążenia do równowagi między mężczyznami a kobietami na scenach poszerzono także o zapewnienie reprezentacji osobom niebinarnym i innym mniejszościom, a także osobom z niepełnosprawnościami. – *Słyszymy od festiwalowych selekcjonerów, że zobowiązanie Keychange zmusza ich do ciągłego poszukiwania talentów, umożliwiając oczywiste wybory* – przyznaje Fol. – *Tylko że ich zdaniem ostatecznie czyni to ich ofertę bardziej ekscytującą dla publiczności.*

Raport mniejszości

Poza Innymi Brzmieniami i wspomnianym katowickim festiwalem JazzArt wśród sygnatariuszy Keychange jest jeszcze jeden polski festiwal – poznański Ethno Port. Co łączy je wszystkie poza faktem, że o ich kształcie od początku (współ)decydowały kobiety? To że są w części lub w pełni finansowane ze środków publicznych, unijnych czy przez UNICEF. Tymczasem imprezy komercyjne swój opór wobec postulatów Keychange uzasadniają tym, że wśród kobiet nie sposób znaleźć dostatecznej liczby headlinerów, czyli gwiazd, których nazwiska można wypisać wielkimi literami na samej gorze plakatu. Tak uważają nie tylko polscy organizatorzy. Według niedawnego raportu BBC wśród headlinerów 50 największych brytyjskich festiwali zaledwie 13 proc. stanowią kobiety, solo lub w zespołach. Kolejne 12 proc. to grupy mieszane, pozostałe 75 proc. zgarniają już sami mężczyźni.

W branży koncertowej wciąż pokutuje mit o tym, że kobiety „nie sprzedają” biletów. – *Festiwale obawiają się, że nie znajdą wśród nich wystarczająco wielu dużych nazwisk, które przyciągną publiczność, ale dane temu zaprzeczają* – mówi Marie Fol. I tu można podać przykład hiszpańskiego Primavera Sound, jednego z największych festiwali w Europie: ostatnią edycję oglądało 460 tys. osób, z których większość stanowili przyjezdni z całego świata. Parytet płci na scenach Primavera wprowadziła już kilka lat temu. „Dziwi nas, że spośród tych dużych imprez tylko my to zrobiliśmy. To się opłaca, poza tym to bardzo łatwe, trzeba tylko zmienić sposób myślenia” – przekonywał ostatnio rzecznik Primavera. Przyznał, że np. w przypadku rocka jest nieco trudniej o headlinerki, ale już pop czy taneczna elektronika mają ich bez liku, program jako całość nietrudno więc zrównoważyć.

Potwierdza to Agnieszka Wojciechowska z Innych Brzmień. – *Wystarczy przy budowaniu programu od początku pracować nieco inaczej, uczynić z równowagi genderowej jedno z kryteriów. Festiwale komercyjne są skupione na wskaźnikach typowo sprzedażowych i zapewne mają trochę trudniej, ale często bywa to też wytrychem, który utrwała złe przyzwyczajenia* – ocenia. Same inicjatorki Keychange podkreślają zresztą, że parytet 50/50 jest kwestią umowną i nie zamierzają nikomu dokładnie wyliczać procentów. Nie biorą też pod uwagę tego, czy artystki grają na dużych czy małych scenach albo o jakiej porze występują. No i uznawanie zespołu za kobiecy nawet przy jednej dziewczynie w składzie jest już sporem kompromisem.

Pewną rację festiwale mają jednak w tym, że stały się łatwym celem ze względu na charakter działalności: są wydarzeniem corocznym, a ich program można ogarnąć jednym spojrzeniem na plakat czy internetową rozpiskę. Tymczasem jeszcze dalej od parytetów są przemysł fonograficzny czy stacje radiowe – wytwórnice muzyczne średnio co piąty nowy kontrakt podpisują z artystkami (i zwykle mniej im płacą), podobny procent kobiety wywalczyły w ostatniej dekadzie na liście „Billboardu”. Dążenie do parytetów zdaniem organizatorów imprez powinno się zaczynać na początku muzycznej „taśmy produkcyjnej”, choć jej wady najwyraźniej widać na końcu, którym są właśnie duże festiwale. I z tym Keychange wydaje się częściowo zgadzać, dlatego równoległe do współpracy z festiwalami prowadzi program dla artystek i muzycznych innowatorek.

Wsparcie na starcie

Niedługo po podpisaniu deklaracji Keychange festiwal Inne Brzmienia zaproszono do tego, by stał się oficjalnym partnerem organizacji, czyli reprezentantem Polski w ścisłym sercu tej sieci – tworzy je kilkanaście cenionych festiwali głównie z zachodniej Europy oraz Kanady, z naszego regionu poza imprezą lubelską jest jeszcze znakomity estoński Tallinn Music Week. – *Uczestniczymy w rekrutacji artystek do programu rozwojowego Keychange. Z każdego kraju partnerskiego co roku wybierane są trzy artystki oraz trzy tzw. innowatorki – osoby na różne sposoby aktywne w branży muzycznej. Następnie każdy z festiwali sieci wybiera po trzy artystki i trzy innowatorki do zaprezentowania ich podczas swoich imprez* – tłumaczy Wojciechowska. Co roku do takiej puli trafia ponad 70 osób, które przechodzą szkolenia, mają zapewniony mentoring oraz stypendium na „służbowe” wyjazdy.

W Polsce do tego szerokiego programu rozwojowego co roku aplikuje 40–50 osób, mniej więcej tyle co np. w Norwegii. Spośród artystek jak dotąd dostały się do niego m.in. Misia Furtak, Agata Karczewska, Ifi Ude, Izabela Rekowska z grupy Izzy and the Black Trees, pianistka i kompozytorka Joanna Duda czy Mehehe, laureatka folkowego konkursu Nowa Tradycja. Po stronie innowatorek są m.in. przedstawicielki festiwalu, agencji koncertowych i kreatywnych oraz takich organizacji jak ZAiKS i Music Export Poland. – *Nasze spotkania odbywają się w kontekście konferencji i festiwalu showcase'owych, przy okazji można więc nawiązać kontakty biznesowe, no i gra się koncerty* – opowiada Misia Furtak. – *Ale najważniejsze dla mnie w tej sieci jest wsparcie, spotkanie dziewczyn mających podobne doświadczenia w branży, które mówią: nie zwariowałaś, mamy te same problemy. Zmienia się kontekst, zmienia się kraj, ale te wszystkie historie się powtarzają* – przekonuje.

Wspólnym problemem okazuje się przede wszystkim szklany sufit, który kobiety napotyka, pracując także przy organizacji koncertów, w studiach nagraniowych, w wytwórniach muzycznych. Z badań typu „Women in Music 2022”

wynika, że choć w branży jest całkiem sporo kobiet na niższych stanowiskach – niekiedy nawet więcej niż mężczyźni – po paru latach odchodzą przez brak perspektyw na awans i to, że ich kompetencje są nieustannie podważane, dyskryminację odczuwają niemal wszystkie. – *A na konferencjach muzycznych, choć powoli odchodzimy od rozmowy typu „o nas bez nas”, gdy nawet o sytuacji kobiet w branży rozmawiali sami mężczyźni, wciąż zdarzają się jeszcze rażące pominięcia, wynikające zapewne z przyzwyczajenia, układow towarzyskich i automatyzmu w działaniu* – mówi Agnieszka Wojciechowska z Innych Brzmień.

Warsztaty Keychange pokazują jednak, że niektóre kraje potrafią te bariery przełamywać i są o kilka kroków przed Polską w wyrównywaniu szans. – *Dlatego zawsze wracam do kraju z listą działań edukacyjnych, mentoringowych czy dotyczących współpracy z mediami, które mogłyby poprawić sytuację kobiet w muzyce* – dodaje. Czyli zwiększyłyby ich widoczność, choćby przez opowiadanie o tych, które szklany sufit przebiły. Inny sprawdzony pomysł to rekomendacje np. dla miast, aby przy przyznawaniu grantów pamiętały o inkluzywności. Z kolei w ofertach

pracy w branży warto stosować feminitywy, aby kobiety czuły, że to miejsce także dla nich. Jest wreszcie kwestia wyrównywania wynagrodzeń.

Ale w sieci Keychange dyskutuje się nie tylko o tym, co dzieje się na scenach i na ich zapleczeniach, lecz także pod nimi. Z brytyjskich badań wynika, że 30–40 proc. uczestniczek festiwalu muzycznych doświadczyło na nich jakiejś formy molestowania seksualnego. Obawia się tego aż 70 proc. W odpowiedzi na te dane brytyjski oddział ONZ Kobiety przygotował kodeks postępowania dla organizatorów, wdraża go już ponad 100 tamtejszych festiwalu. Chodzi m.in. o tworzenie „bezpiecznych stref”, w których kobiety czy osoby niebinarne mogą zwrócić się o pomoc do specjalnie przeszkolonego personelu. Już podczas sprzedaży biletów akcentuje się obowiązki przestrzegania określonych reguł. Są też propozycje dla klubów muzycznych. – *W łazienkach jest np. napisane, że jeżeli cokolwiek złego się dzieje, możesz podejść do baru i zamówić drinka o określonej nazwie. Wtedy barman kogoś wezwie albo zamówi dla ciebie taksówkę* – mówi Misia Furtak, podając to jako kolejny z gotowych pomysłów do wdrożenia w Polsce.

MARIUSZ HERMA

REKLAMA

RUHA



32. FESTIWAL KULTURY ŻYDOWSKIEJ W KRAKOWIE



28 VI – 2 VII 2023

32.jewishfestival.pl

32. FKŻ odbywa się pod Honorowym Patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy i jest współfinansowany ze środków Miasta Krakowa oraz ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego, w ramach programu Muzyka, realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca.

Kraków

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

TAUBE PHILANTHROPIES

KORET FOUNDATION

ISRAEL Ambasada Izraela w Polsce

MABAY FOUNDATION

KULCZYK FOUNDATION

PZU FUNDACJA

FUNDACJA WSPÓLNICY POLSKIEJ HERCLES STERBING KULTURWISSENSCHAFTLICHE ZUSAMMENARBEIT

POLSKIE LINIE LOTNICZE LOT

Logo of the Polish Airlines (LOT)

WODOCIĄGI Miasta Krakowa

The Kronhill Pletka Foundation

Mid Atlantic Arts

Finansowane przez Unię Europejską

Lucyna i Daniel Shefter

Evens Foundation

GOETHE INSTITUT

wyborcza.pl

Radio Kraków

Radio Kraków Kultúra

off.

Kraków Culture PARTNER

TVP

Partnerem 32. FKŻ jest Województwo Małopolskie

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA wizytówka

Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna
Kuby Wojewódzkiego

Andrzej Poniedziałki w podkaście One-tu wyznał, że na pierwszej w swoim życiu randce, która miała miejsce na drzewie, obciął gałąź, na której zasiadała jego wybranka. Nikt tak jak Andrzej nie potrafi równie pięknie opowiadać o współczesnej Polsce.

Odbył się kolejny, 60. już Festiwal Piosenki w Opolu. Treść imprezy najlepiej oddają słowa prowadzącego Tomasza Kammela: „Po co nam One Direction, skoro mamy Pectus”. Wyrafinowane. Bóg, dając niektórym rozum, powinien dołączyć jeszcze instrukcję obsługi.

W rankingu najdroższych polskich piłkarzy według portalu Transfermarkt Roberta Lewandowskiego wyprzedził zawodnik Napoli Piotr Zieliński. Jego wycena to 40 mln euro. W świecie pozapiłkarskim transfery oscylują pomiędzy 500 a 800 zł.

Odsunięty od prowadzenia „Szkła kontaktowego” Krzysztof Daukszewicz wyznał, że pracuje nad dwiema książkami: „Jedną wspólnie z żoną, drugą wspólnie z synem”. Jak wynika z opisu, problem płci nie jest dla niego problemem.

W Lewinie Kłodzkim odsłonięto pomnik Violetty Villas. W tej samej miejscowości artystka zmarła 12 lat temu w samotności i nędzy. Monument kosztował 100 tys. zł. Spora kwota jak na terapię.

Podczas Opola 2023 dochodziło do ciekawych manifestacji. Wanda Kwietniewska apelowała: „Jeszcze będzie normalnie”. Kuba Badach twierdził, że przyjeżdża tylko dla publiczności. A Justyna Steczkowska napisała na sobie: „Myśl samodzielnie”. Krowa wyczuwa zapachy oddalone o 9 km. Artysty tak mają ze zmianą władzy.

„Joanna Opozda na randce z niezmiernym przystojniakiem” – donosi Jastrząb Post. Co ciekawe, na każdym zdjęciu mężczyzna ma zamazaną twarz. Efekt Natalii Janoszek trwa. Wyobraźnia jest ważniejsza niż wiedza. Choć nie ukrywam, słowa wiedza używam z wielkim bólem.

Polsat rusza z polską wersją amerykańskiego reality show „The Real Housewives”, w którym pokazane będą pełne intryg i wyzwania życie siedmiu bogatych kobiet z Warszawy. Ja bym proponował posłańkę PiS Annę Paluch. Nie dość, że bogata, to jeszcze ma mieszkanie komunalne.



„Boże. Dopomóż abyśmy nie zestarzelisi tak beznadziejnie jak gwiazdy Opola” – apeluje Krzysztof Skiba z zespołu Big Cyc. Jak widzę, co on medialnie wyprawia ze swoją nową partnerką, to mam ochotę zawołać: „Boże. Krzyżkowi też”.

Pudelek donosi: „Patryk Vega wsiada do auta za ponad 2 mln w butach za prawie 6 tys.”. I takiego Patryka cenię. Szybkiego, dobrze ubranego, z dala od kamery.

Polityk Suwerennej Polski o jakże patriotycznym nazwisku Damian Polak mantruje na Facebooku: „Polska. Nasza dumą, nasza siłą, nasza ojczyzna”. Trzeba się z nim zgodzić. Szczególnie ze słowem „nasza”.

Festiwal opolski ciągle budzi emocje. Andrzej Piaseczny napisał: „Bez względu na to, jak dobrze się pływa kraulem, pływanie w szambie zawsze pozostawia na ciele nieprzyjemny zapach”. Sugestywne porównanie. Szambo zwykle zbudowane jest z betonu.

Do ciekawej wymiany zdań doszło podczas transmisji finału Ligi Mistrzów w TVP. Obecny w studiu trener Jerzy Brzęczek skomentował: „Patrz, jak ci skurwy...ny grają”. Szok i niedowierzanie. Powinno być „Te skurwy...ny”.

Jarek Jakimowicz, publicysta i komentator niezłomny, stracił pracę w programie „Pytanie na śniadanie” w TVP. Jarek odwiędzał z kamerą tzw. służby mundurowe. To pewnie w podzięce. Bo w młodości oni często odwiedzali jego.

Poseł PiS Kacper Płażyński potępił koncert zespołu Behemoth w Boże Ciało. Okazało się, że Kacper chadza na koncerty pogańskiego zespołu folkowego Wardruna o antychrześcijańskim profilu. Przypomina mi się napis na ścianie: „To Bóg stworzył cyci, a nie Kościół katolicki”.

Podczas opolskiego festiwalu swój recital miała Dorota Doda Rabczewska. Co ciekawe, wokalistka twierdzi, że jej jedynym nałogiem jest nonkonformizm. Ładne. Patrząc na metryki jej fanów, to w słowniku nie doszli jeszcze do N.

Edyta Górniak oświadczyła, że chce rozwodu kościelnego ze swoim byłym mężem, najczęściej znanym jako Dariusz K. Trudno się dziwić. Darek słynie z tego, że tragiczne może być spotkanie się z nim na wspólnej drodze.



O uwodzeniu

Telefon podsłuchał mnie i moją ukochaną, kiedy oglądałyśmy w telewizji Ranking najprzystojniejszych facetów. „Co to są za celebryci, jak ja żadnego nie kojarzę!” – narzekala moja ukochana. Trudno było się z nią nie zgodzić. „Ale Chalameta na pewno znasz” – rzuciłam, kiedy na ekranie pojawił się piękny Timothée Chalamet, znany nam z gejowskiego melodramatu „Tamte dni, tamte noce”. I tyle wystarczyło. Samsung, chińczyk czy ajfon? Nie wiem, który to z naszych trzech telefonów nas podkablował, ale któryś na pewno, bo chwilę później w internecie zaczęła mnie napadać reklama męskiego zapachu znanej francuskiej firmy, reklama z twarzą – a jakże! – Timothéeo Chalameta. Filmik reklamowy nakręcił Martin Scorsese, więc Timothée bliższy w nim i uwodzi z całą mocą swojego płynnego genderu: niesfornymi ciemnymi lokami, wielkimi smutnymi oczami i szczupłą „dziewczęcą” sylwetką, która tak wspaniale prezentowała się w czerwonej kreacji z odkrytymi plecami na ostatnim festiwalu filmowym w Wenecji. A kiedy dwa dni później złapałam się na tym, że gorąco pragnę kupić sobie właśnie te perfumy, zrozumiałam, jak genialny był pomysł, by nowym ambasadorem starego zapachu uczynić właśnie jego. Bo Chalamet zdobywa w tej reklamie serca wszystkich: nie tylko heteroseksualnych samców, którzy chcą się podobać współczesnym kobietom; nie tylko kobiet, które chciałyby czasem pomarzyć, że zamiast brodatych miśków biorą w ramiona kogoś takiego jak on; i nie tylko gejów, co akurat nie wymaga wyjaśnienia, ale zafascynował także moją ukochaną i mnie. Romantyczny kochanek naszych czasów musi działać na ludzi właśnie tak. Gdyby PiS to zrozumiał, może wygrałby wybory, ale, na szczęście, jak nie czaił queeru, tak nie czaił nadal.

Od ośmiu lat z troską i drzeniem kibicuję wysiłkom mającym na celu rzucenie świata na kolana za pomocą tylko i wyłącznie piękna polskość. Zdaniem koryfeusza naszej polityki kulturalnej piękno to jest tak obojętne, że wystarczy za całą politykę zagraniczną. Dzięki jego piorunującej sile niewdzięczny Zachód wreszcie „podziękuje i przeprosi”, co będzie równoznaczne z realizacją polskiej racji stanu. Problemem jest tylko metoda – PiS od początku szuka tej najwłaściwszej, by dotrzeć z przekazem do obojętnych na piękno polskość brzydszych nacji. Okazuje się, że nie wystarczy, dajmy na to, jak minister z naszego rządu rzuci w twarz Niemce, że nie ma prawa oceniać stanu polskiej demokracji, ponieważ jej przodkowie byli mordercami, a nasi – męczeńskimi herosami. Dziwne, ale wygarnięcie prawdy w oczy nie przynosi spodziewanych rezultatów. Nie chwycił również doskonały pomysł prof. Andrzeja Nowaka, żeby polskie ambasady

zasypały świat „Dziennikiem sługi bożej” Faustyny Kowalskiej w przekładach na języki. Nie udało się też naszej dyplomacji nakłonić niemieckich wydawnictw do prozy Bronisława Wildsteina, która mogłaby przecież tak wiele zmienić. Nawet chińska edycja „Pana Tadeusza” nie przyniosła wzrostu podziwu dla polskość. Nasza dobra nowina wciąż napotyka mur milczenia. Bronią ostatniej szansy pozostaje więc ów wyteśniony przez wierzuszkę PiS „hollywoodzki film” o naszej nieodpartej urodzie, z jasnym przekazem, że zawsze byliśmy dobrzy i dlatego to my mamy rację w sporze z Unią o praworządność.

Co prawda na rozpoczętą w 2019 r. flagową superprodukcję o rotmistrzu Pileckim pt. „Ochotnik” przyjdzie jeszcze poczekać, chociaż ostatnio zmieniła tytuł na „Wróg mojego wroga” i na to konto otrzymała od PISF kolejne miliony, a to musi napawać nadzieją, tym bardziej że poznaliśmy też nazwisko amerykańskiej producentki: to Elizabeth Stillwell, znana z komedii o zombie i biografii seryjnej morderczynie.

Znacznie szybciej, bo już w przyszłym roku, ma szansę zachwycić nas inne dzieło narodowej kinematografii: film o Adamie Mickiewiczu i Maryli Wereszczakównie, czyli kręcona dla TVP „Niepewność” Waldemara Szarka. Będzie to, jak czytam w popularnym portalu, „historia płomiennego romansu w baśniowej scenerii szlacheckiego majątku, która zainspirowała powstanie »Ballad i romansów«. W jej tle zaś zmartwienia i nadzieje pierwszych lat Królestwa Kongresowego pod berłem cara Aleksandra I”. O, jak pięknie! Czego chcieć więcej? Tym bardziej że zarys fabuły przybiera niepokojący kształt trójkąta z nutą masochizmu: „Wakacyjna wędrówka prowadzi 22-letniego poetę do sielskiego dworku pod Nowogródkiem. Często bywa tu Tomasz Zan, przyjaciel Adama Mickiewicza ze stowarzyszenia Filomatów, nieszczerliwie zakochany w Maryli, córce właścicielki. Maryla pozostaje nieczuła na zaloty Zana, ale szybko zwraca uwagę na nowego przybysza. Adam odwzajemnia zainteresowanie, lecz próbuje się powstrzymać ze względu na przyjaciela”.

Są już pierwsze zdjęcia z planu, więc rzucam się oglądać. Będą sceny podwodne inspirowane „Świtezianką”! Ojej, a co to się stało? Grający główną rolę Nikodem Rozbicki, aktor młody, zdrowy i ładny, został na siłę ukształtowany na Mickiewicza ze znanych portretów, i to chyba tych późnych, kiedy wieszcz cierpiał na ustawiczne bóle zębów. Chłopak wygląda tak, jakby kazali mu odgrywać figurę z muzeum narodowych pamiątek. A więc jednak smutek. Ten Adam nikogo nie uwiedzie. Zaprawdę nie ma na świecie takiego spin doktora, który wyjaśniłby PiS-owi zagadkę seksapilu.

RENATA LIS



Ciepłe futrzaki

Szpital na Banacha, pierwsze piętro. Kolejka do punktu pobrań zajmuje całą długość korytarza – automat drukujący numerki się zepsuł i trzeba czekać w ogonku. Ludzie sapią, wzdychają, przewijają coś w telefonach. Z gabinetu wychodzi dziewczynka – ma mokre, przestraszone oczy. Pielęgniarka głośno anonsuje: dzielna Laura miała właśnie swoje pierwsze pobranie! Cała kolejka bije brawo, zakłopotana bohaterka defiluje wzdłuż zebranych, żegnana uśmiechami.

Ja też się uśmiecham, i myślę że wbrew temu, o czym rapowała Dorota Masłowska, społeczeństwo jest jednak miłe. Albo raczej – miłe bywa. I wbrew niezbyt pokrępijącym newsom politycznym, poziomowi inflacji, nieuchronności śmierci i wszechobecnej obawie przed bliźnim – bywa miłe częściej, niż decydujemy się sami przed sobą przyznać. Bycie miłym, sympatycznym, życzliwym – to przecież brzmi jak obelga. „Sympatyczny”, „miły” – tak się mówi, gdy zupełnie nie wie się, jak kogoś określić. „Życzliwy” to zaś przymiotnik wypowiedziany najczęściej z przekąsem, żeby zasugerować coś wręcz przeciwnego.

Tymczasem, jak się okazuje, te cechy, wyszydzane jako miakkie, mdłe lub dwulicowe są nam potrzebne nie tylko dla zachowania zdrowia psychicznego, ale także obniżenia ryzyka choroby wieńcowej, cukrzycy typu drugiego czy osteoporozy. Tego przynajmniej można się dowiedzieć z prowadzonego nieprzerwanie od 1938 r. badania Harvard Study of Adult Development, które objęło tysiące dorosłych Amerykanów. Mimo upływu lat jego cel pozostaje ten sam – dowiedzieć się, co właściwie sprawia, że życie staje się zdrowsze i pełniejsze. Szefem zespołu badawczego jest aktualnie psychiatra, dr Robert Waldinger, który swoje spostrzeżenia opisał w książce „The Good Life: Lessons from the World’s Longest Scientific Study of Happiness”. Jego najważniejszy wniosek? Ciepłe, codzienne relacje z otaczającymi nas ludźmi sprawiają, że lepiej nam się żyje. Banaf? Być może na poziomie języka, ale w praktyce to za każdym razem perfomans szczęśliwości.

Na poczucie długotrwałego zadowolenia z życia nie wpływają wcale najbardziej odświętne wydarzenia czy nawet szczególne chwile z bliskimi, ale codzienna sieć przyjemnych mikrokontaktów, które budują poczucie społecznego bezpieczeństwa, porozumienia, przynależności. To właśnie tych pozytywnych głasków (*strokes*), jak pisał o nich psycholog Eric Berne, potrzebujemy, żeby przetrwać w pełnym zagrożeniu środowisku. Głaski to drobne gesty, spojrzenia, słowa czy zachowania – to informacje, które dostajemy ze świata i które dajemy światu, żeby wybrać właściwą drogę. „Wymianę uprzejmości” określamy jako „rytualną”, w tonie, jakby to było coś co najmniej niekoniecznego. A przecież każdy rytuał to rzecz poważna, porządkująca życie. To nasza codzienna magia, nasze zaklęcia. „Wszystkiego dobrego!”, „Miłego dnia!” Tyle się teraz mówi o *mindfulness*, uważności. A nic nie zakorzenia bardziej w „tu i teraz” niż uważnie wypowiedziane zwyczajnie: Dzień dobry, co tam słycać? To spowalnia,

urealnia. I jest za darmo! *Small talk* to wcale nie jest błaha rzecz. Funkcja fatyczna języka jest ważna – mówi, ja tu jestem i ty też, widzę cię!

Fundacja Daj Herbatę zajmująca się osobami w kryzysie bezdomności powtarza często, że oprócz pomocy materialnej osoby w kryzysie potrzebują przede wszystkim prostej interakcji – choćby przez „dzień dobry” – bo mają one bolesne poczucie wyrzucenia poza nawias społeczny. Podobnie czują się też czasem seniorzy, którzy irytują kolejkę interesantów, stojąc i miło sobie gawędząc w aptece czy na pocztce. Już prawie nikt nie chce ofiarować im poczucia włączenia, jakie kiedyś nauczyli się pielęgnować. Dorastali w czasach, w których takie pogawędki były na porządku dziennym – mniej było rzeczy, ale więcej wokół nich interakcji. Teraz rzeczy jest mnóstwo i czasu na rozmowy wokół nich bardzo mało.

Chorujemy. Stajemy się coraz bardziej samotni i niemili. Ulice pełne Żabek i dyskontów są coraz bardziej anonimowe. Gentryfikacja zabiera nam czas na życzliwość i ochotę na nią – nie chce się rozmawiać ani zmęczonej pani na kasie w supermarkecie, ani klientowi łapiącemu rzeczy lecące po taśmie. Do tego powszechnie jesteśmy uczeni podejrzliwości, szybkiego załatwiania spraw, a zamiast partnerskiego bycia w grupie, jest perspektywa tylko walki o swoje. Tyle mówi się o tym, że przecież trzeba się starać, abyśmy przekształcili się w odpowiedzialne społeczeństwo obywatelskie. A podstawą tego jest codzienne wdrażanie życzliwości. Jeśli nie będziemy umieć stworzyć wspólnoty dobrze życzących sobie na co dzień ludzi, to jak mamy chcieć tworzyć razem zdrowe, sensowne państwo? A to wszystko przez złą wiedzę.

W 1969 r. uczeń Erica Berne’a, Claude Steiner napisał „A Warm Fuzzy Tale”, czyli „Bajkę o ciepłych futrzakach”. Ciepłe futrzaki to pozytywne uczucia. W baśniowej krainie nigdy ich nie brakowało i nikt nigdy się nie zastanawiał, czy ich zabraknie. Ale zła wiedźma przekonała ludzi, że futrzaków jest mało i lepiej jest wymieniać się *cold prickles* – zimnymi kolcami, a futrzaki zachować dla nielicznych. Wiedźma podpowiadała, żeby ludzie robili podróbki futrzaków, nabierając naiwnych stęsknionych za ciepłem, przestrzegając przed złodziejami futrzaków i plotkowała, że niektórzy mają futrzaków więcej od innych. Nie wszyscy jednak jej uwierzyli. Niektórzy dorosli i dzieci przejrzyli jej plan i wiedzą, że futrzaków robi się tym więcej, im więcej ich wydajesz. Im więcej ciepła komuś dasz, tym więcej go dla wszystkich przybędzie. I to chyba najlepsza definicja wspólnoty, jaką można sformułować i do jakiej można dążyć. Ciepłe futrzaki dla wszystkich!

KAROLINA SULEJ

Witamy na naszych łamach nową felietonistką. Autorka jest pisarką, reporterką, scenarzystką gier i popularyzatorką antropologii mody. Napisała kilka reportażyowych książek, w tym m.in. „Rzeczy osobiste. Opowieść o ubraniach w obozach koncentracyjnych i zagłady”. Twórczyni podkastów i współautorka audioserialu dokumentalnego „Supernowa”.

Niepoważne czasy



Profesor Rychlik stoi tyłem do studentów, pisząc coś kredą na tablicy. Nie widzimy, co pisze, lecz dochodzą naszych uszu tajemnicze słowa: „kulą nazywać będziemy...”. Tylko nieliczni wiedzieli, że ta „kula” to coś podobnego do „otoczenia punktu”, o którym mówiono uczniom klas matematycznych. Reszta pozostawała w beźmyślnym stuporze.

To wspomnienie pierwszego wykładu z analizy matematycznej, którym powitały mnie studia filozoficzne w 1985 r. Następnego dnia wpadłem w łapy Rafała Dutkiewicza, późniejszego prezydenta Wrocławia, a wówczas srogiego nauczyciela matematyki i logiki na KUL. I tak to było przez trzy lata, bo jak nie matematyka, to logika i końca tej męki nie było. Skutek – żaden. Nauczanie matematyki i innych trudnych rzeczy nie prowadzi do rezultatów choćby w dziesiątej części odpowiadających założeniom i oczekiwaniom dydaktyków. I tak jest z całą edukacją. Nie o skutek w niej bowiem chodzi, lecz o rytuał i odegranie wielkiej gry pozorów w hołdzie dawnym złudzeniom. A jednak trzeba oddać „starej szkole”, że potrafiła poważnie podejść do rzeczy. Dziś tego się już na zwykłych studiach nie spotyka.

Wobec tragicznej nieskuteczności tradycyjnego kształcenia czyni się, co tylko można, aby dopasować edukację nie tylko do potrzeb studentów, lecz przede wszystkim do ich zainteresowań i możliwości intelektualnych. To ostatnie ma zresztą znaczenie kluczowe, bo skoro studiuje połowa młodych ludzi, treści nauczania akademickiego muszą być dostępne dla osoby przeciętnie inteligentnej. I to przy skandalicznym i kontrfaktycznym założeniu, że niestudująca połowa jest w całości mniej inteligentna niż ta studiująca.

Autentyczne studia są w dziedzinach naukowych i z nauką związanych. To matematyka, fizyka, trudniejsze kierunki inżynierskie, medycyna i kilka innych. Na prawie jest trochę wkuwania kodeksów, na polonistyce sporo czytania literatury i utrapienie z gramatyką. Generalnie jednak wymagające wykłady i egzaminy są już pieśnią przeszłości. Studia podporządkowane są gustom studentów, których satysfakcja sprawdzana jest bardzo skrupulatnie. Nie na tym jednakże polega zasadnicza zmiana, do której doszło w ciągu minioniej dekady. Rzecz w tym, że osoby prawdziwie zainteresowane jakąś dziedziną wiedzy to najczęściej wcale nie młodzi studenci, lecz dojrzały uczestnicy amatorskich studiów podyplomowych i innych kursów, a także widzowie popularnych filmów edukacyjnych. Proste i atrakcyjne pogadanki, w których nauka zostaje już nawet nie „zdydaktyzowana”, lecz zinfantylizowana, a nierzadko nawet skomercjalizowana, w większości wyparły już tradycyjną dydaktykę, z jej nudnymi i trudnymi wykładami oraz egzaminami, które łatwiej było oblać niż zdać.

W większości przypadków studia uniwersyteckie stały się kolejną formą ogólnodostępnej edukacji amatorskiej, służącej „rozwojowi osobistemu” i pozwalającej

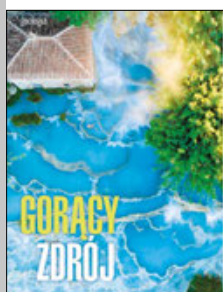
„ciekawie spędzić czas”. A jeśli już trzeba się pomęczyć i na serio czegoś trudnego nauczyć, to w konkretnych celach praktycznych. Jak mówią studenci, studia muszą „coś mi dać”. Najlepiej, gdy jest to umiejętność prowadząca do dobrze płatnej pracy. Prawdziwe studiowanie zaczyna się ewentualnie na etapie doktoratu, jednakże doktorant, dla odmiany, najczęściej wpada w pułapkę wąskiej specjalizacji, bo jego zadaniem jest pisać artykuły i pracę doktorską. Na tak zwany koniec dnia (ten język jest tu bardzo na miejscu) mamy całe tabuny niedouczonej i niedojrzałej intelektualnie magistrów oraz spory kontyngent „pracowników naukowych”, wytrenowanych w przeprowadzaniu pewnego typu badań. Za to ludzi o porządnym wykształceniu ogólnym, a jednocześnie znających się w sposób wszechstronny i integralny na jakiejś dyscyplinie wiedzy współczesny uniwersytet już właściwie nie formuje. To się jakoś zagubiło w tej masowo-praktycznej bądź amatorsko-rozrywkowej edukacji, narzuconej przez wymagania rynku i egalitarne społeczeństwo. Respekt dla uniwersytetu i profesorów, duma z bycia studentem i ambicja, aby dobrze wypaść w oczach nauczycieli, niemalże wyparowały, a przecież jeszcze niedawno wypełniały nasze sentymentalne wspomnienia z czasów studenckich.

Jak daleko zaszła ta redukcja edukacji akademickiej do poziomu użytkowego bądź hobbystycznego, świadczy drastyczne obniżanie wymagań i jakości studiów na wielu kierunkach do niedawna prestiżowych. Czy dacie wiarę, że na wielu uczelniach nie trzeba znać francuskiego, aby się dostać na romanistykę? To logiczne – przecież do tego właśnie służą te studia, żeby nauczyć się francuskiego, czyż nie? A tylko patrzeć, gdy przyszłych lekarzy będzie się kształcić w szkołach wyznaniowych i innych ośrodkach niemających nic wspólnego z uprawianiem nauk medycznych. Tępawi biurokraci pospołu z nadpobudliwymi pragmatykami i innymi cwaniakami na stanowiskach są gotowi w ciągu kilku lat zamienić uniwersytety w zakłady produkujące absolwentów na rynek pracy oraz artykuły w mnożących się bez umiaru czasopismach naukowych.

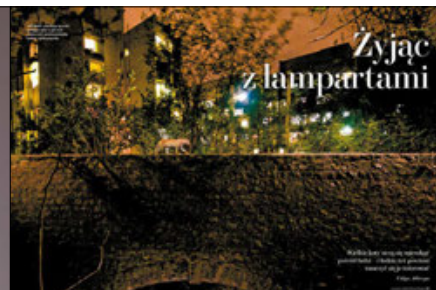
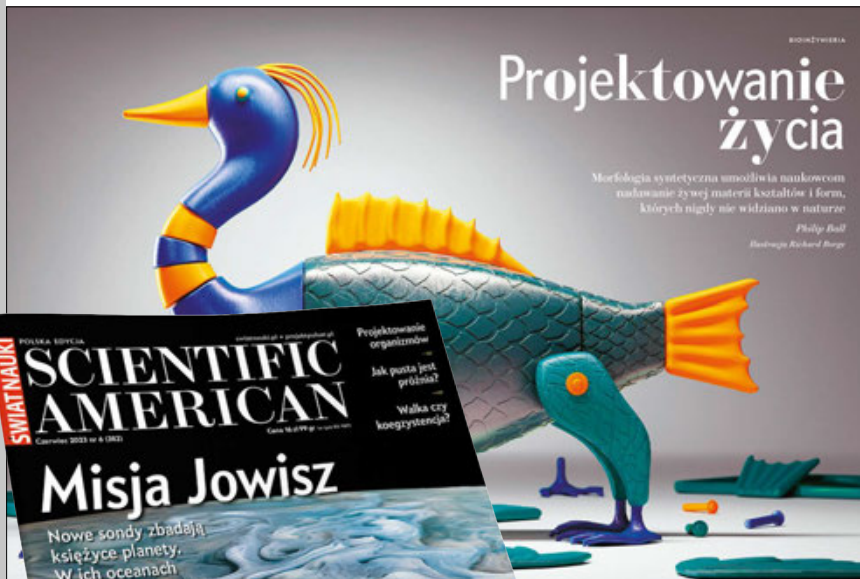
Nie wiem, jaką zapłacimy cenę za kulturą degradację uniwersytetów i czy nowy system faktycznie służy rozwojowi nauki i kształceniu specjalistów. Z pewnością jednak nie pomaga w tym, aby naród miał swoich intelektualistów. Umysłowość powierzchowna, domagająca się prostych objaśnień, przykładów i „wizualizacji”, nie udźwignie złożoności świata i nie obroni się przed mrocznymi siłami, których zrozumienie wymaga wszechstronnej wiedzy i przenikliwości. Mam wrażenie, że z roku na rok tracimy z takim trudem uzyskaną dojrzałość, poddając się jakiemuś ogłupiającemu, dziecinnemu entuzjazmowi. Czym bardziej poważna robi się sytuacja, tym my stajemy się mniej poważni.

JAN HARTMAN

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki **POLITYKI**



Czerwcowe numery już w kioskach i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl



Garnizon nad Pregołą



Zainteresowaniem przeczytałam artykuł Adama Krzeźmińskiego „Garnizon nad Pregołą” (POLITYKA 23) poświęcony historii Królewca. Chciałabym sprostować dwa merytoryczne błędy, które zauważyłam. Jeden dotyczy walk Zakonu Kawalerów Mieczowych sprzymierzonego z Krzyżakami z księciem Nowogrodu Aleksandrem Newskim. Zakon Kawalerów Mieczowych przestał istnieć w 1237 r., kiedy po porażce odniesionej w 1236 r. w bitwie z Litwinami jego resztki zostały wcielone do Zakonu Krzyżackiego i w ten sposób powstał nowy twór: Inflancka Gałąź Zakonu Krzyżackiego, który był autonomiczną częścią Zakonu Krzyżackiego i ta jego część istniała do sekularyzacji w 1561 r. Błędem jest nazywanie ich Kawalerami Mieczowymi. Drugi błąd dotyczy użytej w tekście frazy „prawo chełmskie” – jak rozumiem, nazwa ta pochodzi od miasta Chełma, ale „prawo chełmskie” nie istniało! Chodzi oczywiście o „prawo chełmińskie” – nazwa pochodzi od jednego z najstarszych miast założonych przez Krzyżaków na terenie Prus, czyli Chełmna.

MAJA GAŚSOWSKA

Granice

Chciałabym podziękować za zamieszczenie w numerze 25. POLITYKI rozmowy z Sergiuszem Najarem. Obok wielu innych, ważnych i ciekawych kwestii rozmówca Jędrzeja Winieckiego odniósł się do problemu jakże niedawnych zamykań granic (w Unii Europejskiej, gdzie ich już podobno nie ma!). Chciałoby się powiedzieć: wreszcie! Wreszcie ktoś mówi publicznie o tych absurdach, których mieliśmy okazję doświadczyć.

Zawsze uważałem, że dla mojego pokolenia (jestem 60 plus), jeżeli nie najważniejszą, to jedną z najważniejszych zdobyczy po 1989 r. była swoboda przemieszczania się po świecie. Zauważam, że nie byłem antyszczepionkowcem, „płaskoziemcą”, nie negocjowałem istnienia koronawirusa. Wiadomo – zorganizowane wczasy, grupowe wyjazdy itp. musiały być czasowo zawieszane, ale te surrealistyczne zakazy i nakazy, otwieranie, zamykanie, z dnia na dzień... Lasy, stoki narciarskie... Ci uzbrojeni żołnierze na granicach... W Cieszynie byłem bezpieczny, ale w Czeskim Cieszynie już w śmiertelnym niebezpieczeństwie? Gdy wracałem z Niemiec, obowiązywał tylko test, a kiedy z Ukrainy – już kwarantanna. Kwarantanna dla rodziny, która pewien odcinek w górach przeszła (szlakiem) przez las po słowackiej stronie, dla kobiety, która pobiegła za psem przez Olzę na czeską stronę. Ukrainka z polskim paszportem

niewpuszczona do Ukrainy, po zawróceniu – w Polskę została wysłana na kwarantannę.

Ludzie i tak znaleźli sposób, aby te poronione przepisy obejść, choćby wracając z Zanzibaru przez Berlin. Słyszałem o człowieku, który wracał przez tenże Berlin ze Lwowa do Warszawy, o innym, który o 3 w nocy wy-

chodził na spacer po parku, żeby nie zwariować, siedząc non stop w mieszkaniu w bloku. Sam wykorzystywałem różne luki w przepisach, aby podróżować. Jak? Nie powiem, bo z rozmowy wynikało, że granice mogą błyskawicznie wrócić (w Czechach do dzisiaj stoją słupki graniczne) i „oni” jeszcze bardziej te obostrzenia uszczelnia.

Jednocześnie (kilka lat wcześniej) widziałem panikę w oczach ludzi jadących w szczycie sezonu ze Śląska do Zakopanego po sugestii, że przez Słowację będzie szybciej niż zakopianką; znałem utytułowanego naukowca, który wykręcał się, jak mógł, z wyjazdów na zagraniczne konferencje; słyszałem o człowieku, który dostał rozstroju żołądka po przejściu z Cieszyna na drugi brzeg Olzy...

I okazuje się, że społeczeństwo zżyłoma się na różne ograniczenia typu zamykanie knajp, kin czy centrów handlowych, ale jednocześnie zamknięcie granic sporo osób powitało z aplauzem. Szczególnie w Europie Środkowo-Wschodniej. Mentalność realo-socializmu pozostała?

Mam nadzieję, że kiedyś, po wyjaśnieniu różnych afer typu maseczki i respiratory czy wybory kopertowe i rozliczeniu odpowiedzialnych, przyjdzie również czas na tych, którzy bezzasadnie decydowali, gdzie i kiedy możemy jechać (albo nie). I że wśród decydentów będzie więcej takich ludzi jak pan Sergiusz Najara. Wtedy świat wokół nas będzie bardziej normalny.

JACEK KORUSIEWICZ, SOSNOWIEC

Atrybucja

Autorem okładki POLITYKI nr 24, w której wykorzystano m.in. zdjęcie Kacpra Pempla/Reuters/Forum, jest dział graficzny POLITYKI. Za błędną atrybucję przepraszamy.

REDAKCJA

Violetcie Krasnowskiej
wyraży głębokiego współczucia
z powodu śmierci **Mamy**
składają koleżanki i koledzy z POLITYKI

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6
02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Solska, Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław
Z-CY REDAKTORA NACZELNEGO
Mariusz Janicki (*Pierwszy Zastępca*),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (*wydania cyfrowe*)

BIURO REKLAMY

tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37
e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek (*dyr.*),
Julian Sobiech (*reklama cyfrowa*)
PROJEKTY SPECJALNE tel. 22 451-61-93

OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ
MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl
Infolinia: tel. 67 210 86 30,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Kaliszuk-Radzko,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: tel. 22 336-79-16,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BGZ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy. Kontakt: Maciej Domagała, tel. 22 451-61-25, e-mail: m.domagala@polityka.pl

DRUK Quad

PBC

PRINTED IN POLAND



Jak rozpoznać ekstrawertyka

Królowa Paryża Iga Świątek w niedawnym materiale opisującym jej sukces przyznała, że nie zawsze marzyła o wielkich kortach, a introwertyzm utrudniał jej życie i relacje z ludźmi.

Lubimy te kategorie:
introwersja, ekstrawersja.
Ale czy wiemy, co znaczą?



Mój przyjaciel Kuba jest najbardziej towarzyskim człowiekiem ze wszystkich moich znajomych. Często wychodzi na miasto, zagaduje obcych ludzi, żartuje i nie ma problemu z zawieraniem nowych znajomości. Kiedyś powiedział mi: –Wiesz, wszyscy myślałem, że jestem ekstrawertykiem, ale to nieprawda. Czasem mam dość towarzystwa. I potrafię wtedy na tydzień zamknąć się w domu, rano pracować, a potem oglądać seriale i grać w gry. Lubię ludzi tylko na własnych warunkach – gdy w dowolnym momencie mogę się z nimi spotkać albo ich zostawić i wrócić do domu.

Potocznie rozumiemy ekstrawersję jako typ charakteru, w którym przebywanie z innymi ludźmi i wysoka aktywność „ładuje akumulatory”, a samotność je rozładowuje. Wierzymy też, że introwertycy mają odwrotnie: „ładuje ich” czytanie książek. Tymczasem z punktu widzenia nauki wygląda to trochę inaczej: nie chodzi o żadne socjalne akumulatory, tylko o poziom pobudzenia.

Za popularyzację pojęć ekstrawertyki i introwertyki odpowiada głównie Hans Eysenck, psycholog, który w latach 40. ubiegłego wieku stworzył biologiczną teorię temperamentu. W jej świetle mamy trzy podstawowe wymiary temperamentalne: psychotyczność, neurotyczność i ekstrawersję. Ten ostatni wymiar u dorosłych oceniamy na podstawie zachowania. Na przykład im bardziej ktoś jest towarzyski, aktywny, poszukujący doznań, tym wyższy ma poziom ekstrawersji. I analogicznie: im mniej ktoś jest aktywny – tym mniej ekstrawertywny (a więc bardziej introwertywny). Ale zachowanie jest tylko objawem czegoś, co ma swoją

przyczynę fizjologiczną: różną aktywność pętli korowo-siatkowej w mózgu. Ekstrawertycy mają chronicznie niższy poziom pobudzenia korowego, a więc są mniej wrażliwi na bodźce – natomiast introwertycy mają wyższy poziom pobudzenia, czyli są na bodźce bardziej wrażliwi (np. wyraźniej czują smak, szybciej reagują na dźwięki, bardziej przeżywają gafy w towarzystwie). I mamy tak od dzieciństwa, bo temperament to jest coś, z czym się rodzimy.

Czasem tłumaczę to ludziom i widzę, że ze zrozumieniem kiwają głowami. A potem lubię zadawać im taką zagadkę: wyobraźmy sobie dwoje około rocznych dzieci. Siedzący przy nich opiekun pokazuje im różne zabawki, stroi miny, próbuje je rozśmieszyć lub zaskoczyć. Pierwsze dziecko siedzi spokojnie, nie wykazując większego zainteresowania. Drugie zaś co chwila śmieje się lub krzyczy, wymachuje rączkami, podąża wzrokiem za zabawką. Które z nich jest ekstrawertyczne? Ludzie odpowiadają, że to drugie, bo ekstrawersja kojarzy im się z wysoką aktywnością. Tymczasem... ekstrawertyczne jest pierwsze dziecko. Jego niższy poziom pobudzenia sprawia, że będzie reagowało dopiero na silne bodźce. Drugie dziecko jest wyraźnie introwertyczne, bo szybciej i mocniej reaguje nawet na niewielką stymulację.

Dlaczego więc dorośli ekstrawertycy są tak bardzo aktywni, głośni, udzielający się towarzysko, skoro jako dzieci byli spokojni? Odpowiedź jest logiczna: skoro otoczenie nie jest dla nich dość stymulujące i doprowadza do nudy, postanawiają sami dostarczać sobie stymulacji. Stąd częściej podejmują ryzyko, mają bardziej zapchany kalendarz, próbują nowych rzeczy, są też zwykle aktywniejsi seksualnie. Ale to wszystko jest efektem dostosowywania swojego stylu funkcjonowania do temperamentu. Introwertyczne dzieci, z początku aktywne i żywo reagujące na otoczenie, z czasem uczą się, że najbardziej komfortowym trybem życia będzie dla nich to spokojne, uporządkowane i przewidywalne. Obserwując dorosłych introwertyków, mamy wrażenie, że są spokojni – a tak naprawdę w środku, na poziomie myśli i emocji, są dużo bardziej reaktywni niż ekstrawertycy.

Mam kolejną zagadkę: co się stanie, jeśli ekstrawertyk weźmie lek uspokajający? Odpowiedź, ponownie, jest kontrintuicyjna, ale zgodna z tzw. postulatem lekowym Eysencka: otóż ekstrawertyk po środku uspokajającym stanie się jeszcze bardziej ekstrawertywny, bo jego nowy stan zmotywuje go do poszukiwania doznań. Introwertyk zaś stanie się jeszcze bardziej introwertywny, bo zwiększy się jego reaktywność i będzie jeszcze mocniej tej stymulacji unikał.

Co jednak z ludźmi, którzy widzą u siebie zarówno introwertyczne, jak i ekstrawertyczne cechy? Tych Eysenck nazwał ambiwertykami. To osoby, które w kwestionariuszach znajdują się gdzieś na środku skali. Bywają towarzyskie i aktywne, a czasem otoczenie je przytłacza i sprawia, że czują potrzebę wycofania się do swojej bezpiecznej przestrzeni. W rzeczywistości niewiele jest osób, które byłyby w 100 proc. ekstra- lub introwertyczne. Najczęściej właśnie, podobnie jak mój przyjaciel Kuba, jesteśmy gdzieś pośrodku, dostosowując aktywność do siły swojego pobudzenia. ■

RELACJE



Matylda Kozakiewicz
– psycholożka prowadząca konto psychoedukacyjne na Instagramie @segritta



Kosztowna bagietka

MODA

„Fałszywka” to dziś „replika”, a podróbkę można nosić ironicznie. Rynek luksusowych dóbr podszywających się pod prawdziwe wart jest już ponad 3 mld dolarów.

Kiedyś noszenie podrabianej torebki Louis Vuitton, Gucci czy Chanel było jednoznacznie obciachowe. Ale też łatwiej luksusowe kłamstwo było rozpoznać, po części dlatego, że nazwa marki bywała źle zapisana – jak „Dolce&Gaddana” czy „Versache”. Albo jej logo było zrobione na tyłe, żeby być blisko oryginału, ale i trochę się od niego różnić. Sprytnie to posunięcie tekstylnych piratów, bo prawami autorskimi są objęte znaki towarowe i logotypy, nie zaś wzory torebek, okularów czy butów. Czyli czarna pikowana torba na łańcuszku nie



Ola Salwa

– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Píše o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze i uczy kreatywnego pisania.

łamie prawa, gdy zaś dodać do niej podwójne „c”, firma Gucci ma powody, żeby iść do sądu. Swoją drogą od kilku lat we Francji, Włoszech i Portugalii posiadanie i kupowanie podróbek jest po prostu nielegalne, a w kraju nad Sekwaną można za to modowe przestępstwo iść na trzy lata do więzienia. Ta restrykcyjność nie dziwi – rynek kopiowanych towarów jest wart 3 mld dolarów... Wcześniej trzeba było się nieźle natrudzić, żeby trafić z tego powodu za kratki; dziennikarka Amy Wang z „New York Timesa” przytacza przykład kobiety, która kupowała prawdziwe torebki, oddawała podróbki, a te pierwsze sprzedawała dalej z zyskiem. Ciekawe, jaki model Chanel czy Diora dobrabyły do wściekle pomarańczowych więziennych drelchów...

To przykład oszustwa na wielką skalę, ale drobni cwaniacy też są obserwowani przez stosowne władze. Przy odprawie celniczej mają prawo zatrzymać podejrzaną torebkę czy zegarek, a posiadacza pociągnąć do odpowiedzialności. Na lotnisku w Rzymie stoi wręcz „witrzyn wstydu”, a w niej zarekwirowane rolexy czy paski i skarpetki udające te od Gucci. Pewna amerykańska dziennikarka, pisząc o fałszywkach, wspomina, że wyproszone ją z butików Tiffany&Co, gdy sprzedawca uznał jej naszyjnik za kopię oryginału. Najadła się wstydu, ale grzywny płacić nie musiała. Do niedawna rzeczoznawcy umieli rozpoznać nieoryginalne torebki, dziś nowa generacja oszukanych Kelly Bag Hermés czy 2.55 Chanel (tej pikowanej) potrafi nabrać nawet najbardziej wprawne oko. Zmienił się też język opisywania procederu, oddający jego dokładność – zamiast „podróbek” są „repliki”, zamiast „fałszywek” – „deep fejki”. Handluje się nimi nie na słynnej nowojorskiej Canal Street czy eBayu, ale przez Instagram, Reddit i WhatsApp. Ceny zaczynają się nawet od 50 dolarów za torbę, czyli jedną dziesiątą ceny butikowej. Według badań World Economic Forum aż 20 proc. przedmiotów oznaczanych na Instagramie jako dobra luksusowe to tylko doskonałe kopie, co podaje portal Lossprevention.com. I jak się okazuje, dla części modniś i modnisiów z pokolenia Z nie ma większego znaczenia, czy towar pochodzi z witrzyn na Avenue Montagne w Paryżu, czy przyleciał z Chin. Wystarczy przecież, żeby wyglądał efektywnie, moda to wszak jedna wielka ściema, więc noszenie fałszywej „szanelki” to działanie ironiczne, nie przestępcze.

Skoro o przestępstwach i fałszerstwach mowa... Modę na podkreślające gust i status ubrania konkretnych marek i dodatki wylansował „Seks w Wielkim Mieście” (1998–2004), nic więc dziwnego, że jedyna scena napadu pokazywana w serialu wyglądała tak: „Oddawaj torebkę”; „To nie torebka, to torebka-bagietka”... Złodziej nie rozpoznał, że Carrie Bradshaw, czyli główna bohaterka, nosi na ramieniu **cekinowe cacko firmy Fendi**, warte kilkaset dolarów, ale... markę szpilek noszonych przez nią już tak, bo za chwilę kazał jej oddać „Manolo Blahnik”. Carrie próbowała wziąć złodzieja na litość, wyjaśniając, że to jej ulubiona para i kupiła ją za połowę ceny, ale facet zrobił tylko zirytowaną minę, kazał jej zdjąć buty i zniknął w nowojorskim zaułku. Serial wrócił w 2021 r. w nowej odsłonie zatytułowanej „I tak po prostu” (sezon 2 w HBO Max już od 22 czerwca), a jedną z jego tekstylnych bohaterek była – tak, zgadliście Państwo – cekinowa torebka-bagietka Fendi. ■



Z TikToka na stragany

WIRAL

Na początku każdych wakacji w Polsce pojawia się jakiś straganowy hit – zabawka, na punkcie której dzieci szaleją. W ubiegłym roku był nim Huggy Wuggy, maskotka wzorowana na niebieskim potworku z gry wideo, który zabijał, przytulając. W tym roku jest to gęś Pipa.

Od Krupówek w Zakopanem, przez rynki Krakowa czy Warszawy, po nadmorskie kurorty – jak kraj długi i szeroki, wszystkie stoiska z pamiątkami wyłożone są pluszowymi drobiem. Miękkie, białe materiały à la pierze, zaokrąglony brzuch, długa szyja przewieszona na haku z małą główką zakończoną dziobem i żółte łapy zwisające bezwładnie – wywołują ekstazę wśród najmłodszych. Wczasowe miejscowości pełne są rodzin z pociechami dumnie ciągnącymi swoje Pipy za szyję po brukowanych uliczkach.

Ci, którzy na razie nie wyjeżdżają na letni wypoczynek, też kupują je swoim dzieciom: w internecie. Na Allegro jest

obecnie prawie 2 tys. ogłoszeń z pluszowymi gęsiami (ceny od kilkunastu do ponad 300 zł w zależności od rozmiaru ptaka). Długie kolejki po nie ustawały się nawet przy placu Na Rozdrożu w Warszawie podczas marszu 4 czerwca (prawdopodobnie dlatego, że na upartego mogły uchodzić za kaczozy). Sprzedawcy pamiątek przyznają to otwarcie – zabawkowe gęsi sprzedają się jak świeże bułeczki.

Tylko dlaczego to właśnie gęś zawładnęła dziecięcą wyobraźnią? Podobnie jak większość dzisiejszych trendów, tak i ten narodził się na TikToku. Maskotka nawiązuje do prawdziwej gęsi imieniem Pipa, należącej do właścicieli ośrodka turystycznego nad Jeziorem Tarnobrzeskim, którzy kupili ją na rolniczym targu, gdy miała zaledwie trzy tygodnie. O jej sławie przesądził Kamil Treła, który w mediach społecznościowych działa pod pseudonimem @dekoratorwnetrzumyslu. Tiktoker wyznał w telewizji śniadaniowej, że gdy pierwszy raz zobaczył Pipę, nie odstępowała go na krok. „Ona po prostu zachowuje się jak pies. Dosłownie. Chodzi przy nodze, reaguje na mój głos, jak powiem coś do niej, czy »biegniemy«, czy »nasze skrzydełka«. To jest coś niesamowitego” – opowiedział o początkach swojej przyjaźni z ptakiem w „Dzień Dobry TVN”.

Po krótkim czasie zaczął nagrywać filmiki z udziałem Pipy (zwanej też Pipką lub Pimpusiem) przedstawiające ich relację. Zażarło. Na początku roku w sieci pojawiła się nawet aukcja na rzecz WOŚP, na której można było wylicytować spotkanie z ptakiem znad Jeziora Tarnobrzeskiego. Widzowie szczególnie upodobali sobie pytanie, które Kamil często zadaje Pipie: „czy ty jesteś normalna?”. Spore znaczenie ma tu głos mężczyzny, który brzmi jak z dubbingów bajek dla dzieci.

NORBERT FRĄTCZAK

SŁOWO

O porabianiu

Porabiać to „zajmować się czymś”. Zarobiony to zapracowany. „Nie wiem, nie znam się, nie orientuję się, zarobiony jestem” – mówił mechanik samochodowy w „Brunecie wieczorową porą”. Ale już słowo „porobiony” związane jest z innym nurtem filmowym. „Ludzie patrzą na mnie, jakbym latał porobiony władem” – rapował Fukaj. „Wład” lub „władek” to slangowo amfetamina – określenie to spopularyzował film „Że życie ma sens” grupy Sky Piastowskie. A „porobiony” to odurzony albo pijany. Jeśli inny raper, Kukon, opisuje, że „jest porobiony jak w tym serialu Pazura”, to „ten serial” musi oznaczać „Ślepnąc od świateł” i brawurową scenę z **Cezarym Pazurą** w roli uzależnionego od narkotyków medialnego celebryty. A jeśli w komentarzach na Twitterze pojawia się hasło „Już porobiony” w stosunku do jakiegoś, dajmy na to, komentatora sportowego – oznacza to podejrzenia, że pił dla kurażu przed wejściem na antenę.

Tylko co w takim razie zrobić z komentarzem „PiS jest porobiony, bo wiedzą, że przegrają”? Albo ze złośliwą odpowiedzią na wpis pracownika TVP („Totalna panika w obozie



totalnej opozycji”): „Porobiony to ty jesteś, pseudodziennikarzyno, że korytko wyschnie po jesieni”. Tu już nie chodzi o odurzenie. Podobnie z kolejnym wpisem: „Tak się kończy »Dark Souls 1 Remastered«, ostatni boss porobiony na łajcie”. Tłumacząc: ktoś tu właśnie przeszedł trudną grę wideo, z łatwością pokonując ostatniego przeciwnika. Otóż porobić kogoś oznacza także tyle, co zrobić na szaro, pokonać, załatwić, a nawet zorać. Porobiony będzie ktoś ugodzony mieczem w grze fantasy albo ciętą ripostą w zwykłym życiu. Nie

trzeba więc pić ani niczego zażywać, żeby zostać porobionym, choć niewątpliwie używki mogą obniżyć nasze szanse.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Jeśli czegoś chcesz, musisz sobie narapować I to nie jest flex, tylko moja nowomowa SB Maffija, Rusztom, 2023 r.

flex = przechwałki, popisywanie się (często pieniędzmi)

Nie odchodzą z pracy, ale swoje obowiązki redukują do absolutnego minimum i nie chcą się angażować. Trend quiet quitting zyskuje na sile i znaczeniu.

Cicha rezygnacja



Quiet quitting jest wtedy, kiedy pracownik robi wyłącznie to, czego się od niego wymaga” – tłumaczy Scott Seiss, amerykański komik, którego materiały są popularne w mediach społecznościowych. – „A nie, zaraz, to jest wykonywanie swojej pracy” – dodaje śmiertelnie poważnie. Quiet quitting zdobył media w ubiegłym roku, gdy hashtag o tej nazwie został wyświetlony na TikToku blisko 760 mln razy. To tam upatruje się rozpowszechnienia trendu, który miał zapoczątkować 24-letni Zaid Khan. Chłopak w swoim wiralowym wideo mówi, że w pracę nie trzeba angażować się bardziej niż to konieczne. Quiet quitting, czyli „cicha rezygnacja”, oznacza nieangażowanie się w obowiązki ponad to, co wymagane, a więc wynikające np. z zawartej umowy.

Jak quiet quitting wygląda w praktyce? Pracownicy nie zgłaszają się do dodatkowych aktywności, nie chcą brać na siebie więcej odpowiedzialności, niż muszą, nie odpowiadają na maile czy telefony po pracy, a także odmawiają realizacji nadprogramowych zadań i są obojętni na to, co dzieje się w firmie – czytamy w e-booku Medicover Benefits „Quiet quitting. Zagrożenia i szanse”. Według badania przeprowadzonego przez Instytut Gallupa w Stanach Zjednoczonych można mówić nawet o 50 proc. „quiet quiterów”. Mimo że w Polsce ten termin nie wszystkim musi być znany, wielu rodaków się z nim utożsamia. Z raportu Blue Colibri wynika, że połowa z badanych pracowników uznaje wykonywanie wyłącznie wymaganych zadań za mądre i sprytne, a 30 proc. nie robi w pracy nic ponad to, co niezbędne do utrzymania stanowiska.

Zjawisko to wiązane jest szczególnie z pokoleniem Z (osoby urodzone po 1995 r.), dla którego praca jest jedynie środkiem do realizacji ważniejszych celów, np. pasji. Młodzi chcą równowagi pomiędzy życiem prywatnym a zawodowym, cechuje ich też większa niż poprzednie pokolenia odwaga w wyrażaniu poglądów i walce o swoje prawa. Starsi, wychowani

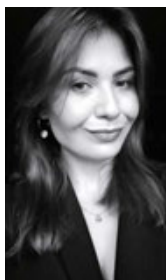
T R E N D

w kulcie pracy, nie zawsze rozumieją takie zachowania i bywa, że wiążą je z roszczeniowością, co pokazała choćby wypowiedź prof. Marcina Matczaka dotycząca pracy po 16 godzin dziennie jako drogi do sukcesu. Ignorancją jednak byłoby upatrywanie przyczyn quiet quittingu w lenistwie.

Źródła takiej postawy eksperci z branży HR, doradcy zawodowi i psychologowie szukają w wypaleniu zawodowym, braku możliwości rozwoju, rozczarowaniu sytuacją zawodową, niedopasowaniu do oczekiwań pracodawcy, niedocenianiu czy złej organizacji czasu pracy. Nie sposób również, myśląc o rynku globalnym, nie zauważyć powiązań z Wielką Rezygnacją (ang. *Big Quit*), czyli masowymi odejściami Amerykanów z pracy (mówi się o 47 mln), uderzającą w gospodarkę oraz będącą przejawem sprzeciwu wobec wyżysku i zmiany w myśleniu o idei pracy. – *Jeżeli w firmie zaczynamy bać się zjawiska, które według definicji oznacza, że pracownik robi dokładnie to, co powinien w wyznaczonym czasie i za ustaloną stawkę, to mamy poważny problem kulturowo-zarządczy* – komentuje Katarzyna Cicha, doradczynie kariery.

Co może zatrzymać ciche odchodzenie pracowników i pracowniczek? Zdrowa komunikacja w firmie, docenianie, szkolenie liderów, by słuchali pomysłów innych, a także *job crafting*, czyli modelowanie pracy, polegające na samodzielności pracownika i dostosowaniu przez niego czy przez nią pracy do swoich preferencji, co ma zwiększać produktywność, poziom zaangażowania, a także przywracać sens obowiązkowi.

W ostatnim czasie, choć niekoniecznie to nowe zjawiska, raczej dopiero nazwane, mamy modę na „quiet”. Ciche są rezygnacja, zwalnianie (*quiet firing*), zatrudnianie (*quiet hiring*) czy zarządzanie (*quiet leading*). Zagraniczni eksperci są zdania, że to efekt postpandemiczny, wynikający z braku prawdziwej komunikacji w czasie izolacji. Wygląda jednak na to, że zamiast być cicho, powinniśmy porozmawiać. Niekoniecznie głośno, ale tak, by siebie nawzajem usłyszeć. ■



Joanna Tracewicz

– od ponad dekady działa w mediach, śledzi trendy społeczne i popkulturowe, interesuje ją interdyscyplinarne podejście do zjawisk. Na co dzień redaktor naczelna RocketSpace.pl.



Turystyka zawłaszczająca

Na Bali wciąż pobrzmiewało mi w głowie pytanie: czy ja, biała kobieta, w ogóle mam prawo pokazywać się w sarongu?

W przeciwieństwie do m.in. Małgorzaty Rozenek wiem, że nie wolno wkładać pióropusza jako ozdoby do zdjęcia. To symbol władzy, aury i duchowej mocy, w rdzennych kulturach noszenie go to zaszczyt, na który trzeba zasłużyć. A gdybym miała ochotę zrobić sobie tatuaż, kopiowanie wzorów Polinezyjczyków nie wchodziłoby w grę – wiem, że symbolizują osobistą historię, genealogię i pozycję w społeczności każdego jej członka. Nie przyszłoby mi też do głowy przywieźć z Tajlandii czy Sri Lanki statuetki Buddy jako pamiątki z wakacji. Problematiczne są nawet zdjęcia ze świątynnymi posągami, zwłaszcza jeżeli ustawiamy się do nich tyłem.

O zawłaszczeniu kulturowym na szczęście mówi się coraz więcej. Członkowie kultury dominującej lub w jakiś sposób opresyjnej wobec innych kultur nie powinni



**Urszula
Jabłońska**

–reporterka, autorka książki „Człowiek w przystępnej cenie. Reportaże z Tajlandii” oraz „Światy wzniesiemy nowe”.

używać ich świętych symboli czy tradycyjnych ubrań jako ozdób albo dla zabawy, bez znajomości kontekstu. Pytanie, czy mogą ich używać w ogóle?

Na Bali religia i duchowość pochłaniają znaczną część życia mieszkańców. Wyznają oni unikalną odmianę hinduizmu, z elementami buddyzmu i lokalnych wierzeń. Mniejsze lub większe świątynie stoją na każdym rogu, a mieszkańcy nawet kilka razy w miesiącu biorą udział w religijnych ceremoniach. Wiele z tych świątyń jest otwartych dla turystów. Przy wejściu zwykle czeka pracownik, który z uśmiechem wręcza chustę tym podróżnikom, którzy zapomnieli, że nie wolno odwiedzać świętych miejsc w szortach i koszulkach na ramiączkach. Ale są też takie świątynie, do których nie ustawiają się kolejki zwiedzających. Tak się złożyło, że zapragnęłam odwiedzić jedną z nich.

Kiedy spytałam, co powinnam włożyć, usłyszałam, że sarong i bluzkę z długimi rękawami. Sarong to nie jest zwykła chusta, to element tradycyjnego balijskiego stroju. Włożenie go jest wyrazem szacunku. Taksówkarz, który miał mnie zawieźć na miejsce, dodatkowo przywiózł w bagażniku specjalny pas, którym koniecznie powinnam przewiązać sarong. Kiedy tak ubrana przekraczałam misternie rzeźbioną bramę, w głowie wciąż pobrzmiewało mi pytanie: czy ja, biała kobieta, w ogóle mam prawo pokazywać się w tym stroju? Może powinnam odmówić założenia go i zostać w dżinsach? Albo w ogóle zrezygnować z oglądania wnętrza świątyni?

Wiem, że stawiam to pytanie w rzeczywistości, w której dominują zupełnie inne problemy. Bali słynie ze swojej duchowości, więc na wyspę zjeżdżają ludzie z Zachodu, którzy specjalizują się w praktykach mających niewiele wspólnego z lokalną tradycją – na przykład we wszechobecnej jodze. Tworzą białe enklawy, w których zapominają, że nie są u siebie. Tylko w marcu tego roku turysta został aresztowany na Bali za to, że sfotografował się półnago na szczycie świętego wulkanu Agung. Miesiąc później aresztowano turystkę za to, że bez ubrania pozowała do zdjęć w korzeniach siedemsetletniego świętego drzewa. Chciałabym jednak wierzyć, że przynajmniej część turystów opanowała już podstawy szacunku do innych kultur i jest gotowa, aby pójść o krok dalej.

Praca na rzecz wyrównywania ukrytych hierarchii towarzyszy nam dzisiaj na każdym kroku. Wykonujemy ją, kiedy pytamy o zaimek naszego rozmówcy albo staramy się, aby używany przez nas język nikogo nie obrażał. Nie jesteśmy z tej pracy zwolnieni także na wakacjach. Podróże po świecie wciąż odbywają się w opresyjnej postkolonialnej rzeczywistości, powinniśmy być tego świadomi i zadawać sobie – a przede wszystkim mieszkańcom – pytania: w co mam się ubrać, czy mogę zrobić zdjęcie temu posągowi, czy mogę odwiedzić święte miejsce? I przyzwyczaić się do tego, że są sytuacje, w których możemy odczuwać dyskomfort.

Bo prawda jest taka, że jeżeli chodzi o zawłaszczanie kulturowe, nie ma prostej recepty. W jednej sytuacji nietaktem będzie włożenie tradycyjnego stroju, w innej – odmowa włożenia go. Szacunek wobec innej kultury w podróży przejawia się przede wszystkim w ciągłej uważności i staraniach, by nikogo nie urazić. ■

Różowe okulary



Najmodniejszy kolor tego lata to róż – przynajmniej w kieliszku.

W I N O

Najpierw cię ignorują, potem się z ciebie śmieją, potem cię zwalczają, a na końcu wygrasz. Aforyzm Gandhiego jak ułał pasuje do rosé. Ten rodzaj wina święci dzisiaj triumfy na całym świecie, nie wyłączając Polski.

Sukcesy tyleż imponujące, co nieoczekiwane. Nie tak dawno nikt poważny wina różowego nie pił ani się nim nie zajmował. Wino było białe albo (lepiej) czerwone, inne kolory to były anomalie, spychane na peryferie winiarskiej świadomości. Nie pomagał cokolwiek hybrydowy sposób produkcji (rosé robi się jak czerwone z ciemnych winogron, ale tak jak białe – bez maceracji, czyli trzymania wina na skórkach) ani wrodzone sprzeczności – na przykład różowego szampana robi się przez zmieszanie wina białego z czerwonym, co w winach bez bąbelków jest surowo zakazane! W sklepach zsyłano je gdzieś na dolne półki, w podręcznikach – do przypisu. To był właśnie etap ignorowania.

Potem rosé na tyle się rozmnożyły, że nie dało się ich nie zauważyć – więc je postponowano. Mówiono, że to wina niepoważne, najczęściej półslodkie albo półwytrawne, co dawało się podsumować jednym epitetem: „damskie”. Ostrze paternalizmu prędko okazało się obojętne. Owszem, kobiety z przyjemnością piły róż i właśnie to zapewniło temu rodzajowi wina ogólnoświatowy sukces w ostatniej dekadzie. Bo dzisiaj to właśnie panie napędzają rynek wina tam, gdzie pędzi on najszybciej: w Chinach, Indiach (niezależne finansowo kobiety z klasy średniej uwielbiają wina dla jego kulturalnej, aspiracyjnej otoczki; panowie na tych rynkach wciąż preferują mocne alkohole) czy w Polsce. Na tzw. dojrzałych rynkach kobiety stanowią już 60 proc. kupujących wina.



Wojciech Bońkowski

– pierwszy polski Master of Wine, współtwórca portalu Winiątywa i pisma o winie „Ferment”.

Rosé działa jak bramka wejściowa do świata win dla tych, którzy dotąd pili raczej inne napoje: koktajle, piwo (z sokiem lub bez), softy. Jego lekkość, delikatność, czarująca perfuma, młodzieńcze owocowe smaki, no i oczywiście sam kolor kojarzą się z beztróską, relaksem, na drugim biegunie wobec ciężkich alkoholi czy szałnistych, cierpkich, męczących w picciu beczkowych czerwieni, uwielbianych przez starsze pokolenie samców alfa. Rosé ma 12,5 proc. alkoholu jak wiele innych win i tak samo często jest butelkowane przez wielkie winiarnie, ale zdołało zbudować wokół siebie nimb napoju antyestablishmentowego, alternatywnego, niezobowiązującego, lajfstajlowego, wakacyjnego. Błękitne niebo, żółte bikini i różowe wina to przepis na idealne instagramowe życie.

Sygnał do ataku dała francuska Prowansja, która zawsze specjalizowała się w tym kolorze, ale przez lata pozostawała winiarską prowincją. Włączono marketingowy dopalacz, postawiono mocno na komunikację samym kolorem – w przezroczyście szkłe szklki bledziutki pas na pograniczu écrú. Pojawiły się wina premium, zgodnie z podprogowym przekazem „jesteś tego warta”. Sam smak też dopracowano: wina stały się lżejsze, delikatniejsze, świeże, precyzyjne; najlepsze rosé z Prowansji to arcydzieła poziomkowo-brzoskwiniowego niuanse.

Wina w „stylu prowansalskim” zaczęły masowo butelkować inne regiony i mocno skorzystały z trendu. Ale eksplozja różu stworzyła też przestrzeń dla innych jego stylistyk: win o ciemniejszych, wiśniowych barwach, gotowych sprostać mocniejszym potrawom (hiszpańska Nawarra, włoska Apulia) albo wręcz win różowo-czerwonych, zwanych kłaretami; rosé leżakowanych w dębowych beczkach, o znacznie intensywniejszym smaku, we Francji nazywanych „różowymi na zimę”. Obok śródziemnomorskich – rosé z chłodniejszego klimatu, jak Nowa Zelandia, Niemcy czy wręcz Anglia, z podkreśloną kwasowością.

Niezależnie od swoich różnorodnych wcieleń wina różowe święcą triumfy z jeszcze jednego powodu. Są bezkonkurencyjne pod względem tzw. fatora pijalności. Niezwykle łatwe w picciu, krótko mówiąc – po prostu pyszne. To faktycznie takie różowe okulary, przez które świat wydaje się fajniejszy. Pijmy róż! ■

Monte del Frà Bardolino Charetto 2021, 55 zł (www.winestory.pl)

Soto Manrique Naranjas Azules 2021, 55 zł (www.elcatador.pl)

Winnica 55-100 Rosé Pride 2022, 59 zł (www.55100.pl)

Palama Salento Metusco 2022, 81 zł (www.winotoskaniu.pl)

Château d'Esclans Côtes de Provence Rock Angel 2021, 158 zł (www.sklep-domwhisky.pl)

Szef „Przeglądu” Jerzy Domański po warszawskim marszu dostrzegł światło w tunelu: „Etap teflonowości PiS i czasy, kiedy obozowi władzy żadna z setek afer nie była w stanie zaszkodzić, wchodzi w erę schyłkową. (...) Przez osiem lat nic PiS nie potrafiło zaszkodzić. Teraz zobaczymy, czy przez cztery miesiące jest jeszcze coś, co pomoże im utrzymać władzę. Jak partii idzie, to nic nie jest w stanie jej zaszkodzić. A jak nie idzie, to nic nie jest w stanie jej pomóc. Czy ta dość uniwersalna zasada obejmuje także PiS?”. Niby tak, ale wciąż jakoś nie do końca.

W „Tygodniku Solidarność” marsz 4 czerwca podsumowuje Jakub Pacan: „Marsz nie będzie wielkim przełomem, nie spowoduje, że PO wygra wybory. Był jednak dla opozycji ważny. PiS musi się nauczyć szybko reagować po takich wydarzeniach. Jarosław Kaczyński milczał jeszcze o tym kilka dni po wydarzeniu”. Zamurowało go.

Ale politolog prof. Kazimierz Kik wciąż wierzy w Prezesa („Angora”): „Mobilizowanie elektoratu jest ważne dla demokracji i Tuszkowi to się udało. Na marszu byli przede wszystkim przedstawiciele wielkich miast, gdzie PiS nie może liczyć na sukces. Z drugiej strony, nie ma wątpliwości, że gdyby Kaczyński chciał, to mógłby zorganizować równie duży albo nawet większy”. Nie ma też wątpliwości, że musiałyby wcześniej wstawać.

Komentator Artur Bartkiewicz w „Rzeczpospolitej”: „Szymon Hołownia, zapraszając PiS na konsultacje ws. projektu ustawy autorstwa koalicji Trzecia Droga, zachował się tak, jakby Frodo Baggins, tuż przed przekroczeniem granicy Mordoru, zaproponował Sauronowi konsultacje w sprawie reformy administracyjnej w Shire. Innymi słowy: mocno przestrześlił. (...) jeśli Szymon Hołownia chciał uciec z pułapki polaryzacji, to zrobił to o jeden marsz 4 czerwca i kilka miesięcy wystąpienia Donalda Tuska za późno”. Kto nie czuje czasu, ten z czasem przegrywa.

O meandrach realpolitik pisze w „Plusie Minusie” Katarzyna: „Giertych nie ułatwia zrozumienia swojej politycznej drogi, nigdy się z niej nie wytłumaczył, ani za nią nie przeprosił, ale też wcale nie musiał tego robić, bo nikt od niego tego nie oczekiwał – w zupełności

Warszawski marsz był w dużej mierze manifestacją niespotykanej niewdzięczności i kłaniana karmiącej ręki wbrew własnemu interesowi – prof. Aleksander Nalaskowski, „Sieci”.

wystarczyło, że całkowicie zmienił front, pozostając przy tym samym stylu uprawiania polityki. (...) Ostrożnie zatem z cancelowaniem Mentzena, bo może i w tym przypadku trzeba będzie niedługo wypierać z pamięci wszystko, co się o nim mówiło. Jeśli kiedyś zechce pomóc walczyć z Kaczyńskim”. Fakt, nie takie wolty robili już politycy.

Odnosząc się do lex Tusk, sędzia Sądu Najwyższego prof. Włodzimierz Mazur („Tygodnik Powszechny”) zauważył trzeźwo: „Rosja nieustannie próbuje ingerować w politykę państw zachodnich i musimy z tym walczyć. Ale tym problemem powinny się zajmować służby wywiadowcze i kontrwywiadowcze. Czy one nie działają, nic nie wykryły, nic nie wiedzą? Komisja w tym kontekście wygląda jak akt rozpaczony w upadłym państwie. (...)

Ta władza robi dużo, by poprzez propagandę wychować tłum ludzi, którzy zaakceptują wiele. Także system autorytarny (...). Czy można realizować lepiej rosyjskie interesy, niż tak głęboko dzieląc społeczeństwo?”. I do tego tak skutecznie.

Marek Biernacki, były szef MSWiA, zwraca uwagę („Rz.”): „skoro Sejm powołał komisję do badania wpływów rosyjskich, to w mojej opinii wyraził wotum nieufności wobec ministra spraw wewnętrznych Mariusza Kamińskiego i ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry. Skoro wpływy rosyjskie były tak powszechne za czasów rządów PO-PSL, jak słyszemy od polityków obozu rządzącego, to powinny być dawno przebadane, a winni ukarani. A już na pewno opinia publiczna powinna się dowiedzieć o tych wpływach w Polsce. Nic takiego się nie stało”.

Szef „Do Rzeczy” Paweł Lisicki rozmyśla, kto go bardziej rozczarowuje i zniesmacza – sędziowie Sądu Najwyższego, premier czy głowa państwa: „Szczerze mówiąc, niewiele różni się od niego [premiera Morawieckiego] pan prezydent. W dniu, kiedy sędziowie SN go wyszydźli, czując za sobą poparcie Trybunału Sprawiedliwości UE, (...) zabrali mu jedną z jego podstawowych prerogatyw, prezydent... postanowił opiewać Unię. Nie wiem już, co gorsze. Udawane prężenie mięśni przez premiera czy radosne przyjmowanie poniżeń przez prezydenta”. A przecież wystarczyłoby wyjść z Unii i żaden sędzia by im nie podskoczył.

Krzysztof Varga, „Newsweek”: „Sądziłem kiedyś w swojej pysze, że byłbym w stanie napisać scenariusz serialu o PiS (...) w formie tragifarsy, pozbawionej hamulców czarnej komedii. Lecz ostatnie miesiące, a szczególnie ostatnie tygodnie uświadomiły mi, że w starciu z naszą rzeczywistością sztuka filmowa nie ma szans”. No, nie ma.

Na okładce „Sieci” czytamy: „Tylko u nas. Saryusz-Wolski ujawnia szokujący plan Brukseli. Chcą nam wszystko zabrać!”. Niestety, trudno liczyć na to, że zaczną od „Sieci”.



CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Uprawiaj sport świadomie

Klinika ortopedyczna

Szpital

operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej

Badania wstępne, okresowe i kontrolne dzieci, młodzieży i dorosłych

Orzeczenia sportowo-lekarskie

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / neolizy współczulne

blokady / neolizy nerwów obwodowych

termolezja

Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka

Dietetyka kliniczna

Dietetyka sportowa

Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja

- Rehabilitacja ortopedyczna:
 - stawów rzepkowo-udowych
 - stawów barkowych
 - kręgosłupa
 - stawów kolanowych
 - kontuzji sportowych
 - po zwichnięciach stawów
 - urazów mięśni
 - więzadeł
 - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroinekologii
- Rehabilitacja po COVID-19

Rezonans Magnetyczny 3T

- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa

- Pełny zakres badań

Diagnostyka

- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

HALE NAMIOTOWE PROJEKTOWANE NA DEKADY SZYBKI MONTAŻ W KILKA DNI

www.pol-plan.com.pl

Nawet
25%
KOSZTÓW
TRADYCYJNEJ
HALI!

Hale
przemysłowe

Magazyny
z dokami
załadunkowymi

Izolowane
hale z dachem
pompowanym
Lokalne obciążenia
wiatrowe i śnieżne
nawet
do **300kg/m²**

Do
60m
rozpiętości

POL-PLAN
HALE NAMIOTOWE